

# Wprowadzenie

Wiosną 1890 roku Cecil Rhodes ze swoją Chartered Company, eskortowany przez siły British-Beczuana Police wyruszył w głąb dziewiczego afrykańskiego buszu. Przeprowadził się przez rzekę Limpopo, znalazł się w krainie, która dotąd w niewielkim stopniu była zbadana. Nawiedzali ją jedynie myśliwi, traperzy i poszukiwacze złota. Wiele legend owiewało stare królestwo „Monomotapa”, „kraj drogocennych kamieni”, jakie po pierwszych podbojach swojego ojca Mzilikazi całkowicie podporządkował sobie Lobengula, władca Zulusów. Była to domena czarnego człowieka. Czego mógł tam szukać Europejczyk?

Lobengula, słynący z okrucieństwa „czarny Neron”, tolerował dotąd obecność pojedynczych handlarzy i misjonarzy. Od 1879 roku w trzech wzniesionych z trudem stacjach misyjnych w państwie Matabelów działali nieustraszeni misjonarze. Tolerowano ich, gdyż wyświadczyli Ndebele - Zulu wiele dobra, ucząc ich uprawy ziemi oraz nieznanych dotąd rzemiosł. W 1888 Lobengula zgodził się odsprzedać wysłannikom Cecila Rhodesa wyłączone prawo poszukiwania i wydobywania minerałów na podległym mu terenie. Kiedy jednak doniesiono mu, że biały człowiek zamierza podporządkować sobie cały Matabeleland, wraz ze zdobytym królestwem Mashona na wschodzie, w czarnym Neronie zawrzała nagromadzona złość. Gdy Rhodes zdradził zamiar zdobycia w bezkrwawy sposób

późniejszej Rodezji, powołał pod broń swoje impis, oddziały wojowników zuluskich.

Sytuacja zaostrzyła się tak poważnie, że przełożony misji jezuickiej postanowił odwołać misjonarzy rezydujących w pobliżu pałacu królewskiego w Bulawayo. Nastąpiło to w roku 1889, a dla Lobenguli stanowiło ostrzeżenie, że trzeba się mieć na baczności.

Gdy w rok później ci sami misjonarze pod ochroną oddziałów Rhodesa wkroczyli ponownie na terytorium czarnego władcy, towarzyszyło im pięć dzielnych białych kobiet, sióstr z położonego na południowym wybrzeżu Afryki King Williams-town, dominikanek misjonek od Najświętszego Serca Pana Jezusa doskonale wiedzących, że w niezbadanej dzicy Mashonaland czekają je niezliczone znoje i trudy.

W wielotygodniowej, wyczerpującej podróży, w ciągu dnia palone słońcem, nocą trzęsąc się z lodowatego zimna, w ciągłym zagrożeniu życia wyruszyły na „Chrystusowy podbój”.

Ich przeżycia opowiedziano na podstawie własnych zapisków sióstr: sprawozdania z misji jezuickiej nad Zambezi uzupełniają historyczne zdarzenia. To, co przedstawiono na kartach tej książki na temat misjonarzy oraz sióstr odpowiada faktom. Wydarzenia, jakie miały miejsce w roku 1879, zrelacjonowano według pamiętnika zamordowanego przez autochtonów ojca Teroerde, Niemca z pochodzenia. Autentycznych jest także wiele słów Cecila Rhodesa wypowiedzianych podczas spotkań z misjonarzami.

Wszystko, co napisano o królu Lobenguli, sprawowanych przez niego rządach oraz relacjach rodzinnych, to historyczna prawda. Zabójstwo siostry Njiny, śmierć induny Lodshe, głośne wystąpienie wdowy po jego ojcu podczas wojny z Matabele, późniejsze nawrócenie Kakubiego, czarownika Mashonów, przez jego córkę Beatę to również fakty historyczne.

Dominikanki misjonarki od Najświętszego Serca Pana Jezusa z Rodezji oraz Strahlfeld (Oberbayern), a także redakcja czasopi-  
sma jezuickiego „Die katholischen Missionen” z Bonn wsparły  
autorkę, oddając do jej dyspozycji bogatą dokumentację.

Wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej powie-  
ści, a zwłaszcza siostronom oraz ojcom jezuitom, kolejny raz wy-  
rażam w tym miejscu moje serdeczne podziękowanie.

W pierwszym rzędzie poświęcam tę pracę Najświętszemu  
Sercu Jezusowemu, a także pamięci wszystkich misjonarzy  
i misjonek z Zambezi, którzy poszli drogą męczeństwa.

CM. Lakotta

## Czarny Neron rozkazuje!

Dopiero co skończyła się tropikalna ulewa.

Las mangowy spowijała ciężka dusząca wilgoć. Pod jej ciężarem zamilkły wszystkie zwierzęce odgłosy. Nie słychać było nawet ptaków. Tylko dwa młode pawiany wychyliły łby spod mokrych parasoli palm, spoglądając na wąską ścieżkę, na której mignął cień ciemnoskórego łowcy.

Sesango poruszał się bezszelestnie. Pod jego bosymi stopami nie trzasnęła ani jedna gałązka. Gdy małpy dostrzegły, że jego gotowy do rzutu assegai z dwustronnym ostrzem nie celuje w ich stronę, zaskrzeczały radośnie. Był to pierwszy odgłos po gwałtownej ulewie, więc odbił się echem niczym werbel tysiąca tam-tamów. Teraz dopiero rozbrzmiały na nowo zwykle głosy mieszkańców lasu. Młode pawiany zeskoczyły nieco niżej, kłócąc się wrzaskliwie ze sobą.

Sesango nie odwrócił ku nim głowy. Co mógł go obchodzić „dziki lud z buszu”? Dokąd nie pustoszyły jego pól, nie interesowały go. Tylko w czasach głodu jedzono łykowate, małpie mięso. Myślał jedynie o antylopie kudu, której udało się umknąć w deszczu. Młode, zwinne zwierzę miało swoją wartość. Aromat jej smażącej się nad ogniem tuszy ściągał smakoszów z daleka i bliska. Również w obcych stronach nie chciał siedzieć beczynnym i dowieść dumnym indunas, że także potomek ludu Mashona zna się na łowach.

Nie chciał być zdany na weselną pieczeń króla Lobenguli.

Czy myśleli, że jada może tylko jaszczurki i szarańczę? Jeszcze się zdziwią, gdy zobaczą, jak obficie zastawił stół. W czasie swoich odwiedzin Sesango nie miał zamiaru zadowolić się jedną antylopą. Gospodarze mieli stać przy jego ognisku i gapić się na trąbę słonia, aż ślina pocieknie im z zadufanych gąb! Niech przyjdą w dniu zaślubin młodej córki królewskiej Namini i poproszą go o serce i trąbę olbrzyma. Jeszcze poprzedniego wieczora wytropił wielkiego samca przewodnika ciągnącego ze swoim stadem do wodopoju. Towarzyszyło mu piętnaście samic z młodymi. Takie zmagania mogły kosztować życie, ale Sesango uśmiechnął się. Tym, który je straci, na pewno nie będzie on!

Po co schowałby w swojej chacie dla gości strzelbę białego człowieka?

Kiedyś do jego ojca Kewero przybył burski myśliwy i podarował mu ją, gdyż Kewero, sprawujący władzę jako wódz Karangów na południu Mashonaland, pozwolił przybyszowi swobodnie polować na swoim terenie, aż do rzeki Sabi, gdzie znajdowała się granica państwa króla Umsili, owego siejącego groźbę Umsili, którego córka Calindsha przynależała do grona ulubionych żon Lobenguli.

Ojciec przekazał mu broń, gdy Sesango ukończył dwadzieścia lat, ale nie dlatego, że znużyło go sprawowanie władzy, tylko dlatego, że chciał posłać syna z poselstwem na zaślubiny Namini, córki Lobenguli. Z odpowiednimi darami, ma się rozumieć! Wszyscy oni zobowiązani byli do płacenia daniny władcy nizinnej krainy, i to od pokoleń. Głodnemu lwu rzuca się najlepsze kęski i bierze nogi za pas.

Dlatego Kewero postanowił dać synowi strzelbę dla obrony, chociaż wybierał się on na gody. Oprócz tego miał mieć oczy otwarte i gdyby przypadkiem napotkał jednego z białych abafundisi (misjonarzy) mieszkających przy Empandeni na białej

skale, miał go poprosić o rychłe przybycie do krainy Mashona, aby nauczyć tamtejszych ludzi, jak ziemia może dwukrotnie w ciągu roku wydać plony, i to bez fatygowania zaklinacza deszczu. Poza tym miał go zapewnić, że wolno im będzie bez przeszkód głosić naukę o białym Bogu, co w kraju Lobenguli od dawna nie miało miejsca.

O tym ostatnim poruczeniu „władca wszystkich żyjących” nie mógł się oczywiście dowiedzieć. Sesango miał trzeźwy umysł i wiedział, co syn wodza Karangów najlepiej zachowa dla siebie, a co mu wolno powiedzieć. Tylko biali ludzie byli tak głupi, że głośno mówili o swoich planach. Nie potrafili dojść do porozumienia między sobą i zdradzali swoje zamiary, gdyż powodowała nimi żądza wejścia w posiadanie krainy cennych kamieni.

Z tego powodu wielki Lobengula zwoływał swoich najlepszych wodzów, indunas, na długie narady trwające całymi godzinami i dniami. Uroczystość ślubna królewskiej córki stanowiła znakomitą okazję do kolejnego zlustrowania wszystkich impis, oddziałów Matabele, a także pobitych szczepów Mashona. Przybyli nawet posłańcy z drugiej strony Zambezi, z ludów Marotse, Kore-Kore, Batonga, Makalaka i Lemba zamieszkujących na północ i południe od wielkiej rzeki wydającej na zachodzie grzmot z chmurą dymu.

Nadjechały także poselstwa od ludów osiadłych na południe od Limpopo, z krainy Tsuanów oraz ziomków Khamy, lecz przed nimi Lobengula musiał się mieć na baczności, gdyż trzymali z białym człowiekiem...

Sesango wiedział, o czym rozprawiano pod indaba, drzewem negocjacji i zebrań. Zobaczył też na własne oczy, że abafundisi uciekli. Chaty misyjne w Empadeni zionęły pustką.

Abafundisi znano powszechnie jako ludzi odważnych, w przeciwnym wypadku nie odważyliby się żyć w pobliżu Lobenguli.

Kilku z nich 'ginęło od trucizny albo od chorób, ale nie pozwolili się wypędzić. Kiedy więc teraz znikli bez śladu, musiało dostrzec do nich, że krwawy władca postanowił ich zgubę. Sesango zamyślił się przez chwilę. Biali ludzie przychodzili i odchodzili, ale kiedy odchodzili, to po pewnym czasie zjawiali się ponownie silniejsi niż wcześniej.

Nadstawiaj ucha, Sesango! Kiedyś przyjdą ze swoim wojskiem i pomogą podbitym, uciśnionym ludom Mashona zrzucić jarzmo największego ze wszystkich panujących!

Sesango otrząsnął się z zamyślenia i zręcznie zrobił krok w tył. Tam! Antylopa, młoda, zwinna antylopa kudu z wygiętymi rogami i błyszczącą, jeszcze moką od deszczu sierścią! Bez troski pasła się na wąskiej przecince. Pochylił się i wznosząc powoli assegai, zamierzył się do rzutu, musiał trafić w łopatkę! Jednak w ostatniej chwili, kiedy już napiął mięśnie, antylopa uciekła w wysokich podskokach, a z zarośli wychyliła się głowa dziewczyny Matabele. Niewiele brakowało, a przebiłby ją oszczepem! Strach sparaliżował mu na chwilę członki. Czego o tej porze mogła szukać sama w lesie?

- Sagabona! - zwrócił się do niej w jej języku. - Widzę cię już!

Było to właściwie pozdrowienie w mowie zulu, a właściwie narzeczu sindebele, jakim się tu posługiwano, ale doskonale pasowało do sytuacji. Nieroztropna intombi nie okazała strachu. Uśmiechnęła się, ukazując białe zęby.

- Salagalet, pokój z tobą! - zaraz też wyprostowała się, a kiedy podeszła kilka kroków bliżej, on odrzucił swój assegai i runął na kolana. Natychmiast zapomniał o dumnych marzeniach, o upokorzeniu i możliwej zatacie Matabelów. Oddawał hołd członkini królewskiego klanu, córce kumała. Kumało nazywali się wszyscy członkowie rodziny Lobenguli.

Rozpoznał ją po szkarłatnej przepasce na biodrach oraz fryzurze, natartych ochrą warkoczykach oraz kosztownym naszyjniku z błyszczących pereł stanowiących symbol władzy.

Dla Sesango byłoby lepiej zostać stratowanym przez słonia, niż córce lub krewniaczce Lobenguli choćby tylko zadrasnąć skórę. Pokornie złożył przed sobą dłonie.

- Inkosikazi, moja księżno, której czcigodnego imienia nie zna twój poddany! Twój sługa polował na antylopę kudu.

Ale dziewczyna nie odparła „hamba goesle”, „zabieraj się”, lecz stała dalej, uśmiechając się z ufnością dziecka szukającego towarzysza do zabaw. Wtedy zauważył, że jest jeszcze bardzo młoda, gdyż nie było w niej dumy.

- Ej! - zaśmiała się. - Jestem Gaikana, bratanica wielkiego kumała. Widziałam cię już w Bulawayo, synu wodza Mashona!

Potem dała mu znak, aby powstał, a on zdziwił się jeszcze bardziej. Bratanica Lobenguli chce wdać się z nim w rozmowę!

Ciężko oddychając, wstał i otarł dłonie o uda. Musiał zaczekać, aż ona zacznie mówić.

Powiedziała: „lambile!” i uśmiechnęła się zachęcająco. To znaczyło: „jestem głodna”. Dla Sesango świat zachwiał się w posadach. Jeszcze i to! Nie wziął suszonej ryby ani wędzonego mięsa, nie miał przy sobie nawet garści kukurydzy. Wzrokiem przeszukał najbliższe otoczenie. Ani jednego grzyba czy jadalnych korzeni! Pewnie szukała dzikiej rzepy albo jagód.

- Jak to się stało, że bratanica króla cierpi głód? - zapytał zdumiony i zmieszany.

Gaikana podeszła bliżej. Miała zgrabną figurę i płaski brzuch, a szkarłatne limbo (materiał bawełniany) jej przepaski odcinało się kontrastem od ciemnobrązowej skóry. Przy każdym kroku podskakiwały perły jej naszyjnika, a naokoło roztaczał się aromat delikatnych olejków, którymi natarta była od stóp do głów.



- Masz rację, pytając, synu enko. Gdybym nie zabłądziła w tym lesie, nie musiałabym prosić o pożywienie żadnego z Mashonów. Czy nie widzisz, że jestem sama? Która z dziewcząt odważy się na to? Gdyby moja stara ambuya (babka) nie zwichnęła sobie nogi przy grocie Makałaka i gdyby moja duma pozwoliła mi odprowadzić się do domu psom Makałaka, to nie zgubiłabym się, kiedy w deszczu straciłam ślad. Pomóż mi odnaleźć drogę, tylko najpierw przynieś coś do jedzenia. Nie, powiedz mi najpierw, jak mam cię zwać!

Sesango rozpromienił się. To dobra dziewczyna. Wolno było powiedzieć swoje imię.

- Inkosikazi! - zwrócił się do niej z czcią. - Zwę się Sesango, a imię mojego szczepu, moje mutupo, to shumbo, lew: pochodzimy z klanów lwów Yakaranga. Zaś moja matka to rodowita Sesuru z północy krainy Mashona.

Gaikana przyjrzała mu się wielkimi, błyszczącymi oczyma Zuluski, zaciekawiona, ze zdumieniem i podziwem.

Młody człowiek mówił z odwagą jak Matabele. Nikt spośród ludów Bantu nigdy się jej tak nie spodobał. Był słusznego wzrostu i prostej postury, miał szerokie ramiona i wąskie biodra. Takie postaci znajdowały uznanie nawet samego króla; robił wrażenie młodego induny. Jego twarzy nie oszpecała płaskonosa szerokość niektórych Mashona: oczy były okrągłe i ogniste, nos wąski i długi, całości dopełniały zgrabnie uformowane wargi. Sesango miał urodę mężczyzny, na widok którego dziewczyna myślała, czy jest w stanie zapłacić solidne lobola, co oznaczało wykup panny młodej.

Sesango był także nie w ciemę bity. Doskonale wiedział, jak należy rozumieć długie spojrzenie Gaikany, więc nabrał jeszcze większej pewności siebie.

- Pozwól mi teraz, że czegoś poszukam - zwrócił się do niej, a ona uniosła podbródek na znak zgody. Zastanawiał się

gorączkowo, gdzie widział drzewo moszense z długimi owocami? Ich kwaśno-słodki smak stanowił prawdziwą rozkosz dla ciała i duszy. I wtedy usłyszał wołanie ptaka.

- Czerrips, szerrips! - dobiegło doń głośno i wyzywająco z najbliźszego drzewa mopane. Spojrzał w górę i na jego twarzy pokazał się uśmiech. Zobaczył dużego brązowego ptaka o białej piersi przyglądającego się mu błękitnymi oczkami. Miodowód!

Tak, tak właśnie zwykł on postępować. Poprzedzał człowieka, przelatując z gałęzi na gałąź i raz po raz oglądając się za siebie: czerrips, szerrips - idziesz za mną? Każdy o tym wiedział, więc ruszyli za nim oboje. Nagle jednak Gaikana zatrzymała się i pochwyciła Sesango za rękę.

- A jeśli zaprowadzi nas do leoparda albo do hieny?

Również i to się zdarza: miodowód nie lubi wielkich bestii i chce, żeby się z nimi rozprawiono.

- Wtedy zachowywałby się hałaśliwiej - ocenił Sesango, ale dla ostrożności mocniej ujął broń. - Jeśli cię to nie urazi, inkosikazi, to pozwól mi, że pójdę przodem, tak jak to czynią starsi bracia.

I tak też się stało. Nagle wiodąca przez busz ścieżka zakręciła ostro. Stał tam potężny leśny olbrzym, spróchniały już i w środku pusty, a w jego wnętrzu brzęczało i szumiało. Jakże szczęśliwy traf! W dziupli gnieździły się nieżądłące pszczoły, ptak miał dobre zamiary: owady fruwały wokół nich niczym muchy, ale nie kłuły, nawet gdy usiadły na twarzy lub rękach. Sesango natychmiast wyciągnął z barci potężny plaster ociekający gęstą patoką, a na jego widok trele miodowoda zabrzmiały jeszcze głośniej.

Kiedy skończyli się posilać i wytarli dłonie o wilgotną murawę, w Sesango obudziła się długo skrywana duma; przemówiła przez niego chęlniwość.

- Teraz chciałbym ci wspomnieć o wielu innych moich imionach - stwierdził, wspierając się na drzewcu assegai. - A więc zważ mnie Sesango, dalej „tłusta brzana”, „niepogoda zimą”, „leopard rozszarpał” i, to mój najpiękniejszy przydomek, „pieśniarz ludu”. Otrzymałem je dwie pory deszczowe temu.

Gaikana spojrzała na niego nieśmiało.

- Teraz już wiem, co się wydarzyło przy twoich urodzinach, ale, Sesango, musisz mi jeszcze wyjaśnić, skąd się wzięło twoje najpiękniejsze imię.

Udał, że musi się zastanowić przez chwilę.

- Od dziecka potrafiłem zapamiętać wszystkie pieśni naszego ludu, słowa i melodie. A kiedy po upolowaniu słonia ułożyłem nową, nazwali mnie „pieśniarzem ludu”. To trudny przydomek, gdyż wciąż na nowo trzeba mu sprostać.

To na pewno było bardzo szacowne imię. Gaikana poczuła się nieomal zawstydzona.

- Przy moich narodzinach niewiele się działo - stwierdziła. - Moja matka nazwała mnie od wdzięcznego instrumentu, „śpiewające krikri”, gdyż miałam delikatny głos, gdy pierwszy raz płakałam. Ojciec dał mi przydomek „pierwszy deszcz letni”, ponieważ rozpoczęła się właśnie pora deszczowa, a babka „spadająca gwiazda”, bo nie była ona taka jak inne, tylko z długim czerwonym ogonem.

Sesango przytaknął pocieszająco.

- To oznacza szczególne wydarzenia w twoim życiu.

- Wiem, coś niezwykłego, ale nic dobrego.

- Jeśli trafi ci się silny mąż, to przemieni niezwykłość w pożyteczność.

To ją przekonało. Mocny małżonek kieruje losami swojej połowicy. Westchnęła.

- Gaikana dostanie męża silnego czarami, a nie mięśniami i bronią.

Przeraził się.

- Skąd o tym wiesz?

Wskazała ku południowemu wschodowi.

- Bóg z Makalaka chce tego i służący mu czarownik, stary Mlimo, chce tego także. Posłał już do króla swojego swata.

Serce skoczyło Sesango do gardła; poczuł się tak, jak gdyby nagle wokół niego zapadła ciemna noc.

- Czy to znany nganga? - zapytał.

- To największy z wróżbiarzy w krainie Matabele i najbar dziej znaczący człowiek króla - odrzekła z rezygnacją. - Zosta nę dziesiątą żoną poważanego czarownika, ale niedobrze jest także być pierwszą żoną mężczyzny. Najlepiej byłoby stać się ulubioną małżonką młodego wojownika.

Przy tych słowach wstała na znak, że chciałaby ruszyć w drogę do domu. Sesango odnajdzie ją dla niej. Żaden ciemnoskó- ry nie straci orientacji ani w dzień, ani w nocy, nawet porwany przez orła i zrzucony gdzieś nad południową Afryką.

Pozwoliła mu pójść przodem, a on przeproszał ją za to go- rąco. Tak było lepiej w tej okolicy.

Przerwana rozmowa rozpaliała im serca jeszcze i teraz, gdy kroczyli naprzód, oboje szybko i bezszelestnie.

- Jestem w lepszym położeniu - odezwał się wreszcie mło dy człowiek, jak gdyby wyrwany z zamyślenia. - Moja narze czona, obiecana mi od poczęcia, została jako dziecko porwana przez krokodyla.

Mimo wszystko Gaikana musiała się roześmiać, więcej, przyklasnęła jego słowom płaskimi dłońmi, tak jak to czynią kobiety tubylców, gdy przemówi mądry mężczyzna.

- Czy władca wszystkich żyjących powiedział już, że odpo wiada mu lobola czarownika Mlimo?

Westchnęła.

- Jeszcze nie, król odsyła na razie wszystkich swatów, a to podnosi cenę wykupu. Kiedy już się zgodzi, to dobrze dla mnie, ponieważ mam przydomek, który wolno wymawiać je dynie szeptem.

Teraz on spojrział na nią z lękiem. Imiona, które się szeptało, nosiły czarownice lub potomstwo przestępców. Przystanęli, spoglądając na siebie.

- Moją matką była Njina, siostra wielkiego króla.

Ponieważ nie pojmował, dodała cicho.

- Lobengula kazał ją powiesić za uprawianie czarów i zdradę. Sesango zamarł.

Całą krainę Mashona ogarnęło przerażenie, gdy krwawy władca nie oszczędził nawet swojej jedynej żyjącej siostry. Oskarżono ją, że tajemnymi sztukami uczyniła bezpłodną ulubioną żonę króla, królową Calindsha, co stanowiło jedną z najstraszniejszych zbrodni przeciwko kobiecie!

Oskarżenie wniósł Mlimo, a bóg z pieczary Molimo, któremu służył, potwierdził jej winę swoją wyrocznią. I tym sposobem haniebnie ją zgładzono.

-Jak to możliwe, że pozostałaś przy życiu? - wykrztusił wiedząc, że w takich wypadkach Lobengula nakazywał wyciąć w pień cały klan.

Gaikana uśmiechnęła się nieśmiało.

- Wtedy otrzymałam mój przydomek, który wolno wymawiać jedynie szeptem „Uszła śmierci”, gdyż mieszkałam właśnie w chacie mojej słynnej babki, szanowanej wdowy wielkiego Mosilikazi, koło Myambezana. To ona poszła ze mną do groty Makalaka, aby dowiedzieć się, czy można uniknąć małżeństwa z Mlimo. Powiedziałam ci już, że zwichnęła sobie nogę w kostce. Musimy się spieszyć, żeby Matabele ruszyli i sprowadzili ją. Jest zbyt dumna, by pozwolić się nosić tym psom Makalaka.

Sesango czuł jednocześnie radość i smutek, bo jeśli sprawy tak się miały, to Gaikana mogła być spokojna, nawet jeśli pożądał jej stary czarownik. Każdy inny Matabele żyłby w ciągłym strachu, że któregoś dnia ściągnie na siebie podejrzliwość króla, ponieważ wziął za żonę córkę powieszoną zdrajczyni.

Sesango zwawym krokiem ruszył dalej.

- Byłoby lepiej, gdyby twoim mężem nie został mężczyzna z twojego ludu - rzucił mimochodem. - Milczała, bo co mogła na to powiedzieć dziewczyna? Czy ktoś mógł uczynić nie ważnym orzeczenie tak potężnego boga? - Mamy taki zwyczaj weselny, który nazywa się „ożenek przy ucieczce"! To tylko zabawa, ale jeśli mężczyzna ma dość odwagi, to może się ona przemienić w coś poważniejszego - w tym momencie nad jego głową zaskrzeczała kolorowa kakadu, a on wzdrygnął się od ruchowo. Pewnie naśmiewał się z niego jakiś duch lasu! Klecił pieśni w jasny dzień.

- Opowiedz mi coś więcej o tym obyczaju, dobrze się przy tym idzie - zachęciła go.

Gdy on opowiadał, osiągnęli skraj lasu i zobaczyli przed sobą wielką nizinę Bulawayo. Znaleźli się w okolicy Amantshone slopi, koło białej skały, gdzie wznosiły się opuszczone chaty misjonarzy z Empandeni. Sesango zmienił temat.

- Czy to prawda, Gaikana, że abafundisi uciekli?

- Tak, ale Lobengula nie wyrządziłby im krzywdy. Abafundisi to jedyni biali ludzie, którym ufał, gdyż w ich ustach i dłońiach nie znalazło się nigdy kłamstwo. Nauczylismy się od nich wiele dobrego.

- Czy Lobengula zwołał impis?

- Myślę, że już to zrobił. W całym Bulawayo roi się od indunas. Nie zauważyłeś tego?

Sesango udał, że nic nie wie, a ona z dumą pochwaliła się dziewięcioma tysiącami wojowników, jakich można było ze-

brać w ciągu jednego dnia. Tego z pewnością dowiedziała się podczas jakiegoś indaba. Z dumą przechwalała się swoją wiedzą, nie zauważając, jak pilnie jest słuchana.

- A co się stanie, jeśli biali ludzie będą się bronić mimo wszystko?

Gaikana zamilkła. Tego nie wiedziała. Sesango odparł cicho:

- Wtedy dziewczyna może uciec, a wojownicy nie sięgną po broń, aby ją ścigać, gdyż będą zajęci czymś innym.

Gaikana spoglądała na niego dużymi, połyskującymi stalowym błękitem księżycowymi oczyma!

- Wtedy dziewczyna może uciec z mężczyzną znającym drogę - wyjąkała prawie niedosłyszalnie, drżąc nadzieją, gdyż była jeszcze prawie dzieckiem, które nie wie, co mówi. Któż inny odważyłby się w kraju czarnych ludzi uchylić od wyroku bogów i klanu?

Sesango podszedł jeszcze bliżej.

- Gdy ptak miodowód odważy się zjawić we wsi i zwabi trzykrotnie przy chacie twojej ambuya, musisz go posłuchać - odparł na to.

A ona uniosła ręce, tym razem pokornie zgięte, aby przyklasnąć jego słowom.

- Gaikana będzie posłuszna - oznajmiła - i otrzyma nowe imię: „Miodowód woła”.

Sesango podniósł głowę.

- Teraz musimy zrobić tak, jak gdybyśmy się nie znali - za decydował. Ku królewskiemu kraalowi ruszyli już osobno.

Bulawayo, stara stolica czarnego Nerona, została przed kilkoma laty spalona i przeniesiona w pobliże białych skał, gdyż ziemie wokół jej dawnej lokalizacji nie chciały już przynosić

plonów ani drewna. Liczny lud potrzebuje nowych pól, lecz gdy się zjawi biały człowiek, sprawy zaczynają wyglądać inaczej, tak jak w krainie Burów, gdzie czarnej ludności pozostawiono jałowe skały jako rezerwy. Lobengula natomiast nie chciał się poddać i zamierzał podjąć walkę.

Od kraalu dla bydła dobiegł jękliwy głos królewskiego herolda. Biegając, poprzedzał swojego pana i nieustannie wykrzykiwał szacowne imiona władcy: „baltete”, „książę”; „intabesitu pesul”, „król nizin”; „enkos amakos”, „wódz wodzów”; „jebuzu”, „wszechwładny”; „kumało”, pan; „madote”, „władca wszystkich żyjących”; i na koniec budzące największy lęk: „intambekul”, „wielki zabójca ludzi”!

Po tym wyliczeniu intonował monotony zaśpiew:

- He! He! Baltete kumało Matshobana! Spójrzcie, spójrzcie, właśnie wyrusza książę, wielki król, potomek Matshobana!

Już przy pierwszym zawołaniu Gaikana osunęła się na kolana. Teraz pochyliła się głęboko ku ziemi, aby przepuścić cień króla.

- Jebo, jebo jebuzu! - wyszeptała. - Wszystko dla ciebie, dla ciebie, o wielki!

Lobengula skinął łaskawie, zatrzymując się na chwilę.

- Czy mała intombi wie już, że ma nam świecić?

- Kumało, twoja niegodna sługa będzie świecić w mroku baobabu, drzewie małpiego chleba.

- Yebo, dobrze, niech się więc spieszy, my zaraz tam będzie my - i ruszył dalej.

Przed oczekującym go wielkim indaba Lobengula chciał się najwidoczniej jeszcze wzmocnić. Zamaszystymi krokami czarny olbrzym o zwalistej sylwetce udał się do kotła, królewskiej chaty, skąd na całą osadę rozchodził się zapach pieczenia. Zanim władca pochłonął udziec wołowy, Gaikanie pozostawało dosyć czasu, aby pójść do baobabu i poczynić niezbędne przygotowania.



Właściwe drzewo indaba rosło w pobliżu królewskiego kraalu; pod nim sprawowano sądy. Drugi baobab, położony nieco na uboczu, służył do przeprowadzania nadzwyczajnych, tajnych porad. W pustym wnętrzu mieściło się wygodnie pięćdziesięciu ludzi. Chroniło ono przed niepogodą, a także uszami niepowołanych. Tylko odór, jaki wydawało wilgotne próchno, był niebezpieczny, więc rzadko ktoś w nim przebywał. Omijali je ludzie, a także dzikie zwierzęta.

Pomimo to Gaikana ostrożnie wkroczyła do wnętrza, skąd wyskoczył wystraszony zwierzak. Nie musiała się obawiać. Była to jedynie lubiąca mrok, nieszkodliwa postrzałka, wystraszona światłem trzymanej przez dziewczynę pochodni. Uśmiechnięta zaintonowała pieśń rozpalania ognia, po czym roznieciła małe ognisko, aby od niego zapalać kolejne łodygi trawy tambuki.

Należało je trzymać pionowo, a wtedy wolno się spalały, dając płomień na szczycie.

Zaraz też zjawili się indodas, ludzie z otoczenia króla, z opuszczoną bronią. Pozdrawiali i zajmowali miejsca w kręgu. Gaikana, jak ktoś niezainteresowany, spoglądała obojętnie ku wejściu, za którym rozciągała się opadająca ku Zambezi nizina. Widziało się na niej pojedyncze chaty oraz kraale z kolorowo pomalowanymi glinianymi ścianami i płowymi spiczastymi dachami ze słomy, a tu i tam czworoboczny dom białego myśliwego lub farmera, który odważył się osiąść w pobliżu Old-Gubuluwayo - osławionego „miejsca masakry”, jak nazywano stolicę.

Tędy przebiegał Pathway of Blood i w rzeczy samej, całe rzeki krwi przelali na tym szlaku władcy Matabelów, Mathoban, Mosilikazi i Lobengula. Ale biali mężczyźni mieli mocne nerwy. Nie odstraszała ich nawet Thaba Induna, Góra Oficerów, na której Mosilikazi kazał wymordować czterystu swoich najlepszych dowódców, ponieważ przedwcześnie obwołali

królem jednego z jego synów. Dalej udawali się na łowy i poszukiwanie złota. Mówiono nawet, że Lobengula żywi respekt dla ich śmiałości.

Jaki wyrok na białego człowieka przyniesie to indaba? To, że odbywało się z dala od obcych uszu, było dostatecznie wymowne.

Wreszcie oczekiwanie dobiegło końca, nadchodził król. Poprzedzał go porykujący obwoływacz, a za nim postępowali indunas najróżniejszych oddziałów, pomiędzy nimi wojownicy noszący przepaski biodrowe ze skór leoparda, których ogony objęły im się o nagie uda. Stanowili elitę wojska i żaden nie powrócił jeszcze, przynosząc wieść o przegranej bitwie.

Dumnie, bez pozdrowienia przechodzili obok Gaikany, a kroczący za nimi król przyglądał się temu z uznaniem.

Za jego plecami pojawił się jeszcze jeden przybysz, mały człowieczek, główny czarownik Mlimo, prawie nieodrywający oczu od dziewczyny.

Wnętrze baobabu zapełniło się, i to także świadczyło o tym, jak wielką wagę przywiązywał król do narady. Władca usiadł tak, aby wszystkich mieć na oku. Dlatego chętnie widział młodą dziewczynę przy takich okazjach jako zapalającą światło. Jej drobne, smukłe dłonie potrafiły tak zręcznie ująć i zapalić kolejną łądygę, podczas gdy pierwsza jeszcze płonęła, że nie zapadał nagle nieprzyjemny mrok, który niezmiernie drażnił wiecznie podejrzliwego króla.

Kiedy wszyscy zajęli już miejsca, władca rozpoczął przemowę. Wspominał o swoich relacjach z białymi, a przede wszystkim o zdradzie Lodshego. Przemawiał długo, ciągle powtarzając najważniejsze zwroty, aby podkreślić ich znaczenie. Każdemu zdaniu zebrani przyklaskiwali płaskimi dłońmi i pomrukami potwierdzali słuszność królewskich wywodów. Brzmiało to tak, jak gdyby odmawiano litanie.

Lobengula mógł być zadowolony; aplauzy stawały się coraz głośniejsze. A i miny miały swoją wymowę; dowodziły, że zaden z obecnych nie chciał już więcej słyszeć o zdrajcy Lodshe, będącym niegdyś najpotężniejszym induna w krainie Matabele. To on wciąż na nowo nalegał na Lobengulę, aby ustąpił przed żądaniami wielkiego Ulodsi - tak wymawiali nazwisko Rhodesa - i przystawił pieczęć na jego czarodziejskim piśmie uwieczniającym niezmiennie wolę mężczyzny na całe stulecia.

Potem jednak przybyli biali przeciwnicy sprytnego Ulodsi i wyjaśnili Lobenguli, że prawem poszukiwania i wydobywania złota i diamentów, węgla i miedzi sprzedał ziemię i ludzi, więc kiedy Ulodsi zjawi się znowu, zacznie górować nad nim, aby samemu stać się władcą wszystkich ludzi. Lobengula wraz z białym negocjatorem wysłał do Londynu swoich najlepszych oficerów Mshete i Babyaana, aby poznać zdanie białej królowej.

Królowa Wiktorja uspokoiła obu indunas, którzy po raz pierwszy w życiu odbyli tak daleką podróż, wręczyła im podarunki oraz własny portret i zapewniła, że otoczy opieką swoich czarnych synów. W tym czasie wściekłość Lobenguli wzrosła tak bardzo, że nakazał wyciąć w pień cały klan Lodshego, sześćdziesięciu ludzi, w tym kobiety i dzieci. Nie oszczędził nawet niewolników.

W efekcie biali, którzy uczestniczyli w zawieraniu kontraktu, ratowali się ucieczką, a i abafundisi znikli jak kamfora.

- Nie mam zamiaru zawierać kiedykolwiek jakiejś nowej umowy - kontynuował czarny Neron, delektując się głębokim milczeniem, w którym każdy mógł jeszcze raz przemyśleć ostatnie wydarzenia. Nikt nie okaże się na tyle nieroztropny, aby doradzać władcy pokój z Anglikami! - Nie przyjmę także pieniędzy, które Ulodsi przysyła mi o każdym nowiu. Zatrzymam tylko tysiąc karabinów, sto tysięcy kul oraz kanu bez

wioślarczy pływające po Zambezi z ogniem i parą w brzuchu - zaśmiał się przy tym, a jego doradcy zawtórowali mu gromkim rykiem, aż wnętrzem baobabu wstrząsnęło głuche echo. Wprawdzie nie nauczyli się jeszcze obchodzić z bronią palną, ale znali wystarczająco jej niszczycielską siłę, aby wiedzieć, że stokrotnie przewyższała ich assegais. W razie konieczności, gdy zużyło się proch, można było jednak taką strzelbę chwycić za lufę i użyć kolby jako maczugi.

Tylko jeden z wojowników nie brał udziału w powszechnej wesołości - Babyaan. Zirytowany Lobengula zwrócił się do niego.

- Mów, co się dzieje w twoim sercu. Nie znoszę skrywanych myśli.

Zagadnięty spojrzął bez lęku na króla, potem zaczerpnął powietrza i odparł:

- Mshete i ja byliśmy w kraju białego człowieka. Widzieliśmy, że białych jest więcej niż mrówek w termitierze. Ich miasta są większe niż drzewa w lesie mangowym i gęściejsze od najgęstszego buszu. Jedno jedyne miasto daje więcej broni i wojowników niż cały nasz kraj. Kiedy pozbędziemy się jednego, pojawi się ich tysiąc. Taka jest prawda, gdyż byłem w stolicy białych indunas. Mshete może to poświadczyć.

Lobengula zagryzł wargi, ale odczekał, aż Gaikana zapali następną gałązkę.

- Powiedziałem tylko, że mamy być gotowi, a nie, że ruszymy do walki. Chcę, żeby trwał pokój, dokąd biały człowiek sam z siebie nie zaatakuje. Wtedy biała królowa musi nas ochronić, tak jak to obiecała. Dała swoje słowo i wizerunek. Wiecie jednak, że nie poważam słów kobiet. Nawet słowa białej inkosikazi. Wszystkie moje impis mają odbyć manewry. Jeśli jednak bez mojego rozkazu ktoś wzniesie broń przeciwko białemu, spotka go ten sam los, co Lodshe!

Obecni z konieczności musieli także przyklasnąć, zdanie po zdaniu, również tej mowie, chociaż nie bardzo było im to w smak.

Mjaan, słynny wódz, jako jedyny mógł się odważyć na wyrażenie wątpliwości. Zaraz też to zrobił.

- Kumało, synu Mathobana! Synu Mosilikazi! Od kiedy to Zulu pozwalają wdrzeć się nieprzyjaciołom do własnego kraju, zjadać swoje plony, żeby potem zabijać ich z pełnym brzuchem?

Zanim król zdążył odpowiedzieć, młodzi indunas zakrzyknęli:

- Baltete! Baltete! Daj naszym assegais zakosztować krwi!

Lobengula uciszył ich gestem ręki, spoglądając ku Mlimo, naczelnemu czarownikowi, na którym zawsze mógł polegać, gdy sytuacja przybierała niekorzystny obrót. Mlimo siedział skromnie nieco z boku, z dala od młodych i starych indunas, a przecież miał większą władzę niż wszyscy.

- Żaden roztropny wojownik nie działa bez zasięgnięcia rady bogów. Mlimo, zdradź, co zapowiedziała wyrocznia.

Wymienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenie. Czarownik, którego pomarszczona twarz z błyskającymi zawziętością, leżącymi blisko siebie małymi oczkami i niskim czołem przypominała raczej pysk starego złego pawiana, zjawił się w pełnym stroju podkreślającym jego godność kapłana i wróżbiarza; już tylko to robiło odpowiednio głębokie wrażenie. Zdawał sobie sprawę, że władca nie wierzy ani w bogów, ani w duchy zmarłych, lecz wiedział również, że Lobengula potrzebował wiary mas w jego tajemne siły.

Pochylił się nieco, a długie szare pióra zdobiące mu głowę zaszeleściły cicho.

- Władco wszystkich żyjących! Zakłęcie pochodzące ze strzelb białych ludzi to krwawy czar, lecz siły naszych bogów obróca je wniwecz, jeśli ty rozkażesz. Molimo, bóg w grocie Makalaka, chce, byśmy postąpili roztropnie.

Mrówki można lepiej zdeptać, gdy są gromadą, niż kiedy zabija się je osobno. Wszystkie białe termyty zostaną zgniecione na miazgę, gdy tylko wyda im się, że osiedli na naszej ziemi na stałe. Taka jest wola Molimo, którą niniejszym obwieszczam.

Czarny Neron uśmiechnął się z zadowoleniem: jego mięsta twarz mieniła się w blasku ognia szkarłatem i czernią, a gałki oczne połyskiwały bielą. Potężną czaszkę nosił wygoloną z wyjątkiem wąskiego, związanego rzemieniem paska krótkich filcowatych włosów, jaki zdobił także każdego z zebranych. Oznaczało to, że żaden nie liczył sobie mniej niż trzydzieści lat i wszyscy sprawdzili się w boju! Burowie nazywali tych wojowników od noszonej fryzury „ringkops”, „spięte głowy”.

- Wielki czarownik Matabele dobrze powiedział! - pochwalił Lobengula. - Słyszę z radością, że bóg z Makalaka potwierdził moje myśli. Tylko głupiec mógłby chcieć sprzeciwić się jego woli. Ale to nie znaczy, że assegais naszych młodzieńców pokryje rdza. Dam im najpierw zakosztować krwi Mashonów, żeby nasi niewolnicy nie mogli się sprzymierzyć z białymi ludźmi przeciwko nam. Imię Lobengula musi siać w kraju strach i przerażenie. A imię Matabele musi oznaczać śmierć. To najlepsza ochrona na czas oczekiwania. Czy też masz może inną radę, wielki zaklinaczu duchów zmarłych?

Mlino jeszcze mocniej przymrużył oczy, aby nikt nie dostrzegł, jaki żar w nich płonie.

- Wiesz, dostojny władco wszystkich żyjących, słońcu, którego trąbienie wstrząsa lasem, że bogowie widzą dalej niż ludzie. Czeka nas czas zabijania, a oni dadzą nam znak, kiedy ma się rozpocząć. Zgodnie z ich poleceniem przed każdą porą wojennych oszczepów powinno się pomnożyć potomstwo ludu.

Wojny pożerają ludzi. Dlatego przed walką wszyscy młodzieńcy muszą być pożenieni.

Wbił świdrujące spojrzenie w Gaikanę i ciągnął dalej:

- Począwszy od szlachetnego klanu Kumało, w którym są jeszcze dziewczęta na tyle dojrzałe, żeby zostać matkami.

Król także spojrział na Gaikanę. Każdy wiedział, że to o nią chodziło, lecz wszyscy inni spoglądali tak, jak gdyby jej nie było, gdyż jako kandydatka na żonę zagrażała niczym żmija w chacie. Strzegł jej duch zmarłej, która jako zdrajczynie skończyła na stryczku. Kto chciałby jeszcze zapłacić za nią lobola? Jedynie oczy Mlimo połyskiwały seledynowo w półmroku niczym ślepie zielonej mamby.

Król zrozumiał.

- Twoja rada jest roztropna jak zawsze, czcigodny zaklinaczu duchów. Postaram się pożenić młodych mężczyzn z młodymi dziewczętami, aby spłodzili zdrowe potomstwo.

Serce Gaikany podskoczyło z radości. To stanowiło odmowę dla Mlimo. Jego twarz pokryła się jeszcze głębszych zmarszczek, a czoło stało się jeszcze niższe. Złość i zdumienie sprawiły, że siwe brwi nieomal skryły się pod pióropuszem. Opadła szczęka ukazała bezzębne dziąsła. Taki afront! Czyżby to miało być podziękowanie króla za to, że uczynił jego decyzję nienaruszalną? Ale władca podniósł wzrok - co miałby oznaczać jego uśmiech?

- Jeśli chodzi o gody weselne królewskiej księżniczki, to zwykłem zasięgać rady wyroczni kości - zdecydował. -1 musi ona zgodzić się z tym, co przepowiedzą podrzędni wróżbiarze kraju. Tak postąpiłem z Namini i tak zrobię z każdą inną.

Na koniec chcę usłyszeć wyrocznię Makalaka. Oddaję więc decyzję twoim bogom.

Lobengula okazał się godnym przeciwnikiem przebiegłego Mlimo. Stary czarownik skurczył się w sobie, ale wiedział, że jeszcze nie wszystko stracone. Zaś szczęśliwa Gaikana spojrziała z uśmiechem na króla i tego wieczoru po raz pierwszy sparzyła sobie palce.

Władca uniósł się z miejsca. Przez wejście do baobabu wdzierająca się fioletowa poświata wczesnego afrykańskiego zmierzchu. Wszyscy się rozeszli, indaba zakończyło się powszechnym rozczarowaniem. Tylko Lobengula okazywał zadowolenie. W każdym względzie udało mu się pozostać panem sytuacji.

Następnego dnia Lobengula wyruszył na łowy, ale nie udało mu się wiele upolować. W złym humorze wracał właśnie do królewskiej kotła, gdy pod szerokim parasolem rozłożystej akacji dostrzegł jakiegoś Mashona stojącego w niedbalej pozycji. W wołowej skórze niósł świeże, ociekające jeszcze krwią serce słonia: trąba zwisała mu z ramienia, a dwa wspaniałe, pozółkłe od starości kły spoczywały u jego stóp. Władca skinął na swojego herolda, który natychmiast przerwał swoje zawodzenie. Z przyjemnością przyglądał się postawnemu, młodemu człowiekowi. Sądząc po urodzie, mógłby być jednym z Matabele! Tylko gdzie go już widział?

- Jakiego zaklęcia twojego szczepu użyłeś, żeby tego dokonać? - chciał się dowiedzieć, ale Sesango zaprzeczył.

- Kumąło, żadnego. Postąpiłem jedynie zgodnie z radą białego myśliwego, który podarował mi swoją strzelbę.

Lobengula ocenił, że nie wolno mu zdradzać swojej niewiedzy.

- Też słyszałem o tej sztuczce. Ale możesz nam o niej opowiedzieć. Dziś wieczór chcę cię widzieć w mojej kotła, tam się to odbędzie. Kim jesteś?

Sesango odparł, że jest synem Kewero, wodza Karanga z Gokomere. Powiedział to spokojnie i nie bez dumy. Teraz czarny Neron przypomniał sobie o jego obecności wśród posłańców, którzy przybyli z darami na gody.



- Synu enko - zwrócił się do niego nieco życzliwiej niż przedtem - a dla kogo przeznaczona jest twoja zdobycz?

Młody człowiek skłonił się nisko.

- Jebo, jebo, jebuzu! - odrzekł w melodyjnym zaśpiewie, jak gdyby był induną składającym hołd swojemu królowi. - Dla ciebie, dla ciebie, o wielki!

Władca wszystkich żyjących okazał poczucie humoru i roześmiał się.

- Nie, kawałek trąby zachowaj dla siebie, resztę przyjmuję. Ej! indunas, nieście to przede mną. Część serca chcę zjeść, za nim zapadnie noc. A ty, synu Kewero, pamiętaj, że nie zwykłem czekać na gości.

Sesango skłonił się jeszcze niżej i nie zważał na to, że indunas upokorzeni do granic musieli się zająć odniesieniem jego zdobyczy.

Ociągając się jeden z nich odciął assegai należną mu część trąby, tego smakołyku dla podniebienia. Król rozkazał:

- Chcę cię zobaczyć znowu przy święcie nowiu - a potem pozdrowił: - Hamba kahle! Idź w pokoju!

Gdy orszak królewski oddalił się Sesango wstał z klęczek, a oczy mu się śmiały. Ten kończący się dzień stanowił dla niego powód do dumy.

W królewskiej kotła panowała niezmierna duchota.

Nad ogniskiem unosił się gryzący dym. Lobengula zakończył swój wieczorny posiłek, tłuszcz z serca słonia skapywał mu jeszcze z ust.

Wziął głęboki łyk piwa z ogromnej kalebasy, a następnie puścił ją w obieg: najpierw jednak uhonorował Sesango, swojego gościa, a potem swoich indunas. Kobiety wysłano na ze-

wnątrz, gdyż młodzieniec miał opowiedzieć historię dla mężczyzn, swoje przeżycie na łowach.

Kiedy już przedstawił, jak udało mu się wytropić stado słoni, jego mowa nabrała wydźwięku poezji.

- Stało się tak, jak przypuszczał Sesango. Gdy padł pierwszy strzał, olbrzym z dżungli wydał przenikliwe trąbienie. Nie trąbił, aby przywołać swoich pobratymców stojących jak ska mieniali, raczej oznajmiał, że chce sam rozprawić się z człowiekiem. Wołał, że jest królem stepu i sam chce zabić intruza. Chwalił się, że dokona tego, zanim zajdzie słońce. Potem potoczył się przez gąszcz i opuścił czoło, a jego odstające od łba uszy były niczym szarżująca ściana szeroka na cztery metry. Sesango pochwycił swoją fuzję, tak jak nauczył go biały człowiek, i wycelował na szerokość dłoni powyżej lewego oka. Nacisnął spust. W lesie zagrzmiało. Świat stada słoni zachwiało się w posadach.

Głos opowiadającego wibrował z podniecenia. Rozgrzany emocjami zerwał się z miejsca, choć pod karą śmierci zabronione było wstawać bez pozwolenia w obecności władcy. Ale Lobengula nie zważał na to, nikt nie miał mu tego za złe.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że jednym strzałem powaliłeś olbrzyma? - zakrzyknął niedowierzająco.

Sesango uniósł podbródek i wypuścił powietrze przez zęby na znak przytaknięcia, uderzając przy tym pięściami o własną pierś.

- Tak, samiec Sesango runął niczym góra, gdyż stało się tak, jak obiecywał amakiwa, biały człowiek. Został trafiony w najczulsze miejsce na wielkim łbie, jedyne miejsce nie osłonięte twardymi kośćmi i grubą skórą.

Nawet mistrzowski strzał w oko i ucho nie jest tak skuteczny. Całe stado rozpierzchło się z jękiem w buszu. Słonie nie mogły uwierzyć, że ich król padł od jednej kuli!

Władca nakazał ciszę, a spojrzawszy mu w oczy, Sesango usiadł jak podcięty. Niczym błyskawica przeszła go myśl, jak niebezpieczne może się okazać opowiadanie tu i teraz o upolowaniu leśnego olbrzyma dzięki mądrości białego człowieka. Czy Lobengula nie mógłby przyjąć jego relacji jako przypowieści?

Czarny Neron zapytał go powoli, podejrzenie powoli:

- Znasz jeszcze więcej takich sztuczek białego człowieka?

Serce Sesango przestało na chwilę bić.

Jego ognisty zapał zgasł w jednej chwili. Poczuł, że oblewa go zimny pot. Lobengula siedział pochylony do przodu niczym gotowy do skoku lew i przygważdżał go wzrokiem.

Na wszystkich duchów zmarłych z klanu - co odpowiedzieć?

Król z satysfakcją zauważył jego lęk.

- Synu wodza - zwrócił się do niego - jesteś wielkim myśliwym i zawdzięczamy ci nowe doświadczenie. Ale nie znajdujemy upodobania w dowiadywaniu się o nich od naszych poddanych. Dlatego będzie lepiej, jeśli wysłannik wodza Kewero z krainy Karangów przypomni sobie, gdzie znajduje się kraal jego ojca, jak tylko zakończą się uroczystości weselne królewskiej córki. Możesz odejść.

W królewskiej kotła zapadła martwa cisza, dokąd Sesango - jak nakazywał zwyczaj - bez broni i odwrócony do wszystkich plecami nie znalazł się na zewnątrz. W każdej chwili na jedno mrugnięcie okiem okrutnego władcy mógł zostać trafiony między łopatki celnie rzuconym assegai. Zrozumiał, że stał się dla niego niewygodny.

Taką otrzymał nagrodę za swoje dary i pieśń! Przygnębiony powlókł się do swojej chaty dla gości położonej na skraju kraalu.

Całe Bulawayo trzęsło się i chwiało w posadach od świątecznego rozgardiaszu, gdyż zaślubiny Namini przypadły na dzień uczczenia pierwszego nowiu. Opróżniono ogromny kraal dla bydła, a na nim ustawiły się w paradnym szyku najlepsze oddziały króla w pełnym wojennym rynsztunku. Wojownicy wydali grzmiący okrzyk, gdy Lobengula wstąpił na wysoką stertę nawozu usypaną pośrodku placu.

Utworzyli półkole, zawrócili sprawnie ku środkowi i rozpoczęli taniec wojenny, drgając, tupiąc i sapiąc. Powiewały długie strusie pióra zdobiące głowy tancerzy, zwierzęce ogony objęły się o ich kolana, chrypliwie rozbrzmiewał śpiew, w rozpalonym od gorąca powietrzu unosił się wzniecony pył.

Było to wielkie święto, ale po nim miały nastąpić jeszcze kolejne dwa. Miodowód nie odzywa się o tym czasie w osadzie pełnej hałasu i ruchu. Lecz w pobliżu chaty starej Nyambezana, wdowy po Mosilikazi, babki Gaikany, słyszano go trzykrotnie. Nikt nie zwrócił nań uwagi, tylko jedna dziewczyna.

Zbliżał się kulminacyjny moment świętowania, trzeci dzień.

Królowe ze śpiewem tańczyły wokół ogniska, a Lobengula przyglądał im się z zadowoleniem. Pieśń sławiła Mathobana, ojca wielkiego Mosilikazi, protoplastę całej krainy Matabele.

Wtedy dopiero władca zauważył, że brakuje Gaikany. Kolejny raz nie dostrzegł jej pomiędzy księżniczkami, gdy oblubienica Namini dopełniała ceremonii zaślubin. Wtedy przecież nigdy nie brakowało młodej dziewczyny! Namini wstała właśnie od swojego oblubieńca, aby dokonać zniszczenia trzech symbolicznych przedmiotów złożonych u jej stóp.

Ujęła kalebasę i rozlała wokoło wodę.

- Dokąd każda kropla nie znajdzie się w niej z powrotem. należę do ciebie!

Uniosła w obu dłoniach szkarłatny sznur pereł, rozrywając go jednym ruchem i rozsypując perły wokoło.

- Dokąd każda perła nie wróci z powrotem na cały sznur, jestem u twego boku.

Pochwyciła assegai i energicznymi uderzeniami stóp poła-  
mała jego drzewce.

- Dokąd ten oszczep nie stanie się znów cały, jestem twoja!

Zaraz też odwróciła się i tak szybko, jak tylko poniosły ją  
nogi, ruszyła ku chacie przyszełego męża, a wszystkie kobie-  
ty musiały ją ścigać. Tam mężczyzna odprawił je z kwitkiem,  
gdyż odtąd panna młoda stawała się jego wyłączną własnością.  
W pogoni brały udział również wszystkie dziewczęta, była to  
przy tym znakomita zabawa i wiele radości.

Tylko gdzie podziewała się Gaikana? O ptaku miodowo-  
dzie Lobengula nie wiedział.



## Białe kobiety w dziczy

- Kimberley, stacja końcowa! Kimberley, stacja końcowa, pociąg ukończył bieg!

Znudzony konduktor gapił się beznamiętnie na mizerny ciąg szyn, który przecinając pustą równinę, drżał w rozpalonym słońcem powietrzu. Unosiły się nad nim tumany czerwonego pyłu wzniecone przez lokomotywę i ciężkie wagony. Długo trwało, zanim wreszcie opadły. Wysiadający podróżni, rozprostowując zdrętwiałe członki, pewnie byli zadowoleni, że Kimberley to tymczasowa stacja końcowa w dziczy. A mieli już za sobą sporo trudów.

Na wpół brunatni od stepowego kurzu, na wpół czarni od zmieszanej z parą sadzy buchającej z komina sapiącej lokomotywy, opuszczali przedziały. Konduktor przyglądał im się obojętnie.

Najpierw jak zwykle gromada poszukiwaczy diamentów. I oczywiście znowu nieuniknieni ochotnicy do oddziału tego młodego marzyciela Cecila Rhodesa, który zlekceważył nawet uzasadnione zastrzeżenia całego parlamentu:

- Dajcie mi wolną rękę i pozwólcie działać!

Wszyscy starzy afrykanerzy wiedzieli, że planuje coś szalonego. Mawia się, że jeden wariat pociąga za sobą wielu, no więc zobaczy się, do jakiego to jeszcze dojdzie dramatu. Skoro taki zaślepieniec został właścicielem całej kompanii wydobywającej złoto i diamenty, to mógł oczywiście gonić za majakami aż do tragicznego końca.

Jemu, konduktorowi Brandeleerowi, szkoda tylko młodej krwi, którą w nieznannej dżicy na północy przeleją oszczepy krajowców.

Nagle przystanął z otwartymi ze zdumienia ustami. A więc jednak! To były one! To musiały być one. Nie chciano w to uwierzyć!

- Ty, Sevenkop, chodź no szybko i zobacz sam. Co teraz powiesz?

Sevenkop, zawiadowca stacji, roześmiał się:

- Że wygrałem zakład. Pięć białych sióstr. Człowieku, nie gap się tak na nie, jak gdybyś chciał je zjeść. Pomyślą jeszcze, że dżungla zaczyna się już tutaj.

Siostry minęły właśnie bariery i pewnie po raz pierwszy zobaczyły słynne miasto diamentów, które w ciągu dwu dziesiątków lat z obozowiska pierwszego kopacza przemieniło się w metropolię światowego handlu. Kimberley, kwintesencja ośmiu szczęśliwości piekiel: pieniądze, złoto, diamenty, brandy, kobiety, zabójstwa, zazdrość i chciwość! A teraz pięć sióstr!

Tymczasem zakonnice przeszły obok Kimberley, jak gdyby było drogowskazem ku ośmiu błogosławieństwom nieba.

Nie, nie zatrzymywały się na dłużej, miały inny cel podróży.

W dalszą drogę wybrały się skromnym dwukołowym cape cart. Ciągnięty przez konie pokonał trasę ku punktowi zboremu oddziałów w Mafeking w ciągu pięciu dni. Pięć dni spędzonych w promieniach palącego słońca i szkarłatnym kurzu. Jedynie tu i tam krótki postój na odludnej stacji telegraficznej lub farmie.

Niezamieszkane, płaskie i ponure okolice Mafekingu nie zachęcały do dalszej podróży - miały jeszcze przed sobą 2000 kilometrów - szczególnie teraz, w lutym, gdy obszar ten spodziewał się pory deszczowej.

Na razie jednak należało odczekać, gdyż szerzyły się niebezpieczne febry. Z tego względu przecież Cecil Rhodes poprosił siostry o pomoc, aby w dziczy podjęły się walki z tym pierwszym i najpotężniejszym wrogiem białego człowieka. Malaria, dyzenteria, zapalenie płuc, wypadki podczas manewrów - już teraz należało otworzyć szpital.

Ogromny obóz polowy był mozaiką kolorów! Ściągnęło tu pięciuset policjantów z Beczuanaland oraz ponad dwustu saperów, głównie Burów. Zahartowani synowie farmerów, przyszli koloniści, czekali ze swoim dobytkiem.

Ogromne, ciągnione przez woły wozy tworzyły nocą naturalny wał ochronny wokół namiotów, a na straży spędzonego do kraalów bydła stali uzbrojeni wartownicy. Mroki nocy rozświetlały płomienie ognisk, chroniąc przed dzikimi bestiami i kradzieżami. Busz zaczynał się już tutaj. Gdy przybyły siostry, rozległy się westchnienia ulgi: kiedy przechodziły w brunatnych, niegdyś białych dominikańskich habitach, ucichały przekleństwa, przestawano opowiadać słone dowcipy.

Słyszało się też wypowiedzi świadczące o poruszeniu, choć kryjące się za surowymi słowami:

- Czego chcą tu te niańki? Mamy może odtąd być karmieni grysikiem i nocą utulani do snu kołysankami?

Mieli się zdziwić. Pięć młodych sióstr zabrało się do roboty. Miały nawet przełożoną: dwadzieścia sześć lat, świecąca przykładem niczym bohaterka z kart starej irlandzkiej legendy matkę Patricję.

Początkowo mężczyźni podśmiewali się nieco, ukradkiem i otwarcie, gdy młodsze współsiostry zwracały się do niej mother. Potem dopiero dotarło do nich, o co tu chodzi, i wybijali zęby każdemu, kto odważył się ją zlekceważyć. Trzymała swoje stadko w karności, to było oczywiste; ale jej oczy - błękitne niczym jeziora Irlandii, czyste i przenikliwe -



dyscyplinowały nawet najgorszych rowdies, a to miało swoją wartość.

Nie była przesadnie wrażliwa, lecz promieniowała od niej pewna dostojność czyniąca nawet najbardziej topornego mężczyznę uprzejmym i taktownym. Zaczynano się jąkać, gdy spokojnym głosem pytała: „Proszę?” i powtarzano zuchwale zadane pytanie zdecydowanie grzeczniej. Nie wszystkie przełożone musiały być smokami nieznającymi się na żartach. Nie rozkazywała; siostry odczytywały jej życzenia z oczu. Nie, to nieprawda. To właściwie matka Patricia potrafiła odczytać z oczu sióstr, czego nie mają odwagi jej powiedzieć.

I już wszyscy wiedzieli. Mother Patricia Cosgrave nie władała, służyła.

Zbijali się w grupki, ktoś poszeptywał:

- Człowieku, widziałeś, sama spędza noce na czuwaniu przy chorych, już trzecią z kolei. Myślę, że w środku jest ze stali i żelaza, nawet jeśli na zewnątrz wygląda jak mleko i ma sło. Nie oszczędza się, oszczędza innych. Wydawało mi się, że zakonnice są wszystkie takie same i nie można ich odróżnić. Teraz już je znam. Każda ma coś w sobie. Tylko ta mała ślicznotka, Amica czy jak ją tam zwa, nie powinny być raczej zostawić jej w domu?

Jego towarzysz, Niemiec, zaprzeczył:

- W żadnym wypadku. Widziałem wczoraj, jak podaje Cordesowi miskę. Majaczył w gorączce i zapaskudził ją od góry do dołu. Myślicie, że choć mrugnęła okiem? Uśmiechnęła się do niego, otarła mu twarz i podawała wodę z cytryną do picia, aż atak minął. Ani słowa o tym, jak sama wygląda. Takich tutaj potrzebujemy.

- Amica, czy to przypadkiem nie ma czegoś wspólnego z miłością? To znaczy, czy to nie niebezpieczne, że takie młode stworzenie przebywa z samymi mężczyznami.

- Pierwszy, który tylko powie jej niewłaściwe słowo, nie będzie od tej chwili zdolny do dalszej podróży! - wtrącił się kanciasty Szkot. - Siostry ręką za nas, więc my musimy ręczyć za nie, rozumiano?

To było oczywiste! Dlatego ojcowie jezuiti nie musieli się zbytnio przejmować, choć w razie konieczności i oni okazaliby się twardymi aniołami stróżami, szczególnie zaś ojciec Prestage.

Długi czas spędził w krainie Matabele, zaś ostatnie lata w sąsiedztwie Lobunguli, w Empaneni, przy białych skałach koło Bulawayo. Znał czarnych i białych i bardziej ze względu na siostry martwił się tymi pierwszymi niż żołnierzami, którzy sami zadbali pośród siebie o karność, kiedy już zobaczyli, co dla nich znaczą zakonnice.

Obserwował je bardzo dokładnie, a kiedy uznał, że się nadają, rozpoczął przygotowania do dalszej podróży. Oglądał jednego wołu za drugim, czy podołają trudom długiej, wielotygodniowej wędrówki przez pustkowie, rozejrzał się za Zulusami, najlepszymi poganiaczami, gdyż przewidywał, że krajowcy Bantu rzucają się do ucieczki, gdy tylko zagrozi jakieś niebezpieczeństwo. Doskonale wiedział - te pięć siostr czekają najcięższe pionierskie trudy.

Pustkowie uczyniło go małomównym, a kiedy wreszcie rozchylił wąskie wargi, mógł spomiędzy nich wydostać się tak cierpki humor, że człowiek tracił mowę, bo miało się wrażenie, iż dostaje się z uśmiechem wymierzony policzek. Gdy jednak oświadczał, że kogoś ceni, było to niczym order zdobyty trudem siedmiu lat ciężkiej służby.

Najpierw jednak należało się jakoś zorganizować.

- Dla tej najlepsze miejsce będzie w kuchni, wygląda na taką, co potrafi odróżnić udziec wołowy od mostka cielęcego - stwierdził father Prestage, wskazując na wysoką, silną siostrę

Constantie. Uśmiechnięta i zarumieniona zgodziła się. Również i w konwencie w King Williamstown przez długi czas zajmowała się przygotowywaniem posiłków. Wszystko dobrze, tylko gdzie kuchnia?

Kuchnię miało być szczere pole, piecem ognisko rozpalone w zagłębieniu ziemi, a kominem niebo. Ojciec Hartmann kuczał przy nim w charakterystycznej dla krajowców postawie cierpliwego wyczekiwania. Właśnie mieszał w potężnym kotle i zerwał się na równe nogi, gdy przedstawiono mu siostrę Constantię jako nowego kuchennego szefa. Niemiec? Pochodził z Tyrolu, urodził się w pobliżu Salzburga, prawie krewny, nieprawdaż? Uścisnęli sobie dłonie. Mały, niepozorny człowieczek promieniował radością.

Co gotuje? Hm, wodę z solą, tak. Nie dogładane przez nikogo kury, które lekkomyślnie wypuszczono pomiędzy namioty, wyjadły całą przeznaczoną na zupę cebulę.

Być może, któryś z chłopców ustrzelił coś pasującego do tego kociołka, nieprawdaż?

Niemcy, Irlandczycy, Anglicy, Burowie - to mieszane towarzystwo „armii pretoriańskiej” trudno przychodziło pogodzić nie tylko oficerom British South Africa Company oraz British-Beczuana Police. Anglikanie mieli oczywiście własnego „ministra”, ale on utrzymywał przyjacielskie stosunki z jezuitami pełniącymi funkcje kapelanów polowych. Niełatwym natomiast zadaniem okazało się przyporządkowanie religijnych „bezpieśtwowców”. Niemiecki luteranizm różnił się mocno od protestantyzmu południowoafrykańskiego, a ten znowu od Gereformerde Keerk Burów.

Wygłaszając kazania swoim zabawnym angielskim z tyrolskim akcentem, ojciec Hartmann mógł być pewien, że zawsze

ma w swojej trzódce kilka obcych owieczek, a więc jak mówił, robił to „odpowiednio po katolicku, ogarniając świat”. Mała, pokryta gliną kapliczka nie wystarczała, aby pomieścić słuchaczy, chociaż pozwolił sobie na śmiałość, aby spomiędzy ochrzczonych czarnoskórych, których zatrudniano jako poganicy, wyszukać kilku ministrantów. Kiedy jednak w błogosławionej nieświadomości wspominał o jedności z czarnymi „bratnimi stwórcami” zamiast „bratnimi stworzeniami” - creature-fellows zamiast fellow-creatures - na twarzach wszystkich pojawiał się pojednawczy uśmiech. Odnosił sukcesy, nie wiedząc nawet dlaczego.

Początki zawsze są trudne.

Ojciec Prestage miał nieco łatwiej. Był rodowitym londyńczykiem i próbę ogniową w Matabeleland przeszedł już wiele lat temu.

Stacje misyjne w Tati Goldfields oraz Empandeni powstały w znacznej mierze dzięki jego zapałowi i nieugiętej postawie wobec czarnych i białych. Również teraz najważniejsze zadanie upatrywał w tym, aby od początku doprowadzać do zgody wrogie sobie rasy i w myśl Cecila Rhodesa niwelować tym samym dzielącą je przepaść. Obaj misjonarze nosili ubiory khaki oraz smaster-hat, pionierskie kapelusze o szerokiej krempie. Lawendowe bryczesy wyglądały przy brunatnych kurtkach ze sztruku nieco dziwacznie, ale umundurowanie okazało się wytrzymałe, a to znaczyło wiele.

Ubrani w nie żołnierze byli gotowi zadać się nie tylko z Lobengulą, lecz z samym diabłem, z którym to zamysłem mógł się zgodzić nawet misjonarz, jeśli tylko zostałby przeprowadzony w godziwy sposób. Większość oficerów i drużyn w Kraju Przylądkowym oraz Burów jeździło do szkoły konno i tylko z bronią. Wiedzieli, że tu nie broni się jedynie granic, lecz także wiary. Oby tylko udało im się dotrzymać powziętych postano-

wień przez te miesiące czekających ich trudów. Pokonać trasę z Kolonii do Moskwy w wozie ciągniętym przez woły lub pieszo z kompanią wypalających drogi saperów, to nie drobnostka!

Stopniowo przerzucono kompanie A, B, C i D do Camp Macloutsie na północy, właściwego miejscu koncentracji przed przekroczeniem granicy. Leżało ono już na całkowitym odludziu, dlatego zatrzymano siostry tak długo, aż ostatnie oddziały opuściły Mafeking. Już teraz musiały się przyzwyczaić do bycia ciągle w drodze, co nieodłącznie wiąże się z losem misjonarza.

Jeszcze jedna „biała kobieta” dzieliła z nimi wszystkie trudy, więcej - umacniała je bardziej niż wszystko inne. Była to austriacka Dolorissima z Kirchenthal, pieczołowicie przechowywana przez ojca Hartmanna, wykonana z drewna lipowego kopia znanej, słynącej łaskami figury Matki Bożej.

Father Prestage, któremu powierzono opiekę nad siostrami sanitariuszkami i pielęgniarkami oraz ich eskortę, spędzał każdą wolną minutę, majsterkując i stukając młotkiem przy ogromnym wehikule, aby jak najlepiej przystosować go do potrzeb pasażerek. Od czasu do czasu odwiedzała go siostra Ignatia, którą szczególnie polubił ze względu na cięty dowcip, aby przyjrzeć się i podenerwować go dobrymi radami. Przydawał jej się przy tym bardzo wrodzony talent do naśladowania każdego. Major Forbes, mianowany przez Rhodesa odpowiedzialnym za siostry i misjonarzy, uśmieł się do łez, będąc kiedyś świadkiem takiej właśnie parodii. Myślał, że towarzyszenie przez bezładne bezdroża piątce zakonnicy żyjących dotąd w głębokiej klasztornej ciszy okaże się przykrym, pozbawionym emocji i nużącym obowiązkiem. Teraz cieszył się swoim zadaniem.

Gdy siostra Ignatia poznała już starego łowcę i słynnego podróżnika Salousa, mającego jako oficer-zwiadowca prowa-

dzić kompanie saperów po ścieżkach w buszu, które podczas dwudziestoletnich wędrówek zbadał i przeszedł jako traper, potrafiła go tak znakomicie naśladować, że przy wieczornym ognisku musiała kilkakrotnie dawać specjalne przedstawienia dla ozdrowieńców. Jej „gabinet figur woskowych znanych postaci jeszcze nieznanego kraju” był wart poznania.

Śmiały się także jej współsiostry. Nawet delikatna, bardzo lękliwa siostra Amica zapominała wtedy o swoich obawach. Nikt, poza matką Patricią, nie domyślał się, jak ciężki krzyż dźwiga w tajemnicy przed innymi - wrodzony strach przed dzikimi zwierzętami, czarnoskórymi i wszelką ciemnością.

- Zgłosiłam się, żeby to wszystko ofiarować Bogu - powiedziała kiedyś na swoją obronę, zapytana przez przełożoną, czy nie lepiej byłoby, gdyby wróciła do King Willamstown, niż żyła w ciągłym lęku. Ta odpowiedź zadecydowała. A teraz śmiała się z innymi; nikt nie zaglądał do jej serca.

Była jeszcze siostra Frances, Irlandka jak matka Patricią, ale zupełnie do niej niepodobna. Okrągła, średniego wzrostu, bardzo rezolutna i wyposażona w napawający lękiem „dragoński głos”. Wkrótce cieszyła się większym respektem niż przełożona, ale był to szacunek, jaki okazywano także „szlifiarzom”, kapralom z kompanii saperów. Lepiej z nią było nie zadzierać!

Do pioruna! Jakże potrafiła grzmieć, gdy któryś z pacjentów zachowywał się egoistycznie i nie chciał zrezygnować z czegoś, „co mu się należy”, na korzyść ciężko chorych! Nie miała w sobie nic z czulej siostrzyczki, którą dawało się okręcić wokół palca. Gdy lekarz zarządził, że trzeba przyjąć lekarstwo na febrę, to przyjmowano je, choćby się waliło i paliło. Przeprowadzała końskie kuracje, na jakie nie potrafił się zdobyć nawet sam ordynator, ale podopieczni wracali do zdrowia. A czystość! Były dwa przedmioty mające daleko sięgające podobieństwo z miskami do mycia w cywilizowanych szero-

kościach gec graficznych. Pacjenta, który zanieczyścił je w nieprzyzwoity sposób, brała jak młodego psa za kark i sztorcowała - bez podoficera. To siostra Frances potrafiła robić sama.

Początkowo wszyscy mruźli. Dzicz - okay; ale dzicz i ta Frances - niech Pan Bóg zachowa!

Tak było do śmierci pierwszego z pionierów. Siostra Frances miała nocny dyżur. Wszyscy żalowali nieszczęśnika, a potem przeżyli przemianę. W stosunku do naprawdę chorych, nie wyłudających sobie wygod podstępem, siostra Frances była zawsze bardzo macierzyńska, ale teraz - zatkało ich. Leżąc na słomie na swoich posłaniach, wsparli się na łokciach i gapili, przecierając oczy.

Czy to ona zwraca się do umierającego miękko, dobrym głosem? Bierze go w ramiona jak matka, pokazuje mu krzyż i modli się z nim:

- Nie lękaj się, mój chłopcze. Nawet jeśli nie masz tej samej wiary co ja, to nic nie szkodzi. „Ojcze nasz” potrafimy oboje, no dalej, porozmawiajmy z Bogiem. Nie musisz się obawiać, to przecież twój ojciec, mów ze mną... - A potem z czułością matki, powoli i z pociechą: - Ojcze nasz, długo cię nie wzywałem, Ojcze nasz, który jesteś w niebie, święć się imię Twoje. Niech przyjdzie teraz do mnie królestwo Twoje, jestem gotowy, przyjdź królestwo Twoje, Panie Boże. I teraz najcięższe, pomóż mi szczerze przyjąć Twoją wolę. Jezu, przemów do mnie, niech się dzieje wola Twoja...

Oczy patrzących stały się jeszcze większe. Przy „amen” głowa już tylko bełkoczącego chorego opadła jej na ramię, a ostatnie tchnienie owiało usta dalej odmawiające „Ave”.

Skrzyżowała mu ręce i włożyła w nie krzyż. Nikt nie chciał przyznać, że obserwował i to, co najczulsze, ale mimo to podawali to sobie szeptem dalej. Siostra Frances odcięła zmarłemu kosmyk włosów, aby wraz z innymi pamiątkami wysłać go do

jego matki do Kraju Przylądkowego. A jego twarz miała wyraz spokojnie śpiącego dziecka.

Od tego dnia nie padło już ani jedno słowo pod adresem siostry Frances! Kiedy łajała - to nie bez kozery - bo niepotrzebek i lenistwo były jej śmiertelnymi wrogami! Cierpiących natomiast otaczała prawdziwie matczyną opieką.

Były w porządku te siostry, również siostra Frances, tak, właśnie ona! Sama zaś zainteresowana nie miała oczywiście najmniejszego pojęcia, czym zasłużyła na „uciążliwe” uprzejmości, jakie odtąd zaczęły ją spotykać ze strony mężczyzn. Czy nie spełniała po prostu swoich obowiązków i na tym koniec? Uśmiechali się, spoglądając w jej młode, połyskujące surowo oczy, skryte za grubymi szklami okularów.

Orientowali się lepiej od niej, co naprawdę jest warta.

W ogóle cały sztab misyjny, który początkowo uważali za niepotrzebny, obciążający balast, zaczął im imponować. Gdy jezuici rozpalili ognisko, wychodzili nagle z głębokiego mroku obozowiska, stawali początkowo wokoło, a potem siadali na ziemi, słuchając opowiadań misjonarzy i nie zważając na to, że zaraz obok nich przykucnęli czarni.

O, te opowiadania przy ognisku!

Kto chciałby ocalić od zapomnienia, kto byłby w stanie zapamiętać wszystkie wspomnienia misjonarzy zaprawionych trudem trwającej dziesiątki lat pracy w Afryce? Osobliwe tylko, że przypominali sobie jedynie wesołe wydarzenia i zabawne anegdoty. Sprawiało to wrażenie, jak gdyby głoszenie Ewangelii czarnoskórym, gdzieś w dalekim i groźącym tysiącami niebezpieczeństw zakątku świata, stanowiło czystą przyjemność.

- My misjonarze nie umieramy chętnie z powodów politycznych - stwierdził ojciec Prestage - a z religijnych Loben-



gula nie straciłby nam nawet włosa z głowy, ponieważ jak dotąd nie wolno nam było ochrzcić nawet jednego Matabele. Gdy w 1879 roku niektórzy z naszych współbraci, wyposażeni w pismo polecające od gubernatora Kraju Przylądkowego zjawili się na audiencji u jego czarnego majestatu, aby prosić o możliwość udzielania się jako nauczyciele dla miejscowego ludu, Lobengula machnął ręką. „Mfundisi” działali już od dwudziestu lat, ale nie wiadomo za bardzo, co z nimi począć. Byli to protestanci misjonarze, którym pozwolono jedynie otworzyć aptekę i spieszyć ludziom z pomocą w dolegliwościach ciała. Przez dwadzieścia lat ani jednego chrztu! A po naszym przyjsciu? „Nasze dzieci nie chcą się niczego uczyć, a starzy pozostaną tacy, jacy są!”, zarządził uparty władca. Biblia? Już ją znano. Indunas podarłi pierwsze egzemplarze i pojedyncze strony łopotały im na głowach jako ozdoby. Tym sposobem chcieli wejść w posiadanie mocy białego boga. Gdy przyjrzałem się bliżej tym fragmentom, to świętokradztwo nie wydało mi się już tak straszne, gdyż tłumaczenie Ewangelii Jana w relacji o godach w Kanie Galilejskiej brzmiało dosłownie: „Gdy zabrakło wina, Matka Jezusa powiedziała do Niego: »Nie mają już b r a n dy!«”. Matka Boża akwizytorką mocnych trunków - to chyba trochę zbyt daleko idące domniemanie!

Wszyscy ryknęli śmiechem, tylko czarnoskórzy patrzyli nie rozumiejąc. Czy brandy to nie coś dobrego? Oby tylko wkrótce napotkali jakiegoś szmuglera, który zaopatrzy ich w zapas na daleką drogę!

Pierwsi misjonarze przybyli do Matabeleland, gdy Lobengula zenił się z księżniczką Mashona Calindshą, więc ojciec Prestage potrafił opowiedzieć niejedną ciekawostkę.

Każdy monarcha lubi w taki dzień szczególnie przepych. A ponieważ Lobengula zorientował się, że ojciec Croonenberghs i brat Hedley znają się na malarstwie, poprosił ich, żeby

upiększyli nieco stary używany wóz pionierski pochodzący z jakiejś dawnej łupieżczej wyprawy. Miał zostać w całości wymalowany. Im jaskrawsze kolory, tym lepiej.

Brat Hedley to stary marynarz potrafiący obchodzić się z drewnem i płótnem żaglowym. Ciosając i strugając, naprawił potrzebujący reperacji, mocno uszkodzony przez termity królewski pojazd. Koła pomalował jaskrawą czerwienią, dyszel i skrzynię na jasnozielono, a plandekę zastąpił kawałkiem żagla, który ojciec Croonenberghs ozdobił krajobrazami i scenami z Bulawayo. Było to prawdziwe dzieło sztuki. Na jego widok Lobengula podskoczył z radości i natychmiast udzielił nam zgody na zbudowanie stacji misyjnej. Więcej takich mistrzów chciałbym na stałe mieć pod swoją opieką!

Tą karocą odbył przejażdżkę w dniu zaślubin! W całym kraju Matabelów nie widziano dotąd nic piękniejszego od tego wozu na całe mile cuchnącego olejem i farbą! Nie wspomnę już o innych naszych dziełach! Ojciec Croonenberghs otrzymał zaszczytne zadanie wykonania pierwszego portretu Lobenguli, czym zapewnił sobie trwałą przychylność władcy, gdyż przedstawił go w naturalnych wymiarach na pierwszym planie, zaś jego najlepszych indunas skromnie, i to małych, w tle. To dopiero było wydarzenie! Cała wioska podziwiała zarówno malarza, jak i odważnego króla, który pozwolił uwiecznić swoją duszę na obrazie!

Nigdy nie przyszłoby nam do głowy, że tym sposobem otrzymamy pozwolenie na pracę misyjną.

Ale dyplomacja w Afryce wiąże się z zupełnie innymi założeniami. Mam nadzieję, że również Cecil Rhodes i jego ludzie będą o tym pamiętać, gdyby miało dojść do potyczek i konfliktów z Lobengula!

Powiew nocnego wiatru przeciągnął ostrym chłodem nad równiną, ale słuchacze ojca Prestage'a nie okazywali jeszcze

znużenia. W oddali rozbrzmiewały przejmujące grozą płaczliwe pojękiwania hien - ogień je odstraszał - wygodnie siedziało się pod namiotem nieba, na którym błyszczały niezliczone diamenty gwiazd.

- Oczywiście ojciec Croonenberghs - kontynuował ojciec Prestage - pokazał czarnemu władcy jeszcze większe cuda, na szą starą camera obscura. Kiedy Lobengula zobaczył obrazy, wziął aparat do ręki, pochylił się, spojrzął przez soczewkę, przetarł oczy, spojrzął jeszcze raz i znowu, a potem klasnął dłonią w udo, aż poszło echo! „Umtatake! - ryknął. - Chwaty z was!" A następnie, jak gdyby żałując tego wyznania, do dał coś, co warte jest zapamiętania. Zafascynowany, kiwając głową, przyglądał się nam: „Biały człowiek dokonuje prawdziwych cudów, a przecież musi umrzeć, tak jak i my!". To powiedziawszy, odwrócił się na pięcie i poszedł. Myślę, że nic nie byłoby w stanie bardziej upokorzyć naszej zarozumiałości niż to stwierdzenie.

Pośród słuchających rozległ się pomruk zdziwienia. Po krwawym czarnym Neronie nie spodziewano się tego.

Być może dysputa trwałaby jeszcze do północy, gdyby matka Patricia nie powstała z miejsca.

- Czas na nasze siostry, father Prestage. Czy możemy prosić o błogosławieństwo wieczorne?

Miała rację - jutro czekał je kolejny wyczerpujący dzień. Skupiły się wokół ogniska, śpiewając jak każdego wieczoru *Salve Regina*. Towarzyszyli im nieochrzczeni spośród czarnych. Jak większość Afrykańczyków posiadali niezwykłą zdolność zapamiętywania melodii i obcych słów. Każdy z nich miał taki talent. Co usłyszeli tylko kilka razy, tego już nie zapominali.

Wydawało się, że ta maryjna antyfony bardziej i głębiej uspokaja wzburzone wnętrza niż długa apologeza. Bo czy w słowach: „A Jezusa, błogosławiony owoc żywota Twojego,

po tym wygnaniu nam okazał" - nie kryło się wyznanie ludzkich słabości i cześć dla Zbawiciela?

Pionierzy spoglądali w ślad za odchodzącymi siostrami.

- To wspaniała kobieta, ale pokona ją pierwszy atak febry. Jest za delikatna na trudy takiego życia.

- Mylisz się, ten rodzaj kobiet się nie daje. Wystarczy, że pomyślę o własnej matce. Drobna, krucha, a przecież wychowała dwanaścioro dzieci i przeżyła naszego ojca. One czerpią siłę z serca.

- No tak, dziwne, to zakonnica, a na jej widok wraca się myślą do matki. Szkoda, że nie wyjdzie za męża.

- Nie gadaj głupot, to nie od tego zależy. Może przynajmniej zrobić znacznie więcej dla ludzi.

- Mówiąc o ludziach, myślisz oczywiście o sobie...

Niewiele brakowało, a chwyciliby się za czuby i to z powodu kobiety należącej wyłącznie do Boga. Ojciec Hartmann rozdzielił ich:

- Chłopcy, bądźcie rozsądni. Siostra Patricia wstąpiła do klasztoru mając siedemnaście lat i dzięki Bogu już jej nikt stamtąd nie wyciągnie. Wy natomiast powinniście uważać, żeby nie wpadła w ręce dzikusów!

Młody Afrykaner z południa Willie van der Riet, który dopiero co bronił jej tak zawzięcie, wskazał na swoją strzelbę:

- Dokład mam w niej ładunek prochu, nikt jej nie dotknie, ani biały, ani czarny.

Ojciec Hartmann przyjrzał mu się sceptycznie. A więc należało mieć na oku nie tylko tubylców. Czy nie było zbyt ryzykownym przedsięwzięciem zabranie tak młodych sióstr?

Dobrze, że wkrótce mężczyźni będą mieć inne zajęcie niż przyglądanie się zakonnicom, chyba że złoży ich choroba.

Dzień w dzień wokół Mafekingu robiło się coraz bardziej pusto, składano namiot za namiotem. Ku północy wskazywały

baty poganiaczy bydła, ku północy kierowały się dyszle obładowanych wozów. Ku północy powędrowały ogromne stada. Nocne ciemności rozdarł grzmiący ryk lwa. Dochodził jednak z daleka.

Nad Mafekingiem powiewała czarna flaga. Ktoś wspiął się na akację, dając sygnały w regularnych odstępach. W równinnej okolicy widziano je z daleka. Co się stało? Czyżby obłożono szpital kwarantanną, wybuchła może epidemia cholery lub dżumy?

Kilku farmerów, którzy dostrzegli te znaki, przygalopowało na spienionych koniach, pytając, co oznaczają te niezwykle przesłania.

Van der Riet zszedł właśnie z akacji i wskazał na północny wschód, gdzie właśnie na horyzoncie zniknęła chmura pyłu.

- Siostry pojechały w dalszą drogę - oznajmił ponurym głosem, jak gdyby nastąpił koniec świata.

Burowie zaśmiali się z ulgą, nie wiedząc za bardzo, czy mają się cieszyć czy złościć. Szalone głowy z tych pionierów! Czekano ich wiele znoju. Podobnie jak burscy osadnicy przed dziesięcioleciami, również i oni mieli przed sobą skolonizowanie dzikiego zakątka ziemi, i to w najtrudniejszych warunkach. A teraz wywieszają żałobną flagę, bo kilka zakonnic wyruszyło nieco wcześniej. Czy sami nie udadzą się wkrótce w ich ślady? Tymczasem nastał kwiecień, skończyła się pora deszczowa i jak zawsze rozpoczynały się wielkie wędrówki.

Tak naprawdę nie wiadomo nic bliższego: na razie pułkownik Carrington skierował oddział lazaretowy dalej. W Maclo-utsie za rzeką Limpopo po porze deszczowej pozostało bardzo wielu chorych na febrę. Umyślnym kurierem przysłano do sióstr prawdziwie rozpaczliwe wezwanie o pomoc. Z dnia

na dzień wyruszyły w podróż liczącą czterysta angielskich mil. Licząc optymistycznie, było to pięć tygodni, a za każdym obrotem wielkich kół coraz dalej zagłębiały się w bezludne pustkowie.

Ojciec Prestage potrafił pocieszyć. Nadszedł najlepszy czas na podróż, rozpoczęła się afrykańska „zima”, ustały ulewy i jechano znowu w obłokach czerwonego pyłu, a w rzekach opadły wody. W ciągu dnia panował suchy gorąc, zaś noc - takie uroki miał ten klimat - przynosiła lodowate zimno. Ale to przewidziano. W wozie piętzył się stos wełnianych koców.

Zapręg wybrany przez ojca Prestage'a okazał się najlepszym, jaki udało się dostać w Mafekingu. Misjonarz miał dobre oko do wołów, wybrał przysadziste, silne zwierzęta, najdородniejsze okazy, chętnie pracujące w jarzmie. Ufał im bardziej niż poganiaczom, gdyż ku jego niezadowoleniu nie byli to Zulusi, lecz Tsuanowie, lud leniwy i żarłoczny, a poza tym niezwykle złodziejski. Nie można było na nich polegać i musiano ich ciągle pilnować. Jeśli napotkano kraal, gdzie handlowano brandy, dochodziło do wielodniowych opóźnień. Dopiero gdy spili się do nieprzytomności, chwiejnym krokiem wracali. Na szczęście dysponowano jeszcze eskortą policji, która miała zadbać o dyscyplinę.

W każdym razie ojciec Prestage cieszył się niezmiernie, że nie muszą podróżować pociągiem, choć podwajało to trudy podróży.

Nie znosił „syczących i sapiących potworów”. „Cuchnącymi wyziewami zatruwają najpiękniejsze zakątki stworzone przez Pana!”, zwykł mawiać, gdy przyszło mu jednak skorzystać z usług kolei. Wolał raczej dzień i noc trząść się na koźle wozu, choć potem nie mógł doliczyć się własnych kości.

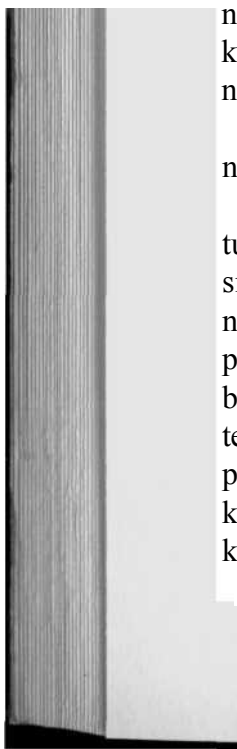
Tylko piękno krajobrazu pozostawiało na razie wiele do życzenia; wokoło rozciągała się równina, jechano przez niski

busz lub odrastającą po deszczu trawę. Tu i tam jedyne punkty orientacyjne stanowiły akacje lub mięsiste kaktusy. Rankiem marzło się niemiłosiernie, a w południe przed lejącym się z nieba żarem musiano się chronić pod plandeką. Na szczęście nie musieli karczować przed sobą drogi. Wystarczyło trzymać się śladu oddziału inżynierskiego. Ogniem i żelazem uporano się z gęstwina, tam gdzie wydawała się nie do przebycia. Ciągłe jeszcze w powietrzu unosiła się sadza. Z tyłu ciemna chmura, z przodu czarna droga, to ci dopiero historia! Towarzyszący siostronom mężczyźni nie tracili optymizmu. W Afryce szybciej niż gdziekolwiek indziej wszystko ponownie porastało zielenią. Tubylcy stosowali nawet wypalanie jako środek nawożenia pól.

Ojciec Prestage nie tolerował, gdy czarnoskórzy na ślepo smagali batami woły, choć zwierzęta nie miały siły iść dalej. Zatrzymywano się wówczas na popas. Również i ludzie musieli przecież rozprostować nogi. Nocą, zwyczajem Burów, tworzone z wozów obóz warowny lub wznoszono szałas. Skierowane ku zewnątrz dyszle łączono płataniną łańcuchów. Ich dźwięczenie zdradzało każdego, kto próbował przedostać się do środka.

Oddawano wówczas strzał ostrzegawczy, a w razie konieczności strzelano na ostro.

Bo teraz nocą odbywały się wielkie koncerty dziczy. Uwerturę stanowiło płaczące zawodzenie hien, potem dołączały się szakale, leopardy i lwy nadciągające z szerokiego, ciemnego stepu, odstraszone jedynie płomieniem wielkich, ciągle płonących ognisk, w których blasku spali tubylcy. Konie zabierano do wnętrza obozu, w przeciwnym wypadku, słysząc tę piekielną symfonię stepu, zerwałyby się z uwięzi. Ale i tak parskwały, bijąc nerwowo zadami. Jedynie obecność ludzi, poklepujących je dla uspokojenia, zapobiegała wybuchowi paniki mogącej łatwo kosztować czyjeś życie.



Potem zaczęły się febry. Któregoś dnia ojciec Prestage, wypakowując mały namiot ołtarzowy, doznał pierwszego w tym roku ataku malarii. Nie wbił jeszcze nawet jednego kołka, gdy upadł zemdłony. Ojciec Hartmann odprawił za niego mszę, ale przeżyli ciężki poranek na stepie. Woda zamarzała w ampułkach mszalnych. Właśnie te ciągłe zmiany temperatury w porze zimowej, od przenikliwie zimnych nocy do parzących upałów w ciągu dnia, powalały ludzi. Ojciec Prestage mrucał niezadowolony, gdy siostry zbyt troszczyły się o niego. Nie chciał, żeby mówiono o jego chorobie.

Kolejno chorowali wszyscy, również siostry. Na osobliwość zakrawało, że surowemu misjonarzowi nagle nie dość było pomagania chorym: stracił swoją mrukliwość i troszczył się jak ojciec, znosząc wszystko, co tylko przywróciłoby im zdrowie. Co parę minut zaglądał pod plandekę, pytając, czy jest już lepiej, aż wreszcie siostra Frances przywołała go do porządku.

One także chciały same uporać się z febrą. I nie trwało długo, gdy siostra Constantia zgłosiła, że jeśli chodzi o nią, to można ruszać dalej. Również siostra Amica stwierdziła, że przejaśniło się jej w głowie. Ojciec Hartmann wydał z siebie alpejski zaśpiew mogący przynieść zaszczyt jego rodzinnym stronom, a potem zaprzężono woły.

Należało oczywiście nadrobić stracony czas. Po krótkich postojach w ciągu dnia odbywały się długie nocne wędrówki, wypoczęte woły mogły pracować dłuższy czas. Jechano po równinie i między wzniesieniami, przez busz i rumowiska skalne.

Kolejny poranny popas i - ogólne przerażenie! Nagle wszyscy poganiacze wydali z siebie przenikliwy wrzask, diabelskie wycie i wściekły jazgot, aż chore i zdrowe siostry zerwały się na równe nogi, tuląc się z drżeniem do siebie. Napad Matabele - już teraz? Czyba nie naruszono jeszcze granicy królestwa Lobenguli? Dzikie zwierzęta? Wataha wilków?



Ojciec Prestage zapukał uspokajająco w ścianę wozu:

- Hallo, sisters! Bez obaw. Zapomniałem o tym powiedzieć, mieliśmy pełnię księżycy. Czarnoskórzy przepędzają teraz złe duchy ze stepu, zawsze tak robią. Niestety, ochrzczeni uczestniczą w tym również. Pół godziny i będziemy to mieli za sobą!

Pół godziny szarpiących nerwy krzyków i zawodzeń, jak gdyby rozwarły się otchłanie piekieł, chcąc pochłonąć tubylców. Oduczyć ich tego? Niemożliwe!

Siostra Amica chlipała cicho pod nosem; myślała pewnie, że w mroku nikt nie zauważy jej łez. Nagle poczuła na ramionach rękę matki Patricii.

- Było aż tak źle, mała siostrze? Nie, wypłacz się spokojnie, to ci dobrze zrobi. Mnie też zakłuło w sercu, ze względu na was. No, wreszcie się uspokoili. Poproszę ojca Prestage'a o dłuższy popas w ciągu dnia i przygotuję wam ciepłe śniadanie!

Ciepłe śniadanie stanowiło rzadki wyjątek, a dzisiaj matka Patricia sama balansowała patelnią nad ogniskiem. Ktoś znalazł dwa strusie jaja i przyniósł je siostrze: wystarczyły dla wszystkich wraz z ojcami. Ojciec Hartmann musiał pomimo tego zjeść jajecznicę na zimno, ponieważ nie potrafił na czas rozstać się z kaplicą. Miał kwaśną minę za każdym razem, gdy znowu trzeba ją było składać. Wszyscy wyglądali na niewyspanych, ojcowie i siostry. Ta noc okazała się wyjątkowo zimna. Wieczorem próbowano wprawdzie zagrzać w ogniu kilka cegieł i wziąć je do „łóżka”, ale wystygły w jednej chwili. Należałoby chyba spać na skraju wulkanu, gdyż ostry ziąb przenikał cienkie płótno namiotów niczym dobrze wyostrzony sztylet!

Nagle jednostajny dotąd krajobraz zaczął się zmieniać. Zrobiło się górzyście, pomiędzy błękitnymi łańcuchami skalnych szczytów rozwierały się szerokie, słoneczne doliny, a w ich zaciszu rozkwitała przyroda afrykańskiej pory suchej. Niektó-

re kwiaty miały kielichy wielkości talerzyków i połyskiwały wszystkimi kolorami tęczy: cytrynową żółcią, błękitem bzu i czerwienią malwy, nie konkurowało z nimi nawet wspaniałe upierzenie licznie pojawiających się papug kakadu. Ale brakowało im niejednego: rosły prawie wyłącznie pośród długich, ostrych kolców i nie wydawały zapachu. Wydawało się, że brakuje im duszy.

Również drzewa przybierały coraz dziwniejsze kształty. Czasami tworzyły ogromne, zwrócone w stronę wiatru parasole albo kandelabry obsypane niezliczonymi punktami białych i żółtych kwiatów; rosły także i takie, których kwiatostany zwieszały się na długich, metrowych łodyżkach ku ziemi, a pomiędzy nimi, niczym niemo brzęczące dzwonki, kołysały się kunsztownie wplecione z traw gniazda wikłaczy!

Ale co z wodą? Źródła pojawiały się bardzo skąpo, rzadko słyszało się szemranie chłodnej strugi. Tak, zaopatrzenie w wodę stanowiło jeden z największych problemów. Ilekroć mijali poletka kukurydzy i prosa należące do Tsuanów, mieli nadzieję, że znajdą jakąś krynice. Ale równie dobrze tubylcy mogli wędrować po nią całymi milami, gdyż ujęcie wody leżało z dala od szlaku. Znacznie praktyczniejsze okazywały się spotkania ze stadami bydła: któryś z małych, murzyńskich chłopców zawsze był gotów, żeby za garść cukru nadoić mleka do dużego wolego rogu.

Stopniowo pojawiły się pierwsze wioski tubylców, wzniesione najczęściej przy źródle lub sadzawce, a wtedy zaczynało zacięte targi. Ze wszystkich dóbr najbardziej pożądane były broń i amunicja. Osiągnięto już krainę Khamy zamieszkiwaną przez dobrze uzbrojony lud, który niejednokrotnie wykorzystywał oręż w walce z hordami Matabelów. Tubylcy mieli świadomość, że jedynie przewaga uzyskana dzięki broni palnej białego człowieka pomogła im pokonać Lobengulę.

Father Prestage zwracał uwagę na porządek podczas handlu. Wcześniej Batongowie zamordowali ojca Teroerde, ponieważ nie chciał oddać złotego kielicha mszalnego, który wpadł w oko wodzowi.

Ostatecznie i u „chrześcijańskiego Khamy” nie wszyscy poddani zostali ochrzczeni. Podobnie jak wszędzie, gdzie dotarli Brytyjczycy, również i tu osiadło wiele sekt. Khama został metodystą, zaś wesleyanie szczycili się wielce ochrzczeniem setek tubylców w ciągu kilku dni. Tymczasem ci „ochrzczeni” nie wiedzieli nawet, kim był Jezus Chrystus, o czym często przekonywano się w wioskach Kafrów.

- Religia, słabo - orzekł lakonicznie ojciec Hartmann. Mężczyźni poruszali się jeszcze prawie nago, w przeciwieństwie do kobiet zdumiewająco wystrojonych w ogromne kapelusze, trend najnowszej mody z Kraju Przylądkowego, oraz jedwabne spódnice we wszystkich kolorach tęczy.

Pierwsza zimowa niepogoda zaskoczyła ich na pustkowiu. Od najbliższych ludzkich osiedli dzieliły ich całe mile. Pomimo grozy widok był imponujący! Horyzont z sykiem przecinały pajęczyny błyskawic, grzmot głużył sam siebie, a powietrze napęniał ryk rozszalałego żywiołu. Wszyscy zerwali się na równe nogi, aby chronić dobytek przed piaskiem i wodą! Tylko zwierzęta pociągowe leżały spokojnie pokotem i przeżuwać, nie dawały się wytrącić z równowagi. Nawet gdyby świat miał się kończyć, one zażywały rozkoszy popasu! Nawałnica, tak nagle jak się zaczęła, tak również po półgodzinie ustała. Policjanci z lampami zabrali się do szukania porwanych przez wiatr drobiazgów, co najczęściej nie przynosiło żadnych efektów. Teraz siostry doświadczyły same, dlaczego tak starannie ładuje się wozy, a większość wyposażenia przywiązuje się lub przykręca.

Gdy należało się przepawić przez pierwsze dopływy Limpopo, sens takiego postępowania stał się jeszcze jaśniejszy. Ileż

wysiłku i potu kosztowało sprowadzenie wołów wraz z wozem do niżej położonego koryta, ile wołań, krzyków, wyzwisk, trzaskania biczów, jakie emocje u poganiaczy i woźniców! Potem jednak zwierzęta brodziły posłusznie, a konie płynęły. W porze deszczowej natomiast wszystkie ciekłe wodne stawały się przeszkodami nie do przebycia!

Co się robiło w takich przypadkach? Rozbijało obozowisko i czekało. W Afryce człowiek uczył się przede wszystkim cierpliwości!

Rozpoczął się piąty tydzień podróży. Niejedne ważne życiowo przedmioty, niezbędne dla cywilizowanych ludzi, skończyły się lub stały się nie do osiągnięcia. Gdyby tylko raz udało się porządnie umyć i zmienić odzienie. Siostra Amica sprawiała wrażenie delikatnej nie tylko zewnątrz, także wewnątrz była bardzo wrażliwa. Brudnego od potu, kurzu, sadzy i deszczu habitu nie dotknęłaby przedtem czubkiem palca.

- Czy w Limpopo jest sporo wody? - zapytała z nadzieją.

Policjant się uśmiechnął.

- Wystarczy, żebyśmy wszyscy potopili się jak szczeniaki.

Dlaczego siostra pyta?

Zakonnica spojrzała na siebie.

- Nie... ja... to znaczy, chodzi o pranie!

Jej rozmówca pokręcił głową.

- Nic z tego aż do Macloutsie. Limpopo ma także jeszcze inną egzotyczną nazwę Crocodile River - i to nie jest poetycka przenośnia. Roi się w niej od hipopotamów, aligatorów i innych potworów.

Siostra Amica milczała. Strój zakonny parzył ją w ramiona. Pomyślała o upokorzeniu, jakiego doznał Chrystus, gdy Herod kazał Go przyodziać na pośmiewisko. Wtedy i ona doznała ulgi.

Wszystko stało się lżejsze, gdy dotarli do owego ogromnego baobabu, na którym w roku 1879 pierwszy ojciec jezuita, podróżujący wzdłuż brzegów Limpopo, wyciął ogromny krzyż, mający ciągle przypominać o pierwszej „Bożej inwazji”.

Jego kontury zatarł już nieco upływ czasu, ale i tak był doskonale widoczny.

Tego ranka odprawili mszę świętą u jego stóp: czuło się niemal namacalnie, że daje wszystkim siłę do stawienia czoła kolejnym przeciwnościom. Tu, pomiędzy wzniesieniami Dwarsberge, w pobliżu łożyska wartko płynącej rzeki, dzicz okazała się najgęstsza. "Wręcz nie dawało się przedrzeć przez splątaną gęstwinę kolczastych akacji i mimoz. Strusiom jednak powiodła się ta sztuka, zbliżyły się, wyciągając szyje i zaglądając ojcu Prestage'owi na ołtarz. Strzał oddany przez jednego z policjantów trafił celnie jedno ze wspaniałych zwierząt, gdyż swoją ciekawością zakłócało święte obrzędy. Zaraz też całe stado z nastroszonymi piórami zerwało się do panicznej ucieczki. Misjonarz zganił później strzelca, mówiąc, że swoim postępkim zakłócił pokój ofiary mszalnej. Ten odparł ze śmiechem:

- Father, kto wie, jak często jeszcze proch i ołów będą wam służyć za ochronę przy odprawianiu nabożeństwa!

Zamilkł nagle, widząc łekliwe oczy siostry Amiki. Ale doprawdy nadszedł czas, aby jej uświadomić, że Macloutsie leżało już bardzo blisko królestwa Lobenguli, a Limpopo należało uważać za granicę, po której przekroczeniu mogła się połączyć krew. Czyżby wydawało się jej, że będą tak wiecznie tylko podróżować? Jezuici odbyli ze sobą naradę.

Nie, niech najpierw siostry sprawdzą się w Macloutsie. Tam panuje odpowiedni klimat, żeby mogły pozbyć się wszelkich złudzeń! Po co je już teraz niepokoić? Obozowisko leżało w szcze-

rym buszu. Widok szerokiego rozlewiska powinien wystarczyć, żeby dotarło to do nich.

Po krótkim odpoczynku na stacji Notwani pociągnęli wzdłuż rzeki, szukając jakiegoś brodu. Pomagało im w tym dwóch konstabli z British-Beczuana Police cieszących się na bliskie już spotkanie z towarzyszami. Każdy trzymał w pogotowiu gotową do strzału broń! Tu napotykało się bestie nieudające się na sjestę również w ciągu dnia, i niełękające się nawet większych oddziałów - były przecież u siebie! Każdego dnia widywali wielkie gromady pawianów, którym przewodziły stare samce osiągające wzrost dorosłego człowieka. Takie spotkania mogły się okazać dramatyczne w skutkach.

Przez gęste zarośla kaktusów i cierni krok po kroku zeszedli ku rzece. Ciemnozielony nurt płynął w głębokim skalnym korycie, niespokojny, spieniony, szumiący. Z przeciwległego brzegu wrogo spoglądał masyw Wittwatersberge. Czego szukali tutaj biali ludzie?

- Proszę spojrzeć - odwrócił się jeden z policjantów. - W piasku widać ślady krokodyli. Chętnie wychodzą na słońce, żeby się wygrzewać. Pranie? Wykluczone!

Powędrowali dalej. Następny postój Elebe Camp. Na cztery mile przed Macloutsie wyruszył im naprzeciw na koniu lekarz polowy, ucieszony, że wreszcie ich widzi. Tak, nad Macloutsie River mieli ciężko chorych - obecnie siedemnastu leżących na gołej ziemi i bardziej pragnących opieki sióstr niż wody. Panowały tam bardzo trudne warunki. Nieco dalej napotkały obdartego „dezertera”, chcącego w pojedynkę odbyć drogę powrotną do Kraju Przylądkowego. Zaopatrzyli biedaka w prowiant, ale ojciec Prestage pokiwał głową.

- Idzie na pewną śmierć, tej drogi nikt nie pokona samotnie.

Próżne okazały się próby zatrzymania straceńca.

- Już dłużej nie mogę - powiedział. Wracał, choćby to miał być jego koniec.

Cień przesłonił radość zbliżania się do celu.

W milczeniu patrzyli za nim, jak z otępiałością obłąkanego drepcze w lejącym się z nieba żarze po zdającej się ciągnąć w nieskończoność drodze przez busz, niczym zbłąkany pies chcący tylko nie zgubić śladu.

- Módlmy się za niego! - wyszeptała cicho matka Patricia.

Była sobota, początek maja 1890 roku, gdy woły wozu mieszczącego ambulans po raz pierwszy w czasie długiej wędrówki spłoszyły się i rycząc, szarpały w uprzęży. Ale nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Pionierzy z Korpusu Południowoafrykańskiego stracili nieco głowę, chcąc wreszcie móc powitać swoje pielęgniarki. Strzały na wiwat rozdarły nocne ciemności, pojazd przetoczył się wzdłuż honorowego szpaleru, wszyscy zdierali sobie gardła do zachrypięcia. Jeszcze trudniej przychodziło ich uspokoić niż woły, które wreszcie mogły znowu zażyć przyjemności popasu.

W nocy niewiele dało się zobaczyć. Jedynie ostre, spiczaste kontury miasta namiotów rozbitego pod niebem pełnym jasno świecących gwiazd. Jeden z nich, leżący z dala od całego campu, pełnił funkcję szpitala, a za nim stało pięć kolejnych. Na pomoc czekało dwudziestu siedmiu chorych. Lekarz korpusowy wyglądał, jak gdyby wstał z grobu, wszystko z przecierania, nocnych dyżurów i trosk. Dzięki Bogu, wreszcie siostry zakonne! Mężczyźni śpiewali z radości jeszcze do późnej nocy.

Doktor Rand stał zmieszany - cóż, nie zdążono zbudować jeszcze szałasów ani chat, siostry, jak nomadzi, muszą na razie zamieszkać w namiotach.

Kaplica w buszu? Jak najbardziej, mogą ją sobie urządzić w swoim namiocie, oczywiście. Jest tak mało miejsca - nieprawdaż? Nie można za bardzo rozciągać obozowiska, ale cały łańcuch solidnych fortów - major Forbes zdawał się akcentować szczególnie te słowa - ochrania camp, siostry są bezpieczne.

Odradzałby jedynie, żeby zanim nie podniosą się poranne mgły, nie chodzić po wodę do Mataputla czy Macloutsie River. Trzeba mieć możliwość rozpoznania nieprzyjaciela, nieprawdaż? I oczywiście nie wychodzić nigdy bez eskorty konstabla. Nie, poza tym nie ma żadnych innych szczególnych przepisów. Co słyszą? Wycie wilków, jak zwykle, nic nadzwyczajnego, nie atakują nigdy większych skupisk ludzkich, jedynie pojedynczych maruderów. To tylko mały akompaniament muzyczny: w namiotach już go tak nie słychać. Poza tym za kilka dni zjawi się z wizytą lord Methuen odpowiadający za korpus; zresztą i tak wszystko było w najlepszym porządku.

Gdy siostry przekroczyły progi namiotów szpitalnych, po policzkach potoczyły się im łzy. Najlepszy porządek!

Umierający, wycieńczeni żołnierze leżeli na gołej ziemi, z tobołkiem z ubrań pod głową, zawinięci w namiotowe płachty, jęczący w gorączce, z twarzami zlanymi potem, brudni i cuchnący, a z oczu biła im trwoga.

Młody człowiek wyciągnął wychudzone ręce ku siostrze Ignatii:

- Matka, nareszcie!

Delirium. Zmarł jeszcze tej samej nocy, ale wydawało mu się, że jest przy nim jego własna rodzicielka. Już pierwszy dyżur przyniósł ciężką pracę i wiele wyrzeczeń. Powietrze kłuło niczym igłami lodu. Siostry biegały tam i z powrotem, znosząc ze swojego wozu wszystko, co przywiozły z wyposażenia szpitalnego. Żadna niczego nie uzgadniała z drugą, ale wszystkie oddały swoje koce cierpiącym. „Przypadki” zdiagnozowane



przez lekarza jako beznadziejne ułożono ostrożnie na nowych posłaniach z prawdziwymi poduszkami.

I zdarzyło się, że siostra Amica po raz pierwszy zawarła znajomość z niebezpieczeństwem numer jeden: pochyliła się, by podnieść pas żołnierski leżący w nogach wiklinowego posłania, i nagle posłyszała syk węża! Tylko nie krzyczeć! Słaniając się na nogach, wyszła z namiotu. Przywołany myśliwy rozłożył gada jednym strzałem. Do tego jeszcze się przyzwyczai. Czasami węże sypiały z ludźmi - szukały ciepła. Dokąd nie popełniło się lekkomyślności przewrócenia się we śnie na niewłaściwy bok, cała sprawa pozostawała przygodą, w którą nikt w Europie nie chciał uwierzyć. Siostra Amica drżała jeszcze przez godzinę na całym ciele.

Dopiero za dnia zobaczyły, jak dziko i bezludnie wyglądała cała okolica, w której się znalazły. I wtedy zrozumiały wszystko, również samotnego dezertera, chcącego za wszelką cenę wracać do domu.

Macloutsie okazało się pierwszą próbą ogniową dla żołnierzy i misjonarzy. Dopiero teraz uświadomili sobie naprawdę, na co się porywają. Ale siostry zakonne, jedyne, białe kobiety w Korpusie Południowoafrykańskim, wytrzymały do końca.

## Ucieczka i wesele

Naczelny czarownik Mlimo pochylił się głęboko nad stertą kości, którą rozłożył przed sobą na ziemi w pieczarze Makalaka. Jego podrzędni czarownicy, siedzący półkolem pod ścianą, uczynili to samo. Była to najbardziej uroczysta chwila wielkiego kultu - dźwięcząca w uszach cisza.

Nawet Lobengula, siedzący wraz ze swoimi najlepszymi indunas u wylotu jaskini, nie odważył się jej zakłócić. Z wnętrza dobiegł słodkawy swąd zwęglonych części zwłok - wróżbiarze spalili serca i palce dawno zabitych wrogów, a także głowę pytona.

Cuchnęło straszliwie. Jeden z wojowników zaczął kasłać, ale gniewne spojrzenie króla przywołało go natychmiast do porządku.

Ciało Mlimo wiło się w grocie niczym w skurczach - oparował go najwidoczniej i miotał nim wielki duch.

Wreszcie wytoczył się na zewnątrz, w oczach malowało mu się jeszcze bezbrzeżne przerażenie. Wyrzucił ramiona w górę, upadł na kolana, po czym zduszonym od dymu głosem zaczął rzeźnić niczym obłąkany:

- Och, och, wielkie, straszne dni nadchodzą na kraj Mathobana, na krainę drogocennych kamieni. Widzę błysk stu tysięcy assegais i słyszę w górach echo grzmotu sto razy po sto tysięcy ognistych strzelb! Trzy wielkie armie amakiwa uderzają od południa na Mashonaland. Wszyscy niosą lżejszą i cięższą

broń, a trzody bydła, owiec, wołów i koni wzbijają w powietrze tumany czerwonego pyłu.

Rozzłoszczony Lobengula skinął ręką. O wszystkim donieśli mu już rozesłani zawczasu zwiadowcy. Tak przepowiadać potrafił sam!

- Chcę wiedzieć, czy mamy walczyć z nimi, czy czekać?

Mlimo zachichotał chrypliwie.

- Za późno na atak i za późno na czekanie. Widzę Matabele podpalających kraale Mashona, wioska po wiosce, ale widzę też białych palących kraale Matabele, a także królewską kotła w Bulawayo. Krew czarnego człowieka popłynie niczym rzeka, krew białego człowieka spłynie strumieniem.

Lobengula zerwał się z miejsca. A więc klęska? Aż kipiał ze złości. To zemsta czarownika za zwłokę w oddaniu mu Gaikany! A teraz dziewczyna znikła w święto nowiu i czarownik wziął go w kleszcze. Indunas przykucnęli na ziemi, złani potem, z błyszczącymi od gorączki oczyma. Nie uda się ich powstrzymać. Zabijać, zabijać białego człowieka, od tygodni domagali się od swojego władcy jedynie tego! A teraz ta fatalna wyrocznia Mlimo!

W Lobenguli wrzało!

Dyniowy bóg, ta martwa lalka ze struną w brzuchu, na której wygrywał czarownik! Ze też nie można wyjawić tego oszustwa ludowi! Czarny Neron z trudem stłumił ogarniającą go furję. Gdyby tylko nie podżegano jego indunas, to z proctwami już by sobie poradził! Ale jego wojska nie dawały się już powstrzymać, odkąd ze wszystkich stron głucho bębnienie i znaki dymne donosiły o jednym: białe wojsko, armia amakiwi nadciąga!

- Nimechoka! - ryknął na czarownika. - Mam tego dość! Wynoście się! Sam poradzę sobie z białymi!

Mlimo udał, że budzi się z głębokiej ekstazy.

- Czy mój nieroztropny język powiedział coś, co obraża mojego baltete, wielkiego, czarnego, dyszącego zemstą bawołu?

- Chifwamba! - zapienił się Lobengula. - Biali nas pożerają, a ty pytasz, co powiedziałaś!

- Hau! - zdziwił się Mlimo. - Czy ja przepowiadałem, czy bóg bogów? To nie ja wzbudziłem jego gniew i nie ja sprawiłem, że słabną siły wróżbitów w przepowiadaniu dobra!

Rzucił przy tym królowi kłujące spojrzenie cichego tryumfu, które tamten doskonale zrozumiał.

- Powiedz, jak mogę przebłagać Molimo! Jestem gotów rzucić w otchłanie wodospadu Zambezi pięciuset niewolników.

- Och, baltete, Molimo nie chce ofiar z ludzi, jakie zawsze otrzymywał od Mosilikazi i Mathobana. Molimo pragnie krwi białego człowieka, ale żeby mogła popłynąć, bóstwa potrzebują krwi czystej dziewczyny z królewskiego rodu. Należy ją związaną oddać krokodylom w Zambezi!

Lobengula odwrócił się wściekły. Mlimo wiedział równie dobrze jak on, że Gaikana nie została rozszarpana przez leoparda na skraju lasu, jak się mówiło, lecz uciekła. Teraz zraniony w swej męskiej dumie domagał się jej śmierci. Musiano ją odnaleźć żywą albo martwą, to było jasne.

- Postaram się wypełnić wolę bogów - odparł, gdy uspokoił się nieco, po czym skinął na swojego herolda, aby ruszył przed nim.

Indunas dreptali za nim, podburzeni do szaleństwa, wciąż na nowo skandując ostatnie z jego imion:

- Oho, intambekul, intambekul! Wielki zabójco ludzi! Daj naszym assegais zakosztować krwi!

Lobengula udawał, że nie słyszy.

Ale tego samego dnia wieczorem cały kraal trząsł się w posadach, przed królewską kotłą zebrali się wszyscy wojownicy w pełnym wojennym rynsztunku! I zanim pojawił się władca,

zapowiadając, że jako pierwszych oddaje w ich ręce wszystkich podbitych Mashona, aby do woli nasycili swoją żądę krwi, wojownicy zaintonowali wojenny hymn.

Był to straszliwy, lecz jednocześnie wspaniały widok, gdy setki mężczyzn, maszerując w porządku poszczególnych impis, z głowami przybranymi w strusie pióra, trzymając w dłoniach tarcze i włócznie, rozgorączkowani, z pianą na ustach i z nabiegłymi krwią oczyma wyśpiewywali to wznosząc się, to opadającą melodię ojców:

Nantsi indaba, tsi-tsi!  
Oho, oho! Nantsi indaba!  
Tsi-tsi! Nantsi indaba!  
Indaba imkonto tsi-tsi!  
Słuchajcie wieści  
Oho, oho! Słuchajcie wieści,  
Tsi, tsi, słuchajcie wieści,  
Wieści o wojennym oszczepie, tsi-tsi!

Ciągłe powtórzenia, ryczenie oho - oho, syczące niczym poświst lecącego oszczepu tsi-tsi - napinało nerwy aż do granic wytrzymałości! Jakże dumnie to brzmiało:

Uose ubone, tsi-tsi,  
Oho, oho! Uose ubone!  
Tsi tsi! Uose ubone!  
Indaba isusu, tsi-tsi!  
Oho! Kugnar imuntu, tsi-tsi!  
Przyjdźcie i zobaczcie,  
Oho, oho! Przyjdźcie i zobaczcie!  
Tsi-tsi, przyjdźcie i zobaczcie  
Przyjdźcie i zobaczcie Zulu,  
Nie wystąpi przeciw nam inny lud!

Dumne słowa i dzika melodia.  
Nadchodził czas na strofę króla:

Inkosi Mathoban, tsi-tsi,  
Oho, oho! Inkosi Mathoban!  
Tsi-tsi! Silos imniama!  
Ah! Slanabuntu, oho, oho, oho!  
Królem jest Mathoban,  
Oho, oho! Królem jest Mathoban,  
Tsi-tsi! Wielki pan żyjących!  
Ach, zabija wojowników, oho, oho!

Pieśń kończyła się powszechnym odurzeniem, dźwięczały oszczepy uderzane jeden o drugi, powietrzem wstrząsał wrzask „Bullala, bullala - zabijać, zabijać”!

Król uniósł swój assegai - natychmiast zapadła martwa cisza. Czy na znak rozpoczęcia wojny ciśnie go w kierunku południa, przeciwko impis białego człowieka?

Nie, opuścił broń, a coś na podobieństwo jęku rozczarowania zabrzmiało w szeregach wojska.

- Indunas! - zagrział potężny głos Lobenguli. - Indunas i dzielni indodas moich impis! Wiecie, że najwyższym prawem naszego ludu jest karność. Musi ona iść tak daleko, że na skinienie władcy każde impi ma pozwolić wyciąć się w pień bez najmniejszego sprzeciwu. Ale nie lękajcie się, syn Mathobana nie wyda takiego rozkazu!

- Oho! Slanabuntu! - rozbrzmiał ponownie werset ostatniej strofy, aby natychmiast umilknąć.

- Najpierw chcę przejąć białego człowieka lękiem. Dlatego oddaję w wasze ręce wszystkich Mashona na wschodzie i północy. Rabujcie, palcie i zabijajcie przed oczyma amakiwi, co tylko dostanie się w wasze ręce.

Szał radości:

- Oho! Bullala, oho!

- Spokój! Mshete i Mjaan z trzydziestoma indodas wyruszyli przeciwko białym. Zawarłem układ i nie chcę go zerwać. Chcę, żeby to jako pierwsi zrobili amakiwi, nawet jeśli zrobią to ze strachu. Stanie się tak, gdy zostanie oddany pierwszy strzał w kierunku czarnego człowieka. Sprawimy, że to zrobią. Kiedy natomiast odpłacimy za ten pierwszy strzał wieloma tysiącami naszych, o tym zadecyduje jedynie Lobengula intambekul, władca wszystkich żyjących. Zrozumieliście?

Aplauz nappełnił plac przed królewską kotłą.

- Baltete! Twój lud umrze, jeśli zechcesz, ale najpierw chce zabijać.

Tłum zaczął się rozchodzić, a Lobengula kazał przywołać do siebie Mshete i Mjaana, dając im jeszcze jedno tajne polecenie:

- Jeśli podczas wyprawy znaleźlibyście dziewczynę ze szczepu Kumało, to przyprowadźcie ją żywą do mnie. Wiecie, co mam na myśli.

Mshete i Mjaan nawet nie mrugnęli powieką. Tylko prosty lud pozwolił się zwieść, że Gaikana, szukając grzybów w jasny dzień, została napadnięta przez leoparda i nikt nie posłyszał jej krzyków.

Która z inkozikazi wybiera się za kraal, nie zabierając niewolników? Nie mógł również zwieść krwawy strzep jej podartej opaski limbo zwisający z cierni na skraju buszu. Ślady pazurów leoparda zostały zręcznie podrobione, ale królewscy łowcy nie dali się zwieść.

Jedno było pewne: stara Nyambezana nie uknuła żadnej intrygi. A nawet jeśli zachodziłaby taka okoliczność, Lobengula nigdy nie oddałby w ręce czarownika mającego wykazać jej winę starej matki, która kiedyś uratowała mu życie.

On sam także nie przykładął większej wagi do zniknięcia dziewczyny.

Ale w obecnej sytuacji to zdarzenie mogło okazać się dla niego niebezpieczne, gdyby Mlimo powiązał jej zniknięcie z posuwaniem się naprzód białego człowieka. Uspokoi go wiadomość, że rozpoczęto poszukiwania uciekinierki.

O sposobie śmierci zadecyduje jak zwykle sam. Gdyby rzeczywiście okazała się na tyle nierozsądna i uciekła z tym Karanga, to i on nie okaże litości. Tylko czy uda się ją jeszcze odnaleźć?

Przez pierwsze godziny Gaikana i Sesango biegli bez wytchnienia, choć młody człowiek dźwigał ciężką strzelbę i kilka niezbędnych drobiazgów. Nie przystawali, żeby zaspokoić głód lub pragnienie. A jeśli Sesango pochylał się, to tylko po to, żeby zatrzeć najbardziej rzucające się w oczy ślady. Od czasu do czasu spoglądali za siebie, czy nikt ich nie ściga, ale w buszu panowała cisza przerywana jedynie monotonnym krzykiem ptaków i skrzeczeniem małp.

Dopiero gdy zapadł zmierzch, wyczerpani opadli na ziemię pod akacją. Oddechy mieli świszczące, a puls rozrywał im skronie, więc dopiero po dłuższej chwili mogli ze sobą rozmawiać. Sesango wyciągnął rękę, przeciągając dłonią po wilgotnym od potu czole Gaikany.

- Najtrudniejsze za nami, inkosi! - uspokoił dziewczynę. - Noc nas ochroni. Wiesz, że nawet wojownicy twojego ludu lękają się duchów zmarłych.

Gaikana przytuliła się do niego.

- Musimy rozejrzeć się za jakimś miejscem na nocleg - stwierdził Sesango, kiedy już nieco odsapnęli, po czym rozejrzał się po koronach drzew.



- Tam, ten moruli ma mocne, gęste gałęzie i wiele liści, które nas ukryją. Nawet słonie z trudem je przewracają. Zostań na dole, wspinę się na górę i przygotuję dla nas legowisko.

Odłożył broń wraz ze wszystkim, co niósł na plecach, poza skórą wołową i liną z lian ukreconą jeszcze kilka tygodni przed ucieczką, ponieważ były to rzeczy niezbędne przy każdej dłuższej podróży. Ledwo jednak znalazł się na górze, chcąc zrećcznie przywiązać skórę do gałęzi, ze skrzekiem i piskiem zjawilo się stado pawianów, krzyząc i wygrażając ku niemu. Przywódca stada potężnymi susami ruszył ku koronie drzewa, aby podjąć walkę z intruzem, ale Sesango ustąpił z placu boju, nie wdając się w potyczkę.

- Chodź, one były tu przed nami, to ich miejsce do spania. Znajdziemy coś innego. Niedobrze jest też mieszkać w sąsiedztwie dzikiego ludu, który hałasuje po nocach.

Ruszyli dalej, a małpy jeszcze długo złorzeczyły za nimi.

Wreszcie Sesango przystanął pod drzewem marbarotta, prawdziwym olbrzymem w buszu. W tym czasie nie miało jeszcze słodkich owoców wyglądających jak kiełbasy. Obok niego rosło mussikeri o dojrzałych pączkach. Wydzielaly one aromatyczny olejek, rankiem mieli zamiar je zebrać, gdyż tłuszcz chroni skórę przed chłodem.

Sesango ponownie pochwycił skórę wołu i ruszył ku czubkowi drzewa. Gaikana przyglądała mu się z podziwem, jak szybko i zrećcznie rozkłada skórę w koronie i przywiązuje. Nawet silny wiatr nie straci jej stamtąd!

Potem pomógł jej wspiąć się na górę.

- Chodź, Gaikano, mała inkosi, będziesz spała niczym u twojej starej ambuya!

Przyglądał się, jak się układa i cieszy jak małe dziecko. Zraz też zaczęła się kołysać.

- Ruszam w dół jak pawian i stanę w trawie na straży.

Przytrzymała go za rękę.

- Nie... A jeśli nadejdzie lew...

- Zaden się nie odważy, rozpalę ogień!

- Ogień sprowadzi naszych prześladowców.

- Na pewno nie. Pomyślą podobnie jak ty, że ktoś, kto ucieka, nie będzie tak głupi, żeby tak postąpić. Będą przypuszczali, że to ludzie z buszu albo Makalaka koczujący tutaj, i wcale nie przyjdą.

Trwożyła ją taka śmiałość, ale doszła do przekonania, że chce mądrze postąpić.

- Obiecuj, że mnie zabijesz, jeśli miałabym się dostać w ręce indodas! - poprosiła go.

Odpowiedział z uśmiechem:

- Nie myślę o śmierci, Gaikano.

Taniec płomieni w dole znużył ją nieco, a wsparta na włócznie postać Sesango uspokoiła. Oczy się jej zamknęły.

Nie słyszała już koncertu dzikich bestii, które kilkakrotnie niebezpiecznie blisko podeszły do obozowiska. Wtedy młodzieniec rzucał za nimi kawałkami gałęzi i podsycił ogień. Przy tym mruczał pod nosem starą formułę modlitewną, jakiej jeszcze jako dziecko nauczył się od matki. Zwracała się ona do Mwari, niewidzialnego boga, stwórcy żyjących i zmarłych. Był potężniejszy od wszystkich duchów zmarłych. Zasnął dopiero nad ranem. Obudził się, gdy Gaikana zaczęła rzucać mu na twarz drobne gałązki przeznaczone właściwie do rozpalenia ognia. Dziewczyna przezwyciężyła początkowy strach i dobrze, że się tak stało.

W ciągu dnia kontynuowali ucieczkę, a nocami wypoczywali. Czasami znajdowali także opuszczone jamy mrówkojadów, gdzie dawało się zatrzymać także w ciągu dnia. Sesango

miał zamiar dotrzeć do niziny Zambezi, tam przeprowić się do Batongów i wzdłuż przeciwnego brzegu pomaszerować na wschód. Przy kraalu Mowemba mieli skierować się na południowy wschód, aby wreszcie po długiej wędrówce znaleźć się w Gokomere, kraju Karanga. Do tego czasu upłynie jednak kilka miesięcy i ich prześladowcy z pewnością stracą ślad.

Nagle nastąpiła tropikalna burza, o tej porze raczej niespodziewana, i wezbrane wody jednego z dopływów Zambezi przegrodziły im drogę. Na próżno rozglądali się po okolicy, szukając płytszego miejsca. Poza tym rzeka roiła się od aligatorów.

Co robić? Gdy dłuższy czas wędrowali wzdłuż jej biegu, napotkali spleciony z lian most. Nikt nie może nań wejść bez pomocy małych ludzi, którzy go wzniesli i pobierają za to swe go rodzaju myto.

Sesango wiedział o tym. Wyciągnął więc z pęcherza słonia służącego mu za węzelek podróży potężny kawał suszonego mięsa, układając go w dobrze widocznym miejscu. Zaraz też z zarośli wychylił się buszmen i wziął mięso. Następnie rzucił przybyszom linę do trzymania i zręcznie wdrapał się na drzewo, do którego korony przymocowany był jeden z końców mostu. Nie, nie muszą iść na czworakach, gdyż z wikliny wpleciono wygodne oparcie dla nóg. Mały człowieczek ruszył kilka kroków przed nimi, pokazując, co mają robić. Gaikana zawahała się. Czy spleciona jedynie z roślinnych włókien kładka wytrzyma ich ciężar?

Zręczny buszmen skinął na nich ręką, szczerząc pieńki krzywych zębów. Bez obaw, można po niej przenosić nawet pnie drzew i minie wiele pór deszczowych, zanim liany zaczną się psuć.

Gdy to usłyszeli i zobaczyli, jak pewnie karzełek porusza się po moście, ruszyli za nim. Konstrukcja kołysała się niebezpiecznie, ale tak było zawsze i nie należało się tym przejmować.

W dole szumiała woda, a zawiedzione krokodyły spieniały ją jeszcze, tłukąc ogonami, gdyż potencjalne ofiary były tak blisko ich paszcz, a przecież nie dało się ich dopaść!

Gdy szczęśliwie znaleźli się po drugiej stronie, buszmen zaintrygował się:

- Daleko wędrujecie?

- Gdzie jest najbliższa wioska Batonga? - odparł Sesango pytaniem na pytanie.

Karzelek wskazał na północ:

- Tam, zobaczycie ją, gdy miniecie zagajnik figowy. W południe dotrzecie na miejsce.

To, co nazwał zagajnikiem, stanowiło kilka punktów na dalekim horyzoncie, ale ludzie dżungli mają wzrok sępów szukających padliny. Zawsze ją znajdują.

Popatrzył za nimi, jak idą przez równinę, wykorzystując na osłonę każdy krzak, i teraz już wiedział, że z pewnością są uciekinierami.

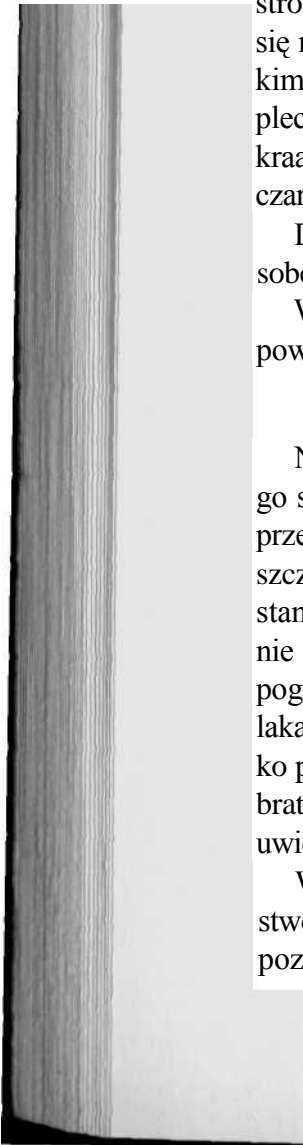

Wreszcie dotarli do Panda-ma-tenka, ostatniego zasiedlonego przez białych miejsca w krainie Matabele, przed wodospadami Zambezi. Tu można było nabyć amunicję do karabinku Martiniego. Sesango miał przy sobie trochę kości słoniowej i lekkie skóry pytonów. Miał zamiar je sprzedać, gdyż takim towarem biały człowiek z pewnością nie pogardzi.

- Sesango, w Panda-ma-tenka jest także wielu Ndebele. Jeśli nas zobaczą... - wyszeptała lękliwie Gaikana.

Jej towarzysz pokręcił głową, obstając przy swoim zamiarze.

- W nowej fryzurze na pewno nikt cię nie pozna. Zostawię cię w chacie Batonga i pójdę się najpierw rozejrzeć. Potem przyjdę po ciebie.

To już brzmiało bardziej roztropnie. Przepełniony radością Sesango złowił jeszcze parę ryb na prowiant, a także ustrzelił kilka kuropatw, chociaż nie mieli



przed sobą zbyt długiej drogi. Biali ludzie mogli przecież odkupić je od niego. Na piasku widniało wiele śladów dzikiej zwierzyny, z daleka przyglądały im się stada żyraf. W tej okolicy mogliby się zatrzymać na kilka miesięcy i nie zaznaliby głodu. Ale młody człowiek miał tylko jedno w głowie - ożenek przy ucieczce. Chciał dopełnić starego zwyczaju z rodzinnych stron. Byli niedaleko Panda-ma-tenka, gdy Gaikana potknęła się nieszczęśliwie i zwichnęła stopę. Skurczona z bólu, z wielkim trudem kuśtykała dalej. Kilka razy Sesango wziął ją na plecy niczym małe dziecko. Zostawił ją zaraz przy następnym kraalu Batongów, obiecując gospodarzom obfite dary, jeśli ich czarownik uleczy nogę dziewczyny.

Dobrze się stało, że sam poszedł na plac targowy. Tym sposobem gubił się ślad uciekającej pary.

Widząc, jak odchodzi, Gaikana płakała, ale mężczyzna nie powinien się tym przejmować.

Nie przejmując się niczym, Sesango ruszył wzdłuż ruchliwego szlaku przez sawannę wiodącego od pól złotonośnych Tati przez Bulawayo aż do Panda-ma-tenka i stamtąd aż do stolicy szczepu Bamangwato, Szoszongu w Beczuanaland. Trakt ten stanowił potężną, ruchliwą arterię komunikacyjną, na której nie był już sam. Przeciągały nim ciągnięte przez woły wozy, poganiacze osłów biegli po piaszczystej nawierzchni, a Makalaka nosili coś w rodzaju lektyk z podróżnymi przybyłymi tylko po to, aby poznać obcy kraj i opowiedzieć o nim swoim pobratymcom szczepowym w Europie, w co oni i tak nie chcieli uwierzyć.

Wszędzie kolorowo odziane tłumy, tutaj niebezpieczeństwo odkrycia było znacznie mniejsze niż na pustkowiu, jakie pozostawili za sobą. Sesango zdumiewał się, ilu ludzi ma ten

sam cel! Pomimo niezdrowego, cieszącego się złą sławą malarycznego klimatu Panda-ma-tenka stało się sporym osiedlem namiotów, którego mieszkańców nie dało się nigdy dokładnie obliczyć, gdyż ciągle ktoś przybywał lub właśnie wyjeżdżał.

Młody człowiek przypatrywał się wszystkiemu z otwartymi ustami. Nie, on nie postąpił tak jak Makalaka zjawiający się wyłącznie po to, aby upić się do nieprzytomności brandy i leć na poboczu niczym martwi. Pozwolił zanieść się ludzkiej rzece na plac targowy i tam zapytał pierwszego białego o proch i ołów. Ale jego rozmówca nie znał ani sindebele, ani sikkaranga. Wkrótce jednak młody człowiek domyślił się, że można sobie poradzić językiem znaków i zaraz miał w woreczku swoje sto kul, za które musiał oddać jedną jedyną skórę pytona.

Dziwni ludzie, ci biali! Jaką wartość mogła mieć łuskowata powłoka węża! Przecież zjeść dawało się jedynie mięso. Białoskórzy mieli najwidoczniej coś z głowami, a to mogło być dla czarnego człowieka tylko korzyścią. Za kość słoniową dostał dwa błękitne wełniane koce, a ponadto chciano mu dać lekarstwo.

Tak, a *co* za muti? Na ból zęba? Biały kupiec wypchnął językiem policzek, przycisnął do niego dłoń i przewrócił oczyma. Sesango pokręcił głową. Mężczyzna jęknął głośno i trzymając się za brzuch, skręcił się w udawanych bólach. Dolegliwości żołądka? Nie. Bóle głowy? Młody człowiek zaśmiał się, gdyż nie znał takich „chorób”. Biały nie bardzo wiedział, o co mu chodzi, bo jak mógł się domyślić, że Sesango, tak jak Europejczycy, chce się związać z kobietą, tak aby miało to ważność przed bogami i ludźmi? Niezbędna okazywała się pomoc tłumacza.

Ostatecznie Sesango udało się znaleźć jednego z tragarzy noszących lektyki, odzianego w prawdziwe spodnie ze sztruku i będącego najwidoczniej na usługach jakiegoś białego łow-

cy. Znał on nieco angielski i wspólnymi siłami udało im się wytłumaczyć Brytyjczykowi, o co chodzi czarnoskóremu.

A, ten Karanga chciał się dostać do stacji misyjnej! On go zaprowadzi. „St. Joseph” leżało zaraz po drugiej stronie. Od dziesięciu lat zamieszkiwali tam biali abafundisi udzielający ślubu tubylczym parom. Nie mógł lepiej trafić. Jego przewodnik szedł tak szybkim krokiem, że obładowany zakupami Sesango z trudem za nim nadążał. Spocony i zdyszany znalazł się nieoczekiwanie u celu. Chaty misjonarzy mieściły się w samym centrum placu targowego, a bicie dzwonu zawieszono nad pokrytą słomą kaplicą niosło się nad wszystkimi namiotami i okrągłymi lepiankami dźwiękiem, jakiego Sesango jeszcze nigdy nie słyszał.

Naprzeciw wyszedł mu odźwierny, również Batonga, ale noszący porządny strój limbo według mody białych. Zapytał młodzieńca, czego sobie życzy, a następnie jeden z braci jezuitów zaprowadził go przez dziedziniec do „induna” misjonarzy mieszkającego w ceglany budynku.

Sesango czuł się początkowo zakłopotany, ale na jego twarzy pojawił się uśmiech, gdy zakonnik zwrócił się do niego w ojczystym języku. Miał jasne oczy i potężną długą brodę, co mogło sprawiać wrażenie, że przybrał w nim postać monodoro, duch lwa.

Zęby się nie zdradzić, Karanga chciał opowiedzieć misjonarzowi zmyśloną historię, ale wypadki potoczyły się zupełnie inaczej. W te spokojne, tak przyjaźnie uśmiechnięte oczy, jak gdyby wiedzące, co dzieje się pod afrykańskim słońcem, musiało się powiedzieć prawdę i to nie przysięgając na własne mutupo, totem.

- A więc, o ile cię zrozumiałem, szukacie u nas schronienia? - zapytał duchowny, kiedy już wszystkiego wysłuchał.

Sesango pokręcił głową.

- Nie, mfundisi, chcemy od ciebie wielkiego czaru białych czyniącego z nas męża i żonę, nawet jeśli nie zgadzają się na to nasze klany.

Jezuita zaniemówił na chwilę, a potem odparł z uśmiechem:

- Usiądź, synu wodza, gdyż ta sprawa nie jest taka prosta, jak ci się wydaje.

Młody człowiek spojrzał nieufnie na wskazane mu krzesło, ten dziwny wynalazek białych, wolał usiąść na podłodze, tak jak do tego przywykł. Gospodarz zaś mówił dalej:

- Przykro mi cię rozczarować, Sesango, ale jeśli chcesz poślubić Gaikanę, twoją narzeczoną, musisz najpierw zostać ochrzczony.

- Czy nie moglibyśmy dostać wielkiego lekarstwa wody? - zapytał młody gość wyczekująco.

- Owszem, tylko przedtem musicie się dowiedzieć, czego oczekuje od was biały Bóg. A to trochę potrwa. Musielibyście około pół roku, aż do końca następnej pory deszczowej, pracować i uczyć się tu, na stacji misyjnej. Dałoby się to zrobić. Co ty na to?

Sesango wzbraniającym gestem wyciągnął przed siebie ręce.

- Mfundisi, to niemożliwe. Moi rodzice martwią się o syna. Będą myśleli, że rozszarpał mnie leopard. Jestem posłańcem Kewero, mojego ojca. Szlak ku północy wybrałem ze względu na moich prześladowców. Musimy jak najszybciej ruszać dalej, aż wreszcie okrężną drogą dotrzemy do Gokomere, w moje rodzinne strony - ręką zatoczył przy tym w powietrzu ogromne koło. Afrykanin nie dysponuje mapą, ale wie, dokąd chce się udać.

Jezuita zastanowił się chwilę. Przybysz nie do końca nie miał racji. Nie należało go zatrzymywać. W każdej chwili mogli być rozpoznani, gdyż w Panda-ma-tenka Matabele bywali częstymi gośćmi.



- Posłuchaj, synu wodza. Coś ci powiem. Otrzymałem wiadomość, że abafundisi zmierzają wraz z armią wielkiego Ulodsi do Mashonaland. Być może napotkasz któregoś z nich, a wtedy opowiesz mu, że byłeś tutaj i poprosisz, aby nauczył cię modlić się do białego Boga i ochrzcił was. Zrozumiałeś mnie?

Tak, Sesango doskonale go pojął. Sam przecież, na zlecenie ojca, miał wezwać mfundisi do krainy Mashona.

- Tak zrobimy. Tylko czy twoi indodas zrobią nas także małżeństwem?

Misjonarz przytaknął.

- Bóg, w którego imię zostaniecie ochrzczeni, złączy was także jako męża i żonę. Chciałbym jeszcze powierzyć ci, Sesango tajemnicę wielkiego Boga. To na wypadek znalezienia się w niebezpieczeństwie.

Karanga przysunął się bliżej, wpatrując się w jezuitę jak zaciekawiony chłopiec.

- Jeśli groziłaby wam śmierć, twojej narzeczonej lub tobie, to wystarczy wezwać imienia naszego Boga Jezusa Chrystusa i chcieć z całego serca zostać ochrzczone, a wtedy, gdy by któremuś z was przyszło umrzeć, On uczyni was swoimi dziećmi. Przyjmiecie chrzest pragnienia mający tę samą moc co chrzest z wody. Czy mnie zrozumiałeś?

Sesango spojrzał na niego uszczęśliwiony.

- Wiedziałem, że biały Bóg ma potężne lekarstwa! - odparł.

Ojciec jezuita przekonany o tym, że jego słowa padły na podatny grunt serca, używając dużych obrazów, z jakich korzystał, prowadząc katechezę dla tubylców, przekazał Karandze najistotniejsze treści związane z wcieleniem i śmiercią Syna Bożego. Sesango milczał pogrążony w zadumie.

Potem misjonarz odprowadził go do bramy, pobłogosławił i oprócz wielu życzeń powodzenia dał za towarzysza pielęgniarskiego, aby w razie potrzeby udzielił pomocy Gaikanie.

Sesango wziął swoje pakunki i wraz z Batonga ruszył do wioski. Gaikana była przeszczęśliwa, gdy wrócił, a wszystkie kobiety z kraalu podziwiały piękne wełniane koce. Ale z nogą nie było najlepiej. Czarownik odczynił urok i natarł ją wywarem z ziół. Teraz zaś bojaźliwie wyciągnęła stopę ku uzdrowicielowi ze stacji misyjnej. Batonga pochylił się ujmując kończynę w długie, zręczne palce.

Rozległ się głośny, odbijający echem okrzyk. Ostry ból, lecz ściętno znalazło się znowu na swoim miejscu, wystarczył jeden chwyt. Jeśli przez kilka dni będzie oszczędzać nogę i zawiązać, tak jak jej pokaże, to nic się nie może wydarzyć.

Sesango nie wiedział, jak ma go wynagrodzić, ale uzdrowiciel wzbraniał się skromnie. Mogło to dziwić, gdyż Batonga uchodzili zwykle za bardzo chciwych.

Sam od siebie rozmówił się jeszcze z wodzem, aby pozwolił obcym na przeprawę łodzią.

Gdy kacyk zaczął się targować o zapłatę za tę przysługę, powiedział mu, żeby przyszedł do stacji misyjnej, a mfundisi hojnie go wynagrodzi. Karanga nie potrafił opanować zdumienia.

- Nie znasz nas wcale i nie jesteśmy ludźmi abafundisi. Dla czego to robisz?

Pielęgniarz odrzekł na to:

- Jesteśmy chrześcijanami. - A potem poszedł tam, skąd przybył.

Batonga z wioski potwierdzili, że w przypadku chrześcijan chodzi o szczególny rodzaj ludzi. Doświadczyli już tego wielokrotnie.

Sesango natomiast nie zdradził im swojego sekretu. Dopiero gdy znaleźli się z Gaikaną sam na sam, zrelacjonował wszystko, co wyjaśnił mu abafundisi, niczego nie przemilczając. W jej oczach pojawiła się jeszcze większa nadzieja. A więc była droga, aby połączyć się razem i to bez konieczności py-

tania o zgodę rodzin. Ich „ożenek przy ucieczce” dopełni się, gdyż biały Bóg jest mocny.

Tego wieczora po raz pierwszy zwrócili się do Niego w modlitwie.

Dwa dni później, prowadzeni przez jednego z Batonga, wyruszyli z gościnnej wioski, pokonując ostatnie czterdzieści mil dzielące ich od Zambezi. W promieniu piętnastu mil słyszało się pierwsze, odległe grzmoty spadającej wody, zaś z dala widziało ogromną mgłę od zawsze unoszącą się nad nieprzebytą dżunglą. Mżawka stawała się coraz mocniejsza, aż wreszcie przemokli na wylot. Niesione przez Sesango koce zaczęły ciążyć jak ołów. Każdy krok zbliżał ich coraz bardziej ku wiecznemu deszczowi.

Szum stał się hukiem, grzmiotem, rykiem tłumiącym wszelkie słowa.

Zaraz też pochłonęła ich tropikalna dżungla. Posuwali się naprzód, czołgając na rękach i kolanach. Liany nabrały grubości męskiego ramienia, paprocie miały grubość drzew, a cierń wielkość sztyletów. Wszystko rosło tu zanurzone w dusznym gorącu niziny, w trudnej do wyobrażenia ciągłej wilgoci. Grzyby wielkości tarcz nie stanowiły rzadkości, zaś szczyty palm, na których wrzeszczały małpy, tworzyły z koronami pozostałych olbrzymów nieprzenikniony zielony dach. I to teraz, w okresie zimy! Pomiedzy liśćmi zwieszały się błyszczące tęcze, rozpalone wszystkimi kolorami tropikalnego słońca. Wydawało się, że będzie można dotknąć ich rękoma.

Wspaniałe orchidee wydawały słodkawy aromat, zwieszając z pni otwarte kielichy. Upierzone jaskrawo ptaki muskały skrzydłami czoła intruzów; ich świergot zagłuszał poszum bliższej już katarakty.

Stanęli na wschodnim występie skalnym, widząc nieogarniony ogrom majestatycznej rzeki nadciągający z północnego zachodu. Błękitnozielona ściana pędziła przed sobą wodne masy, z gniewnym poszumem okrążała liczne wysepki, łączyła się i rozdzielała ponownie, spadając z rykiem wyzwolonego przedpotopowego olbrzyma w przerażającą przepaść. Nieustające wycie, biel piany i iskrzenie wilgotnego powietrza. Dzień i noc nad wąską gardzielą setki metrów w górę unosiły się dymiące chmury rozbitej na mżawkę wody, strasząc w ciągu dnia słonecznymi tęczami, a w nocy łukami srebrzystej poświaty.

Prawdziwie Mosi-oa-tunia! - grzmot z dymem, jak tubylcy nazywali wodospad!

Gaikana przypomniała sobie pieśń z dawno minionej nocy tańców. Drżąc, przytuliła się do Sesango, ale jego słowa przytłumił szum wody, a on sam też trząśnięty od stóp do głów. Prowadzący ich Batonga przywykł już do tego widoku i odważnie posuwał się dalej, dokąd stopy znajdowały oparcie na gładkich granitowych skałach. Tylko małpy potrafiły zejść w dół przepaści, widząc to, co od zawsze pozostawało zakryte dla ludzkich oczu. Stopniowo zdobyli się na odwagę i ruszyli za dającym im znaki przewodnikiem. Z rozszerzonymi ze strachu oczyma zajrzeli w otchłań. Od czasu do czasu powiew wiatru unosił w górę wodny welon, a wtedy widziało się kanciaste skalne występy, wznoszące się ku górze niczym blanki starego siedliska demonów, rozbrzmiewającego mrozącymi krew w żyłach odgłosami.

Ilu ludzi rzucono w te odmęty jako ofiary dla bóstw deszczu? Trudno było zebrać myśli, już sam widok przyprawiał o zawrót głowy.

Gaikana poczuła się szczęśliwa, gdy Batonga dał znak do dalszej podróży. W uszach szumiało, w oczach migotało, a kolana miękły przy oglądaniu straszliwego wodospadu! Obraz tych ryczących przepaści pozostawał na całe życie.

Potem wzdłuż bezludnego brzegu rozciągały się dzikie leśne ostępy i bez przewodnika nie trafiłoby do kraalu Szewago, wodza Barotse, od którego zależała zgoda na przeprawę. Batonga osiągnął, co zamierzał. Kacyk zadowolił się upominkami wręczonymi mu przez Sesango. Następnego dnia miał łodzią przewieźć swoich gości na drugi brzeg. Z tego miejsca, wędrując stale wzdłuż rzeki ku wschodowi, dotrą do kraalu Wankie, pierwszego większego skupiska Kafrów na północnym brzegu, położonym na pograniczu krain Marotse i Batonga.

Dotrzymał swojej obietnicy i uciekinierzy powędrowali dalej. Nagle na powstałej po pożarze przecince w buszu napotkali potężnego, czarnego bawołu. Zdarzyło się to tak nagle, że nie mieli już czasu na ucieczkę, choć dzieliła ich od niego spora odległość. Sesango krzyknął tylko:

- Padamy i udajemy martwych!

Wspiąć się na drzewo już by nie zdążyli, gdyż rozwścieczony bawół - w przeciwieństwie do atakujących byków - pędził ku nim z pochylonym łbem. Karanga rzucił na ziemię wszystko, czym był obładowany, i zaraz sam rozciągnął się jak długi. Gaikana poszła w jego ślady. Leżeli tak, wstrzymując oddechy, jak gdyby właśnie zostali zabici, gdy zjawiała się sapiąca bestia. Bawół zatrzymał się tak gwałtownie, aż wokoło bryznęły fontanny ziemi, rycząc przy tym z wściekłości i rozczarowania!

Martwi, już martwi, i to jeszcze zanim nadział ich na rogi? Jak to się stało? Potężne zwierzę okrążyło nieufnie ludzi, rozkopując pyskiem i kopytami ziemię wokół nich, a także obwąchując ich od góry do dołu.

Głowę Sesango przeszła straszliwa myśl. Gaikana! Oby tylko nie leżała na plecach, bo bawół poczuje bicie jej serca i oddech, a wtedy nastąpi koniec - w kilka minut zostanie wdeptana w ziemię, stając się nieokreśloną masą, jaką znajdowano często po nieszczęśnikach napadniętych przez czarne

potwory. Nie odważył się nawet mrugnąć okiem, gdy gorący oddech bawołu musnął mu twarz. Zanim oddalił się truchtem, zbadał gruntownie dziwne zwłoki. Sesango szepnął:

- Ani mru-mru. Zjawi się jeszcze raz!

Skoro ludzie stosowali fortele, to i bawołowi nie brakowało sprytu.

Udał, że ofiara przestała go interesować.

Posłyszeli jak zbliża się z drugiej strony. Cały manewr rozpoczął się od nowa. Kolejne pełne napięcia minuty! W końcu zwierzę zawróciło i udało, że idzie się paść. Ale zjawiło się po raz trzeci, teraz wreszcie wydając ryk „wróg martwy!” i oddalając się w przekonaniu, że oba stworzenia padły martwe ze strachu. W tej samej chwili Sesango, który trafił twarzą w oset, poczuł kręcenie w nosie. Ale teraz kichnąć? Zapłacą za to życiem. Oblał się zimnym potem, próbując się powstrzymać i się udało.

Jako pierwszy uniósł głowę. Mieli wolną drogę, ślady bawołu kierowały się na południe, pocwałował ku Zambezi do wodopoju, skąd dobiegał tupot i sapanie całych stad.

- Gaikana, możemy wstać.

Ale dziewczyna leżała zemdlona. Jaka moc zachowała ją przed uczynieniem mimowolnego ruchu? Uniósł ją, wziął w ramiona i natarł skronie wilgotnym liściem. Wreszcie odzyskała przytomność, rozglądając się ze strachem wokoło. Zwierzę znikło. Zalała się łzami ulgi. Uratowało ich to, że bawół nie rusza niczego, co martwe.

Młody wojownik odczekał, aż dziewczyna się uspokoi, a potem ujął ją za rękę i opuścili rewir stada bawołów. Sesango trzymał w poprzek drzewce swojego oszczepu, żeby długie, wysokie trawy nie pokaleczyły im policzków. Ciężka to była droga. Wreszcie zobaczyli pierwsze pola kukurydzy należące do tubylców, do kraalu mieli jeszcze jednak długą drogę. Rów-

niez i te uprawy zostały spustoszone przez bawoły, zdające się być w tej okolicy prawdziwą plagą.

Pokryta żyznym mułem nizina musiała dawać obfite plony.

Gdy dojrżeli kraal Dżobe z chatami zakończonymi spiczastymi dachami, zapomnieli z radości, że to wieś Marotse. Ludzie na pewno okazać się bardziej przystępni niż bawoły. Zatrzymali się pod drzewem koralowym, które obsypane purpurowym kwieciem stało samotnie na wzgórzu. Nie wiedzieli nic o rajku utraconym, ale wydawało im się, że dotarli do miejsca, gdzie zaznają spokoju. Wkrótce miała zapaść noc. Z dała jak okiem sięgnąć widzieli tubylców obciążonych niesionymi na głowach koszami, wracających z pracy w polu, a nad wszystkimi dachami unosił się znajomy stukot młódcy do rozdrabniania ziarna.

- Gaikana - odezwał się Sesango - o czym myślałaś, kiedy udawaliśmy nieżywych?

Odwróciła się powoli, spoglądając na niego.

- Sesango, pomyślałam o słowach abafundisi, że otrzymamy pełną moc chrztu z wody, jeśli zapagniemy tego w chwili śmierci.

W napięciu zajął jej w oczy.

- I chciałaś stać się dzieckiem białego Boga?

- Tak, Sesango, z całego serca. A ty?

Odetchnął głęboko.

- Ja także, Gaikano, z całego serca.

Patrzyli na siebie jak urzeczeni.

Zmierzchało się, to znaczy niebo powlekła barwa starego złota i mieszając się z turkusem oraz fioletem, wytworzyła całą symfonię barw, zaś purpurowe kwiaty drzewa koralowego odbijały się na nim, jak gdyby chciały podpalić nieboskłon. Ciemne postaci uciekinierów otaczał majestat stworzenia.

- Gaikano, wobec tego jesteście ochrzczeni, jesteście chrześcijanami.

- Tak, Sesango, jesteście chrześcijanami.

Ujął jej dłoń.

- Posłuchaj, abafundisi powiedział, że Bóg, który przyjmie nas do chrztu, uczyni nas również parą. Jesteście zaślubieni.

Obróciła swoją dziecięcą rozpromienioną twarz ku mądrymu młodzieńcowi.

- Tak, jesteście zaślubieni!

Wskazał głową na równinę, gdzie znajdowała się wioska.

- Tam urządzimy ciche gody weselne. Nie będzie tam-tamów, fletów ani piwa. Ale będziesz nazywać się żoną Sesango, ja mężem Gaikany, i na zawsze będziemy razem.

Razem, po tym co przeszli, na całe życie. Była to wspaniała perspektywa. Nie potrzebowali już klanów, aby żyć razem. Zgodnie z prostymi słowami Sesango biały Bóg wybrał ich dla siebie i znaleźli się pod Jego ochroną, a była ona tak potężna, że czyniła ludzi mężem i żoną.

- Abafundisi powiedział jeszcze, że wolno mi mieć tylko jedną żonę, przez całe życie - dodał młody człowiek, spuszczać nieco z tonu.

Gaikana przyjrzała mu się z troską.

- To bardzo trudne, Sesango. Jak chcesz tego dotrzymać?

W Karandze obudziła się duma.

- Jako syn wodza mógłbym mieć wiele kobiet za żony i za każdą zapłaciłbym porządną lobola. Ale skoro Bóg białych tak nie chce, zostaniesz moją jedyną umiłowaną żoną.

Ta myśl nie była Gaikanie tak całkiem niemiła. Nie będzie musiała nigdy konkurować z innymi współżonami o względy męża.

Wstali, po czym powoli i uroczyście ruszyli ku wiosce Marotse. Wiedzieli, że nie zostaną odprawieni, gdyż nadchodziła



noc. Żaden czarnoskóry nie dopuści się grzechu wyrzucenia gościa po zapadnięciu zmroku.

Przyjmujący ich nie domyślali się nawet, że goszczą młodą parę. Jedli z nimi papkę z prosa i pili uciwala. Zasedli wokół ogniska i opowiadali swoją historię, że wędrują, chcąc zakupić potrzebne im rzeczy. Ale Sesango nie dodawał już: „Ja i moja młodsza siostra”, tylko: „To moja żona”. Gospodarze patrzyli na nich, sięgając palcami do kociołka i formując z rozgotowanego ziarna kulki, wkładali je sobie ze smakiem do ust.

Była to prosta uczta weselna, lecz smakowała po królewsku. Mieszkańcy zaś wyglądali bardzo dziwnie. Mężczyźni nosili na głowach wysokie fryzury z ufarbowanych na purpurowo włosów, kobietom natomiast zwieszały się na czoła cienkie warkoczyki. Wszyscy mieli opiłowane zęby, przypominające paszczę rekina, przez co trudno ich było zrozumieć. Goście pojęli tylko, że mogą na razie pozostać, jeśli Sesango swoim grzmiącym kijem pomoże odpędzać bawoły. Ale nie za długo, gdyż tutaj płacono trybut jednocześnie królowi Marotse z północnego brzegu oraz królowi Matabele z południowego brzegu. Nie żyło się łątwo na pograniczu królestw dwóch krwawych tyranów.

Wszystko ułożyło się dobrze. Przyjęły ich wprawdzie słynące z dzikości stworzenia, ale byli to ludzie. Wszystko u nich funkcjonowało odwrotnie! To oni musieli jeszcze obdarować swoich gości weselnych, potem odprowadzono ich do chaty, nad którą migotały olbrzymie gwiazdy.

Otwór wejściowy leżał tak, że z dala widzieli migocącą Zambezi, błyszczącą srebrzyście w świetle księżyca i toczącą swoje wody na wschód, już spokojne po szalonej wędrówce przez katarakty na zachodzie. Rzeka wydawała z siebie szum przypominający śpiew.

Wydawało się, że śpiewa całe stworzenie.

## Wędrówka przez upały i chłody

Głośnie komenda zabrzmiała nad placem w Macloutsie, gdzie w tych miesiącach oddział odbył solidną musztrę. Żaden rozkaz nie odbił się takim echem we wszystkich sercach, jak ten, dany teraz przez generała Methuena:

- Jutro kolumna wyrusza w kierunku Mashonaaland!

Rozległy się głośnie wiwaty, zapanował powszechny entuzjazm. Wreszcie skończył się długi czas oczekiwania i zaczynała wędrówka!

W błocie i upale uczestniczyli w ćwiczeniach polowych i sprzykrzyły im się już wyrzeczenia obozowego życia. Minął okres febry, szpitale powoli zaczynały się opróżniać. Generał zlustrował oddziały i w końcu wydał rozkaz!

Po ostatnim „spocznij!” żołnierze rzucili się ku siostrom:

- Matko Patricio, żwawo! Proszę posłać chorążego do generała, jeszcze jest czas, żeby pozwolił wam wyruszyć z nami!

Chorążym nazywano siostrę Frances. Otrzymała to przyzwisko, gdy któregoś razu w ciężkich tygodniach opieki nad chorymi przywołała do porządku rekonwalescentów hałasujących głośnie przy grze w skata: „Nie hałasować, proszę!”. Zrobiła to prawdziwie kapraleskim tonem, tak że podopieczni prawie pospadali ze skrzynek ustawionych kołem w „El Dorado” pod cienistymi drzewami. Jak dotychczas generał Methuen nie chciał nawet słyszeć o czymś podobnym. W czasie pionierskiego wypadu do Tuli kobiety nie były na razie potrzebne. Leżało

ono już na terytorium Lobenguli, a nikt nie potrafił przewidzieć, co się wydarzy.

Pomimo to zakonnice nie zrezygnowały i wysłały siostrę Frances. Jej donośny głos nie ustępował w niczym generalskiemu! Matka Patricia również wsparła te prośby. Wszystkie siostry chciały dzielić los żołnierzy, od początku i nie oszczędzając się.

W oddziale ochotników znajdowało się wielu Niemców. Alfred Beit z Hamburga, przyjaciel Rhodesa, pomagający mu swego czasu w założeniu kompanii de-Beers, obiecał, że przyśle oddział niemiecki i dotrzymał słowa. Nie zważano na grożące niebezpieczeństwo, że wszyscy, bez względu na narodowość, mogą zostać zmasakrowani. Przybyli mimo to. Żądza przygód oraz hojna obietnica przydzielenia każdemu uczestnikowi w Mashonaland własnej złotonośnej działki oraz 3000 akrów ziemi okazały się silniejsze. Pomaszerują, ale z siostrami. Bez nich nie można było się już obejść. Połowa z nich wymarłaby jak muchy, gdyby nie zakonnice. Czekali niecierpliwie na powrót siostry Frances.

Towarzyszył jej ojciec Hartmann, przygotowany już do wymarszu, lecz mimo takich „posiłków” lord Methuen odmówił spełnienia prośby. Nie wolno mu dać się porwać entuzjazmowi pionierów żywionemu dla sióstr i powinien zachować trzeźwy umysł. Przecież po wymarszu oddziałów pozostanie jeszcze piętnastu chorych i rekonwalescentów. Na czas zdaży się przecież wysłać z Tuli wiadomość, gdy tylko się okaże, że można tam zapewnić bezpieczeństwo kobietom. Rozkaz jest rozkazem i koniec dyskusji.

Żołnierze rozeszli się ze spuszczoneymi głowami.

Ojciec Hartmann obiecał ożywić ich nieco i zrobił to na swój sposób, organizując przed wymarszem mszę.

Należało dochować wierności starej tradycji. Również anglikański „minister” zwołał swoje owieczki. Jeśli Bóg nie towarzyszył początkom, to wkradał się tam diabeł.

Nastał pamiętny poranek.

Uroczystość kościelna w wielkim stylu: na wzgórzu ustawiono widoczny z dala ołtarz polowy, a u jego stóp zgromadziła się kolumna pionierów oraz oddział policji, za nim zaś setka ciągniętych przez woły wozów, w dolinach stada towarzyszące tej armii, osły, owce, bydło hodowlane oraz około dwóch setek rasowych koni.

Father Hartmann wygłosił przemowę:

- Wiem, że jest nas tylko parę nędznych setek przeciw dziesiątkom tysięcy wojowników Lobenguli - stwierdził z humorem. - Tylko czy to źle? Na stacji misyjnej Empadeni, zaraz obok placu kaźni, było nas najwyższej czworo, a wokoło zamieszkiwały dwa tysiące. Nie zawsze czuliśmy się dobrze we własnej skórze, zwłaszcza że już w roku 1880 dotarło do moich uszu, iż Lobengula obchodził się czasem ze swoimi wrogami podobnie jak oprawcy z apostołem Bartłomiejem, przedstawianym na starych sztychach z własną skórą na ramieniu. Przyznaję, że są łagodniejsze sposoby zadawania śmierci, a czarny Neron zagroził mi nią, gdy się dowiedział, że o tym usłyszałem. Jeśli choć jednym słowem powiem coś o tym białym, to każe ją na mnie wykonać. Ale żyję jeszcze, choć wtedy odprawiono za nas, misjonarzy nad Zambezi, mszę żałobną, a to z powodu niewłaściwego zrozumienia naszego listu.

Przez żołnierskie szeregi przeszedł szmer szeptanych komentarzy. Małego jezuitę dawało się słuchać całymi godzinami - i nagle już głosił słowo Boże, a wszyscy słuchali dalej z niesłabnącym zainteresowaniem.

- Zacheusz był człowiekiem niskiego wzrostu, podobnie jak i ja. Nie interesowało go także nic innego poza pieniąd-

mi, tak jak i niektórych z naszych pionierów. Gdyby wówczas zorganizowano podobną wyprawę i zapewniono złotonośne działki, pewnie wyruszyliby wraz z innymi. Ale zjawił się Chrystus i celnik wspiął się na sykomorę. Bóg jeden wie, jakim cudem udało mu się tego dokonać! Stamtąd mógł dojrzeć Jezusa i powiadam wam, to wystarczyło, by odmienić jego życie. Wezwanie Pana nie było rozkazem, ale prośbą. I niski człowieczek zapomniał, co wcześniej znaczyło dla niego życie. Zapomniał na tyle, że w czwórmasób zwrócił to, co nieuczciwie sobie przywłaszczył. A to coś znaczy. Oddał wszystko dla Chrystusa, nawet własną egzystencję. Życzyłbym sobie, żebyśmy mieli pośród siebie, tu między nami, ludzi tego pokroju. Skoro bierzemy ziemię w posiadanie, to musi się to dziać z Chrystusem, gdyż jeśli pójdziemy tam, będąc na wpół poganami, to w kopalniach złota staniemy się nimi zupełnie. I będę się na starość wstydził, że wyruszyłem wraz z wami. Oczywiście, nie wszyscy możecie wstąpić do jezuitów, choć tam również panuje wojskowy porządek. Ale możecie i powinniście być pełnowartościowymi chrześcijanami. A wtedy i ja do was dołączę.

Żołnierze stali słuchając w bezruchu; kaznodzieja pasował do nich. A do tego kilka prostych słów - do zniesienia na pusty żołądek, chociaż traktowały o niebie zamiast o ziemi, którą mieli zamiar podbić. Za chwilę ojciec Hartmann poprawił nałożoną na mundur albę, włożył ornat i celebrował mszę dalej. Dowiedli mu, że nie brakuje chrześcijan pomiędzy nimi; wielu przyjęło Pana na kolanach, nie zważając na innowierców.

Potem, tegoż 11 lipca 1890 roku, w drogę wyruszyły pierwsze oddziały.

Za nimi potoczył się długi wąż wozów taborowych, lekka i ciężka artyleria, cysterny na wodę zwane brass-band (orkiestra dęta), gdyż tłukły się nieznośnie, będąc puste i - rzecz nie mniej ważna - słynny agregat prądowórczy do zasilania re-

flektorów. Wszystko to, wraz z żołnierzami na koniach, wzbijało nad Macloutsie tumany kurzu. Ciągnęli niczym w brunatnym obłoku na północny wschód. Nad rzeką Tuli mieli zamiar wznieść pierwszy fort. Do oddziału wypalającego drogę przyłączył się liczny impi tubylców z ludu Khamy, Bamangwato pomagających z radością białemu człowiekowi wdrzeć się jak najgłębiej w krainę odwiecznego wroga Lobenguli. Oddali się pod komendę Selousa dowodzącego kompanią inżynierską i znającego ich mowę. Taka pomoc mogła się przydać.

Siostrzom trudno się było pogodzić z tym, że zostają z dwiema grupami pionierów i trzema oddziałami policji. Po wycofaniu ciężkiej broni oraz najbardziej bitnych kompanii wojska niebezpieczeństwo napadu Matabele raczej wzrosło. Ojciec Prestage został wraz z nimi, a to okazało się wiele warte. Musieli sobie nawzajem pomagać. Gdy któregoś razu matka Patricia prowadziła za ojca odmawiany co wieczór różaniec, do namiotu zajrzał van der Riet, młody Bur zaopatrujący w Macloutsie kuchnię sióstr w dziką zwierzynę. Zaraz jednak wysłiznął się na zewnątrz i ruszył ku towarzyszom:

- Ciszka, nie możemy teraz przeszkadzać, siostra Patricia celebryje!

Katolicy wyśmiali nieszczęśnika, tak dumnego z zasłyszanego gdzieś słowa.

Noce wiązały się z wieloma niebezpieczeństwami i zagrożeniami. Raz siostra Constantia złożona gorączką leżała sama w namiocie zakonnicy, gdy nagle posłyszała ciężkie posapywanie.

Uniosła się więc, sprawdzając własny puls, ale nie okazał się na tyle wysoki, żeby mogła mieć halucynacje! Natomiast głośno i wyraźnie rozlegał się odgłos jakby chrapiącego człowieka. Siostrę kucharkę niełatwo było wyprowadzić z równowagi. Przeżyła przecież najcięższe burze piaskowe, które zerwały

jej kiedyś znad głowy plandekę kuchni! Zapaliła zapalną, lecz zaraz ją upuściła sparaliżowana przerażeniem.

W nogach jej łóżka usadowiła się ogromna żmija sykliwa, tchnąc na nią oddechem z otwartej paszczy. Osłabienie gorączką? Siostra Constantia jeszcze nigdy tak szybko nie opuściła posłania: zawinęła się w stary wełniany koc, a następnie wykonała ratujący jej życie skok - skok z miejsca - niczym żołnierz na ćwiczeniach polowych!

Willie van der Riet stał właśnie na warcie, ale w wypadku żmii wolał ściągnąć posiłki. Wąż został oślepiiony światłem, po czym celny strzał zdruzgotał mu łeb. Czy mogło dziwić, że tej nocy termometr siostry Constantii wskazywał niebezpieczne wartości?

Tak, te noce pod namiotem stanowiły ciągłą wojnę nerwów. Teraz, zimą, ziemię skuwał wieczorny przymrozek, a w powietrzu ciągle poświstywały podmuchy wiatru. Tylko przemęczenie pozwalało siostrze zapaść w niespokojny sen. Czasami drżące z zimna siedziały, przytrzymując z całych sił skraj namiotu, gdyż wydawało się, że za chwilę ich schronienie odleci. Jakże ciężko przychodziło objąć nocny dyżur, kiedy bezsennie spędziło się całe godziny na surowej pryczy, licząc się w każdej chwili z możliwością znalezienia się pod gołym niebem!

Każdą wolną minutę spędzały, siedząc przed namiotem z górą rzeczy do cerowania i łatania na kolanach - podartych bryczesów, postrzępionych sztruksowych kurtek. W starych skrzyniach po amunicji leżała brudna bielizna, którą pod eskortą nosły w wolne od mgły poranki ku rzece i prały spracowanymi, spękanymi rękoma.

Już przyszyście guzika stanowiło dzieło miłosierdzia i samozaparcia, gdyż zakonnice ciągle musiały zmagać się z dojmującym uczuciem nieustannego przemęczenia dopadającego je

nawet w jasny dzień, dokądkolwiek tylko się udały i cokolwiek robiły. Ich stan napełniał troską lekarza polowego. Siostry wyniszczały się całkowicie. Przy następnym przeglądzie oddziałów miał zamiar zwrócić uwagę dowództwa, że również święci są tylko ludźmi. Ale nie zdążył.

Podczas pory deszczowej, z końcem października, w Mac-loutsie, aby zorientować się w sytuacji, zjawił się Cecil Rhodes wraz z brytyjskim komisarzem sir Henry Lochem, któremu towarzyszył lord Elphinstone.

- Wolno mi zajrzeć również i tutaj ? - zapytał Rhodes przed namiotem sióstr. Matka Patricia przytaknęła z uśmiechem.

- Oczywiście, sir! W dziczy klauzura została złagodzona.

Rhodes cofnął się wstrząśnięty.

- To przecież niemożliwe... Tu mieszkacie?

„Łóżko" stało w bagnie, nieomal tonąc w trzęsawisku, otoczone chmurami moskitów, zaś powietrze przepelniał odór zgnilizny. Jeszcze tego poranka siostra Frances spóźniła się na mszę, gdyż buty ześliznęły się jej z derki i znikły w błocie. Wszystko, co było niezbędne, należało przywiązywać do pryczy. Było to jedyne w miarę bezpieczne miejsce, gdyż ziemia znajdowała się w ciągłym ruchu.

Cecil Rhodes spojrział na wysokiego komisarza, a jego wzrok mówił wystarczająco wiele.

- Gdzie Negrzy, siostro!

- Nasi pielęgniarze?

- Tak, przecież przygotowałyście kilku? Dlaczego nie otrzymali polecenia, aby w porze suchej zbudować dla was chaty?

Matka Patricia splonęła rumieńcem.

- Było tak wiele zajęć, oni przecież też muszą mieć chwilę wolnego...



Rhodes pokiwał głową. To nie było mu obce! Gdy tylko kiwnęli palcem, Kafrowie zaraz czekali na wynagrodzenie i wyciągali się na drzemkę w gorącym piasku. Już on ich popędzi! Przecież tak dalej być nie mogło.

- Myślałyśmy, że nie będą potrzebne - zatroskana matka Patricia próbowała bronić swoich podopiecznych. W błękitnych oczach wzburzonego Rhodesa zapalały się niebezpiecznie ogniki! - Każdego dnia spodziewałyśmy się rozkazu wymarszu w ślad za pozostałymi.

Rhodes opanował wzburzenie.

- Musicie mieć chaty! W ciągu ośmiu tygodni mają być gotowe! Przed końcem pory deszczowej nie ruszycie się z miejsca. Proszę mnie dobrze zrozumieć, siostrze! Nie mieliśmy możliwości ściągnąć was do Tuli. Zdarzyło się tam, hm, kilka nieprzyjemnych wypadków, które nakazywały nieco odczekać.

Nie dokończył, gdyż panowie chcieli udać się do namiotu szpitalnego, gdzie leżał młody Elphinstone już jako rekonwalescent. Na krótko przed przybyciem sztabu rządowego udało się wznieść sprowadzoną z Kraju Przyładkowego konstrukcję na metalowych wspornikach sprawiającą solidniejsze wrażenie i chroniącą zarówno przed słońcem, jak i przed deszczem. Teraz ulewy będą miały o mocny dach! Młody lord wziął ojca na stronę.

- Dad, to, że żyję, zawdzięczam zaraz po Bogu również tym siostrze. Teraz mamy tu prawdziwy komfort. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, przez co przeszliśmy. Tam dalej, widzisz, stał namiot dla chorych: dyzenteria, biegunki i zapalenie jelit, wszystkie odmiany duru, jakie tylko chcesz. - Nagle blade, wychudzone oblicze młodego człowieka oblał szkarłat rumieńca: - Ojciec, między nami mężczyznami nie było mowy o jakichś manierach. Nasze posłania stawały się czasem cuchnącymi latrynami. Osłabieni robiliśmy pod sie-

bie, wielu leżało bez przytomności. Zakonnice nie wezwały czarnych, zajmowały się nami same. Musiałem pozwolić pomóc sobie przy czynnościach, do jakich nie dopuściłbym nawet rodzonej matki. A one robiły to bez zmruczenia oka. Jednego razu przejaśniło mi się w głowie i łkałem z niedoli i wstydu. Wtedy jedna z nich, ta młoda przełożona, pogłaskała mnie po głowie i powiedziała: „Spokojnie, chłopcze, to nic takiego. Nasz Zbawiciel był także mężczyzną, a będąc dzieckiem, również potrzebował pomocy Matki. Teraz wszyscy jesteście naszymi dziećmi”. Tego jej nigdy nie zapomnę, nigdy, dad. - W oczach zabłysły mu łzy: - Gdyby Chrystus sam tego nie powiedział, należałoby dodać to błogosławieństwo: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”!

Złożył głowę na ramieniu ojca i obaj mężczyźni milczeli przez chwilę.

Zaraz jednak mówił dalej:

- Dad, trzeba się postarać o posiłki dla nich, bo inaczej ktoś regoś dnia padną przy namiocie szpitalnym i więcej się nie podniosą, i to nie tylko dlatego, że ziemia jest teraz bardzo śliska.

Ojciec przytaknął.

- Tak będzie, chłopcze! Rhodes wszędzie słyszy to samo, że nie można się bez nich obyć. Z Tuli także otrzymaliśmy podobne wezwanie. Poślemy prośbę do klasztoru w King Williamstown o wsparcie, obojętnie w jakim wieku.

W świecie nie ma po prostu takich kobiet, które byłyby to w stanie przetrzymać, nawet gdybyśmy przeszukali cały Kraj Przylądkowy i przetrząsnęli wszystkie kąty.

Wstał z miejsca.

- Natomiast ciebie, chłopcze, zabieram do domu. Wyglądasz gorzej, niż ci się wydaje, później też możesz podążyć do nowego kraju.

- Nie, dad! Przecież już wróciłem do zdrowia!

Lord przerwał mu energicznie.

- Jedziesz ze mną, gdy tylko będziesz zdolny do podróży, tylko że na południe.

Rozmówił się wcześniej z siostrą Patricią, która wyraziła opinię, że bardzo osłabionemu chorobą jelit organizmowi należy dać więcej czasu na rekonwalescencję, zanim ozdrowieniec będzie mógł wyruszyć w dalszą drogę. Lord Elphinstone uściskał jej dłoń.

- God bless you, sister, niech Bóg siostrę błogosławi. - Nie był zbyt wylewnym człowiekiem, ale matka Patricią widziała bijącą mu z oczu wdzięczność.

Zjawił się także u Cecila Rhodesa.

- Proszę przy przyszłym podziale gruntów nie zapomnieć o siostrach. Zasłużyły na pierwsze miejsce w sercu buszu.

Rhodes się uśmiechnął.

- Jeszcze nigdy nie zapomniałem o kimś, kto poszedł w moje ślady. Tylko te kobiety oczekują innej nagrody, które nie jesteśmy im w stanie dać pomimo wszystkich naszych diamentów. Jeśli bez rozlewu krwi uda nam się dotrzeć do Mount Hampton, będziemy to zawdzięczać nie tylko naszym przewidywaniom i dyplomacji. Tak, to dziwni ludzie, te zakonnice i jezuici. Przed każdym mogę zdjąć kapelusz. Nie imponują mi

tym, co mówią, tylko tym, kim są.

Długo rozmawiał z młodą przełożoną. Było tak, jak gdyby wyczuwali, że ulepiono ich z tej samej gliny, choć walczyli w imię różnych idei.

On owładnięty żądzą powiększenia posiadłości białych ku chwale korony brytyjskiej, siostra Patricią natomiast opuściła dom i ojczyznę, aby służyć wiecznemu Królowi aż po granice zaparcia się samej siebie. Oboje byli awanturnikami nieliczącymi się z ryzykiem i niebezpieczeństwami, oboje mieli w sobie

to porywające coś, co sprawiało, że ludzie szli za nimi, pomagając w realizowaniu głoszonych przez nich idei.

- Nie bardzo wiem, siostró, czy uda mi się urzeczywistnić moje wyobrażenie o pokojowym, braterskim współżyciu obu ras w kraju kwitnącym postępowaniem i rozwojem gospodarczym, ale jestem szczęśliwy, że nie zrezygnowałem z zamiaru wezwania do nowego kraju jako pierwszych również misjonarzy.

Jakże rzadką władzę skupiał w swoich rękach ten młody człowiek, który w wieku trzydziestu sześciu lat otrzymał dekret królewski dający mu pełnomocnictwo do zdobycia nowych posiadłości. Był właścicielem ogromnych trustów diamentowych w Kimberley, premierem Kraju Przylądkowego i ojcem British South Africa Company, która, jeśli plan się powiedzie, miała odgrywać pierwszoplanową rolę w angielskiej historii!

Jakże uboga i nieznacząca jawiła się natomiast ta młoda przełożona - a przecież, o ile bardziej wydała mu się dostojna w pełnej dzielności prostocie. Uśmiechnął się.

- Być może staniecie się kiedyś prawdziwymi „zdobywcami” Mashonaland, wy, którzy oddaliście wszystko, aby wyznaczyć „poletko” Bogu i zdobyć perłę w roli, o której wspominał Chrystus!

Uściskał jej dłoń.

Oboje poczuli, jak gdyby to także było historyczne spotkanie, jedno z tych rzadko odnotowywanych przez kronikarzy, chociaż więcej w nich historycznej powagi niż w takich, wokół których robi się wiele szumu.

Matka Patricia miała rację: nowe lepianki skończone na krótko przed Bożym Narodzeniem nie pozostały zbyt długo zamieszkałe. Z początkiem marca 1891 roku wymaszerowały ostatnie oddziały. Również siostry wezwano w pośpiechu do Tuli, gdzie pora deszczowa pozostawiła po sobie trzydziestu

trzech chorych. Bez względu na to, czy z domu macierzystego otrzymają wsparcie, czy nie, przynajmniej trzy z nich musiały ruszać w drogę, aby zapobiec rebelii wśród żołnierzy. Siostra Constantia oraz Frances pozostały z kompanią policji, dopóki zakonnice z King Williamstown nie przybyły na miejsce, oczywiście zaprzężonym w woły wozem.

Od nowego celu dzieliło je jedynie trzy dni drogi, a przecież Tuli oznaczało jeszcze większe opuszczenie i zagubienie niż Macloutsie. Obozowisko rozbudowano jako fort, natomiast szpital oraz chaty sióstr leżały na uboczu - dla zapewnienia spokoju. W całej okolicy roiło się od watah wilków, które nocą podchodziły pod namioty, odbywając swoje koncerty. Rzeka Tuli znajdowała się w odległości dwóch angielskich mil - było coraz trudniej, gdyż drogi zaopatrzenia stawały się dłuższe. Pomimo bezludnego pustkowiecia siostra Patricia odważyła się na ryzyko i w towarzystwie tubylca wyruszyła lekkim dwukołowym spring cart do Macloutsie, kiedy przybył stamtąd pilny posłaniec, donosząc, że z domu macierzystego jako posiłki przybyły dwie nowe siostry z Niemiec. Policjanci widzący ją pędzącą obok stacji pośredniej Similabi pokręcili głowami. Ta kobieta miała w piersi serce mężczyzny. Nikt nie sądził, że zdobędzie się na taką śmiałość. Ufała bardziej swoim świętym niż dobremu karabinowi maszynowemu, który mógłby się zaciąć. Pomachała ku nim z uśmiechem - i tyle ją widzieli.

W Macloutsie natomiast przeżyła niespodziankę - cóż to za dzieci jej przysłano!

Siostry Bona i Berta wyglądały jak bliźnięta: obie blondynki, niskiego wzrostu i z okrągłymi buziami - jeszcze w welonikach nowicjuszek. Ale co miała powiedzieć? Czy sama nie przybyła do Afryki, mając siedemnaście lat? Przecież właśnie w tym wieku nie widzi się żadnych trudności!

Z Macloutsie monstrancja powędrowała wraz z matką Patricią dalej w głąb dziczy. Ojciec Prestage przygotował właśnie ogromną „arkę Noego” do dalszej wędrówki na północny wschód!

Jeszcze w lutym wyruszył w drogę ojciec Hartmann, towarzysząc kompanii inżynierskiej. Teraz w czerwcu ich śladem mogły pociągnąć siostry wraz z oddziałem policji. Zmęczone i wyczerpane ciężką pracą w szpitalu kolejny raz miały przed sobą wielotygodniową podróż. Gdy się żegnały, z trzydziestu trzech chorych pozostało tylko siedmiu. Pod ich opieką mężczyźni wrócili do zdrowia, natomiast one same bliskie były załamania. Niejednokrotnie zdarzały się nocne alarmy, kiedy rozchodziła się wieść, że impis Matabele otaczają obozowisko.

Włączano wówczas reflektory, przeszukując szerokimi pasmami światła całą okolicę, a wartownicy zajmowali pozycje przy karabinach maszynowych, przygotowując się do otwarcia ognia. W Tuli znajdowano się właściwie na granicy krainy Matabele, a praktycznie na terenie królestwa Lobenguli. Każdego dnia mógł nastąpić atak. Ale widziano jedynie, jak na horyzoncie płoną kraale tubylców. Wojownicy czarnego Nerona wyładowywali swój gniew na ludzie Mashona!

Dobrze, że eskorta policyjna nieustannie towarzyszyła wozowi. Przynależał do niej także Willie van der Riet, major oddelegował go do osobistej dyspozycji sióstr.

Polował po drodze, zaopatrując ich kuchnię, szczęśliwy, że może w jakiś sposób odwdziżyć się za nieustanne trudy.

Przez pierwsze dni obie nowicjuszki z Niemiec śpiewały jeszcze piosenki, wydawało się, że mimo przeżytych okropności odbywają spokojną przejażdżkę. W chwilach niebezpie-

czeństwa obawiały się tylko jednego - że umrą, zanim złożą pierwsze śluby zakonne! Szczęśliwa młodość!

Potem przeszła im ochota na śpiewanie!

Znajdowali się tylko trzydzieści mil za rzeką Umzingwane, gdy w stepie zgubił się Willie van der Riet!

Jak zawsze wczesnym rankiem wziął strzelbę, aby ustrzelić kilka okazałych antylop. Trzymając się porośniętego gęstym buszem brzegu Umzingwane, nie mógł właściwie zabłądzić. Ale okolica myliła: długie, wysokie trawy - teraz, w okresie zimy, żółte i wyschnięte - zamykały się nad głową rosnącego mężczyzny, zasłaniając mu widok. Cały teren to wznosił się, to opadał w lekkich pofałdowaniach, jedynie tu i tam wyrastało drzewo stanowiące pozorny punkt orientacyjny, jedno podobne do drugiego. Do tego dochodziło złudzenie spokojnego, suchego powietrza. Odległości oceniane na najwyżej kilometr należało liczyć potrójnie. Gdy młody burski policjant uchodzący za doskonałego tropiciela nie wrócił w południe, a ognisko siostry Constantii wciąż paliło się beczynn timer, ojciec Prestage stracił spokój. Policjanci z eskorty rozproszyli się, szukając i strzelając w powietrze - niestety bez odpowiedzi. W poszukiwaniach białego człowieka wzięli udział także czarni poganiacze - na próżno. Dzień zbliżał się ku końcowi, ucichły śmiech i śpiewy młodych nowicjuszek.

Z rozszerzonymi ze strachu oczyma przysiadły na dyszlu, zaciskając kurczowo złożone na podolku dłonie.

Ojciec Prestage ruszył ku swojemu wierzchowcowi.

- Tym razem musicie same pozostać na popasie, drogie siostry. Ruszam z powrotem do Tuli, żeby ściągnąć stamtąd większą grupę poszukiwawczą. Nasz człowiek jest stracony, jeśli nie znajdziemy go w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Zakonnice nic nie odpowiedziały, siostra Amica zaczęła łkać, jak zawsze, gdy strach ścisnął jej serce. Zagubić się w tym

straszonym kraju - cóż za tragedia! To morze wysokiej trawy, szumiące i falujące w powiewach wiatru, kryło w sobie tyle niespodziewanych zasadzek, wszelkiego rodzaju bestie i hordy dzikich Matabele!

- Matka jest tak spokojna - stwierdziła siostra Bona bojaźliwie, a jednocześnie ze zdziwieniem, spoglądając na przełożoną okrągłymi ze strachu oczyma, kiedy już zapadł zmierzch.

- Właśnie obiecałam Matce Bożej grootę lourdzką, już w Mashonaland, kiedy dotrzemy do celu, żeby chroniła Williego van der Rieta. Wierzę w to, że Ona go uratuje. - W jej oczach pojawiła się cicha pewność, choć nadchodziła noc, dzika afrykańska noc zdolna pozbawić człowieka ostatniego promyka nadziei.

Ojciec Prestage wrócił z Tuli ze spuszczoną głową, nic nie zdziałał, musieli ruszać dalej, gdyż stracili już pięć dni.

Wszystkich ogarnęło przygnębienie: jezuita mimo woli przypomniał sobie listę zmarłych znaną każdemu członkowi Towarzystwa Jezusowego. Pierwszym był na niej ojciec Fuchs zmarły w 1880 na febrę, drugi ojciec Law, który w tubylczej chacie w kraalu Umsila zakończył życie w nieopisanych męczarniach, trzeci ojciec Wehl, czwarty ojciec de Wit, nie zapominając o ojcu Teroerde otrutym przez Batonga - a właśnie nadeszła wiadomość, że także brat Nigg, który chciał go wówczas ratować, również padł ofiarą zatrucia.

Tak działo się rok w rok. Nie była to wolna od niebezpieczeństw romantyczna wyprawa, gdy posłańcy Boży zagłębiali się w serce Afryki. Ich drogę znaczyły krzyże wycinane niczym słupy milowe w pniach drzew.

Siostry spojrzały po sobie. Skoro ojciec Prestage tak cicho i poważnie mruczał do siebie, wodząc przy tym nieruchomym wzrokiem za wołami, jak gdyby skupiały one jego pełną uwagę, to czy... czy nie położył już krzyżyka na Willim van der Riet?



Panowało pełne smutku milczenie: rosnący upał męczył wszystkich, pozbawiając ochoty na rozmowę. Matka Patricia miała wszelkie powody ku temu, aby modlić się, żeby mała trzódka jej sióstr nie straciła całkiem odwagi. Jednostajnie trzaskały bicze, rozbrzmiewały okrzyki ciemnoskórych pogańców, z których kilku zbiegło cichcem za Umzigwane, gdyż nie czuli się bezpieczni na terytorium Lobenguli. Woły zapadały się na wertepach, skąd przy wielu stęgnięciach i krzykach wyciągano je z powrotem. Stanowiło to jedyną odmianę.

Wysokie, płowe trawy kołysały się nieustannie niczym bezkresne puste morze, a bezchmurny błękit nieba wzmagał jeszcze uczucie pustki i samotności.

Nagle w oddali dojrzano wystające spoza krzaków mimozy brunatne uniformy policjantów. Ojciec Prestage, który dojrzał ich pierwszy, wystrzelił w powietrze. Znalaziono van der Riet? Przybysze ruszyli ku obozowisku - wszystkim mocniej zaabiły serca.

Byli to znajomi z obozowiska nad Macloutsie, dwaj młodzi oficerowie, nie mniej ucieszeni ze spotkania niż sami podróżni. Towarzyszyli siostram w czasie pierwszej wędrówki i zdziwiły ich dwie nowe twarze.

Willie van der Riet? Nie - że jeszcze żyje, w to już nikt nie wierzył. Przesłano nawet telegram do Kraju Przylądkowego. Najprawdopodobniej rozszarpały go lwy. Szkoda chłopaka, owszem.

A czy można dostać filiżankę herbaty?

Życie toczyło się dalej.

Chętnie spełniono ich prośbę. Miło tak odpocząć, kiedy się zmierzcha. Pili długimi łykami, opowiadając, że udają się do Tuli przekazać meldunki. Były już takowe? Nie do wiary -

zaśmiali się. Siostry najwidoczniej zostały całkowicie odcięte od reszty kolumny. No tak, to można zrozumieć, po co jeszcze wprawiać w niepokój spóźnialskich! Udało się posunąć ładny kawałek ku północnemu wschodowi i oczywiście napotkano nieprzyjaciela, jeśli tak wolno powiedzieć. Nie, na szczęście obyło się bez walki!

Uśmiechnęli się, spoglądając porozumiewawczo na siebie. Czy powiedzieć siostronom całą prawdę?

Na razie unikali tego tematu. Oczywiście, po spotkaniu wędrowców mieli przekazać serdeczne pozdrowienia od ojca Hartmanna, który stał się starym pionierem.

- Czy potraficie sobie wyobrazić, że już od roku jesteście w drodze? Tak szybko mija czas. Nie rozpoznaliście małego Tyrolczyka. Nauczył się w tym czasie dosiadać konia, i to jak! To właściwie nie jest śmieszne, ale Nkosi, jego ognista ko była, solidnie dała mu się we znaki. Gdy przeprawialiśmy się przez Umzigwane, ta bestia zrzuciła jeźdźca i miał szczęście, że w ostatniej chwili udało mu się chwycić gałęzie zwisające z drzewnego brzegu.

Wisiał tak, jak ten długowłosey ze Starego Testamentu, jak mu tam było?

- Absalom! - odpowiedział rozbawiony ojciec Prestage.

- Tak, no więc na gałęziach, ale nie za włosy, tylko przy trzymając się rękoma, aż poganiacze wydobyli go i pomogli mu wydostać się na brzeg. Myślicie, że zrezygnował ze swojego zamiaru? Przy następnym rozkazie: „Na koń!” już siedział w siodle. I wtedy ta diabelska Nkosi znowu go zrzuciła, ale tak, że major stwierdził: „Nie żyje!”. Gdy pochylił się nad nim, ojciec Hartmann odzyskał przytomność, zerwał się i otrząsnął z piasku, bo głową trafił w muldę usypaną przez wiatr, która złagodziła siłę uderzenia. Szczęście w nieszczęściu! Teraz cwałuje z policją na wyścigi. Znaleźliśmy rozwiązanie tej ła-

migłówki; musiał zdjąć ostrogi, miał za krótkie nogi i drażnił kobyłę, nawet o tym nie wiedząc. Jeśli w następnym roku zobaczycie jakiegoś generała na koniu, będzie to z pewnością ojciec Hartmann!

Powszechna wesołość. Oficerowie rozejrzeli się wokoło. Dziwna cisza nastąpiła wokół ogniska. Gdzie się podziali Kafrowie?

Ojciec Prestage zmarszczył czoło.

- Powiedziałem, nie mam nic przeciwko Zulu, pozostali nie wiedzą, co to dyscyplina. Najpewniej wykorzystali naszą rozmowę i wzięli nogi za pas. Co się właściwie dzieje?

Kapitan odparł z uśmiechem.

- Mogę ojcu powiedzieć. Około dwustu Bamangwate pomagających nam przy budowie drogi porzuciło nas zaraz za Umzingwane. Lobengula ma rację. Tylko Khama jest kimś pomiędzy nimi. Nie nadają się do niczego oprócz pasienia kóz!

- A więc rzeczywiście nie było kontaktu z nieprzyjacielem?

Major Willoughby zmieształ się nieco, spoglądając z ukosa ku siostrze, ale nie mógł nie powiedzieć prawdy.

- W żadnym wypadku, father. Nie na próżno odbyliśmy pewne ćwiczenia polowe, które co do powagi nie pozostawiały nic do życzenia. Przy Umshabetsi słynącej z niebezpiecznego gładkiego i skalistego brzegu liczyliśmy się mocno z atakiem Matabele. Jeszcze nad Tuli, dokładnie przed rokiem, gdy kompania D rozbudowywała płaskowzgórze na fort, przybyło do nas ponad trzydziestu indodas Lobenguli. Ringkops, „spięte głowy”, jak nazywają ich Burowie, wszyscy uzbrojeni po zęby. Sami umuntu wenkosi, ludzie króla, nieznający się na żartach. Zażądali widzenia z majorem Johnsonem. Ojciec Hartmann objął rolę tłumacza. Zażądał, żeby najpierw odłożyli assegais i knobkerries; a potem przekazali przesłanie tego czarnego przechery. Lobengula prosił amakiwa, aby odbyli męczącą dro-

gc do Mashonaland przez jego stolicę Bulawayo. Bardzo chce  
na własne oczy zobaczyć tak potężną kolumnę wojska z nową  
bronią, koźmi i wołami, a także wskazać lepszy i krótszy szlak.  
Major Johnson przybrał swoją słynną kamienną twarz i nawet  
nie mrugnął okiem, nakazując odpowiedzieć ojcu Hartman-  
nowi, że zdumiewa go i zaskakuje uprzejmość króla, nie chce  
jednak, aby tak wiele nóg, tak wiele ciężkich dział i broni niszczyło jego drogi, a niezliczone stada objadały jego pastwiska.  
Dlatego woli kierować się do Mashonaland wzdłuż granicy.  
Oblicza „spiętych głów” wyrażały rozczarowanie. Żeby ich  
pocieszyć, Johnson polecił zabrać ich do obozowiska na po-  
częstunek. Zupełnym przypadkiem odbywał się przegląd lek-  
kiej broni i zdarzyło się, że czarni zobaczyli skierowanych ku  
sobie ze trzydzieści luf.

Nieomal zemdleli z przerażenia. Wrażenie musiało być duże,  
gdyż nie odważyli się później na atak. Oczywiście nie nagaby-  
wani dotarli na miejsce, gdzie zarzneliśmy dla nich wołu. Syty  
wróg nie walczy chętnie. Nie wiem, co z naszej odpowiedzi  
dotarło do Lobenguli, w każdym razie nasze drugie spotkanie  
z nimi wypadło dużo poważniej.

Major Willoughby zapalił wygasłą fajkę i wyglądało na to, że  
nie ma zamiaru opowiadać dalej. Ale nie wykreślił się. Młody  
kapitan musiał dokończyć relację i widać było, że stara się ba-  
gatelizować całe wydarzenie.

- No cóż - rozpoczął oficer, rzucając majorowi zdespero-  
wane spojrzenie - drugie spotkanie nie było już takie przyjem-  
ne. Z końcem lipca poprzedniego roku zjawiała się druga grupa:  
trzydziestu wojowników wyrosło przed nami w buszu jak spod  
ziemi. Z wyraźnym rozdrażnieniem Lobengula zapytywał przez  
ich induna, co biały człowiek zamierza w jego kraju z tak potęż-  
ną armią. Johnson odparł niewzruszony i z uśmiechem, że nie  
chcemy niczego innego, jak wypełnienia umowy zawartej swego

czasu z Lobengula. Mineworking nie zajmuje się garstka ludzi, do tego trzeba setek robotników. Jak nas zapewnił sam władca, górnicy znajdują się pod jego ochroną i mają wolną rękę, jeśli chodzi o poszukiwanie złota i diamentów w Mashonaland. Induna odparł ostro, że Lobengula nie potrafił przekonać swoich ludzi o naszych pokojowych zamiarach i każe nam przekazać, iż stracił kontrolę nad swoimi rozgoryczonymi indodas.

Za to, co nastąpi, nie czuje się odpowiedzialny, gdyż nie da się już opanować wzburzenia jego wojowników. Może jedynie na czas powiadomić o tym białego wodza, a poza tym ma związane ręce. Co robić? Doktor Jameson podjął próbę pisemnej mediacji i Moffat osobiście wyruszył do niego, ale czy to coś pomoże, to jeszcze zobaczymy. W każdym razie otrzymaliśmy pewną wiadomość, że dwadzieścia tysięcy Matebele znajduje się pod bronią. Mam nadzieję i życzę wam, byście bez przeszkód dotarli do fortu królowej.

Kapitan zamilkł. Zapadł zmrok, siostry słuchały, nie śmiejąc oddychać. Ojciec Prestage podjął próbę znalezienia bardziej przyjaznego zakończenia. Nie chciał, żeby zakonnice czekała bezsenna noc. Zwrócił się więc do majora ssącego w milczeniu fajkę.

- A teraz, sir "Willoughby, musi nam pan jeszcze opowiedzieć, jak oddział dotarł do celu. Tu, w dziczy nie mamy gazet ani gońców. Jak to było zeszłego roku? Słyszałem jedynie, że osiągnęliście na północy Mount Hampdon, to wszystko.

Major Willoughby opróżnił powoli swoją fajkę, a następnie odparł z pojednawczym uśmiechem.

- Stało się to we wrześniu, gdy szczęśliwie znaleźliśmy się na miejscu i okazało się, że nie spełniło się piękne proroctwo banyai - zająknął się, gdyż powiedział za dużo.

- Jakie proroctwo? - wtrąciła się mała nowicjuszka o blond włosach.

Willoughby podrapał się po głowie.

- Wtedy, gdy po raz drugi odwiedzili nas Matabele, nieco później na skałach pojawiło się kilku tubylców, najwidoczniej ściganych przez Ndebele.

Nie mieli nawet czasu, żeby ściąć sobie włosy, co przy ich szopach i upale coś znaczy. Taki stary groggy, pijak, wołał do nas załamując ręce: „O, o, white man, alas! Zostaniesz ofiarowany assegais Lobenguli! Biała matka zapłacze nad tyloma pięknymi dziećmi!”.

Siostra Berta uśmiechnęła się promiennie do majora:

- Wspaniale, chętnie słucham takich historii. Opowie pan coś jeszcze?

Wojskowemu opadła szczeka. Co za młodzież! Nastroszył się.

- Siostrzyczko! - zbeształ ją. - Proszę sobie tego nie wyobrażać zbyt romantycznie. Lobengula kazał przekazać Johnsonowi, Selousowi i Colenbranderowi, że jako chiefs zastrzeżeni są osobiście dla niego, żeby mógł ich żywych dać obedrzeć ze skóry, jeśli wpadną w jego ręce. To chyba siostrze wystarczy.

Siostra Amica pobladła straszliwie, chwytając kurczowo dłoń matki Patricii. Natomiast mała bezczelna blondynka uśmiechnęła się beztrząsco z czarem swoich osiemnastu lat.

- W Niemczech mówi się, że nie sprzedaje się skóry niedźwiedzia, dokąd się jej nie ma. Wydaje mi się, że to samo odnosi się do groźby Lobenguli. Przecież bezpiecznie osiągnęliście cel, prawda?

Tak rzeczywiście było. Ale co to znaczyło w tym kraju? Mashonaland zdobyto zaledwie kilka miesięcy temu.

- Jest nam pan jeszcze winien zakończenie - wtrącił się ojciec Prestage, mrugając okiem.

Major Willoughby odetchnął.

- Tak, to była podniosła chwila, gdy rozbiliśmy obóz pod Mount Hampdon i zatrzymaliśmy się na popas. Serca zabiły

nam w piersi gdy sygnalówka zagrała znaną melodię: Come to orders!, zbiórka po rozkazy! Rozkaz tego pamiętnego 13 września brzmiał: „Kolumna po osiągnięciu miejsca przeznaczenia, stój!” - twarz majora Willoughby rozjaśnił płomień ogniska i wspomnienie. Zamilkł na chwilę, a następnie dodał cicho: - Odbyliśmy paradę w pełnym umundurowaniu, siedmioletnia oddała salut królewski, duchowni odmówili „Ojcze nasz”, a nad obozem i nowym krajem powoli wzniósł się Union Jack.

Odchrząknął, nie miał już nic do dodania.

- Pomódlmy się za nowy kraj i wszystkich, którzy w nim zamieszkają - zakończył jasny głos matki Patricii.

Ze złożonymi dłońmi otoczyli gasnące ognisko.

Następnego ranka oficerowie pocwałowali w dalszą drogę do Tuli, a ciągnięty przez woły wóz, ogromna „arka Noego” potoczył się ku północnemu wschodowi. Siostra Constantia miała znowu szczęście. W południe mogła obracać nad ogniem solidne pieczyste. Młody kapitan ofiarował jej upolowaną rankiem samicę strusia. Oskubana z piór tusza ogromnego ptaka kołysała się przywiązana do planeki pod jej czujnym okiem. Upał wzrastał coraz bardziej, zdawał się zawodzić i mruczeć niczym woda w imbryku, w oczach migotało, a w gardle palił ogień, jak gdyby przełknęło się porcję pieprzu. Jak okiem sięgnąć nie było wystarczająco wody, żeby ugasić pragnienie wywoływane czerwonym pyłem. Gwałtowne picie nie przynosiło ulgi, drobnymi, ostrożnymi łykami należało delektować się przegotowaną, letnią breją.

W znużeniu zamykało się oczy, marząc o chłodnych, czystych źródłach, cichych jeziorach, mruczących leśnych strumieniach, starej studni z orzeźwiającej, kryształową strugą tryskającą z kamiennej cembrowiny na ciasnym miejskim ryneczku.

I nagle okrzyk wybijający z drzemki niczym szturchnięcie łokciem:

- Uwaga, ogień!

Rozkaz do sięgnięcia po broń?

Nie, nad północno-wschodnim horyzontom unosiły się obłoki ciemnego dymu. Palił się kraal Mashona? Nie, typowy pożar buszu, trzeba zachować najwyższą ostrożność! Ojciec Prestage znający doskonale zdradliwe zasadzki ognistego żywiołu nie powiedział ani słowa, tylko trzasnął biczem nad wołami. Jedyne poganiacz, jaki im pozostał, skulił się ze strachu. Zabrali go do wozu, policjanci ruszyli kłusem.

- To przecież tak daleko - stwierdziła beztrąsko siostra Bona, a potem zaciekawiła się: - Po co ten pośpiech?

Oczywiście nie było przyjemnie podskakiwać w twardej drewnianej skrzyni bez resorowania, gdyż zaraz miało się bóle żołądka.

- Te płomienie pędzą z szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę i więcej. Sucha dżungla płonie niczym lont. To, co słyszycie, *to* nie strzały, tylko trzask jęzorów ognia. Niech Bóg ma nas w opiece, jeśli zawieje wiatr!

I rzeczywiście, wkrótce drżał i płonął cały północny horyzont, a bure kłęby dymu zaciemniły błękit nieba. A teraz - co to znowu takiego? Leopardy w biały dzień? Tak jest - wszystko uciekało na południe, starsze osobniki i niebezpieczne matki z młodymi. To jeszcze nie wszystko. W takich sytuacjach widuje się całą faunę Afryki uciekającą przed niebezpieczeństwem - z wszelkiego rodzaju wężami na czele.

Również woły, nawet niepopędzane wpadły w ciężki, kołyszący kłus. Zwietrzyły ogień i ryczały ze strachu. Jeśli poddadzą się panice, trzeba będzie porzucić wóz. Ojciec Prestage próbował uspokajać je, nawołując każdego po imieniu.



Wreszcie wydawało się, że pożar wygasa. Płytką rzeka - na drugą stronę, aż bryznęła woda! Trzymać się! Nie zwracano uwagi, czy przypadkiem pod koła nie dostał się krokodyl. Jeden z wołów potknął się w szlamie, łamiąc nogę. Policjant dobił go strzałem z karabinu. Odetchnąć mogli dopiero na drugim brzegu. Woda stanowiła zaporę dla ognia.

Na tym popasie mieli sporo pracy. Upadający wół złamał dyszel i zerwał łańcuchy.

Ojciec Prestage spojrział tam, gdzie wciąż jeszcze na widnokręgu drgała szarobura zasłona, wiejący od niej gryzący podmuch zatykał oddech. Z oddali dochodziło wycie ginących zwierząt!

- Jeśli van der Riet natrafił na coś takiego... - stwierdził ktoś. Spojrzeli po sobie.

- Może udało mu się znaleźć jakiś kraal, gdzie go przyjęto - stwierdziła niewinnie siostra Berta. Uśmiech ojca Prestage<sup>e</sup> był nieprzenikniony.

- Nie jest wcale powiedziane, siostrzo, że to okazało się dla niego wybawieniem. Wystarczy, że pomyślę o biednym ojcu Law, który miał zamiar misjonować w kraalu Umsilii położonym daleko za Sabi, tam na wschodzie, oddalonym o wiele mil od Fortu Wiktoria! W czasie podróży tubylcy zarekwirowali mu wóz i wraz z bratem Hedleyem musiał się pieszo przedrzeć przez busz.

Wreszcie dotarli do królewskiej osady - umierający na febrę. Czym ich tam poczęstowano, wiedzą jedynie niebiosy, w każdym razie zapadli na ciężką chorobę jelit. Leżeli razem w ciasnej, cuchnącej chacie. Nawet tę odrobinę powietrza dochodzącą od wejścia zabierali im ciekawscy mieszkańcy, czekający, aż umrą. Nie widzieli przecież jeszcze, jak kończy życie biały człowiek!

Młody ojciec przeleżał trzy miesiące w agonii, a potem jego cierpienia dobiegły końca. Brat Hedley, który właśnie odzy-

skął przytomność, musiał patrzeć, jak szczury z piskiem rzuciły się na zwłoki. Powiedział potem, że zawył wręcz niehumanicznym głosem, na co gapiący się Negrowie uciekli w panice. Rzucił się na zmarłego, chcąc go ochronić. Bez pociechy sakramentów, w nędzy i osamotnieniu zmarł ojciec Law, jeden z naszych najlepszych i najmłodszych.

Następnego dnia wóz potoczył się dalej przez żar i chłód.

Było to blisko przed Fortem Viktoria, gdy napotkali lekki, ciągnięty przez osła powóz, który przez łagodną porośniętą lasem dolinę tamtejszych okolic zmierzał prostu ku nim. Pośłańcy?

Nie, Cecil Rhodes i jego śmiały, młody przyjaciel doktor Jameson we własnej osobie! Co za miłe spotkanie. Uścisnęli sobie ręce. Czyżby dotarli do celu podróży? Nie, należało jeszcze przebyć kawałek drogi, ale...

- Wysłałem wam na spotkanie pułkownika Pennfathera wraz z eskortą, żeby przeprowadzili was przez ten diabelski młyn. Tego nie mogłem już domagać się od was samych!

Cecil Rhodes wyglądał na zmęczonego. Podejmując się zdobycia nowego kraju, wziął na siebie ogromne brzemię, które już teraz miało swój ciężar!

Podział ziemi - wymierzanie złotonośnych działek. Po długiej, niebezpiecznej wędrówce nie było tak łatwo zaspokoić wszystkie oczekiwania. Gdyby nie miał przy sobie wiecznego optymisty Jamesona, który cieszył się taką popularnością, że wszyscy nadali mu przydomek „Dr Jim”, to nie potrafiłby się cieszyć ze swoich dokonań. Już samo myślenie o posiłkach! Linia kolejowa docierała dopiero do Vryburga w Beczuanaland, a Ohm Krueger nie wykazywał zrozumienia dla jego pierwotnego planu, żeby na własny koszt jak najszybciej budować ją

dalej, bo przecież Rhodes twierdził, że „szyny sięgają dalej niż działa”. Bez łączności z Krajem Przylądkowym osadnicy w razie napaści nie mieli najmniejszych szans.

Napaść? Czy nadal należało się z nią liczyć?

Takimi obawami Jameson się nie przejmował. Liczył sobie trzydzieści kilka lat i zrezygnował z dobrze prosperującej praktyki lekarskiej w Kimberley, gdy Rhodes zaczął zbierać wokół siebie „dwunastu apostołów”. Nie liczył się z żadnym niebezpieczeństwem; odwagą mężczyzna osiągnie wszystko. Dla niego Rhodes był ustawionym człowiekiem - wyprawa zakończyła się bezkrwawo, czego chcieć więcej? O resztę spraw zatroszczy się później.

Ale matka Patricia dostrzegła długie spojrzenie, jakim Rhodes obrzucił samotny grób na brzegu rzeki, nad którym wznosił się skrzywiony wiatrem polowy krzyż. Powieszono na nim różaniec - a ona osobiście podarowała go w Mafekingu pewnemu młodemu konwertycie, który teraz znękany trudami „podboju” spoczął w obcej ziemi Mashona. Nie, nie sięgnięto po assegais przeciwko białemu człowiekowi, ale za to znalazło się wielu innych wrogów.

- Mamy sporo chorych - przyznał Jameson. - Wszyscy w Mount Hampdon czekają na was, to znaczy w Salisbury, bo tak je nazwaliśmy. Jest tam także duży szpital, oczywiście - przerwał nagle. Czy powinien już teraz straszyć siostry?

- Dla nas nie oczekiwaliśmy od tej wyprawy niczego innego - uśmiechnęła się pocieszająco młoda przełożona. - Żebyśmy tylko już tam były! Chcemy jedynie na krótko zatrzymać się w Forcie Viktoria, nieprawdaż, father Prestage?

Ale Cecil Rhodes pokręcił głową.

- Nawet jeśli niczego nie oczekujecie, to proszę nie zapominać, że jako syn pastora znam się trochę na Biblii. Napisało w niej, że ci, którzy ze względu na Chrystusa pozostawili

wszystko, otrzymają stokroć tyle już na tym świecie. To dopowiedzenie robiło na mnie zawsze wielkie wrażenie. Postaram się choć trochę przyczynić się do tego, aby te słowa zostały spełnione.

Jameson roześmiał się, wdrapując na kozła powozu i grożąc żartobliwie palcem.

- Dalej w drogę, zanim Rhodes w tym nastroju odstąpi pół Salisbury. Ale tylko wtedy dostaniecie swoją ziemię misyjną, jeśli oprócz *Te Deum* zobowiązecie się nauczyć tubylców także *God, save the Queen!*

Powóz potoczył się dalej, a oni pomachali na pożegnanie.

Gdy z daleka dostrzegli Fort Viktoria, w ich kierunku wyjechał pułkownik Pennefather wraz z honorową eskortą. Nieco później mijali dymiący kraal Mashona. Wszystkie chaty zostały spalone, a z wioski dochodził głośny płacz i zawodzenia.

- Opłakiwanie zmarłych! - poinformował pułkownik, od wracając wzrok. - Do tego już przywykliśmy. Jedźmy dalej!

Lament kobiet i dzieci długo jeszcze rozbrzmiewał za nimi niczym ponury marsz towarzyszący im aż do fortu. Podróżowali od czterech tygodni, gdy 5 lipca przybyli na miejsce - na trzydniowy odpoczynek.

Przed sobą mieli kolejną czterotygodniową wędrówkę.

Było lepiej pamiętać tylko o bieżącym dniu, który dość miał swojej biedy, a wszystko inne pozostawić Bogu.

Oficerowie poszczególnych oddziałów powitali ich z wielką serdecznością. Pomędzy nimi nie brakowało takich, którzy dzięki opiece siostr powrócili do zdrowia. Pierwsze pytanie brzmiało:

- Czy jest jakaś wiadomość o Willim van der Riet?

Bezradne wzruszenie ramion i nieomal współczujące uśmiechy.

- Wierzy siostra jeszcze w jego ocalenie? O tym nikt już nawet nie wspomni.

Matka Patricia nie upadała na duchu, lecz inna wiadomość wycisnęła jej z oczu gorzkie łzy.

Syn lorda Elphinstone, którym opiekowała się podczas ciężkiej choroby jelit, zmarł w czasie drogi do Kraju Przylądkowego. Nie na próżno przestrzegała przed zbyt wczesną podróżą. W forcie czekał na nią list jego rodziców, w którym lord i jego małżonka wypraszała dla niej Boże błogosławieństwo za wszelkie dobro i miłosierdzie, jakie wyświadczyła dwudziesto-jednolatкови.

W ostatnich słowach wspominał siostrę Patricię, swoją drugą matkę, a ona opłakiwała go, że nawet wstrząśnięci oficerowie stanęli w milczeniu. A więc to prawda, że nawet w tak ciężkiej pracy przy pielęgnowaniu chorych siostry zachowały współczujące serce, które nie dało się stępić przyzwyczajeniem do ludzkiego cierpienia.

Ojciec Prestage próbował odwrócić jej uwagę, mając nadzieję, że nie nadejdzie jakaś zła wiadomość o Willim van der Riet. Również i on otrzymał ważną korespondencję, ale z Grahamstown, gdzie mieściła się centrala jezuitów.

- Mamy nowego superiora misji nad Zambezi - oznajmił, a na jego pomarszczonej od słońca i wiatru twarzy pojawił się zadowolony uśmiech. - Zastąpi ciężko chorego ojca Daignault. To nasz „brytyjski lord morski”. Po nim możemy się wiele spodziewać!

- Kto? - matka Patricia przetarła zapłakane oczy.

- Ojciec Henry Schomberg Kerr pochodzi z arystokratycznego szkockiego rodu. Do trzydziestego roku życia pełnił służbę jako oficer na mostku jednego z okrętów Royal Navy -

znów uśmiechnął się do siebie. - On już zajmie się statkiem „Rodezja”, nawet gdyby przeciekał na dziobie i na rufie! Teraz nad Afryką zawieje morską bryza, wkrótce sami się o tym przekonamy!

- Jest taki surowy? - zapytały lękliwie obie nowicjuszki.

- On? Każdy stary wilk morski bierze przed nim nogi za pas, zdrowo weźmie nas w obroty. Ale bez obaw, ma złote serce!

W rzeczy samej, dziwny portret przełożonego misji. Oczy matki Patricii pojaśniały nieco.

Trzy spokojne dni - niewyobrażalny luksus. Potem znów pociągną dalej na kołyszącym się wozie, mającym doprawdy coś wspólnego z płynącym okrętem.

Matka Patricia zawsze stawiała sobie cel przed oczyma.

## Narodzone między białymi

Sesango i Gaikana, trzymając się za ręce, zatrzymali się bez słowa, wytrzeszczając oczy.

Przez całe miesiące wędrowali, ciągle uciekając.

Wreszcie przekroczyli granice okręgu Gokomere i stanęli na rodzinnej ziemi Sesango. Za pagórkiem leżał kraal Kewero, gdzie się urodził i gdzie od ponad roku rodzice czekali na jego powrót. Pewnie nikt już nie wierzył, że jest jeszcze wśród żywych.

Mieli za sobą wiele trudów i lęku. Nie robił wyrzutów Gaikanie, że teraz przysiadła, gdyż nogi nie chciały jej nieść dalej. W pośpiechu opuścili kraal Mowemba nad Zambezi, gdy przyszło im tam przyglądać się okrutnej egzekucji obcego przybysza oskarżonego przez czarownika o rzucenie uroku na jednego z mieszkańców.

Ostatnie tygodnie okazały się dla Gaikany najtrudniejsze.

Każdy, kto ma oczy w głowie, musiał dostrzec, że młoda kobieta otula się błękitnym kocem nie tylko z powodu zimna. Nadchodził czas, aby znalazłszy się w spokojnej osadzie, mogła wydać na świat dziecko. Dotychczasowe trudy sprawiły, że jej krok stał się ciężki i powolny, choć dotąd trzymała się bardzo dzielnie.

- Chodź - poprosił ją mąż. - Wytrzymaj jeszcze trochę. Za tym wzgórzem jest pierwsza chata rodu Zhon należącego do klanu słoni. Zaraz ją zobaczymy... o, spójrz...

Zatrzymał się jak wryty i zamilkł.

W miejscu chaty pasterza była dojrzał jedynie stos gliny i resztkę spalonego trawiastego dachu. Zrobił kilka pospiesznych kroków - teraz mógł objąć spojrzeniem całą dolinę - a z jego piersi wydobył się głuchy jęk. Po ojcowskim kraalu pozostały jedynie ruiny i zgliszcza. Wszystko zostało spustoszone - zagrodę dla bydła spalono, a zwierzęta zabrano. Wszędzie panowała martwa cisza.

- Matabele - wydusił z siebie.

Gaikana spoglądała na niego z lękiem. Tak, to było dzieło wojowników jej ludu. Na wszystkie duchy zmarłych - Sesango porzuci ją teraz jako przynależącą do krwawego szczepu Ndebele.

On odetchnął głęboko - tylko kobiety wszczynały lament - ale twarz miał szarą.

- A więc ścigali nas aż dotąd - stwierdził drżącym głosem. - Inaczej nie zniszczyliby właśnie kraalu Kewero. Idziemy, Gaikano, może ktoś się uratował.

Tam, gdzie stały resztki jednej z chat, Sesango zawołał:

- Wakomana? Gdzie jesteście, ludzie? - ale odpowiedź nie nadeszła.

Gaikana szlochała za Sesango, gdyż mężczyzna niechętnie płacze, gdy widzą to inni. Potem mąż ją pocieszył.

- Gaikano, w moim sercu panuje spokój. W miejscu, które biali nazwali imieniem swojej królowej, z pewnością znajdzie my abafundisi. Pójdziemy do nich, bo przecież jesteśmy dziećmi białego Boga.

- Przyjmą nas?

- Wszyscy abafundisi przyjmują czarnych, którzy chcą zo stać ludźmi białego Boga - odparł tonem pełnym ufności.

I skierowali się do Fortu Viktoria.





Gdy oboje znaleźli się w forcie, biali koloniści nie spoglądali na nich życzliwym okiem. Uciekający Mashona stali się prawdziwą plagą. Nie dało się wszystkim zapewnić jakiegoś zajęcia, a pomiędzy nimi nie brakowało złodziei.

Otwarte namioty nie dawały żadnego zabezpieczenia przy ciągle rosnącej liczbie tubylców.

Zwrócili się do wartowników, ale oni nie rozumieli słowa abafundisi; to zdziwiło ich trochę, bo przecież nikt nie wątpił, że biali należeli do białego Boga.

- Baba? - zaczął Sesango, bo tak Batonga nazywali mfun-disi na stacji misyjnej St. Joseph w Panda-ma-tenka. Baba, to chyba znaczy tyle co father? Nagle jeden z brytyjskich chłopów roześmiał się głośno.

- Tam, dalej! Widzicie ten duży, zielony wóz? Tak, to one, nasze siostry. Nie rozumiecie? Tak, baba jest z nimi, ojciec Pre-

stage...

Sesango zrobił gest pytający, czy nosi on długą brodę, gdyż wydawało mu się, że tak ma być. Młody żołnierz uśmiechnął się znowu.

- No, tylko taką krótką. Ale tu - ręką wskazał szyję - białe kołnierzyk, poza tym mundur, jak i my. No understand? Ruszajcie tam i zapytajcie o baba, to wystarczy!

Sesango miał szczęście, że nie natknęli się na jednego z Burów. Od nich nie otrzymałby tak wyczerpujących wieści, bo nie traktowali oni Kafrów zbyt uprzejmie.

Znalezienie wozów wielkości „arki Noego” nie sprawiało większego kłopotu, zwłaszcza że stał nieco na uboczu. Ruszyli ku niemu, gdy nagle Gaikana wydała z siebie przeraźliwy okrzyk, aż Sesango odwrócił się gwałtownie. Czyżby nadeszła jej godzina? Nie - jego żona z rozszerzonymi łękami oczyma



wpatrywała się w śnieżnobiałą kobiecą postać, która pojawiła się przed jednym z namiotów. Obronnym gestem wyciągała przed siebie ręce, chroniąc się przed mashawe, przynoszącym śmierć duchem! Również Sesango zatrzymał się przez chwilę skonfundowany i wystraszony. Zjawa miała białą twarz, dłonie, jasne oczy i długą białą suknię, jedynie wokół jej głowy powiewała ciemna chusta.

Teraz się uśmiechnęła, a duchy w żadnym wypadku nie zwykły się uśmiechać, to Sesango wiedział na pewno.

- To kobieta amakiwa! - uspokoił Gaikanę. - Zobaczysz, porozmawiam z nią!

Podszedł bliżej do budzącej lęk postaci i zapytał dzielnie:

- Abafundisi?

Siostra Amica odwróciła się, wołając do wnętrza namiotu:

- Father Prestage, proszę tu przyjść. - Ojciec już stał obok niej. - Ci czarnoskórzy chcieli jakiegoś abafundisi. Pewnie chodzi o ojca!

Sesango odetchnął. Ten człowiek nie był wcale podobny do misjonarza z Panda-ma-tenka, jego twarz wyglądała prawie jak oblicze białego łowcy, który podarował mu karabin. Tylko że tamten miał rudy zarost, a ten nosił siwe, krótkie bokobrody. Zagadnął go nawet w dialekcie sindebele:

- Chciałeś ze mną rozmawiać? Jestem abafundisi. Czego chcieliście? - a kiedy nie padała odpowiedź, dodał: - Twoja żona boi się pewnie siostry? Nie ma ku temu powodów. Siostry towarzyszą nam i pomogą przynieść czarnym ludziom dobrą nowinę.

Gaikana usiadła na ziemi, gdyż strach podciął jej nogi. Ciągle jeszcze patrzyła na białą kobietę niczym we śnie i nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. To nie duch, tylko człowiek!

Na szczęście Sesango, jej dzielny mąż, rozmawiał już z baba o języku jej ludu. Posłyszała strzępy rozmowy, wyjaśniał, skąd

przybyli i dokąd zmierzają. Stał przez dłuższą chwilę wygłaszając piękną mowę. Na twarzy białego człowieka malowały się rozmaite uczucia, których nie potrafiła sobie wprawdzie wyjaśnić, lecz które z pewnością nie świadczyły o nieufności lub zagrożeniu. Teraz się nawet uśmiechnął.

- Potrafisz poganiać woły? - zabrzmiało pytanie.

Sesango potwierdził, dodając, że znajdzie każdą drogę, którą trzeba odszukać, aż do Zambezi; dowodzi tego jego ucieczka.

- Nie uciekniesz, jeśli coś nam zagrozi?

Sesango zawahał się przez chwilę.

- Jeśli ochronicie moją żonę, nie ucieknę, gdy zjawią się Matabele - odparł wreszcie. Ojciec Prestage podał mu dłoń.

- Dobrze, możesz zostać. A więc jesteś z tej okolicy? Będziesz mógł jutro zaprowadzić nas do Zimbabwe? Potrzebujemy kogoś, kto zna ruiny, a także najkrótszą drogę, bo nie mamy zbyt wiele czasu.

- Jeszcze jako mały chłopiec bawiłem się przy królewskich grobach - pochwalił się Karanga, dumny, że biali ludzie mogą go potrzebować i interesują się krajem. I zaraz poniosła go pycha: - Ale nie przybyłem, żeby prowadzić woły i konie, tylko żeby otrzymać wielkie lekarstwo wody waszego Boga! - wyjaśnił wspierając się na włóczni. Father Prestage otworzył oczy.

- Chrzest?

- Tak, jesteśmy już wprawdzie dziećmi twojego Boga, ale chcemy jeszcze więcej dowiedzieć się o nim i na zawsze do niego należeć.

Misjonarzowi dziwnie zrobiło się na duszy. Oto wyruszył, aby udać się do pogan, a tu pierwsi kandydaci sami przyszli do niego.

- Wejdz do namiotu - zaprosił przyjaźnie. - Tę sprawę należy dobrze omówić. I weź ze sobą żonę!

To był wielki zaszczyt! Który amakiwa wprowadziłby czarnego człowieka do swojego domu? Gaikana ruszyła za nimi. W środku zobaczyli jeszcze kilka innych białych kobiet, ale już przyzwyczaili się do ich widoku.

Jak przystało na kobietę, przysiadła skromnie w pobliżu wyjścia. Mężczyźni odbyli naradę, a białym inkosikazi wolno było się przysłuchiwać, co ich wódz miał do powiedzenia!

Właśnie podeszła do niej jedna z nich, podając kubek pełen chłodnego mleka. Ale jak miała się napić, skoro biała kobieta nie wyświadczyła jej najprostszej uprzejmości. Nie skosztowała pierwszej napoju, a więc nie była jej życzliwa. Matka Patricia odwróciła się, wzruszając ramionami. Za mało znała jeszcze obyczaje tubylców i nie wiedziała, że to jej wina, kiedy spragniona Gaikana odmówiła wypicia mleka. Również podana jej przez siostrę Constantię herbata spotkała się z odmownym kręceniem głowy. Ponieważ w rozmowie padło jej imię, ojciec Prestage spojrział ku niej, uśmiechnął się i podszedł bliżej, wyjaśniając coś siostrze. Wówczas jedna z nich ponownie wzięła naczynie, upiła z niego nieco i to uspokoiło dziewczynę. Nie zostanie otruta w kraalu białego człowieka. Spragniona wypiła wszystko do ostatniej kropli i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Dziwiła się tylko, że podaje się jej napój w obecności mężczyzn. Najwidoczniej biali nie wiedzieli, co to dobre obyczaje!

Teraz jednak siedziała ze złożonymi na podołku rękoma i cierpliwie czekała. Abafundisi miał wiele pytań, a Sesango z wieloma pompatycznymi powtórzeniami opowiadał, w jaki sposób Gaikana i on stali się ludźmi białego Boga i jak to biały Bóg, który jest jeszcze większy od Mwari, najwyższego z bogów Karanga, uczynił ich mężem i żoną. A teraz chcą jeszcze lekarstwo wody zmywające wszystkie winy człowieka.

Ojciec Prestage uśmiechnął się wzruszony.

- Otrzymacie je - obiecał - ale najpierw, tak jak to powiedział mój biały brat w Panda-ma-tenka, musicie przyjąć Bożą naukę. A wówczas, gdy będziecie wszystko wiedzieli, ochrzczymy was, abyście przed Bogiem i ludźmi przynależeli do nas.

Sesango poczuł się nieco rozczarowany, ale wkrótce się pocieszył. Obiecał wiernie towarzyszyć abafundisi. Znał dokładnie okolice zamieszkiwane przez Sesuru, gdyż stamtąd pochodziła jego matka, mógł nawet służyć im za tłumacza. Mógł być bardzo pomocny dla misjonarzy.

Tak skończył się ten pamiętny dzień, a Gaikana mogła nawet spać w namiocie białych kobiet. Sesango ułożył się w wozie, mając pod ręką swój karabin, aby - gdy zajdzie taka potrzeba - bronić go przed złodziejaskami. Również przechodzący obok mężczyźni w uniformach wiedzieli, że przynależy teraz do misjonarza. Młody Karanga postanowił ułożyć nową pieśń upamiętniającą dla potomności to, co przeżyli, ale nie wymyślił jeszcze tytułu.

Następnego ranka przyszło mu coś do głowy, lecz jego kompozycja wyszła zupełnie inaczej, niż to zaplanował.

Zauważył oczywiście, że w namiocie zakonnicy zapaliło się w nocy światło i usłyszał również podniecone głosy rozmawiające w obcych językach. Ale ponieważ biali ludzie robili zawsze dziwne rzeczy, nie przyszło mu do głowy nic szczególnego, aż posłyszał głośny płacz małego dziecka. Ponieważ jednak otrzymał polecenie nieopuszczania wozu, czekał, aż go zawołają.

Nieco później stanęła przy nim silna, spokojna siostra z różowymi policzkami, która wieczorem przygotowując kolację, powiedziała:

- Masz bliźniaki, Sesango!

On nic nie rozumiał, dopóki ojciec Prestage nie powtórzył mu tego w sindebele.

Twarz młodego ojca wykrzywiła się w takim przerażeniu, że wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni. O co mu chodzi - przecież Gaikana i dzieci są zdrowe!

- Zabiliście je już? - zapytał ponownie Sesango, drżąc ze zgrozy.

- Zabić? Kogo, co?

Czyżby biali ludzie nie wiedzieli, że zostawienie przy życiu bliźnięt przynosiło nieszczęście? Należało jak najszybciej skończyć z nimi, aby ochronić się przed złem. Trwało bardzo długo, zanim młody Karanga dał się przekonać, a kiedy posłyszał, że ojciec Prestage jest gotowy dać jego dzieciom wielkie lekarstwo wody, zaniemówił ze zdumienia. Dlaczego biały Bóg od razu przyjmuje te małe, nierozumne istoty, do tego bliźnięta, a ich rodzicom każe czekać?

Minęły dwie bite godziny, zanim misjonarz przekonał Sesango o słuszności swojego postępowania, a zaraz potem obszukał całą Viktorię za chrzestnymi. Wreszcie po długich namowach udało się. Była to pobożna, irlandzka rodzina mająca wędrować wraz z nimi do Mount Hampdon.

Ten pierwszy chrzest w Mashonaland ojciec Prestage świadomie urządził bardziej uroczyście. W szybko wzniesionym namiocie-kaplicy młody Karanga mógł się przyglądać, jak woda białego Boga spływa z czoł bliźnięt. Otrzymały imiona Njina-Maria oraz Gudiva-Maria.

Kiedy wrócili, ciemne oczy Gaikany zabłysnęły szczęściem. Już wstała. Siostry dziwiły się temu bardzo - o, to nic takiego. Na północy, w krainie Sesuru były klany, gdzie mężczyzna kładł się do połogu, a kobieta po porodzie obsługiwała go przez wiele dni!

I tym sposobem dzieci otrzymały zaraz swój pierwszy znaczący przydomek „Urodzone pośród białych!”.

Taki tytuł miała także nosić pieśń, jaką Sesango miał zamiar ułożyć o ich narodzinach. Miał już wiele słów, ale na razie brakowało mu czasu, aby poukładać je jak perły obok siebie.

Zanim ruszą w dalszą drogę na północ, abafundisi wraz z kilkoma oficerami oraz dwiema siostrami mieli zamiar wybrać się na konną przejażdżkę do Zimbabwe. Był im do tego potrzebny. Droga do celu prowadziła siedemnaście mil na północny wschód i wypytano go dokładnie o wszystko, to znaczy ojciec Prestage tłumaczył wiele naiwnych pytań białych mężczyzn. Chcieli dowiedzieć się, kto właściwie wznosił tę twierdzę. Równie dobrze mogli go zapytać, kto stworzył świat. Czarnoskórzy nie mieli najmniejszego poczucia historii. „Wcześniej” albo „dużo wcześniej” - to stanowiło ich jedyne określenia czasu. „Zimbabwe” oznaczało „umocniony grób króla” i to im wystarczało. Ale dla jakiego króla wzniesiono tak wyniosły, ponadczasowy pomnik, tego nie wiedzieli, nie potrafiły tego również odkryć łopaty archeologów.

Wkrótce też zobaczyli ogromne kamienne masy, otoczone wysokimi drzewami, zasadzonymi najprawdopodobniej wokół świątyni. Pułkownik Pannefather dopomógł matce Patricii zejść z konia, wyjaśniając, że ustawiono tu osiemdziesiąt do stu ton surowych granitowych bloków. Wszystko bez zaprawy, więc prawie się nie dowierzało, iż ludzkie ręce zbudowały coś takiego. Ułożono tak również brunatne cegły. Wysokość budowli powodowała zawrót głowy. Wydawało się, że w każdej chwili coś spadnie, a przecież świątynia przetrwała już pewnie kilka tysięcy lat.

Zdumiewali się ogromnym tronem olbrzyma, który wydawał się być wykuty z kamienia narzutowego. Z pewnością nie był on przeznaczony dla zwykłego człowieka.

Czyżby chodziło o niebiański tron Mwariego, stwórcy wszystkiego co żyje, którego tubylcy uważali za budowniczego Zimbabwe?

Ojciec Prestage odszedł z Sesango na stronę:

- Kim jest ten Mwari? Możesz opowiedzieć mi o nim?

Zanim usiadł obok misjonarza na porzuconym kamiennym bloku, rozpalonym od żaru słońca, Sesango rozejrzał się nieśmiało w martwym mieście świątynnym.

- Mwari to ten, którego muszą słuchać nawet duchy. Nikt nie jest większy od niego.

- Czy to dobry bóg?

Karanga spojrzał zdziwiony. Jak można go pytać, czy Mwari jest dobry?

- Wszystko, co dobre, pochodzi od niego. Mwari nie czyni nic złego. Mwari nie myśli też nic złego. Mwari nie chce także śmierci.

Ojciec Prestage przyjrzał mu się uważnie.

- Jak sobie wyjaśniasz, że ten dobry bóg pozwala nam umrzeć, Sesango?

Jego rozmówca nie stracił rezonu.

- Jest o tym stara pieśń, mam ją zaśpiewać?

Misjonarz nauczył się w Empadeni cierpliwości, a zanim oficerowie oprowadzą wszędzie siostry, również Sesango skończy swoje pienia. Młody Karanga objął zaś nogi ramionami, zaczynając pieśń o życiu i śmierci. Brzmiała ona tak:

Na początku Mwari pragnął, aby wszyscy ludzie żyli wiecznie. Potem jednak pożałował tego.

Na początku, gdy Mwari jeszcze chciał, aby wszyscy ludzie żyli wiecznie, posłał kameleona, aby im powiedział, że nie ma śmierci.

Ale kameleon był leniwy i powolny. Usiadł na słońcu i łapał muchy.



W tym czasie Mwari żałował już, że obiecał ludziom nieśmiertelność, więc posłał do nich zwinną jaszczurkę z przesłaniem, że muszą umrzeć. Jaszczurka wyprzedziła kameleona i ludzie zasmucili się, gdyż musieli umierać.

Po jakimś czasie przybył kameleon i obwieścił:

Mwari polecił mi powiedzieć, że jesteście nieśmiertelni. I ludzie nie wiedzieli, co mają o tym wszystkim myśleć.

Ponieważ Mwari nie mógł cofnąć żadnego słowa, gdyż nigdy nie kłamie, postanowił, że tylko ludzkie ciało ma podlegać śmierci, natomiast jego dusza ma żyć wiecznie!

Na tym pieśń się kończyła. Ojca Prestage'a wzruszyły te ślady praobjawienia w tak dalekim kraju. Tylko dlaczego nie padło ani jedno słowo, dlaczego nagle Mwari pożałował swojej decyzji? Mwari zamieształ wysoko w niebiosach i odtąd przestał się troszczyć o ludzi, którzy w swoich lękach musieli się zwracać o radę do duchów zmarłych. Tylko w największych potrzebach dotyczących życia wolno się było zwrócić do samego Mwari. Daleki, obcy bóg! Ani jednego słowa o tym, że ten bóg mógł być ojcem!

- Co jeszcze wiesz o Mwari, Sesango? Czy wasz bóg jest samotny w nieosiągalnym niebie?

Sesango uśmiechnął się z wyższością.

- Nie, Mwari nie jest sam. Mwari jest trzech, a przecież jeden, dlatego nas nie potrzebuje.

Ojciec Prestage drgnął.

- Co powiedziałeś? Trzech, a przecież jeden? Słyszałeś to od ojca w Panda-ma-tenka?

Młody człowiek pokazał zęby w bezgłośnym uśmiechu. Po co te emocje? Że Mwari było trzech, a przecież jeden, o tym w krainie Karangów wiedziało każde dziecko, nawet jeśli nikt nie potrafił tego wytłumaczyć.

- Nie, baba. O tym czarny człowiek wie sam, od dawna, zanim zobaczyliśmy pierwszego białego człowieka. Tak było zawsze.

Ojciec Prestage był wstrząśnięty. Cała sprawa okazała się czymś więcej niż tylko praobjawieniem! To był ślad wiedzy, jakiej tak jasno nie zachował nawet naród wybrany. I to poznanie stało się jego udziałem tutaj, w opuszczonych, tajemniczych ruinach świątyni w Zimbabwe! Czy stał tu może kiedyś, dawno, dawno temu dom prawdziwego Boga i od tej pory zachowała się ta poruszające serce prawda?

Sesango natomiast nie zdawał sobie sprawy, co takiego powiedział, zauważył tylko, że misjonarz spieszył się, aby jak najszybciej powrócić do reszty grupy. Wiedza, którą posiadał, znać miała dla niego więcej, niż gdyby jakiś słynny profesor odkrył domniemany wiek tej czarnej świątyni. Lecz gdy na dziedzińcu zobaczył roześmianych i rozbawionych oficerów, nie powiedział ani słowa.

W spokojniejszej chwili opowie siostrze o swoim odkryciu. Tu musi kiedyś być ich kraj misyjny - można budować na dobrym gruncie, na wierze czarnych w Mwari, boga stwórcę, samotnego, lecz nie samego, gdyż trójjedynego. Postanowił też zatrzymać Sesango przy sobie.

Wyruszono w drogę.

Wrogiem numer jeden stała się w tym roku niezwykła pogoda. W miesiącach znanych zazwyczaj z suszy wystąpiły teraz ciężkie burze i ulewy.

Na odcinku z Viktoria do Charter „arka Noego” ugrzęzła beznadziejnie w szlamie. Były to największe trudy w czasie całej podróży. Podczas gdy deszcz lał się z nieba strumieniami, musieli próbować znaleźć kawałek twardszego gruntu, aby

rozbić namiot. Tej nocy nie zapomniała żadna z sióstr, nie tylko dlatego, że plandeka nie wytrzymała naporu wody. W powietrzu roiło się od miliardów kąśliwych muszek. O spaniu nie było mowy.

Gdy mieli przemierzać ostatnią większą przeszkodę, rzekę Hunyani, nowicjuszki wzięły dzieci Gaikany na ręce, gdyż młoda matka bała się brodzić przez szeroką rzekę z potomstwem na plecach. Skóra obu Marii nabrała już pięknej brązowej barwy, a na jasnoskóre siostry spoglądały okrągłymi, ciemnymi oczyma. Gdy eskorta oddała salwę, aby odstraszyć krokodyle, zaczęły krzyczeć, ile tylko siły. Również ten koncert przyczynił się do tego, że udało im się bez przeszkód dostać na drugą stronę. Woły opierały się, nie chcąc wejść we wzburzone fale. Szeroka rzeka wezbrała jeszcze od nawałnicy również w płytszych miejscach, a mostów nie było żadnych. Nie mieli wyboru! Chore siostry Berta i Bona zapiszczały w swoich hamakach, gdy woda *zalala* niżej położony ładunek, wypływając zaraz bez wyrządzenia szkody. Każdy bagaż został dobrze przywiązany. Głośno rozbrzmiały okrzyki poganiaczy. Gaikana szczękała z lęku zębami. Jej odważny Sesango dowodził nową ich grupą, a pod jego komendą żaden nie odważył się uciec, zostawiając białych na pastwę losu!

Wreszcie zbliżali się do Mount Hampdon, swego celu, miasta namiotów dla kolonistów.

Wydawało się, że bicze trzaskają teraz weselej, zardzewiałe osie piszczą radośniej, a skrzypienie uprzęży i plandeki brzmi niczym westchnienie ulgi. Widząc je policjanci wystrzelili na wiat w powietrze. Przyjazd sióstr miał wyrzucić wrażenie, zwłaszcza że umknęła im salwa honorowa w poprzednim roku. Wystrzały stanowiły także pobudkę!

Gdy przejeżdżali obok okrągłego pagórka, zobaczyli, jak w ich kierunku cwałuje, drobny odziany na czarno człowieczek

siedzący pewnie na grzbiecie ogromnej kobyły, nie wykazującej najmniejszej ochoty do zrzucenia go.

Ojciec Hartmann!

W oczach pojawiły się mu łzy, gdy ścisnął siostrom ręce. Jakże marnie wszystkie wyglądały - blade, niewyspane, zmęczone i obdarte! Przeraził się nieco, widząc młode siostrzyczki leżące w hamakach. Czego szukały te podlotki w Mount Hampdon?

- Próbowaliśmy zbudować dla was chaty, ale niestety, same widzicie, jaką mieliśmy pogodę. Nie ma drzwi ani okien, dach też nie jest gotowy. Na razie musicie zadowolić się wozem. Wygląda na całkiem w porządku. Muszę przyznać, że w żadnej z grup, jakie przyjechały, nie było wozu w takim stanie.

Gdy usłyszał, ile przeszły, zrobiło mu się ich żal. Próbował pociechy na własny sposób.

- To jeszcze nic w porównaniu z moim wjazdem do Salisbury. Miałem wyjątkowego pecha. Zabłądziłem. Ty sam, Peter, wiesz najlepiej, jaki mam talent do gubienia się i to nie tylko ze względu na niski wzrost.

Ta trawa jest po prostu dla mnie za wysoka. W czasie ostatniego popasu przed Mount Hampdon chciałem nieco rozprostować nogi. Jak wszystkie łobuziaki, pobiegłem do źródła, ale nie po to, żeby łapać szczygły. Miałem zamiar zobaczyć, skąd ono wypływa. Co tam droga powrotna, taki wielki obóz znajdę bez problemu!

A tu nastał zmierzch, a z doświadczenia wiemy, jak krótko trwa. W każdym razie słońce nie zatrzymało się na horyzoncie z mojego powodu, tak jak to miało miejsce w Starym Testamencie. Naraz zrobiło się ciemno choć oko wykol. Dojrzałem na południu płonące ogniska. Nasz obóz leżał, jak mi się wydawało, na północy. Czyżby Matabele zażywali rozrywki, podpalając znowu kilka chat Mashonów? Niezbyt miła perspektywa natknąć się na impi Ndebele, kiedy dotąd szło mi już tak dobrze.

Naraz noc przeciął potężny promień światła, ocierając się o moje buty. Błogosławiony wynalazek amakiwa! Nieomal upadłem na kolana, nasze reflektory! Oby tylko wartownicy poświecili nimi jeszcze trochę. Teraz już znałem kierunek: obóz rzeczywiście leżał na południu, a nie na północy. Czy świat zachwiał się w posadach? Ostatkiem sił pobiegłem ku blaskowi niczym oślepiiony zając.

Nagle czyjś okrzyk: „Stój, hands up! Kto tam?”. Sapiąc, podniosłem ręce i wyjąkałem moje imię. Ale żołnierz mi nie uwierzył. Ojciec Hartmann nie ma nic do szukania poza obozem. Papers? Leżały w moim wozie. „Podaj hasło i cofnij się pięć kroków!” Hasła też nie pamiętałem. Zapytałem go więc, czy mi uwierzy, jeśli wyrecytuję mu po łacinie Credo.

To go przekonało i ustąpił. Mogłem wejść.

Słuchając pełnego napięcia opowiadania ojca Hartmanna, weszli do obozowiska, nie zwracając uwagi na drogę.

Mieli przed sobą rozłożone na wzgórzu namioty szpitalne oraz chaty, w których miały zamieszkać siostry. Wszedł ku nim doktor Rand, zmęczony i wyczerpany jak zawsze, zapraszając do namiotu oficerskiego, gdzie przygotowano lunch. O czym to nie opowiadały! Gdy wspomniały, jak ich kury potopiły się w Hunyani, na wymizerowanym obliczu lekarza pokazał się uśmiech.

- To jeszcze nic. Swego czasu przemierzyłem tę rzekę w zupełnie inny sposób. Siostry, nie jesteście przesadnie wrażliwe? Kapitan Nesbitt i ja wróciliśmy do Salisbury na bosaka i w koczulach niczym ongi marnotrawny syn. Wybraliśmy się lekkim spring cartem, tym wygodnym, z resorami, na przejażdżkę, żeby wyjechać naprzeciw wozom, które jak wiedzieliśmy, transportują lekarstwa dla naszego szpitala. W okresie febry miewaliśmy nie mniej niż trzydziestu ciężko chorych pacjentów, więc należało się spieszyć

Gdy wróciliśmy nad Hunyani, spadł deszcz tropikalny i sytuacja stała się krytyczna. Wysiedliśmy więc, żeby zostawić samego posiadacza wraz z wozem. Zdjęliśmy odzienie, zrobiliśmy tobołki, przymocowaliśmy je do głów, jak podpatrzyliśmy u czarnych, i zaczęliśmy płynąć przez rzekę.

Nie dotarliśmy jeszcze do środka nurtu, gdy wóz przed nami porwał wir. Woźnica zdążył jeszcze wyskoczyć.

„Heavens! - wrzasnął Nesbitt - nasze lekarstwa!” No cóż, bezpowrotnie stracone. Szok sprawił, że straciliśmy nerwy i porwał nas wir.

Trzeba było pomachać ramionami, a przy tym zerwało nam ubrania z głów. Co robić? Mieliśmy przed sobą dwie mile marszu. Wyschniemy wprawdzie szybko, ale jeśli wzięło się zimną kąpiel, to niebezpieczeństwo udaru jest dosyć spore. Po zastanowieniu się przysiedliśmy i upletliśmy dla siebie kapelusze. W tych karnawałowych kostiumach ruszyliśmy dalej.

Dzięki Bogu, nie mieliśmy jeszcze białych kobiet w naszej rosnącej metropolii. Siostry są pierwsze i cieszy mnie, że śmiejecie się z moich przygód!

Tak, o tych przygodach w buszu należało opowiadać i słuchać ich z uśmiechem, ale i z łezką w oku. Kto mógł wiedzieć, co go samego czekało?

Przeszły po raz pierwszy od legowiska do legowiska.

Znowu chorzy leżeli na gołej ziemi, ku ich rozpaczcy wystawieni na wszelkie plagi nędznego schronienia. Natychmiast rozpakowano wóz, susząc na słońcu materace, poduszki i koce. Oblicza pacjentów rozjaśniły uśmiechy, gdy zobaczyli, że przybyły „ich siostry”. Teraz wszystko będzie dobrze, wiedzieli o tym. Odtąd kuchnia i apteka znów zasłużą na swoje miano, a namioty ponownie nadadzą się do zamieszkania.



Tym razem oprócz chorych na febrę i tyfus nie brakowało również napadniętych przez dzikie zwierzęta. W okolicy здавало się roić od lwów. Co kilka dni przynoszono kogoś, kto został pokaleczony, gdyż wybrał się poza obóz samotnie.

Nie zawsze ma się strzelbę gotową do strzału. Jednego z żołnierzy gorący uścisk lwicy pozbawił całego ramienia, innemu lew tak poszarpał twarz, że musiano mu przeszczepić części pośladków, aby załatać powstałe rany, trzeci podczas kąpieli w Hunyani stracił nogę, gdyż oderwał mu ją przyczajony krokodyl. W rzeczy samej, Mount Hampdon nie było najbezpieczniejszą okolicą! A to, co opowiadano o węzach, przewyższało przeżycia z Macloutsie. Najlepiej wspominać o tym, co najkonieczniejsze: kto mógł wiedzieć, czy wystraszone siostry nie poproszą o odwiezienie do Kraju Przylądkowego?

Nie, przez pierwsze miesiące żyły, nie narzekając, znów w „arce Noego”, aż ukończono dla nich chaty. Nie oczekiwały w buszu miasta do wypoczynku.

Od razu wzięły się do pracy. Odpoczynek po trudach wędrówki z Viktorii trwającej kolejne cztery tygodnie? O tym lepiej nie wspominać. Niech zdrowiejące siostrzyczki się wyśpią. Matka Patricia nie znała spokoju.

Jej pierwszą troską było zapewnienie im odpowiedniego schronienia. Stał wprawdzie osobny namiot dla tubylczych pielęgniarzy, ale ponieważ Gaikana miała bliźniaki, a tym samym zrobiła coś zakazanego w oczach czarnoskórych, należało Sesango i jego rodzinie oddać do dyspozycji własny kąt. Koloniści uznali to za niepotrzebne marnotrawstwo. Kafrowie sami organizowali sobie jakąś dziurę, należało im jedynie na to pozwolić.

Matka Patricia pokazała im czynem, że zasługują na tę samą miłość i troskę jak jej pacjenci, wyposażając prywatny namiot Sesango z taką dozą bezinteresownej dobroci, że nawet doktor Rand kręcił głową.

To przecież jedynie „dzicy”. „Do takich właśnie jesteśmy powołane”, wyjaśniła prosto. To była prawda. Jeśli zajmowały się na razie chorymi białymi mężczyznami, to dlatego, że taka była potrzeba. Koloniści zrozumieli, że „zagarnęli” misjonarki do pielęgnacji własnych pacjentów, choć ich zadania były zupełnie inne. Było wyrazem czystego miłosierdzia zająć się nimi na pierwszym miejscu. Dla sióstr nie istniały różnice pomiędzy białymi i czarnymi, z tym należało się pogodzić.

- Nie wiedzą jeszcze siostry, jak musimy się męczyć z Negrami - próbowali argumentów mężczyźni. - Nic nie jest bezpieczne przed tymi złodziejaskami: kiedy śpimy, zakradają się w nocy do namiotów i bezszelestnie wyciągają nam spod głów, co może być im potrzebne. Przy tym we własnym prawie mają straszliwe kary za kradzież. Kto zostaje złapany, temu odcina się rękę albo wrzuca go do kryjówek żmii! Nic nie pomaga. Co chcecie osiągnąć Ewangelią, skoro nie skutkują nawet odstraszające egzekucje?

Matka Patricia spojrzała na nich spokojnie.

- Pokazaliście im przykład życia Ewangelią? - zapytała. Na to zaczerwienili się opuszczając oczy i mrużąc coś pod nosem.

- No, ciekawi jesteśmy, jakie to rozczarowania przeżyjecie z tą czarną parką. Cierpliwości!

- Każdy, kto nie unika ludzi, musi być przygotowany na rozczarowania - odparła matka Patricia, po czym poprawiła poduszkę i z uprzejmym uśmiechem ruszyła dalej.

„Ludzie” - traktowała czarnych i białych jednakowo, jak gdyby nie było żadnych różnic.

A przy tym Gaikana i Sesango nie mieli łatwo pośród własnych rodaków. Natychmiast pośród nieochrzczonych tubylców rozeszła się zwiastująca nieszczęście wiadomość, że oto pewna matka zdobyła się na zuchwałość pozostawienia przy życiu bliźniaków.



Należy omijać jej namiot, jeśli nie chce się zaznać zemsty duchów zmarłych!

Sesango cierpiał bardzo z tego powodu, że ziomkowie go potępili, więc z tym większym zapalem starał się służyć białym, co niestety nie zawsze spotykało się z należyтым uznaniem.

Któregoś poranka do ojca Prestage'a przybiegła wzburzona siostra Amica.

- Ojczy, proszę szybko ze mną. Sesango robi coś okropnego, rozgniała całe mrowiska w naszych chatach!

Ojciec Prestage udał się na miejsce „przestępstwa” i zaraz pochwalił winowajcę, który mieszając energicznie, wsypał do cebra pełnego krowiego nawozu zawartość termiery, po czym roztarł mieszanke na podłodze i ubił ją gołymi stopami.

- Tak, siostró Amico, musimy mu na to pozwolić. W tej chacie nie zmarznie siostra nawet zimą, gdyż kwas mrówkowy chroni przed chłodem.

Siostra Amica wytrzeszczyła oczy. Po czymś takim ma chodzić?

- Trochę cierpliwości! To stwardnieje niczym najlepszy parkiet. Gdy wyschnie, Gaikana natrze go tłuszczem drzewnym, wtedy będzie jeszcze błyszczał. To stara ludowa mądrość przekazywana z pokolenia na pokolenie. Nasz Sesango naprawdę się stara!

Wiedzę zdobywało się każdego dnia.

Siostra Amica nie powiedziała nic na temat mrówek. Była zdania, że należało je tępić możliwie w jak największych ilościach, gdy stanowiły prawdziwą plagę. Zżerały dosłownie wszystko, czego nie przymocowano lub nie zostało wykonane z metalu.

Przed tymi intruzami nie dało się niczego ukryć. Po zostawionych obok łóżka butach zostały rankiem jedynie dwa krzywe obcasy. Z masztów wspierających namioty nieustannie

sypał się drobny „śnieg”. Były bezszelestnie zjadane od wewnątrz, aż wreszcie łamały się z trzaskiem.

Oszczędzoną przez termyty wełnianą odzież zjadały chmary moli - w ciągu jednej nocy. Wszystko to jednak nie stanowiło aż takiej niedogodności. Była jeszcze jedna plaga wyciskająca siostrze Amice gorzkie łzy z oczu: całe stada szczurów nękające namioty i chaty. Doświadczyła tego już pierwszej nocy! Pacjenci przemilczali wstydliwie, dlaczego każdy z nich ma obok siebie grubą pałkę. Wydawało się, że chcą nimi bronić się przed napadem Matabele lub też złodziejami, gdyż w stanie, w jakim się znajdowali, nie mogli sięgnąć po inną broń. W rzeczywistości służyły do zwalczania gryzoni. Szczury zalewały namioty, gdy tylko zapadł zmierzch. Biegały po łóżkach, przewracały szklane naczynia, piszczały, tupwały i parskwały, a nawet atakowały chorych i gryzły ich. W tych okolicznościach prawdziwym cudem było, że w obozie nie wybuchła epidemia dżumy! A przy tym była to szczególnie złośliwa, nie dająca się wypłoszyć odmiana rzeczywiście niebezpiecznych zwierząt! Siostra Amica wezwała Bożej pomocy, gdy syczący potwór wskoczył jej na szkaplerz. Na szczęście celnie rzucona przez jednego z pacjentów pałka sprawiła, że zostawił ją w spokoju.

Zaraz potem rzuciła się ku wozowi:

- Matko Patricio, już dłużej nie mogę, szczury chcą zjeść mnie żywcem!

Uspokoiła się dopiero po dłuższej chwili, lecz skoro chorzy przywykli do gryzoni, siostrom nie pozostawało nic innego, choć siostra Amica w konwencie w King Williamstown dawała nogę przed każdą nieszkodliwą myszą!

Płacząc wyznała, że wszystkie lwy i leopardy nie wprawiają jej w taki lęk jak właśnie te szczury. W pozbawionych światła chatkach dokuczały jeszcze dotkliwiej. Udając się do pomieszczenia z lekarstwami, najlepiej było wziąć dwóch silnych

mężczyzn, aby przepędzili zgraję gryzoni, które usadowione w długich szeregach na belkach zastępujących półki syczały i popiskiwały, broniąc w ten sposób dostępu do słoików i tygielków z lekarstwami i maściami.

Siostry Berta i Bona postanowiły wspólnie zdobyć sprawność łowcy szczurów i stały się nieodłącznymi towarzyszkami siostry Amiki. Z odwagą, jaką daje tylko młodość, rozprawiały się z najbardziej bezczelnymi osobnikami. Trucizna? Szczury zdawały się traktować ją jako przysmak. Przeżywały albo w miejsce jednego pojawiało się dziesięć następnych!

Siostra Amica z drżeniem wyobrażała sobie zamieszkanie w chacie przeznaczonej dla sióstr. W wozie, wysoko w górze, byłyby bezpieczniejsze! Któregoś razu szczury zabrały sztuczną szczękę jednego z pacjentów. To wprawiło go w taką złość, że wyzdrowiawszy, pocwałował do Viktorii i przywiózł ogromnego kota kupionego za dobrych pięć angielskich funtów. Pomogło na chwilę! Przy każdym pisku i parsknięciu oblewała się zimnym potem, nieomal mdlejąc, gdy jednemu z chorych musiano amputować palec, gdyż wgryzł się w niego szczur. Cóż z tego, że drugą ręką udało mu się udusić potwora?

A potem nagle lęk siostry Amiki został przewyciężony, przemieniając się w świętą nieustraszoną. A stało się to tak. Któregoś ranka Gaikana stanęła przed nią, zanosząc się rozpaczliwym szlochem i łkaniem.

W nocy szczury napadły na jedną z bliźniaczek, małą Gudivę-Marię i mocno ją skaleczyły. Krwawiła z wielu ran.

Wtedy w siostrze Amice obudził się instynkt macierzyński. Najpierw zaniósła małą istotkę do doktora Randa, aby szybko zdezynfekował jej rany, a potem poprosiła jednego z pacjentów o okutą pałkę. W nocy została mścicielką, która wprawiła nawet najbardziej zaprawionych kolonistów w niemy podziw, a może nawet i przeraziła.

\_ Dwadzieścia pięć! - poinformowała następnego dnia, kładąc z dumą trupy znieawidzonych wrogów u stóp matki Patricii. Odtąd ani przez chwilę nie przeszło jej już przez myśl uciekać przed bandą pożerającą żywce małe dzieci! Takiego triumfu nie odniosły nawet nowicjuszeki.

Ale córeczka Gaikany ciężko zachorowała. Szczurzy jad musiał mocno ją zatruć. Wkrótce całe ciało dziecka pokryła wysypka. Gorączkując i popłakując, leżała w wiszącej kołysce, skonstruowanej przez siostry specjalnie dla niej. Gaikana utkała z trawy zwykłą matę, na jakiej sypiali tubylcy, a siostry zszyły ją z obu końców, przymocowując u powąły na natartym smołą sznurze, co stanowiło dla szczurów przeszkodę nie do pokonania. Również Njina-Maria, druga bliźniaczka, sypiała teraz w podobnie przewiewnej huśtawce.

Ale dla Gudivy zdawał się nadchodzić kres życia.

To bezradny Sesango, to zrozwaczona Gaikana kołysali dziecko w ramionach, przysiadłszy na podłodze chaty. Doktor Rand zrezygnował z leczenia, a biały Bóg zdawał się nie słyszeć ich modlitw. Oni jeszcze nie zostali ochrzczeni, ale dzieci należały już do Niego.

Nieszczęśliwi rodzice nie wiedzieli, co mają o tym myśleć. Czyżby biały Bóg został pokonany przez szczury?

Ojciec Prestage obiecał im pomodlić się za małą w kaplicy. To pocieszyło ich nieco.

W tych dniach nadeszła sensacyjna wiadomość przyniesiona przez pilnego posłańca B-B Police z Fortu Viktorii: znaleziono żywego Williego van der Riet! Za mniej więcej trzy tygodnie będzie mógł odbyć podróż, odwiedzić siostry i opowiedzieć osobiście o swoich przygodach. Rankiem siostry uczestniczyły w radosnym nabożeństwie dziękczynnym. Matka Patricia zain-

tonowała *Salve Regina*, a potem odśpiewały jeszcze *Te Deum*. Wysłuchane zostały jej nieustanne modlitwy. Nie na próżno zaraz po przybyciu do obozu, pomimo drwin, poprosiła o wyznaczenie miejsca, gdzie miała zostać zbudowana grota. Ufała wbrew wszelkiej nadziei.

Tę wieść powtarzano sobie z ust do ust.

Również Gaikana i Sesango zaufali znowu mocy białego Boga. I pewnie tak pozostałoby po tym wydarzeniu, gdyby nagle któregoś wieczoru nie zjawił się Chiwo, jeden z czarnych pielęgniarzy, aby poprosić o łyk piwa przyrządzanego przez Kafrów. Był to dla nich rzadki zaszczyt, gdyż dotąd unikano ich, więc jak nakazywał obyczaj, zaprosili gościa, aby zasiadł z nimi przy ogniu. Siedząc tak niczym czarny cień, spoglądał nieustannie ku kołysce, skąd dobiegało ciche kwilenie chorego maleństwa.

- Czy to prawda, że biały dakatela (lekarz) nie ma lekarstwa dla waszego dziecka? - zapytał wreszcie po chwili wahania.

Sesango musiał przyznać, że doktor Rand był bezradny. Gość, okoliczny Sesuru, uśmiechnął się ironicznie, orzekając:

- Biali potrafią poradzić sobie z wieloma chorobami, które znają, ale szczury są im obce. Nie wiedzą, że to nie zwykłe szczury, lecz duchy zmarłych, które przyjęły postać zwierząt. Na to pomaga jedynie zaklęcie.

Sesango i Gaikana spojrzeli po sobie.

- Biały Bóg zabrania zaklęć - wymruczał wreszcie Karanga, poruszywszy się niespokojnie.

Chiwo uspokoił go gestem ręki.

- Biały Bóg nie musi wiedzieć wszystkiego. Jeśli chcecie, pójdę do Kakubiego. To największy czarownik w okolicy, ule czył już setki ukąszeń szczurów. Da wam lekarstwo dla dziecka, które jest bliźniakiem. Ale to muti kosztuje drogą ofiarę, gdyż nie powinno się ratować bliźniąt przed śmiercią.



Gaikana westchnęła, spoglądając z lękiem na Sesango, ale ią Gudiva zapłakała znów tak rozdzierająco, że Sesango posiedział:

- Możemy spróbować, kto jest silniejszy. Czego domaga się Cakubi?

Chiwo udał, że musi się zastanowić, a potem wyliczył litaię rzeczy, o których wiedział, że młody ojciec je posiada. Gdy jednak wspomniał o drogim karabinie Martiniego, Sesango zebrał się w sobie i odparł gniewnie:

- Tego bliźniak nie jest mi wart, to znaczy muti dla niego.

Nastąpiły długie negocjacje, zanim Chiwo ustąpił i okazał gotowość pójścia do Kakubiego do kraalu Makumbi. Obladowany zniknął w mroku.

Tej nocy młodzi rodzice nie zmrużyli oka. Sumienie gryzło dusze niczym jad skorpiona.

Oboje abafundisi opowiedzieli im już tyle o wielkim, białym Bogu, a oni zwrócili się teraz do pogańskiego czarownika! Kiedy jednak następnego ranka dziecko zaczęło słabiej odychać i przewracać oczyma, zdecydowali się zastosować cukiernicze lekarstwo. Chiwo zjawił się na czas, przynosząc małą linianą miseczkę z ziołami oraz surowy nakaz, aby Gaikana aparzyła je sama - nie mogło być przy tym nikogo obcego - )dcedziła i wystudziła. Wszystkie użyte przy tym naczynia miała starannie rozbić i zakopać. O północy miała dać dziecku lapar - a złe duchy stracą natychmiast swoją moc.

Młoda kobieta z drzeniem wzięła lekarstwo obcego czarownika.

- Czy Kakubi wie, że urodziłam bliźnięta?

Chiwo uśmiechnął się krzywo.

- Nie ma niczego, czego Kakubi nie wie. Ale jeśli nie zrobisz tego, co powiedział, na wszystkich, którzy żyją wraz z wami, spadnie nieszczęście.

Sesango \ wyprowadził Chiwo, zostawiając Gaikanc samą. Z lękiem zagotowała dziwne rośliny o ostrym aromacie, odstawiła miseczkę z naparem w kącie chaty i poszła pomagać siostrze Constantii zakładającej przed szpitalem mały ogródek, w którym miała zamiar posadzić przyprawy kuchenne dla chorych. Serce Gaikany biło mocno, ale kładła dłoń na ustach, ilekroć chciała coś powiedzieć. W milczeniu schylała się, pomagając siostrze kucharce formować grządki, tak jak jej pokazywano. Praca na polu była dla czarnych od zawsze sprawą kobiet i młoda matka chętnie ją wykonywała. Nagle zjawił się Squibs, pies myśliwski doktora Randa, przeszkadzając jej w zajęciu, chwytając ją pyskiem za rękę, a potem chcąc niezgrabnymi skokami zniweczyć jej pracę.

- Wynoś się! - zrugła go najpierw siostra Constantia po niemiecku, a potem Gaikana w sindebele. Gdy Squibs nie zrozumiał, czego chce, Gaikana wzięła do ręki kamień - ta mowa znaków okazała się uniwersalna - i pies uciekł, znikając w chacie Sesango. Wtedy młoda matka doznała wstrząsu: miseczka!

Już słyszała przenikający do szpiku kości skowyt: Squibs wytoczył się z glinianej chaty na chwiejnych łapach, po czym jak wściekły zaczął się kręcić w kółko, łapał pyskiem za ogon, gryząc go, aż wreszcie upadł i znieruchomiał.

Siostra Constantia stała jak sparaliżowana. Na miłość boską, piękne drogie zwierzę doktora Randa, jedyna rozrywka w chwilach wolnego czasu! Co się stało? Ruszyła ku niemu, ale pies już sztywniał. Gaikana poszła za zakonnice, ciągnąc za sobą ołowiane nogi i drżąc na całym ciele.

- Gaikana, rozsypałaś truciznę na szczury?

Pokręciła przecząco głową. Rezolutna siostra nie pytała długo, lecz nieproszona weszła do środka chaty. Ostry zapach uderzył w jej nozdrza, od którego zrobiło się jej niedobrze. Na

polepie stało wywrócone naczynko, a obok, na macie, rozlewał się mały zielony kleks. Dzieci spały w swoich kołyskach.

- Co to było, Gaikana?

Zapytana wsparła się o otwór wejściowy niezdolna wydusić z siebie ani słowa.

- Kakubi - wyjąkała wreszcie, a z jej oczu potoczyły się łzy. - Kakubi oszukał nas, bo chciał zgładzić moje dziecko, gdyż jest bliźniakiem!

Trzęsa się z lęku, ale siostra Constantia nie robiła jej wyrzutów. Położyła rękę na jej ramionach, a następnie zachęciła:

- Odpocznijmy chwilę! Gaikano, możesz mi o wszystkim opowiedzieć. Zatroszczę się o to, żeby nikt cię nie ukarał. Co się tu wydarzyło?

Czarna dziewczyna rzuciła się jej na szyję i zapłakała głośno. Jeszcze zanim przystąpiła do spowiedzi, już wyznała swoje grzechy. Siostra Constantia była jednocześnie zadowolona i smutna. Wiedziała, że na zawsze zdobyła zaufanie czarnej matki, lecz jednocześnie przeczuwała, jak ciężka jest walka o jedną duszę, a jak silne moce ciemności!

Gdy siostra Constantia doniosła mu o stracie psa, doktor Rand nie robił nikomu wyrzutów. Odmówił także jakiegokolwiek zadośćuczynienia, lecz sprawiło mu satysfakcję przypomnienie o tym, że ich walka z pogaństwem okaże się znacznie cięższa, niż same przeczuwały. Skoro katechumeni, za jakich należało uważać Sesango i Gaikanę, tak szybko bardziej zaufali swoim czarownikom niż Bogu białych, to co mieli zrobić poganie?

- Nie można ich nawet nauczyć elementarnej higieny. Miło, że nauczyliście czarnych przynosić chorym także jedzenie, ale ja tego nie chcę. Wczoraj złapałem jednego na tym, jak jeszcze



przed namiotem przeciągnął szybko widelcem po swojej głowie. A potem położył go obok talerza. Smacznego!

Żałosna porażka dla siostry kucharki! Doktor Rand śmiał się jeszcze z jej rumieńców.

- To nie siostry wina, tylko proszę się zatroszczyć o to, żeby żaden z nich nie zbliżał się do kuchni. Czarni zjadają nawet spleśniałą mąkę, którą my wyrzucamy. Składa się wprawdzie tylko z robaków i sama się rusza, gdy ją wysypać na patelnię, ale to dla nich żadna przeszkoda.

Tak, w tym pierwszym roku głodu żyło się naprawdę ciężko! Dostawy z Kraju Przyładkowego prowadzące przez Beira trwały całe miesiące, a kiedy żywność wreszcie dotarła do celu, była prawie w całości zepsuta.

Ojciec Prestage nie poddawał się tak szybko. Dotknęło go wprawdzie, że bliźniak Gaikany zmarł trzy dni później wskutek zatrucia jadem szcurów, ale zaraz dodał:

- To lepiej, niż gdyby dziecko powróciło do zdrowia dzięki medycynie czarów. Z tego powodu mieliśmy w Empandeni nawrót pogaństwa. Gdy pewnego razu nie potrafiliśmy uleczyć dziecka naszymi środkami, rodzice uchodzący za wiernych chrześcijan zabrali go do czarownika, który odprawił nad nim swoje gusła. Przypadek chciał, że odtąd choroba za częła ustępować. Cała rodzina, i to pewnie na zawsze, powróciła do kultów pogańskich. Ponadto Gaikana przekonała się, że czarownik Sesuru wziął na cel jej dziecko. Odtąd będzie ostrożniejsza.

Siostra Constantia wytrzeszczyła na niego oczy:

- Chce jednak ojciec udzielić jej chrztu?

Misjonarz przytaknął.

- Najszybciej, jak to możliwe. Sakrament daje siłę łaski, z którą nasze słowa nie mogą się mierzyć. A te dusze potrzebują jej nawet bardziej niż my.

Niedługo potem z Fortu Viktoria przybył Willie van der Riet. To co przeżył podczas długiej tułaczki przez busz, wyręło głębokie bruzdy na jego wychudzonej twarzy. Wzruszony spotkaniem uściskał z radością obie dłonie matki Patricii.

- Doprawdy, dopiero teraz czuję się prawdziwie uratowany. W moich majakach spowodowanych głodem i gorączką wciąż miałem przed sobą matkę oraz wszystkie siostry, jak mnie pocieszają i dodają odwagi. A że podawane mi pełne po brzegi miski zaraz znikwały, to już nie wasza wina!

Przez cały wieczór opowiadał o tym, co przeżył. Przy tym od czasu do czasu wstrząsała nim groza. Tak, najcięższe okazały się sny głodowe, często połączone z kuszącymi halucynacjami, że zasiada przy stole uginającym się od jadła i napojów, a wszystko znikало, kiedy tylko chciał wziąć coś do ust.

- Potem na wpół oszalałem, możecie mi wierzyć. Łapałem jaszczurki oraz szarańczę i zjadałem to żywcem. Właśnie gdy napchałem kieszenie kamieniami, żeby rzucić się do rzeki i założyć tę udrekę, odnalazło mnie paru Burów. Na szczęście znowu popadłem w delirium, zanim zdążyłem ze sobą skończyć. Mam za sobą ponadczterotygodniowy post, matko Patricio, więc ufam, że tak oczyszczony grzesznik zniesiecie.

Matka Patricia ze współczuciem spojrzała na jego wynędzniałe oblicze.

- Chce pan tu pozostać? Chętnie, van Riet! Potrzebujemy kogoś, kto zajmie się nadzorowaniem czarnych pracujących w szpitalu. Mógłby się pan tym zająć?

On zarumienił się z radości.

- Oczywiście, że tak, matko Patricio, ale chciałbym należeć do was jeszcze inaczej. Opowiadano mi, że przyjęłyście parę tubylców, którzy nadali swemu dziecku przydomek „Urodzo-

ne pośród białych". Ja też chciałbym pośród was narodzić się na nowo.

Zająknął się. Siostra Patricia nie zrozumiała od razu, ale ojciec Hartmann uśmiechnął się i odłożył swoją fajkę.

Potem spojrzął na van der Rieta w napięciu i z oczekiwaniami. Młodzieniec wstał, przeciągnął dłonią po zmierzwiionych włosach i oznajmił:

- Wtedy, nad Macloutsie zdobyłem się na pewne słowa. Kiedy nabijano się ze mnie, że ciągle troszczyć się o siostry, odparłem ze złością, iż imponujecie mi z czysto ludzkiego względu. Bo aby zostać katolikiem, musiałbym wpierw oszałeć - uśmiechnął się zmieszany i bezradny. - No cóż, Bóg wziął mnie za słowo. Omal nie postradałem zmysłów. Jeszcze teraz dopada mnie czasem przy pełni księżyca i napycham sobie kieszenie kamieniami, żeby dać nurka... Zawsze jednak mam na tyle świadomości, aby powiedzieć o tym kilku towarzyszom, a oni mnie przytrzymują. Doktor Rand, gdy z nim rozmawiałem, uważa, że to z czasem minie. Jeśli więc chcecie takiego spaczzonego faceta, mówię teraz z pełną świadomością, to... to chcę się narodzić wraz z waszym tubylcem...

Teraz matka Patricia pojęła. Zerwała się z miejsca.

- Van der Riet! Chce pan zostać katolikiem? Proszę się za stanowić!

Kolejny uśmiech ku przełożonej.

- Zastanawiać się? Podczas miesięcy spędzonych w samotności rozważyłem dobrze moją decyzję. Przecież nie upadłem na głowę, żeby gadać od rzeczy.

Ojciec Hartmann pospieszył mu z odsieczą.

- Dobrze, van der Riet, spróbuję poradzić sobie z panem i pańską odwagą. Zostanie pan pierwszym konwertytą tej wspólnoty. Nie napisano w naszej regule, że mamy udawać się tylko do zagubionych owiec z domu Chama!

Wszyscy wybuchli śmiechem. Willie van der Riet sięgnął do kieszeni, wyciągając z niej butelkę.

- Proszę! Skoro nie odmawiacie mi wody chrzcielnej, funduję wino mszalne! Słyszałem, że butelki docierają tu z Kraju Przylądkowego w połowie puste lub rozbite. Mam nadzieję, że się przyda i wystarczy jeszcze na nabożeństwo dziękczynne!

Wierni towarzysze podarowali mu wino na wzmocnienie, a on po prostu oddawał je innym. Wzruszony ojciec Hartmann przyjął podarunek. Wskazał też na położoną nieco na uboczu glinianą lepiankę kryjącą Najświętszy Sakrament.

- Tu bije serce Salisbury! - dodał cicho.

Ruszyli z van der Rietem ku kaplicy. Tam katechumen po raz pierwszy długo klęczał na surowej kokosowej macie przykrywającej glinianą polepę i modlił się do Pana pod postacią Chleba, jaką dała Jego miłość, aby towarzyszyć ludziom w najgłębszym opuszczeniu. Tu skrywała się pełnia tajemnicy tego, co innowiercy na próżno próbują rozwikłać, tu tryskało źródło siły dla słabych sióstr, by móc podolać szarpiącym nerwy wysiłkom i ofiarom buszu i nie poddać się.

Podczas gdy się modlili, wokół obozu rozlegał się nocny koncert grzmiących lwich ryków, tak często przerażający van der Rieta na pustkowiu. Po raz pierwszy jego serce pozostało spokojne: czuł, że wyzdrowiał na ciele i na duszy. „Urodzony pośród białych” szybko zakrył twarz dłońmi...

## Podbój bez przelewu krwi

Swego czasu ojciec Prestage wspominał o „Bożym podboju”, lecz zapomniano o tych słowach, gdy tylko osiedlono się w obozie w Salisbury. Żołnierze przemienili się w farmerów, kolonistów i poszukiwaczy złota. Jedyne misjonarze pozostali tymi, kim byli, nie pożądam „zdobyczy” w nowym kraju.

Nie potraktowali także zbyt poważnie obietnicy Rhodesa. Od kiedy to wielcy tego świata pamiętali w swoich politycznych interesach o drobnych zasługach zwykłych ludzi, których imiona i tak nie pojawią się w żadnych historycznych annałach?

Któregoś dnia w połowie roku 1891 na plac przed szpitalem zajechał konno doktor Jameson, stały pełnomocnik oraz agent Rhodesa, i zsiadłszy z wierzchowca, udał się prosto do namiotu jezuitów. Z chytrymi ognikami w odważnie patrzących błękitnych oczach oznajmił:

- Chartered Company zleciła mi odznaczenie kilku zasłużonych uczestników naszej bezkrwawej kampanii. Ojciec był wystarczająco długo kapelanem wojskowym, father Hartmann! Czy mógłby mi ksiądz dopomóc w ustaleniu listy osób, które naprawdę się zasłużyły?

Drobny misjonarz nie przeczuwał jeszcze niczego, nawet wtedy, gdy Jameson pytał, czy nadal czuje się pewnie w siodle swojej Nkosi, aby odważyć się na przejażdżkę wokół Salisbury. To pozwoli na swobodną pogawędkę.

Co za pytanie! Ojciec Hartmann okazywał zawsze gotowość do spaceru, zwłaszcza o tak pięknym poranku, kiedy świeżość nocnego chłodu nie ustąpiła jeszcze miejsca żarowi palącego słońca.

Ruszyli przed siebie, mijając położone nieco na uboczu kwatery geologów. Czy to nie tutaj lwica oskalpowała tego nieszczęśnika, którego wczoraj przywieziono do szpitala? Tak, nie należało za bardzo oddalać się od obozowiska. Namiot, gdzie nocował prospector, stał z dala od innych. W ostatniej chwili udało mu się zasłonić twarz poduszką, a już wściekłe machnięcie łapą trafiło go w głowę, aż jęknęły sprężyny. Cała czupryna padła łupem pazurów drapieżnej lwicy, dopiero wtedy padł strzał, który ją przepędził.

Dr Rand obiecał, że porządnie go pozszywa, ale przez całe życie czekało go noszenie peruki. Gdyby nie poduszka, to pewnie nie udałoby mu się ujść z życiem.

Ojciec Hartmann spojrział z ukosa na doktora Jamesona i pospieszył z zapewnieniem, że Chartered Company powinna wypłacić ofierze nadzwyczajne odszkodowanie, ponadto geolog zasłużył się także przy budowie drogi budowanej pod nadzorem Selousa. Ostatecznie jednak doktor Jim musiał sam przejść do rzeczy, gdyż oddalili się od obozowiska o dobre dwie mile. Wyciągnąwszy rękę, medyk orzekł:

- Proszę spojrzeć na tamten pagórek! Nikt nie chciał go wziąć, gdyż nie kryje w sobie ani diamentów, ani złota. Co sądzi ojciec o tym terenie?

Father Hartmann milczał przez chwilę, a potem odrzekł z melancholią w głosie:

- Jeśli mam być szczery, to widząc w pogańskim kraju tak ładnie położone wzgórze, mam tylko jedną wizję. Wyobrażam sobie stojącą na nim świątynię oraz szkołę misyjną...

Doktor Jameson wybuchł głośnym śmiechem i wyciągnął rękę:

- Wobec tego dobijmy targu i nazwijmy to wzgórze Hartmann's Hill. Dodam to tego jeszcze pięćdziesiąt akrów ziemi i tym sposobem powstanie pierwsza stacja misyjna.

Misjonarz omal nie spadł z siodła.

- Doktorze, nie może Pan przecież...

- Owszem, mogę. Rhodes wydał mi właśnie pisemne polecenie, abym znalazł odpowiedni skrawek ziemi na darowiznę dla jezuitów. To oni są tymi, których chciał uhonorować.

Teraz uśmiechnął się również duchowny:

- Ucieka się pan do biblijnych forteli! Ale nie odmawiam, choć budzą się we mnie wątpliwości. Jesteśmy zaledwie dwie mile od przyszelego miasta, a ktoś mojego pokroju myśli na przyszłość: ta okolica nie ostoi się jako teren misyjny, więc musimy bardziej zagłębić się w dżunglę.

Doktor Jameson przytaknął.

- Jestem tego samego zdania. Hartmann's Hill stanowi je dynie wyraz uznania dla księdza osobiście. Lokalizacja właściwej stacji misyjnej to zadanie dla ojca Prestage'a. Nie musi się przy tym spieszyć. Proszę wybrać się wraz z nim na wschód albo zachód. Jeśli znajdziecie coś odpowiedniego, przyślecie mi szkic i ustalimy szczegóły!

Ojciec Hartmann był pod wrażeniem. Ruszyli też zaraz ku szczytowi wzniesienia, skąd roztaczał się wspaniały widok na obozowisko oraz położone na horyzoncie błękitne łańcuchy gór i lasy! Jezuita odetchnął głęboko.

- Nie postaloby mi to w głowie, kiedy wyruszaliśmy w drogę! Oczywiście nie damy się dwa razy prosić. Mam nadzieję, że moja wizja szkoły i kościoła kiedyś się spełni. Ale o czym ja mówię? Powstanie tu college dla mężczyzn, którzy kiedyś będą

rzządzić tym krajem, pod warunkiem oczywiście, że powierzy nam się białą młodzież.

Lekarz uśmiechnął się lekko.

- A o sobie ojciec nie pomyśli? Wydaje mi się, że taka działka nadałaby się nawet dla waszego generała.

Duchowny przytaknął pogodnie.

- Ma pan rację. Zaproponuję prowincjałowi wzniesienie w tym miejscu naszego konwentu. To oczywiście w żadnej mierze nie wyklucza college'u. Tam, gdzie osiądą nasi zakonnicy, szkoły wyrastają niczym grzyby po deszczu.

- Proszę się nie przeceniać! Ziemia wokół Salisbury jest ka mienista, więc życzę sukcesów. Co natomiast tyczy się właściwej misji, to oferta Rhodesa pozostaje nadal aktualna: gdziekolwiek znajdziecie okolicę, w której chcielibyście się osiedlić i zostanieie przyjęci, tam postawcie namiot, a wtedy przyślemy geodetów.

Ten słoneczny poranek pozostał na długo w pamięci ojca Hartmanna oraz całej misji.

Kilka dni później ojciec Prestage w towarzystwie kilku autochtonów jako poganiaczy wyruszył wozem zaprzężonym w osły ku północnemu wschodowi. Sesango znający okolicę ze względu na rodzinę matki, wiedział o dobrym miejscu oddalonym od obozu Salisbury o piętnaście mil, więc pełnił rolę przewodnika. Natomiast ojciec Hartmann pozostał wraz z siostrami w osadzie, doprowadzając do porządku sprawę Hartmann's Hill.

Im dalej mała ekspedycja zmierzała ku wschodowi, tym bardziej skalisty i opuszczony stawał się krajobraz. Pojawiły się szerokie, niezamieszkałe doliny porośnięte bujną roślinnością migoczącą w słonecznym upale. Nigdzie żywej duszy.

Wyciągnąwszy dłoń, Sesango wskazał przed siebie.



- Chishawasha! - oznajmił dumnie.

To miał być ich cel? Chishawasha - piękny zakątek z błękitnymi górami, szemrzącymi źródłami i wodospadami, lecz jak sama nazwa mówiła: „kraina małp”. Zamiast ludzi widziało się jedynie ogromne stada pawianów, których męskie osobniki osiągały niezwykle wzrost i siłę. Były one niekwestionowanymi władcami tego country. Skrzesząc i szczerząc zęby, przecinały wędrowcom drogę. Czego chcieli ci biali intruzi? Nie brakowało za to grobów, unikanych przez wszystkich miejsc pochówku czarnego człowieka. Poganiacze opowiadali, że przed ośmioma porami deszczowymi Matabele urządzili tu straszną rzeź. Ponieważ zwłok zabitych nie udało się pochować zgodnie ze zwyczajem przodków, ich dusze pozostały przykute do tego miejsca na wieczność, zaś sami mieszkańcy ogłosili je ziemią niczyją.

Nikt nie chciał ponownie osiedlić się w miejscu grozy, nawet w dalszej odległości.

- Matabele postępują podobnie jak słonie: zabiwszy, po wracają po kilku latach i po raz drugi trują wszystko, co tylko napotkają na rumowisku. Może ojciec zaorać ziemię i po stawić pierwszą chatę, tu i tak nikt nie chce mieszkać.

Ale ojcu Prestage'owi nie wydawało się to takie proste, więc dokładnie wypytał o wcześniejszego właściciela tej krainy. Na twarzach poganiaczy pojawił się lęk. Był to Chinamora, najpotężniejszy kacyk w okolicy, noszący jako drugie imię również miano Chishawasha, „wódz z krainy małp”. Po ucieczce przed Matabele zamieszkiwał teraz nieco dalej na wschód. Ani bojaźń, ani błota, ani też skały nie powstrzymały misjonarza przed złożeniem mu wizyty.

Kiedy dotarli wreszcie w pobliże kraalu, ojciec Prestage miejscowym zwyczajem wysłał przodem Sesango jako pośrednika.

Wbrew oczekiwaniom władca okazał gotowość do podjęcia rozmów z białymi nauczycielami. Ciepły wełniany koc poda-

rowany mu przez duchownego wzbudził w nim przekonanie, że będzie miał do czynienia z zamożnymi i hojnymi przybyszami. Ojciec Prestage został zaprowadzony do chaty i zasiadł naprzeciw gospodarza. Sesango zręcznie tłumaczył.

Rozmowa ciągnęła się bez końca, gdyż obecnych było kilku pomniejszych wodzów oklaskujących każdą, nawet najkrótszą wypowiedź Chinamory. Ale ten zwyczaj misjonarz znał już z Empaneni. Z radością posłyszał też, że Chinamora tęskni za ziemią ojców, lecz osiadzie na niej znowu, jeśli biali ludzie zrobią to pierwsi i zaryzykują własne życie, zamieszkując pośród duchów zmarłych.

Jeśli ostoją się przed ich zakusami, a także mściwością Matabele, to i Chinamora nie będzie dłużej zwlekał, ponownie zacznie uprawiać opuszczoną Krainę Małą, a także wysłucha nauczania umfundisi.

- A więc mogę objąć w posiadanie ziemię pod naszą mi sję? - zapytał z nadzieją ojciec Prestage. Chinamora wyciągnął rękę, aż zabrzączały zdobiące ją bransolety.

- Możesz zmusić ziemię, aby cię słuchała, a także zbudować na niej chatę. Wtedy każdy będzie wiedział, że należy ona do ciebie. Musisz tylko posadzić kolczasty żywopłot dotąd, dokąd chcesz, żeby sięgała twoja posiadłość. To wszystko!

Misjonarz miał się na baczności, gdyż znał zmienny charakter czarnoskórych partnerów rozmów.

- A jeśli zjawią się inni mfundisi i powiedzą, że chcą was uczyć i też zapragną ziemi na swoje chaty?

Chinamora wstał z miejsca, a na jego twarzy zabłysła duma:

- Wtedy Chinamora odpowie: mężczyzna może mieć wiele matek, jedną wielką, która go urodziła, i kilka mniejszych, które się nim opiekują, lecz tylko jednego ojca. Mfundisi biorący nas w opiekę jako pierwszy to nasz baba.

Przy tych słowach podał mu dłoń, usuwając tym samym wszelkie wątpliwości: Chishawasha zostało zdobyte.

Droga powrotna okazała się bardzo mozolna, lecz teraz otoczona pagórkami i pocięta dolinami okolica wydała się ojcu Prestage'owi jeszcze bardziej urokliwa. Na obozowisko wyszukał położone wyżej miejsce. Tam kazał wyprząc osły i rozpalić ognisko. Jeszcze podczas kolacji opadły mu ze zmęczenia powieki. Jego Negrowie schronili się pod wozem. Gdy około północy zbudziły go głośne porykiwania lwów, wystrześlił kilkakrotnie w powietrze i nieco się uciszyło. Czuł, że nie może mu się przytrafić nic złego.

Następnego ranka zdjął z wozu stary żelazny pług, zaprzął do niego towarzyszącego im wołu i tak, jak to sobie wymarzył, krocząc powoli i miarowo, wyorał pierwsze bruzdy. Nie wyglądały zbyt prosto, gdyż wokoło leżało mnóstwo granitowych głazów, ale mimo to był to podbój Boży. Siedzący na miedzy czarni przyglądali mu się zdumieni. Po raz pierwszy widzieli podobne narzędzie. Jakaż ulga w pracy: dotąd z trudem zadrapywali zaledwie powierzchnię twardego gruntu tępymi motykami, natomiast ostrze lemiesza zagłębiało się w nim z łatwością. Ojciec Prestage pracował ciężko w pocie czoła, lecz z radością farmera, któremu wpadł w ręce żyzny kawałek roli. Skończywszy, usiadł obok krajowców i zdjął z głowy kapelusz o szerokim rondzie, pozwalając wiatrowi rozwiać jasne włosy, a w sercu odmówił werset psalmu: „Sznur mierniczy hojnie mi dział wyznaczył i raduję się moim dziedzictwem!”. Potem polecił Murzynom, aby wytyczyli miejsce na chatę.

W Salisbury rozpoczęto już nowennę o szczęśliwy powrót „zaginionego” ojca Prestage'a. Nie zjawiał się przez dobre trzy tygodnie, dopóki nie ukończono budowy schronienia wznie-

sionego z gliny, drewna i trawy. Od Jamesona pocztą zwrotną nadeszło pozwolenie - misji przydzielono dobre tysiąc morgów ziemi, ojcowie mieli ponieść jedynie niewielkie koszty pomiarów.

Wkrótce też miano zapoznać się z „brytyjskim lordem morza”, ojcem Kerrem, którego energia przyćmiewała nawet opowieści o niemieckiej sile ekspansji.

Należało go zobaczyć! Uważał Afrykę Południową za przypadkiem zapiaszczone morze, przemierzając je wzdłuż i wszerz bez chwili spoczynku, jak gdyby każde ludzkie osiedle było tylko portem, gdzie można zaopatrzyć się w wodę i uprawiać handel, by następnie zaraz ruszać w dalszą drogę.

Zjawił się w najgorszej porze, gdy nastały deszcze, i zastał siostry ciężko chorujące na febrę. Te, które dotąd oparły się słabości, wyglądały jak własne cienie. Doktor Edgelow, który od przejścia szpitala pod opiekę magistratu objął po doktorze Randzie funkcję naczelnego lekarza, obserwował ze zdumieniem ofiarności i oddanie zakonnice. Wreszcie jako medyk postawił diagnozę: urlop wypoczynkowy w Kraju Przylądkowym - i to dla wszystkich sióstr na zmianę. Znalazłszy się jednak naprzeciw byłego oficera marynarki, ojca Kerra, nie potrafił odwołać się do żadnego ze swoich argumentów. Jakże wyglądał ten misjonarz! Trudy nieustannych podróży skrywał może noszony przez niego ubiór, ale nie surowe, ascetyczne oblicze, na którym, gdy odwoływano się do własnych cierpień, pojawiał się sarkastyczny uśmiech. Malaria? Dziecięca choroba, którą przewyciężało się humorem i dobrym samopoczuciem. On nigdy nie korzystał z chwili wytchnienia. Niemożliwe, Przylądek był zbyt drogi dla misji, ale czy Chishawasha nie miało dysponować wyjątkowo zdrowym klimatem? Udał się

tam zaraz po przybyciu, doskonale pasowało to do jego planów, jako że gotowa była już pierwsza chata ojca Prestage'a. Zaraz też polecił wznieść drugą - dla sióstr. Jeśli tylko było to możliwe, misjonarze mieli *zażywać* odpoczynku w zasięgu słyszalności, a ta górzysta okolica nadawała się do tego równie dobrze jak Przylądek. Uciążliwa podróż i tak znużyłaby na powrót każdego.

Nikt nie czuł się tak szczęśliwy jak matka Patricia. Dobrowolnie nie wyjechałaby z Salisbury, ale na piętnaście mil wyraziła zgodę. Oczywiście jako pierwsze pojechały młodsze siostry.

Ojciec Kerr miał już protestować, lecz dotarło do niego, że *mother* kolejny raz okazuje się „niezbędna”. Malaria powaliła naczelnego lekarza i przebieg choroby był tak ciężki, że obawiano się nawet o życie młodego człowieka. Sama, chwiejąc się na nogach, jeszcze jako rekonwalescentka pielęgnowała go ze starannością, która nie uchodziła jego uwagi nawet w najcięższych majakach.

- Siostro, proszę odpocząć, umrze siostra zaraz po mnie - wyznał kiedyś, gdy w czasie nocnego dyżuru opadła z sił ze zmęczenia. Ona z uporem pokręciła głową.

- Nie zostawię nikogo, dopóki żyję!

I w delirycznych majakach dojrzał, jak jej palce przesuwają instrument nieznanego mu pobożności - różaniec.

Matka Patricia żyła tylko jedną myślą i troską: nie mógł umrzeć, nie poznawszy Chrystusa. Doktor Edgelow był „białym poganinem”, nieochrzczony wychował się pośród wolnomularzy, a teraz miotany atakami gorączki walczył o poznanie. Kim byli ci mężczyźni i kobiety, z jakimi przestawał, którzy bez nagrody, bez sławy oddawali swoje życie, zdrowie i ostatnie siły, aby służyć nieznanemu Bogu?

- Proszę przestać, niech siostra przestanie walczyć o mnie - dyszał zlany potem i z obłędem w oczach. - Każde *Ave* wypala

mnie wewnątrz... nie chcę zostać chrześcijaninem... chcę żyć jak dotychczas... co mnie obchodzi wasza misja... zostawcie mnie w spokoju...

Ale spracowane dłonie siostry dalej uparcie przesuwały paciorki różańca. I wreszcie, gdy już mógł jaśniej myśleć, z wilgotnymi oczyma zawołał:

- Dlaczego siostra to robi? Moja matka nigdy się za mnie nie modliła!

Potem wyczerpany zapadł w głęboki sen. Gdy się przebudził, przy jego posłaniu stał „morski lord” ojciec Kerr.

- Matka Patricia?

- Przykro mi, ma awarię. Musi się pan zadowolić moim towarzystwem. Ale bez obaw, zaokrętowałem ją pod przymusem do Chishawasha. Czego pan sobie życzy, doktorze?

Doktor Edgelow uniósł ciężką głowę.

- Czy... zmarła?

- Do stu piorunów, czy myśli pan, że opowiadam jakieś bajki? Przecież powiedziałem, że jest w kajucie sióstr na Chishawasha.

Medyk spojrział na niego. Ten nieokrzesany duchowny zaczynał mu się podobać!

- Być może to nawet lepiej. Mogę sprawić jej niespodziankę.

- Na razie zostanie pan tam, gdzie właśnie leży. Czegoś po trzeba?

- Tak. Książki...

- Jakiej?

- Jest tylko jedna, której potrzebuję. Biblia. Ma ojciec jakąś? Ojciec Kerr i młody człowiek oblali się rumieńcem. Spojrzeli sobie w oczy.

- Tylko po łacinie - wymruczał wreszcie prowincjał. - Ale nie powinien pan wysilać na razie oczu. Będę czytał kawałek po kawałku na głos i komentował, jeśli wola. Tak, powiedzia-

łem - po chwili łagodności znowu powróciła szorstkość - teraz ja tu dowodzę. Nie ma się czego wstydzić. Nasz pierwszy generał, święty Ignacy, też odniósł najpierw rany i dopiero na łóżu boleści zaczął poznawać Chrystusa.

Ciężkim krokiem wyszedł z izby. Na zewnątrz przetarł kulką oczu, za dużo słonej wody! Wrócił z uśmiechem na twarzy, trzymając w ręku opasły tom oprawiony w skórę i okuty żelazem, doskonale nadający się na potrzeby misji i dla zatwardziałego białego poganina.

Do czego tylko ojciec Kerr się zabrał, tego już nie odpuścił.

Kiedy matka Patricia powróciła z wypoczynku w Chishawasha, on doprowadził już „blindę” do bezpiecznego portu. Na Wielkanoc doktor wraz z van der Rietem mieli zostać przyjęci do wspólnoty Kościoła. Doktor Edgelow nie przejmował się kpiarzami w Salisbury twierdzącymi, że u dominikanek nawet sam diabeł stałby się katolikiem, gdyby tylko udało mu się dostać urlop z piekła. Niech się naśmiewają - mawiał - pokój, który znalazłem, jest na wagę złota.

Z ojcem Kerrem połączyła go zażyła przyjaźń, choć duchowny wyruszył już w drogę do Fortu Viktoria. Pozostało po nim kilka pysznych anegdot oraz mnóstwo zaleceń dotyczących Chishawasha i okolicy.

Anegdoty opowiadano sobie wieczorami w namiocie misyjnym.

Opowiadał towarzyszący mu w podróżach brat zakonny: - Poznałem go na statku, gdzie właściwie jest jego miejsce. W Port Durban przesiadał się z parowca pełnomorskiego na barcę. Przyglądałem się, jak w koszu opuszczają go w dół. Najpierw poleciał ku mnie jego bagaż. Nie stanąwszy jeszcze dobrze na deskach pokładu, wrzasnął na mnie: „Brać skrzynię za uchwyty”.

L

Nie potraktowałem tego dosłownie i załadowałem sobie ciężki kufer na plecy. Kilka minut później były oficer marynarki Jej Królewskiej Mości stanął przede mną, rycząc: „Nie zrozumieliście mnie? Powiedziałem: wziąć skrzynię za uchwyty!“. Zrozumiałem i kolana ugięły się przede mną. Ta siła głosu przypomniała mi czas spędzony w wojsku. Potem ruszyliśmy pod pokład. Ojciec Kerr warknął:

- Ilu katolików na pokładzie?

Zachowując jako tako postawę zasadniczą, odparłem, że nie wiem.

- Dlaczego nie wiesz? - zbeształ mnie Kerr. - Dowiedzieć się natychmiast.

Zapytałem, czy mam poprosić o zgodę na wgląd do listy pasażerów. On uśmiechnął się zjadliwie, a potem zakomenderował:

- Zagadnąć każdego pasażera osobiście, a jeśli odpowie tak, zaprosić na mszę pokładową jutro o siódmej rano, rozumiano?

Byłem wtedy jeszcze bardzo nieśmiały, więc wykonanie polecenia kosztowało mnie niemało udręki, ale nie odważyłem się na sprzeciw. Zaczepiałem Hindusów, Portugalczyków, Anglików i Irlandczyków, dowiadując się o wyznanie, bez względu na to, w jakiej podróżowali klasie. Rzadko zdarzyło mi się widzieć bardziej obrażone oblicza.

Nazajutrz zjawilo się jedynie kilkoro irlandzkich i portugalskich dzieci, lecz ojciec Kerr przemawiał tak donośnie, że pomimo zamkniętych drzwi rodzice słyszeli wszystko w kajutach. W następną niedzielę frekwencja wzrosła. Kaznodzieja poruszył cały statek.

Gdy zbliżaliśmy się do Beira, ojciec Kerr przypomniał sobie, że nie mamy dość pieniędzy, aby zapłacić cło za nasz bagaż. Co robić? Poleciał, abym razem z nim odmówił różaniec. Spojrzałem na niego osłupiały. Uciekanie się do Matki Bożej w takich



sytuacjach, o tym jeszcze nie słyszałem. Ojciec Kerr zachował zimną krew. Po chwili okazało się, że w kantorze celnym „przypadkowo” znalazł się dobry znajomy, który kiedyś studiował w kolegium jezuickim w Grahamstown. Ucieszony spotkaniem, darował nam obu opłatę. „Spędził pan tu całe przedpołudnie?”, dowiadywał się ojciec. Młody kapitan zaprzeczył. „Przed półgodziną otrzymałem rozkaz zastąpienia kolegi, gdyż źle się poczuł. Jest niewierzący, więc macie szczęście”. Młody człowiek wniósł opłatę z własnej kieszeni i przepuścił nas dalej.

- Widzicie teraz, że od Matki Bożej można otrzymać wszystko? - uświadomił mi ojciec Kerr.

Wyruszyliśmy w głąb Afryki. Father zwykł podróżować w takim tempie, że po dwóch godzinach miało się na stopach pęcherze.

Gdy wreszcie ustaliliśmy w drodze, w swojej nieustraszonosci zabrał ze sobą do baru, który wziął za przytulną gospodę, również czarnego boya. Właściciel nie patyczkował się długo i czarnoskóry, zataczając wysoki łuk, wyleciał na ulicę. Ojciec Kerr grzmotnął pięścią w stół i zaraz wygłosił rowdies kazanie na temat: „Plemię żmijowe, jak unikniecie przyszłego sądu?”, tak że aż szyby w oknach drżały. A dziewczętom lekkich obyczajów przypomniał o słowach Pana: „Miałaś już pięciu mężów, a ten, którego masz, nie jest twoim mężem!”. Atmosfera zaraz się odmieniła.

Naszemu Negrowi pozwolono wejść z powrotem.

Namiotem misjonarzy wstrząsnęły salwy wesołego śmiechu.

Również ojciec Hartmann miał wkrótce bliżej poznać energicznego przełożonego. Z początkiem roku 1892 otrzymał od ojca Kerra pierwsze osobiste polecenie. Brzmiało ono: „Rozpoznać nowy region misyjny koło Mtoko i założyć stację!”.

Mtoko leżało nieco dalej na wschód od Chishawasha, w odległości dobrych stu ośmiu mil od Salisbury, co stanowiło prawdziwe wyzwanie. Jednak wódz Chinamora twierdził, że zamieszkują tam ludzie usilnie proszący o przybycie umfundisi. Ojciec Hartmann posłuchał dobrej rady i zamiast osłów zaprzął do swojego spring carta parę wołów, gdyż one lepiej wytrzymały trudy długiej podróży. Ze względu na lwy zabral ze sobą van der Rieta, natomiast ze względu na chiswina, który opanował już w zdumiewającym stopniu, Sesango. W razie konieczności lepiej było korzystać z pomocy czarnych negocjatorów, to robiło większe wrażenie. Ponadto spakował starannie figurę austriackiej Madonny z Kirchenthal.

Ojciec Prestage próbował odwieść go od tego zamiaru, ale nie pomagały żadne argumenty.

Nastąpiła właśnie pora deszczowa.

Nieustraszony misjonarz niejednokrotnie grzązał na bezdrożach trzęsawisk, które nawet w porze zimowej uczyniłyby wyprawę do Mtoko prawdziwą męczarnią.

Minęło osiem dni, zanim błota ustąpiły miejsca cieszącej się złą sławą granitowej twierdzy nadającej całemu Mtokołand dziki, niedostępny charakter. Człowiek miał wrażenie, że został przeniesiony na inną planetę. Wokoło wznosiły się jedynie skalne zbocza poprzecinane tu i ówdzie zionącymi czernią otworami jaskiń. Ogromne głazy spoczywały jeden na drugim, ułożone niczym ręką jakiegoś olbrzyma. Czasami wydawało się, że siadający na szczycie ptak spowoduje ich runięcie, a przecież opierały się nawet gwałtownym nawałnicom. Tymczasem do celu było jeszcze daleko, gdyż dopiero przekroczone granicę.

Mijały tygodnie - żadnego znaku życia, żadnej wiadomości. Wysłano posłańca - nie wrócił. Wreszcie ogłoszono alarm, sam ojciec Kerr wyruszył w drogę na poszukiwanie współbrata. Zna-

laż go nieprzytomnego i złożonego wysoką gorączką w nędznej, liczącej siedem stóp chacie, którą sam sobie zbudował.

O co mu chodziło, że majaczył o „purgatory”, ogniu czyścicowym? Kilka spędzonych w Mtoko dni, i ojciec Kerr miał już wyjaśnienie. Ziemia płonęła, zdając się promieniować od południowego żaru, gołe skały gromadziły gorąc, po czym oddawały go z powrotem. Brakowało cienistych drzew, rosły jedynie niskie, spalone słońcem krzewy, a nawet pod rozłożystymi akacjami powietrze drżało od upału. Woda stanowiła najcenniejszy skarb.

Wysłany z Salisbury posłaniec relacjonował, że nie można było opuścić chorego, a ktoś musiał codziennie wyruszać po wodę. Racjonowano ją, i to pomimo pory deszczowej!

Sesango kierował handlem wymiennym z tubylcami; powiedział też, że musiał chronić baba przed kradzieżami. Ale i teraz wódz nie chciał przystąpić do rozmów. Jedynie lud pragnął zobaczyć nauczyciela białego Boga, ale nie Dawa. Co się stało? Czyżby ojciec Hartmann popełnił jakiś błąd w podejściu do krajowców? Co mogli tak zirytować władcę?

Prosta sprawa! Wcześniejszy kacyk Matoko, od którego nazwano tak całą krainę, rozmawiał długo z pierwszym białym człowiekiem, jakiego ujrzeli tubylcy - sławnym łowcą i trapezem Selousem. On też prowadził Chartered Company po Mashonaland. Na nieszczęście krótko po tym spotkaniu Matoko zmarł - i to w tajemniczych okolicznościach. Sesuru mieli na to tylko jedno wytłumaczenie: biały człowiek rzucił na niego urok!

Dawa nie chciał, żeby spotkał go podobny los, i ze wszystkich sił wzbraniał się przed przybyciem umfundisi.

Ojciec Kerr pokręcił głową.

- Więc po co budowałeś tę chatę, Andrew?

Ojciec Hartmann spojrzał na niego zmęczonymi, dziecięcymi oczyma:

- Miałem przecież polecenie objęcia ziemi!

Coś drgnęło na rumianym, surowym obliczu prowincjała! Posłuszeństwo wychodzące poza regułę zakonną. W oczach zabłyśły mu wesołe iskierki. Położył dłoń na ramieniu współbrata:

- W porządku, Andrew, jesteś induna, o którego tubylcy będą się jeszcze dobijać. Zapewniam cię, że nie oddam tej odległej wyspy. Najpierw dokończymy budowę większej chaty w sąsiedztwie, i dopiero wtedy wyruszymy z powrotem do Sallisbury. Pozostanie po nas trwałe świadectwo, że nie rezygnujemy. To nowy sposób misjonowania, ale akceptuję go!

Uśmiechnął się i wyszedł na zewnątrz, gdzie Negrowie rozprawiali o złym znaku, gdyż po raz pierwszy od stworzenia świata miano wznieść coś czworokątne! Wszystkie chaty tubylców były okrągłe jak wszystkie dobre rzeczy stworzone przez boga. Okrągłe było słońce, okrągły księżyc, okrągła ziemia, okrągła głowa człowieka i jego serce - a tu zjawili się umfundisi i budują czterokątne domy! Ale ojciec Kerr nie ustąpił - musieli nawet dopomóc w wykończeniu dziwacznej lepianki.

Następnie prowincjał podjął próbę rozmówienia się z Dawą, ale ten wziął nogi za pas, gdy tylko go zobaczył!

Nie było rady, musieli opuścić „purgatory”, choć w głębi serca przeczuwali, że wrócą. Ojciec Kerr napisał do King Williamstown, aby do Mtokoland wyruszył narybek siostr. Natomiast z Europy, jak donosił ojciec Daignault, wybrała się w drogę grupa niemieckich ojców i braci, i wkrótce dotrą oni do Chishawasha.

Zrezygnować? Ojcu Kerrowi nigdy by to nie postało w głowie. Musiał jak najszybciej wybrać się do Kraju Przylądkowego, aby na czas przyjąć siostry. Przedtem jednak należało uroczyście otworzyć Chishawasha - gdziekolwiek spojrzeć, tylko praca, praca, praca. Nie było czasu na chorowanie ani na

leżenie w łóżku w „czyścicu”. Mogło się wydawać, że energia przełożonego przywróciła zdrowie ojcu Hartmannowi.

Nie powiodła się także ostatnia próba zdobycia Dawy.

Wódz zdecydował, że najpierw zasięgnie rady „mądrej kobiety”, osławionej wiedźmy z doliny Mazoe, o imieniu Saanda. Mówiono, że opętał ją diabeł. Wyniku proroctwa należało się raczej spodziewać: złorzeczyła i przeklinała białych ludzi. Jeśli Mtoko okazało się czyścicem, to dolina Saandy stanowiła piekło krainy Mashona. To doświadczenie istnienia zła okazało się dla chrześcijan bardzo pożyteczne. Przynajmniej tę jedną korzyść niosła z sobą nieudana ekspedycja do Mtoko.

Lecz pomimo klątwy czarownicy w Salisbury gotowało się już zwycięstwo Chrystusa.

W przyszłej metropolii wzniesiono skromną kaplicę, wystarczającą tubylcom, którym nie przeszkadzało, że jest okrągła, skonstruowana z pni drzewa mopani i gliny, wykopiona nawozem mrówek i pokryta dachem z trawy. Na jej szczycie królował drewniany krzyż obity złoconą blachą i błyszczący w słońcu, uważany przez nich za wielkie muti. Pierwszy krzyż nad Salisbury! Kilka razy budowla o mało nie poszła z dymem, gdyż szczury przewróciły świece albo „wieczną lampkę”. Lecz dziwnym zbiegiem okoliczności niewidzialna straż pożarna gasiła zarzewie, zanim zdążyła to uczynić ludzka ręka. Któregoś razu jednak zapalił się ołtarz. Złożona gorączką jedna z sióstr dojrzała zdradziecki blask nad kaplicą przez szparę w swoim namiocie. Nie wołając na trwogę, bosą przedarła się przez dym i płomienie, dusząc pożar w zarodku swoim kocem mokrym jeszcze po ostatniej ulewie. Zaraz potem osunęła się nieprzytomna na ziemię.

Ojcowie kolejny raz naprawili polowy ołtarz, natomiast siostry, i to pomimo wyczerpującej pracy w ciągu dnia, wyhaftowały podczas nocnych dyżurów przy chorych pierwsze antependium z symbolami chleba i wina. Pustych pojemników po mleku używano jako flakonów, a wypolerowanych, starych puszek jako świeczników. Nad wszystkim wznosiła się pionierska monstrancja, która przetrwała uciążliwą wędrówkę przez wichury, nawałnice, deszcze i upały.

Brakowało jeszcze dzwonów. Na tę Wielkanoc pierwsi mieszkańcy Salisbury przybyli niewzywani ich biciem. Odprawiono uroczystą mszę polową z ogromnym poświęconym ogniem wielkanocnym przed chatą i przy wschodzie słońca, który harmonijnie zgrał się ze śpiewem Exsultetu.

Lumen Christi!

Promieniejący szczęściem ojciec Prestage przeniósł paschał do ołtarza! W skromnej świątyni, przy chrzcielnicy oczekiwali już katechumeni. Doktor Edgelow nie wstydził się schylić głowy i przyjąć chrzest przed wszystkimi zgromadzonymi, Jan van der Riet poszedł w jego ślady. Potem nadeszła kolej na Gaikanę i Sesango, pierwszych tubylców, odzianych w sztywne, białe ubiory limbo, uszyte przez siostry w trakcie wielu nocnych czuwań! Gaikana otrzymała drugie imię Teresa, gdyż mała święta patronowała misjom, zaś jej mąż zdecydował się na miano Leon, gdyż oznaczało ono to samo, co i jego rodowe nazwisko Shumbo, czyli lew. Spodobało mu się ono tym bardziej, gdy opowiedziano mu, że wielcy prorocy Jego narodu nazywali Chrystusa „lwem Judy”, więc przyjmując nowy przydomek, nie myślał już o duchach władcy zwierząt. Gdy ręka kapłana wylała zbawczy zdrój na czoła obojga, wokół zapadła pełna wzruszenia cisza. Na zewnątrz tłoczyli się do rośli i dzieci - dzień w dzień Salisbury wzbogacało się o nowych mieszkańców.

Już od dłuższego czasu białe siostry świętego Dominika nie były jedynymi białymi kobietami w okolicy. Codziennie drogą przez sawannę przybywały setki wozów podążających w ślad za poszukiwaczami diamentów i złota oraz farmerami. Bogactwo kusilo, dla niego godzono się na wszystkie uciążliwości!

Odkąd linia szyn połączyła Vryburg z Kimberly, i mila po mili spieszono z budową kolejnego odcinka, jak gdyby jacyś prześladowcy deptali robotnikom po piętach, a tym samym do Salisbury zostało jeszcze „tylko” 800 mil. Odkąd stanęły pierwsze słupy telegraficzne i otwarto urząd pocztowy, Mashonaland nie był już uważany przez poszukiwaczy przygód za zupełną dzicz.

Oczywiście pierwsze kopalnie złota i kamieni szlachetnych nie okazały się zbyt imponujące, lecz gdzie tylko geologowie znaleźli najmniejszą żyłę, tam zaraz ciągnęło prawdziwe ludzkie mrowie. Rhodes miał na tyle roztropności, że nie przejmował się początkowymi rozczarowaniami - masa ludzka nie znała cierpliwości i wytrwałości. Dotychczasowego administratora Salisbury zastąpił lubianym powszechnie i popularnym pośród ludności „doktorem Jimem”, którego nawet tubylcy uznawali za niepokonanego. Dalej prowadzono budowę dróg i osad, zaś prospectors nieznużenie dostarczali nowe próbki skał do pierwszych kopalni w Hartley Hills. Nawet Lobengula zainteresował się odkryciami i przysłał delegata, aby zgłosić swoje roszczenia.

Czyżby krwawy Neron pogodził się z inwazją amakiwa na terenie Mashonaland?

Koloniści beztrwosko zakładali, że tak jest, postrzegając w bezkrwawej ofensywie i spokojnym podboju dokonanym przez oddziały Rhodesa ostateczne zwycięstwo.

Tymczasem Lobengula za ciężkie pieniądze sprzedał potajemnie koncesję na następne sto lat pewnemu Niemcowi, któ-

ry przybył do Mashonaland wraz ze swoim krewnym Beitem. Wiedział oczywiście, że naruszył tym samym warunki umowy z wielkim Ulodsi, było to też jego ostatnie pociągnięcie w rozgrywce przeciwko Rhodesowi. Pieczęć z czarnym słoniem zdobiąca kontrakt z Anglikami widniała teraz także na piśmie z niebezpiecznym, niemieckim tekstem. Ale Rhodes panował nad emocjami. Mając za sobą niezmiernie bogactwa trustu diamentowego z Kimberley, nie namyślał się długo i od ręki odkupił od Lipperta całą koncesję.

Dowiedziawszy się o tym, Lobengula wpadł w szal, gdyż dzięki złotu i pieniądzom białemu człowiekowi kolejny raz udało się unieszkodliwić jego działania. Odtąd przestał wierzyć słowom białych, których sens zmieniała garść kruszcu, i to w ciągu jednego dnia!

Zwiedzając któregoś razu Hartmann's **Mili**, swoją darowizną dla jezuitów, Rhodes wspomniawszy o nękających go troskach. Na razie wznosiła się na nim wygodna chata, lecz trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś wyrosnie tam gmach college'u dla białej młodzieży, dysponujący wszelkim komfortem. Natomiast ojciec Hartmann wierzył w to niewzruszenie, a Cecil Rhodes przysłuchiwał mu się chętnie, gdyż kwestia wychowania leżała mu bardzo na sercu. Przypatrując się kolorowej zbieraninie mieszkańców Salisbury oraz pozostałej ludności, jaka ruszyła w ślad za jego pionierami, nie potrafił opanać obaw. Jak pogodzić tak różnych ludzi, a także zrobić z nich porządnymi obywateli tej nowej brytyjskiej posiadłości?

Zapewniał to jedynie dobrze ugruntowany, celowy i jednolity proces wychowawczy, lecz realizacja tego zamierzenia w rzeczywistości zdawała się być nieomal niemożliwa, gdyż jak na razie w okolicach kopalni niczym grzyby po deszczu



jako pierwsze pojawiały się bary oraz kluby, gdzie podawano brandy, a wskutek tego nie brakowało zatargów z czarną ludnością. Gdzieniedzie pojawiły się także formy aktywności unikające raczej światła dziennego. W pierwszym rządzie należało zatem wznieść solidne więzienie. Wszędzie tam, gdzie pojawiali się ludzie żądni szybkiego zysku, działo się podobnie. Zamyślony Rhodes przeciągnął dłonią po czole.

- Czy siostry mogłyby się zająć przysposobieniem młodzieży?

Ojciec Hartmann zapewnił, że matka Patricia ucieszy się tym zadaniem, jednakże najpierw muszą z King Williamstown przybyć wezwane na pomoc współsiostry. Praca w szpitalu i tak już angażowała je ponad siły. Rhodes przytaknął.

- Wiem o tym. Gdy tylko znajdzie się ktoś odpowiedni, przełożymy prowadzenie szpitala osobom świeckim. Sióstr potrzebowałbym w pierwszym rządzie na potrzeby młodzieży. Czy ojciec wie, że dopytują się o nie w Fort Viktoria? Potrzebowalibyśmy ich najmniej setkę.

Tak, to rzeczywiście był problem. Każda z zakonnice musiałaby się podwoić, aby dało się uporać z najpilniejszymi potrzebami.

- Musimy dotrzymać kroku tym tam - oznajmił Rhodes, wskazując na szeroką, rozpaloną upałem piaszczystą drogę, którą powoli, a przecież niezwykle szybko, jak na wznoszące się miasto, przeciągały wozy kolejnych przybyszów.

Ojciec Hartmann uśmiechnął się pogodnie.

- Bóg nigdy się nie spóźnia - uspokoił gościa. - Pięc no wych sióstr z Niemiec jest już w drodze. Dotrą na miejsce pewnie gdzieś z końcem lipca.

Do Salisbury wyruszył także cały sztab ojców i braci zakonnych. Wkrótce dzieło nabierze rozmachu i to pomimo znacznych odległości.

- Wydaje mi się, że muszę tu częściej zaglądać - zakończył Rhodes, żegnając się. Odpoczywał w takich chwilach. Ojciec Hartmann długo patrzył w ślad za przybyszem.

Z końcem lipca ojciec Henry Kerr dostarczył swoje podopieczne, pięć niemieckich zakonnic, do Salisbury. Towarzyszyła im także siostra Ignatia pozostawiona swego czasu w Macloutsie. Nastąpiło powitanie, podczas którego popłynęły łzy! Śmiejąc się i genialnie naśladując, siostra Ignatia zdemonstrowała matce Patricii oraz wyczerpanym współsiostrom, jak wyglądało jej pierwsze spotkanie z ojcem Kerrem. Opanowała tak znakomicie surowy marynarski akcent, że nieomal słyszało się głos byłego oficera.

- Nie ma narzekania! Ratowanie dusz to nie gra towarzyska dla zabicia czasu. Wszyscy na pokład i jazda w drogę!

Zaledwie po dwóch dniach wypoczynku prowincjał zabrakł siostry oraz nowych niemieckich misjonarzy do Chishawasha na poświęcenie stacji misyjnej. Było święto założyciela zakonu, świętego Ignacego, gdy na potężnej skale leżącej na północ od pierwszych chat postawiono krzyż jako znak zwycięstwa białego Boga. Odcinał się ciemnym konturem pod stalowym błękitem afrykańskiego nieba, wznosząc nad nieogarnionym pustkowiem tej odległej krainy małych stad.

Tutaj też, w pogańskiej krainie brało początek królestwo Boże. Był to także wielki dzień dla niemieckich ojców, którzy niedawno przecież opuścili swoją ojczyznę, aby budować je dla Chrystusa.

Na ich czele stał ojciec Richartz, szczupły, ciemny mężczyzna pochodzący z okolic Koblencji nad Renem. Prowincjał, ojciec Kerr, miał zamiar mianować go przełożonym nowej stacji.

Przedtem jednak wziął na stronę ojca Prestage'a, który jako pierwszy stanął na tej ziemi.

- Peter, nie myśl, że cię pomijam. Pozostajesz w rezerwie dla Empaneni, aby doprowadzić do niebiańskiego portu krainę Matabele. To całkowicie twoje dzieło, bo jeśli nawet mu sieliśmy je opuścić, to myślę, że wkrótce tam wrócimy. Lobengula wydaje się poddawać konieczności.

Ojciec Prestage daleki był od tego, aby zazdrościć współbratu stanowiska w Chishawasha. Jezuita zna tylko posłuszeństwo, wskazane mu miejsce jest dla niego polem pracy. On także nie zrezygnował w sercu z Empaneni. Wiedział jednak, że nie należało się liczyć z możliwością zbyt rychłego powrotu. Wspominał też ojcowi Kerrowi o zabiegach dyplomatycznych Lobenguli. Ponieważ nie udało się wysadzić Rhodesa z siodła, pewnie sięgnie po inne środki. Czy w całym kraju nie dochodziło do krwawych zamieszek? Oczywiście, lecz impi krwawego władcy już nieraz najeżdżały i pustoszyły krainę Mashona, nie wiadomo, czy należało się spodziewać wojny, czy dochodziło do zwykłych sporów pomiędzy tubylcami o przestrzeń życiową.

- Myślisz, że Lobenguli nie da się nawrócić? - dopytywał się ojciec Kerr, wspierając głowę na dłoni. Nie mógł się pogodzić z tym, że napotymano trudności, z którymi nie potrafił sobie poradzić nawet stary wilk morski!

Ojciec Prestage uspokoił go.

- Kto to wie? Zaprowadziłem kiedyś władcę do naszej kaplicy, próbując wyjaśnić mu wszystko, czym się interesował. Jak wszystkich czarnoskórych zafascynowały go obrazy, więc musiałem mu opowiedzieć o poszczególnych stacjach drogi krzyżowej. W podobny sposób, za pomocą kolorowych ilustracji, prowadzimy również katechezę, gdyż krajowcy nie znają pisma. Lobengula słuchał w skupieniu mojej opowieści o meście Syna Bożego.

Nagle przerwał mi mówiąc: „Złemu, białemu indunie udało się go zabić? To niesprawiedliwe! To bardzo niesprawiedliwe! Czarny wódz nie potraktowałby tak białego Boga. Nie sprowadzili nawet czarownika, żeby dowieść jego niewinności. Gdyby to się działo w moim kraju, to jednego dnia wyciąłbym w pień indunę i cały jego ród!”.

Tak, trudno było głosić Ewangelię Matabele. Lobengula wpadał wprawdzie w złość, widząc niesprawiedliwość białego człowieka, lecz od nauki o ukrzyżowanym i zmartwychwstałym Synu Bożym także trzymał się z daleka. Dusz nie dało się zdobyć dla dobra jedynie energią i dobrymi chęciami.

Wkrótce niemieckim siostram dane było przeżyć *założenie* pierwszej szkoły w nowym kraju. Szybko wzniesiono w tym celu lepiankę. Zbliżała się pora deszczowa, więc potrzebowano solidniejszego schronienia! W ciągu czterech tygodni - od września do października - stanęła okrągła chata nieodróżniająca się od pozostałych, a przecież odbyło się w niej historyczne wydarzenie, gdy jej progi przekroczyło pierwszych piętnaścioro dzieci!

Zakonnice obarczono dodatkowo codziennym nauczaniem, dobrze, że otrzymały tak potrzebne wsparcie. Nie wolno było dłużej zwlekać, gdyż od czerwca do września dotarło 1267 przybyszów poszukujących ziemi wraz z wozami, dobytkiem i rodziną.

Biały człowiek znaczył swoje działki również na północ od Zambezi, wznosząc umocnione forty w okolicach jezior Niasa i Tanganika.

Również siostry przeznaczone do Fortu Viktoria nie mogły się ociągać z wyruszeniem w podróż. Kolejne wzruszające pożegnania, gdyż siostra Ignatia pociągnęła wraz z nimi ku

południowi. Ojciec Kerr był w swoim żywiole! Wreszcie coś się działo!

Pora deszczowa? Nic takiego, ludzie jego pokroju nie dawali się odstraszyć słodkiej wodzie, choć hektolitrami lała się z nieba! W rzeczy samej, oszczędził zakonnicom pobytu w płomieniach „czyścica”, lecz czy oczyszczenie ciągnącą się tygodniami jazdą przez błoto, szlam i wodę było mniej uciążliwe? Po drodze, aby rozweselić siostry, opowiadał dziesiątki anegdot, a w jego chełpliwych opowieściach Viktoria, która po ostatnich odkryciach złóż złota podzieliła się na stare i nowe miasto, wydawała się być małym Paryżem z wszelkimi możliwymi luksusami.

A rzeczywistość? Na zakonnice czekał szpital pełen cierpiących chorych. Nie zbudowano dla nich lepianek, więc ponownie zaczęły się uciążliwe noclegi w wozie. Wspaniałości miasta pozostały dla nich niedostępne. I kiedy w Salisbury hojny darczyńca ufundował siostron solidny ceglany budynek (pierwszy dom z prawdziwego zdarzenia!), a ojciec Kerr pocwałował na jego otwarcie, ojciec Barthelemy oraz siostry, trzęsąc się w gorączce, chronili się jak dawniej na przemian to w namiotach, to w wozie.

Prowincjał wizytował właśnie Loyola Farm w Chishawasha, której pola po raz pierwszy miały przynieść plony, a kraal dla bydła z dziesięcioma krowami i dwudziestoma siedmioma wołami stanowił przedmiot dumy misjonarzy-farmerów, gdy z Fortu Viktoria nadszedł pilny telegram: „Ojciec Barthelemy ciężko chory stop prosi o wsparcie duchowe!”. Był to smutny początek dla nowej fundacji! Co robić? Prowincjał miał tyle spraw do załatwienia na miejscu, że nie mógł jechać, ale ojciec Prestage natychmiast okazał gotowość towarzyszenia w ostatnich chwilach umierającemu współbratu.

Zwrócił się też zaraz do Sesango, który towarzyszył mu już w kilku uciążliwych wyprawach do Sesuru i stał się nieomal

niezbędny. Młody człowiek podskoczył z radości - oczywiście, że chce wyruszyć wraz z misjonarzem, Fort Viktoria znajdował się przecież blisko jego starych, niezapomnianych rodzinnych stron, mógłby przy tej okazji odwiedzić kraal Kewero, a może nawet pomóc wznieść tam krzyż? Z rozpromienioną twarzą ruszył do chaty do Gaikany.

Małżonka przykucnęła przy palenisku, gotując papkę z prosa dla liczącej prawie dwa latka Njiny-Marii bawiącej się na gołym klepisku. Wieść o jego planach sprawiła, że jej oczy rozszerzył strach. Sesango chce ją opuścić na jakiś czas? Przecież od zawsze dręczył ją o niego straszliwy lęk, gdy z mfundisi wyruszał ku obcym ludom - a teraz nawet w okolice szczególnie zagrożone najezdami Matabele. Bez słowa zdjęła garnek z ognia, bez słowa wymieszała jego zawartość, bez słowa dodała mleka i wody, gdyż smutek ścisnął jej gardło. Sesango zrobiło się ciężko na sercu, lecz obiecał wiernie towarzyszyć baba. Żadna kobieta nie pojmie, że dla mężczyzny może być coś ważniejszego od życia w kraalu. Czyżby zapomniał, że nosi w sobie jego dziecko, że teraz właśnie potrzebuje jego ochrony? Czy nie wiedział, że ciągle jeszcze czuje się obca i samotna pomiędzy białymi ludźmi o dziwnych obyczajach?

Czy nie pamiętał o tym, że i tubylcy trzymali się od niej z daleka, gdyż dała życie bliźniętom i nie zgładziła ich? Trudno było zostać samej na miejscu.

Ale towarzyszyć mu nie mogła, bo krajowcy podróżowali bez kobiet, chyba że właśnie uciekali jak niegdyś oni sami. Nie, nie robiła mu wyrzutów, tego czarna kobieta nie robi, i dlatego cierpiała, milcząc. Wszystko też, co opowiadał o sławie stania się współzałożycielem stacji misyjnej w Gokome-re, swojej urokliwej ojczyźnie, znajdowało jedynie słabe echo w jej bezradnym uśmiechu. Nie powiedziała ani słowa. W milczeniu przyglądała się, jak Sesango - po raz ostatni? - sięga

do wystudzc nego garnka, formuje z papki kulki i pospiesznie wpycha je sobie do ust. Wciąż jedli, tak jak zostali do tego przyzwyczajeni. Tylko to, że kobiecie wolno było pozostać przy spożywającym posiłek mężczyźnie, stanowiło zwyczaj podpatrzony u białych.

Ruszyła wraz z nim ku kraalowi misjonarzy, gdzie ojciec Prestage niecierpliwie wyglądał mającego nadjechać wozu. Umierający współbrat nie miał żadnego duchownego w promieniu dwustu mil! Oby tylko nie przybył za późno! Sesango niósł bagaż na głowie, uśmiechając się do kroczącej obok niego milczącej Gaikany. Njina usadowiła się na jej biodrze, trzymając się ramienia. Nie mogła mu nawet podać ręki. Tylko od kiedy zwykli się tak żegnać? Jej melancholijne oczy spoglądały na niego z wyrazem oziębiającego bólu.

Uśmiechnął się do niej raz jeszcze, przeciągając palcami po kręconych włosach córeczki.


Stała w obłoku czerwonego kurzu, który niczym gęsty welon zakrył jej łzy.

Przybywszy do Makwiro, ojciec Prestage zostawił Sesango, który obiecał podążyć za nim piechotą, wypożyczył wierzchowca i pokonał ostatnie czterdzieści mil wyteżonym galopem.

Gdy bez tchu, zlany potem i u kresu sił przybył do szpitala, ojciec Barthelemy przeszedł właśnie kryzys, lecz ciągle jeszcze czuł się bardzo słaby. Siostry również wyglądały jak duchy. Przez trzydzieści siedem dni nie ściągnęły z siebie odzienia. Gorączka nie oszczędziła żadnego z białych, więc wokół Fortu Viktoria przybyło świeżych mogił.

Podbój bez przelewu krwi?

Sam kraj żądał należnego mu trybutu.



- Byłem przekonany, że powiększę grono naszych zmarłych - stwierdził matowym głosem ojciec Barthelemy. - Ostatnim razem ojciec Kerr wyliczył, że w ciągu czternastu lat odešlo czterdziestu misjonarzy, całkiem niezłe żniwo Boże, tu, nad Zambezi! Na szczęście anioł śmierci jeszcze raz mnie ominął.

- Dobry baba nie mógł umrzeć - orzekł Sesango, gdy wreszcie dotarł na miejsce. - Powiedziałem przecież białemu Bogu, że muszę Go jeszcze zaprowadzić do ludzi w Gokomere!

Misjonarze spojrzeli na siebie.

Danina krwi złożona dziczy wydała im się naraz wcale nie tak wysoka.



## **„Bullala, bullala" - śmierć, śmierć!**

Na Loyola Farm pierwsi tubylcy pracowali na polach kukurydzy i ziemniaków, zbierając szkodniki. Stanowili liczną gromadę nadzorowaną przez brata Biermanna, zwalistego Westfalczyka. Praca z nimi okazała się niełatwa, gdyż trzeba było pokazywać im wszystko nie raz, ale dziesięć razy. Na szczęście nie brakowało mu cierpliwości i opanowania.

Napotkano nie mniej trudności, gdy ci młodzi ochotnicy, gnani ciekawością, mieli pomóc przy budowie. Pomimo to zabrał ich na Hartmann's Hill, gdzie po dormitory, domu dla siostr, wznoszono z własnoręcznie wyrabianych cegieł konwent dla jezuitów, drugi z kolei murowany budynek w mieście. W jednej z karawan przybył do Mashonaland młody irlandzki ceglarz, który odkrył na północy Salisbury bogate złoża gliny i żwiru, należało je tylko przygotować do eksploatacji. Wkrótce wspaniałomyślnie oddał swoje talenty do dyspozycji misjonarzy.

Nieco później podobne budynki miały powstać na Chishawasha, gdyż pierwsze lepianki były bardzo prymitywne, zimne i wilgotne. Musiały jednak wytrzymać kilka lat, gdyż na razie stanowiły jedyne ludzkie schronienia w całej rozległej Dolinie Pawianów. Namiot-kaplica został porwany przez wiatr, chata ze słomianą strzechą dwukrotnie padła ofiarą pożaru, lecz biali nie dawali się zniechęcić. Bóg dawał im obfite plony, a nawet dał abafundisi czar wody, pewniejszy od sztuczek zaklinaczy deszczu!

Wędrowali po okolicy z różdżką w ręku, a ona zaczynała drgać, uderzając o ziemię, tam gdzie płynęły podziemne źródła. Wystarczyło machnąć kilka razy łopata i już wypływały na powierzchnię. Uznanie dla białych rosło, gdyż cenna wilgoć oznaczała życie! Abafundisi posiadli mądrość, a i ich Bóg był możniejszy.

Wodzowie oczywiście trzymali się jeszcze na dystans. Nie przychodzili, aby się osiedlić, lecz potargować. Szczególnie lubili, gdy to bracia przybywali do nich, mówiąc: Dingis a nkoos, „Oto danina”. Ale pracować?

Dobre chęci okazywały jedynie dzieci, które ciekawskie jak każda młodzież obserwowały i naśladowały poczynania białych przybyszów. Poza tym wszyscy pracujący na farmie mogli dwa razy dziennie najeść się do syta. Kto na dłuższą metę nie skorzystałby z takiej sposobności? Wieczorami siadali wszyscy razem wokół wielkiego nauczyciela, ojca Boos, który najpierw wykonywał kilka wesołych utworów na trąbce, a potem pokazywał kolorowe ilustracje i gestykulując, opowiadał fascynujące historie z życia Syna Bożego. Gdy więc spadła szarańcza, wszyscy chcieli pomóc babas. Uzbrojeni w kije i worki ruszyli do walki z egipską plagą. Był to po części wyraz wdzięczności i za to, że ojcowie wcześniej strzelali na postrach, przepędzając stada dzikich małąp, które od czasu do czasu pustoszyły Chishawasha, niszcząc uprawy na polach, więc obawiano się ich bardziej niż lwów i leopardów, mamb i pytonów. Dzieci na wyścigi rozprawiły się ze sztywnymi od porannego chłodu hoppers, którym jeszcze nie rozwinęły się skrzydła! Śpiewały przy tym starą pieśń wojenną, nie budzącą szczególnego zachwyty białych ojców:

Tirihondo, tirihondo!  
Taine madjori taivava!

Jesteśmy wojownikami, jesteśmy wojownikami. Gdy ruszymy do boju, nie znamy litości!

Na szczęście kiepsko wyglądały sprawy z walecznością ludu Mashona. Dzieciaki dawały drapaka, gdy tylko na horyzoncie pojawił się choćby cień Matabele! Potrafiły też zaraz po dumnych śpiewach złożyć ręce, próbując odmawiać pierwsze Baba uata, Ojciec nasz, żeby tylko sprawić radość misjonarzom.

Ich ojcowie nie okazywali zachwytu, gdy dzieci opowiadały w kraalach, że biały Bóg nie chce, aby mężczyzna miał kilka żon, i że jest piekło dla tych, co kradną i nie cofają się przed sięgnięciem po truciznę!

Z drugiej strony z ulgą przyjmowali do wiadomości, że ten Bóg ma nieograniczoną władzę nad duchami zmarłych oraz demonami, a także nad diabłem czarownicy Saandy!

Z takim bóstwem należało być na dobrej stopie, choć nie odważali się jeszcze zakładać ponownie większych kraalów na otoczonej błękitnymi górami, tak pokojowo wyglądającej równinie Chishawasha. Kakubi, jeden z ich najbardziej znanych magów, będący na posługach Saandy, przepowiadał nędzny i szybki koniec wszystkich białych. Oni jednak nic o tym nie wiedzieli, więc żyli beztrąsko.

Na początku lipca z południa, przez pustkowia pomiędzy Fort Viktoria a Salisbury, nadeszła telegrafem hiobowa wieść: „Matabele atakują!”. Po raz pierwszy impi liczący kilka setek wojowników pojawił się przed osadą białych. Miasto od dłuższego czasu dawało schronienie uciekinierom Karanga i Makalaka, a Matabele nie mieli zamiaru przyglądać się bezczynnie, jak ich „psy” pełzną po pomoc do znieawidzonych amakiwa!

Gdy więc w ciemnopurpurowych promieniach zachodzącego słońca pojawili się pierwsi jeźdźcy nadciągającej armii zuluskiej, odcinający się ciemnymi konturami na kobaltowym

tle nieboskłonu, a ich assegais zabłysły groźnie w mroku, biali upadli na duchu!

Pomimo to dowódca pikiety wyruszył odważnie w ich stronę. Dołączył do niego ojciec Prestage przebywający jeszcze w formie i przypadkowo goszczący u żołnierzy, aby zaprosić wojowników na niedzielną mszę. Potrzebny był tłumacz, a jezuita znakomicie władał językiem Matabele.

Dowodzący induna - „ringkop”, „spięta głowa”, o wzroście i wadze olbrzyma, siedzący niczym wykuty z granitu posąg na gołym końskim grzbiecie, spojrzał wyniośle na garstkę białych mężczyzn. Nagle drgnął zaskoczony, gdyż rozpoznał abafundisi znanego mu z Empandeni. Na chwilę stracił rezon, lecz zaraz się opanował, odpowiadając na zapytanie jezuitę:

- Biały człowieku, nie przybyliśmy, aby atakować twój kraj. Wydajcie nam te psy, a nic się wam nie stanie! - Przy tych słowach wskazał na kilku czarnoskórych przysłuchujących się z drżeniem na boku prowadzonej rozmowie.

Ojciec Prestage nie dał się zbić z tropu:

- Induna! Nie rozumiemy tej mowy. Mashona to nie psy, tylko ludzie, którzy korzystają z naszej ochrony. Nie zdamy ich na waszą łaskę i niełaskę.

Na twarzy wodza ukazała się mieszanka zdumienia i rosnąca złość. Ten abafundisi przemawiał tak, jak gdyby miał za sobą nie piętnastu policjantów, lecz całe tysiące. Czyżby nie widział przewagi Zulusów?

- Chcę sam rozmówić się z induna twojego kraalu! - oznajmił wreszcie krótko, świadomy swojej rangi. - Jesteś jedynie pośrednikiem, my natomiast przybyliśmy jako incegu, posłańcy wielkiego króla.

Duchowny zwrócił się do oficera. Takiej prośby nie wolno było po prostu zlekceważyć. Po kilku wyjaśnieniach z jednej i drugiej strony dodał tylko na koniec:

- Musisz wiedzieć, że nie przystoi rozmawiać o pokoju w pełnym wojennym rynsztunku. Poza tym zachodzi już słońce. Komendant nie zwykł prowadzić indabas o zmroku. Oczekujemy was jutro z rana!

Induna zastanawiał się przez chwilę, po czym wydał swoim ludziom krótki rozkaz w sindebele. Wojownicy opuścili asse-gais i zawrócili konie. To nie była przypadkowa zbieranina, lecz Zulusi, których należało się obawiać już tylko ze względu na zdyscyplinowanie.

Po chwili groźny czarny oddział pogalopował w dół zbocza, a ojciec Prestage odetchnął głęboko.

- Panowie! Jeśli chodzi o tę noc, to nie musimy się obawiać. Matabele na razie nie zaatakują.

Policjanci okazali zdziwienie.

- Skąd ta pewność, father? Wyglądało na to, że nasze skóry nie będą warte funta kłaków!

Jezuita odparł z uśmiechem.

- Znam Matabele od ponad dziesięciu lat. Spokojne opowanie zaskakuje ich, atakują jedynie okazujących strach, podobnie jak to czynią z bezbronnymi Mashona. Należy powiadomić komendanta, żeby jutro rano przygotował się na dłuższe obrady. Niezależnie od tego jeszcze dzisiaj należy w całym forcie ogłosić alarm!

Tak też rzeczywiście zrobiono, umieszczając karabiny maszynowe oraz ciężką broń na przygotowanych pozycjach. Światła reflektorów nieustannie omiatały najbliższą okolicę miasta, w którym jedynie kilka osób spało tak spokojnie jak ojciec Prestage. Misjonarz poinformował dowódcę, że Zulusi zwykli nacierać nad ranem i na to się właśnie przygotowano.

Następnego ranka o wyznaczonym czasie pagórek przy pikiecie ożył: ukazał się na nim oddział czarnoskórych, około trzydziestu wojowników zebrało się w poselstwo wokół do-

wodzącej „spiętej głowy” i ze spuszczoneymi dzidami ruszyło ku obozowisku.

Induna powtórzył swoje żądanie, oznajmiając, że biały człowiek nie ma prawa przetrzymywać psów Matabele.

Domagał się tego w imieniu Lobenguli, dodając wyjaśniająco:

- Nie mamy zamiaru zabijać ich tutaj, na waszych oczach, lecz nieco później, tego możecie być pewni.

Ojciec Prestage przetłumaczył, a oblicze kapitana oblało się purpurą.

- Proszę powiedzieć temu bezczelnemu łotrowi, że nie myślemy wydawać mu ani jednego z Mashona. To jest i pozostanie terytorium brytyjskie, a oni korzystają z naszej ochrony. Poza tym niech się jak najszybciej zabiera stąd ze swoimi ludźmi. W ciągu dwudziestu czterech godzin nie chcę widzieć nawet końskiego ogona po jego impi.

Misjonarz nie mógł przetłumaczyć gniewnej odpowiedzi w tym samym tonie i dosłownie. Dyplomatycznie i nie okazując lęku, wykazał indunie, że jego żądanie stanowi naruszenie warunków pokoju. Biały człowiek nie może wyrazić na nie zgody. Dopiero na samym końcu dodał rozkaz komendanta nakazujący opuszczenie dystryktu w podanym przez niego terminie.

Dokąd mówił, induna stał nieruchomo, natomiast indonas za nim drgnęli i groźny pomruk przebiegł przez ich szeregi. Byli to sami młodzi oficerowie Lobenguli, każdy stanowił obraz siły i okrucieństwa, ich głowy zdobiły strusie pióra, a w ręku dzierżyli pomalowane jednakowo tarcze. Jeśli wymagały tego okoliczności, cały oddział uderzał jak jeden mąż! A w odwodzie czekała cała armia. Za ledwie więc padło ostatnie słowo, jeden z wojowników zadarł głowę, podniósł w górę dzidę i zduszonym z gniewu głosem zbulgotał:

- Bullala, bullala!

Ojciec Prestage oblał się zimnym potem. To przecież okrzyk bojowy: „Śmierć! Śmierć!”.

Czyżby w następnej chwili ogarnięci szalem Matabele chcieli rzucić się na białych, pozabijać ich i okaleczyć? Na szczęście policjanci zrozumieli te słowa bez pomocy tłumacza i lufy karabinów maszynowych skierowały się spokojnie, lecz jednoznacznie na grupę tubylców.

Induna wyciągnął rękę - rozkaz do milczenia - choć sam drżał z wściekłości na całym ciele, a po jego nagim torsie spływały strumienie potu.

Wreszcie chrypliwym głosem wydał z siebie przenikliwy okrzyk, bez słowa zawrócił oddział i wszyscy pogalopowali w kierunku pagórka. Co teraz - atak? Nie, ruszyli w dół zbocza, przez chwilę w powietrzu wisiał wzbity kurz i słyszało się cichnący powoli w oddali tętent koni.

Kilka godzin później okazało się, że Matabele nie tylko spustoszyli pobliskie kraale Mashona, lecz także pokradli bydło na farmach białych. Zulusi nie mieli więc zamiaru posłuchać rozkazu komendanta i opuścić dystryktu.

Gdy po upływie terminu wytropił ich w okolicy wysłany patrol, w ich ślad wyruszył kapitan Lundy na czele dobrze uzbrojonego oddziału. Żołnierze otwarli ogień i induna wraz z wojownikami polegli co do jednego. Użyto wówczas karabinów maszynowych, z którymi Matabele zapoznali się po raz pierwszy. Pod wrażeniem tych „czarów” pozostałe wojsko poszło w rozsypkę, uciekając z placu boju. Było to łatwe zwycięstwo, lecz nie decydujące o niczym. Nawet ten czarodziejski oręż nie mógł odstraszyć krwawego czarnego Nerona od pomśzczenia ofiar. Zuluski władca nie musiał oszczędzać swoich oddziałów; dowiodło tego doświadczenie z Czaka. Woleli zgiąć co do jednego, niż się poddać.

Natychmiast ogłoszono w Forcie Viktoria stan wyjątkowy i powołano pod broń wszystkich białych. Siostry musiały się schronić w murowanym budynku magistratu, przebywanie w namiotach i chatach było zbyt niebezpieczne. Pozostał z nimi ojciec Prestage, gdyż jego konfrater ojciec Barthelemy wciąż jeszcze cierpiał na ataki febry. Obu misjonarzom krajały się serca, gdyż wszystkie kraale w Gokomere i okolicy, które ojciec Prestage odwiedził i przygotował do działalności misyjnej, zostały napadnięte i spalone. Sesango powiódł go także do dalej położonych wiosek, lecz wszędzie napotkali podobny obraz zniszczenia jak w jego ojczystych stronach. Tak nie mogło być dalej, rząd musiał podjąć jakieś kroki.

Wprawdzie gubernator Kraju Przylądkowego skierował ostrą notę do Lobenguli i czarny władca wystosował formalne przeprosiny, lecz dodał jednocześnie fatalne zdanie, że - jak już wcześniej zaznaczał - utracił kontrolę nad swoimi impis. Tym samym odsuwał od siebie odpowiedzialność i milcząco wyrażał zgodę na wojnę.

W Forcie Viktoria wydano rozkaz, aby na widok oddziałów Matabele natychmiast otwierać ogień, w pośpiechu też mobilizowano oddziały ochotników. Koloniści łudzący się zwodniczym spokojem po bezkrwawej inwazji, przebudzili się wreszcie z letargu. Zgłosiło się aż nadto młodych ludzi. Każdemu ochotnikowi obiecano sześć tysięcy akrów w krainie Matabele, gdy tylko uda się pokonać wroga. Cecil Rhodes kolejny raz ufundował wyposażenie oddziału, konie, uzbrojenie i amunicję. Fort Viktoria oddelegował czterystu, Tuli dwustu dwudziestu, a Salisbury dwustu pięćdziesięciu ośmiu konnych pionierów. Te siły musiały wystarczyć: na ściągnięcie kolejnych nie było już czasu, przemarsz trwałby zbyt długo. Kierowano się więc hasłem: pomóż sam sobie, a Bóg ci dopomoże!



Armia Matabele dysponowała ogromną przewagą liczebną, lecz chwilowo pojawiała się szansa na odniesienie sukcesu. Lobengula na czele ośmiu tysięcy wojowników natarł na krainę Marotse, aby zmusić buntujący się lud do płacenia trybutu. Ciągle jednak pozostawało nie mniej jak dziesięć tysięcy dobrze wyszkolonych wojowników, którym należało stawić czoło.

Alarm ogłoszono również w Salisbury!

W tym samym miesiącu, kiedy doszło do zajęć w Forcie Viktoria, dostrzeżono także oddziały Matabele w tutejszej okolicy. Ojciec Richartz był właśnie w podróży misyjnej, przebywając w kraalu Chinutse położonym około dwudziestu mil na południowy wschód od Chishawasha. Prowadził właśnie w najlepszą rozmowę w kotła samego wodza Donolere, gdy z sąsiedniej osady przybiegł zlany potem Sesuru, wymachując toporem i dzidą. Miał do przekazania pilną wiadomość. Nadciągali Matabele, zajęli już wielką drogę i wdarli się na terytorium induny Secke. Donolere okazał się człowiekiem o wielkiej przezorności. Upewniwszy się, że impi napastnika przewyższa liczebnie jego siły, zarządził szybki, lecz zorganizowany odwrót na skałę dającą schronienie jego plemieniu. W jednej chwili wszyscy mężczyźni mieli w ręku broń, kobiety zaś bez zbędnych lamentów spakowały najpotrzebniejsze sprzęty, przywiązały dzieci na plecach i przy biodrach, a starsze ujęły za ręce. Ani śladu pośpiechu lub paniki - wszystkie działania sprawiały wrażenie zdumiewającej dyscypliny. Wydawało się, że podobne ucieczki ćwiczone od całych pokoleń.

- Nie pójdziesz z nami, baba? - zapytał zdumiony wódz, widząc niezdecydowanie ojca Richartza. Ten spojrzał na swój wóz, woły i cały dobytek: miałby to wszystko porzucić?

Donolere uśmiechnął się.

- Nie obawiaj się, baba; poniesiemy to za ciebie. Matabele nie okażą litości, ponieważ jesteś biały. Wystarczy im, że nam towarzyszysz.

Misjonarz zatknął za pas colta i zdjął płaszcz, aby móc się szybciej poruszać. Wódz wezwał kilku wyrostków, którzy zaraz przejęli jego bagaż, a także przywieziony przez niego towar do wymiany i handlu. Zajęto się także jego wołami.

Spiesznym marszem wyruszono w milczeniu drogą wiodącą przez bagna i nieprzebyte chaszcze, ścieżkami znanymi jedynie mieszkańcom kraalu. Nawet dzieci bez słowa skargi człapały w rosnącym upale. Kobiety objuczyły się niewyobrażalnymi ciężarami: oprócz innych pakunków niosły jeszcze na głowach ogromne kosze! Nie słyszało się jednak ani stęknięcia. Wszystkie wiedziały od dziecka, że życie oznaczało utrapienia. Kroczyły naprzód, patrząc nieruchomo przed siebie, cierpliwe niczym zwierzęta pociągowe. Mężczyźni musieli mieć ręce wolne, by trzymać broń, oni też mieli pieczę nad bydłem.

Dyszając, ojciec Richartz spoglądał raz po raz na swój zegarek. O jedenastej nastąpił wymarsz: o drugiej po południu wyczerpani do ostatka dotarli na miejsce. Celem była ogromna naga granitowa skała, wyrastająca nad okolicą. Jak dostać się na jej szczyt?

Tylko dzięki pewności stapania, z jaką poruszały się muły, Sesuru znajdowali oparcie dla stóp tam, gdzie abafundisi dostrzegał jedynie gładki kamień.

Nie starczyło mu czasu na zgłębienie tajemnicy, jak poradzono sobie z jego wołami, lecz kiedy już schronili się w wielkiej, niewidocznej od strony doliny górskiej pieczarze, całe bydło znajdowało się w bezpiecznym miejscu.

Matki przysiadły na swoich tobołkach, a ojciec Richartz musiał się uśmiechnąć, widząc pomiędzy manatkami kilka „ko-

szul", które ojciec Boos uszył dla swoich podopiecznych jako pierwsze zdobycze cywilizacji. Przy tym cała procedura funkcjonowała bardzo prosto. Rozwijano materiał z wałka, „klient” układał się na nim w poprzek, zawijano go weń jak rolmops, a pomysłowy misjonarz odcinał potrzebną długość. Gotowe - następny, proszę!

Ale teraz wcale nie było mu do śmiechu pomimo tego wspomnienia. Dziwne, że właśnie w chwilach szczególnego napięcia przychodzą do głowy tak pogodne myśli! Samopomoc natury? Antidotum na trapiący go lęk, nie o własne życie, lecz o Chishawasha? Tam nie poczyniono żadnych przygotowań na wypadek napaści. Czyżby Bóg chciał, aby znów połała się krew?

Nie było nic gorszego od beczynnego oczekiwania.

Widząc, że bierze do ręki lunetę i przykłada ją do oka, Sesuru otoczyli go pełnym szacunku kołem. Nagle na szlaku wiodącym przez sawannę do Salisbury dojrzał jadący spokojnie brytyjski dylizans pocztowy. Dzięki lornetce zobaczył, jak pocztylion przykłada do ust róg i dmie weń, dźwięku niestety nie dało się z tej odległości usłyszeć.

Misjonarz odetchnął z ulgą, gestem wzywając Donolere:

- Spójrz tam, induna! Niebezpieczeństwo minęło, można już opuścić kryjówkę!

Donolere spojrział przez przyrząd i westchnienie ulgi wyrwało mu się z czarnej, szerokiej piersi.

- Doprawdy, jesteśmy uratowani. Żaden amakiwa nie byłby na tyle nieroztropny, aby ryzykować przejażdżkę podczas wojny. Wracamy! - Czarna ręka skinęła na jednego z chłopów: - Najpierw kocioł Kakubiego!

Ojciec Richartz drgnął zaskoczony - a więc jednak! Ogromny drewniany ceber dźwigany przez całe godziny przez Sesuru przynależał do inwentarza ich czarownika.

Nie namyślając się długo, zagroził im drogę.

- Stać! Odłóżcie to! Co to za naczynie?

Donolere zmieszał się.

- Baba, musisz zrozumieć! To nie nasza własność, lecz najpotężniejszego człowieka w kraju, którego wszyscy się obawiamy. Tak, to czarodziejski kocioł. On... - słowa zamarły mu w ustach. Nie czekając na pozwolenie, misjonarz zdjął z naczynia pokrywę. Na dnie leżał woreczek z ludzkimi kośćmi, ozdobiony tajemnymi znakami, oraz inne przedmioty służące do zaklinalania i wrózenia.

- Gdzie jest Kakubi?

Nikt się nie odezwał, nikt nie odważył się nawet mrugnąć powieką. Głos ojca Richartza nabrał ostrości.

- Wiecie, że rząd brytyjski, który zobowiązał się chronić Mashona, pod ciężkimi karami zabrania uprawiania czarów. Jestem uprawniony do konfiskowania wszelkich służących do nich sprzętów. I niniejszym to czynię!

Rozległy się głośne okrzyki, lecz zaraz umilkły. Wszyscy w napięciu spoglądali na odważnego ojca.

- Mówiłem wam już wiele razy, że Bóg brzydzi się magią, a wy obiecaliście słuchać Jego nauki. Wszystko, czego czarownicy dokonują za jej pomocą budzi Jego gniew. Dlatego zabieram kocioł.

Kilku wyrostków podeszło bliżej, na co jezuita schylił się szybko, unosząc drewniany ceber, a w jego oczach błysnął gniew.

- Kto się odważy przeszkodzić mi w tym?

Ton jego głosu oraz święte oburzenie sprawiły, że zostawiono go w spokoju.

Ojciec Richartz chciał obładować kotłem ostatniego z poganaczy, jaki mu jeszcze pozostał, lecz ten wzbraniał się, okazując takie przerażenie, jak gdyby mfundisi miał na miejscu paść trupem.

- Dobrze - głos ojca Richartza brzmiał już spokojniej - wobec tego sam go poniosę. Jeśli ma jakąś wartość, podajcie mi kwotę. Zapłacę ją właścicielowi. Nie wydam go rządowi, ponieważ nie jestem waszym prześladowcą, tylko przyjacielem!

Przy tych słowach odwrócił się, by odejść, a w tej chwili rozległ się przenikliwy pisk kobiet oraz dzieci śmiejących się i tańczących z radości, że zniknie wreszcie groźne fatum przyprawiające je tak często o drżenie serca. Ich hałas jeszcze długo mu towarzyszył, nadając lekkość krokom.

W Chishawasha nie doszło do żadnych zniszczeń. Matabele zostawili je nienaruszone, lecz w dalszych kraalach zdarzyły się okrucieństwa i przemoc, które wprawiły w przerażenie mieszkańców Salisbury. Działania wojenne zdawały się koncentrować wokół Fortu Viktoria, dokąd odkomenderowano wszystkie siły. Zapleczem do kampanii przeciwko Lobenguli stało się znowu Macloutsie. Ojciec Kerr z miejsca postanowił towarzyszyć wojsku jako kapelan polowy. Również ojciec Hartmann oraz doktor Edgelow opuścili siostry, niosąc żołnierzom pomoc duchową i medyczną.

Zabrali ze sobą także van der Rieta. W pole wyruszyli wszyscy starsi pionierzy. Należało bronić i ostatecznie zdobyć kraj, do którego się już przywiązali, choć dopiero doń przybyli. Nie chodziło tylko o złoto. Musieli bronić kobiet i dzieci oraz wielu tysięcy tubylców tęskniących za zrzuceniem jarzma tyranii Lobenguli.

Teraz, w atmosferze powszechnego zamieszania, Gaikana często udawała się na szlak Chartered Company wiodący do Fortu Viktoria. Odkąd Sesango opuścił Chishawasha, myślała o nim nieustannie, nie wątpiąc ani przez chwilę, że i on czyni to samo. Z natury nieśmiała i zbyt zrosnięta ze zwyczajami

swojego ludu, nie miała odwagi dowiadywać się o męża czy przesłać mu pozdrowień.

Ciągle więc czekała, lecz na próżno. Pewnego dnia jednak, kiedy zmęczona wielogodzinnym wyczekiwaniem przy drodze odwróciła się, aby wracać do swojego kraalu, zatrzymała się jak wryta: nagle i niespodzianie stanęła oko w oko z pielęgniarzem Chiwo przyglądającym się jej natrętnie. Czego szukał na Loyola Farm? Nie mogła mu zapomnieć, że jej córka nieomal śmiertelnie się zatrzymała przyniesionym przez niego napojem. A może był to jedynie przypadek?

Przecież Sesango uważał go za swojego przyjaciela, a przynajmniej tak się mogło wydawać. Chiwo przynosił jej często to i tamto, kładąc u wejścia do namiotu upolowanego zająca czy miskę kukurydzy. A Gaikana przyjmowała dary, gdyż znowu wierzyła w jego dobroć. Którejś nocy wszedł wreszcie do jej namiotu i nie musiał mówić, czego od niej chce.

Widać to było w jego świecących w ciemnościach drapieżnych oczach. Wtedy krzyknęła głośno.

Chiwo wycofał się, gdyż okrzyk zbudził siostry i ojców, którzy pospieszyli na pomoc. Kiedy jednak przybyli, Gaikana zawstydzona, mówiąc, że to wąż wdarł się do jej chaty. Pomimo intensywnych poszukiwań nie znaleziono oczywiście niczego.

Wołanie Gaikany nie przestawało natomiast rozbrzmiewać w uszach Chiwo, dzień i noc.

Kiedy Sesuru planują coś złego, a nie chcą, aby biały człowiek zajrzał do ich wnętrza, zaczynają się uśmiechać i schlebować. Chiwo okazywał młodej kobiecie jeszcze większą życzliwość, a nawet zaczął uczęszczać na spotkania dla katechumców, czego dotąd unikał.

Zauważył też, że Gaikana wciąż wyczekiwała na przybycie dyliżansu pocztowego. A potem nadeszły ciężkie dni, kiedy Matabele ruszyli do ataku i wielkie miasto poczuło się zagro-

żonę pomimo potężnych dział z ogniem i dymem w stalowych brzuchach!

Pewnego dnia Chiwo zjawił się przed Gaikaną, uśmiechając się przymilnie, jak gdyby nigdy nie krzyczała w nocy z jego powodu.

Zwrócił się do niej:

- Sesango cię wzywa!

Zerwała się z miejsca.

- Tak, Sesango czeka na ciebie, ale nie tutaj!

- Gdzie on jest?

Chiwo wyszczerzył zęby. Jakże ją to obeszło! Tak, coś nowego zachodziło między Sesango i jego żoną - kochali się. Dziwna sprawa. Mężczyzna kocha swoje dzieci - ale kto by kochał własną kobietę? Czy nie wystarcza, że przygotowuje dla niego piwo i chleb, a także oddaje mu się? Miłość - o tym Chiwo nie miał pojęcia, natomiast doskonale wiedział, co to zemsta.

- Sesango nie ma tutaj, nie ma go też przy ojcach. Ukrywa się w jaskini, którą znasz. Uciekł od abafundisi, gdyż groziło mu zbyt wielkie niebezpieczeństwo, że zostanie odkryty przez Matabele. Wstydzi się, ale chciałby się z tobą zobaczyć.

Gaikana spojrzała na niego.

- Chiwo, przysięgnij na twoje mutupo.

Sesuru zamierzał odejść.

- Jeśli nie wierzysz swojemu mężowi, to po co mam niepokoić duchów moich zmarłych?

Pobiegła za nim.

- Chiwo, zaczekaj. Idę z tobą, muszę tylko zabrać Njinę!

Oczy mężczyzny zwęziły się.

- Nie tutaj. Mogliby nabrać podejrzeń, gdyby nas zobaczyli. Teraz jesteś kobietą bez mężczyzny. Spotkamy się pod drzewem moszense na drodze ku północy.

Gaikana ruszyła biegiem. Drżącymi rękoma przywiązała sobie dziecko na plecach. Licząca sobie prawie dwa lata Njina nabrała ciała i zdrowia, co nie ułatwiało jej zadania. Znowu pobiegła. Bez tchu dotarła do wielkiego drzewa obwieszonego dojrzałymi owocami. Chiwo już przybył, przeżuwając coś, a ona nie czuła ani głodu, ani pragnienia. Gdzie się podziewał Sesango? Pewnie, że czuł smutek z powodu ucieczki, ale co abafundisi wiedzieli o okrucieństwach Matabele? Nie było go pięć miesięcy. Czy nie powinien wreszcie wrócić do domu? Jeszcze kilka księżyców i obdaruje go dzieckiem, być może synem.

Chiwo nie musiał nakłaniać jej do pośpiechu; bosa stopy kobiety śmigły po gorącej wypalanej drodze. Wiedziała, że niebezpiecznie jest opuszczać osadę, w której ogłoszono stan wyjątkowy. Nie rozumiała zbyt wiele z tych nowych obcych słów. Lecz tam, gdzie gromadzili się ludzie, tego już wielokrotnie doświadczyła, tam groziło jakieś niebezpieczeństwo.

Gdy jej przewodnik skręcił w nikoną w buszu, boczną ścieżkę, zawahała się.

- Musimy tamtędy?

Chiwo uniósł dumnie głowę.

- Żaden roztropny mężczyzna nie porusza się głównym szlakiem. Matabele prowadzą swoje impis prostymi drogami, a nie po krętych ścieżkach.

To się zgadzało. Znała przecież swój lud. Ndebele byli zbyt dumni, by korzystać z wąskich ścieżyn biednych szczepów. Skoro nie brakowało dróg, nie musieli się przecież nikogo obawiać. Pomyślała o swoich ojczystych stronach, dokąd wyruszyły impis białego człowieka z ciężkim i lekkim orężem zionącym ogniem - pewnie teraz oddziały Lobenguli nauczą się szukać schronienia. Przypomniała też sobie starą ambuyę Nyambezanę. Czy w tak podeszłym wieku odważy się szukać



opieki wielkiego Ulodsi? Jedyne ona kochała Gaikanc i czasami młoda kobieta odczuwała za nią głuchą tęsknotę. To jej zawdzięczała piękny przydomek: „Uszła śmierci”.

Oddychając ciężko, zatrzymała się na chwilę. W buszu panowała parna duchota, ciszę zakłócało jedynie brzęczenie komarów. Poczula, jak w jej łonie poruszyło się dziecko, nie służył mu szybki marsz.

- Mogliśmy zostać na głównym szlaku - zaproponowała wreszcie niechętnie. - Nie obawiam się Matabele, sama jestem krewniaczką...

Chciała powiedzieć: kumało, pana życia i śmierci, lecz w tej chwili ciśnięta z buszu assegai trafiła ją tak celnie, że bezgłośnie upadła na twarz. Nie miała czasu, aby pomyśleć o Sesango albo o dziecku, tym nienarodzonym i tym, które zbudziwszy się, zapłakało głośno przywiązane do pleców.

- Jezus! - krzyknęła, a potem wyzionęła ducha wraz ze strumieniem buchającej z ust krwi. Jej palce wbiły się kurczowo w ziemię.

Z gęstwiny wyszło dwóch wojowników. Młodszy trącił zwłoki drzewcem włóczni. Była martwa, zdrajczyni własnego ludu, która poślubiła psa Shona i okryła Matabele hańbą ucieczki.

- Odwiąż je! - rozkazał induna Sesuru. Chiwa wykonał polecenie, choć ręce mu drżały, próbując przy tym stłumić donośny, przenikający do szpiku kości płacz Njiny. Chciał jak najprędzej pozbyć się dziecka, ale Matabele potrząsnęli dumnie głowami.

- Pobiegniesz przed nami do Mashayamombe i zapoznasz nas z Kakubim. Tam też dostaniesz swoją zapłatę.

O, do kraalu wielkiego czarownika było bardzo daleko, dobry dzień drogi, zaś przed kilkoma dniami, gdy Chiwo dostał się w ręce indunas, zobowiązał się wyświadczyć im każdą przysługę, jeśli tylko darują mu życie. Zapytali go wówczas

o żonę Sesango, kazać przysiąc na własne mutupo, że przypro-  
wadzi ją do nich.

Biegł więc przed ich końmi z dzieckiem na plecach ni-  
czym kobieta, co dla mężczyzny stanowiło śmiertelną obrazę,  
ale poruszali się tajnymi szlakami, aby nikogo nie spotkać.  
Gdy dotarli do Mashayamombe, zziajany Chwio nie mógł zła-  
pać tchu.

Zaraz potem czołgając się pokornie na czworakach, powłókł  
się ku kraalowi czarownika, prosząc strażę, by go wpuściły. Do-  
piero jednak, gdy dojrzano wierzchowce Matabele, pozwolono  
mu wejść do środka, gdyż na wszystkich padł strach przed gro-  
żącą napaścią. Ale obaj indunas domagali się tylko, aby usunięto  
z kotła czarownika wszystkich mieszkańców, również jego żony.  
Mieli z nim do pomówienia na osobności.

Kakubi zorientował się szybko, że ma do czynienia z moż-  
nymi posłami wielkiego króla, więc pokornie stulił uszy po  
sobie. Odesłał nawet Suma, swoją pierwszą żonę wraz z ulu-  
bioną córką Limbi.

Gdy w chacie gościło najwyżej jeszcze parę szczurów, po-  
prosił na klęczkach, aby weszli do środka.

Dopiero teraz obaj indunas wydobyli śpiące dziecko ukryte  
dotąd w buszu i weszli do kotła, po czym nie przysiadając ani  
nie kosztując jego piwa, polecili Kakubiemu:

- Posłuchaj naszego przesłania, Kakubi. Oszczędzaliśmy  
dotąd twój kraal, ale nie dlatego, że lękamy się twoich sztu-  
czek, tylko ponieważ cię potrzebujemy. Taka jest wola władcy  
nizin: na zawsze masz zachować przy sobie to dziecko, będące  
bliźniakiem i córką Gaikany, która zbiegła od Lobenguli, swo-  
jego wuja. Nigdy żaden czarny czy biały człowiek nie może  
się dowiedzieć, kim jest. Będzie się ją uważać za twoje potom-  
stwo, a ty wychowasz ją w wierze w twoich bogów i duchy  
twojego ludu. Jeśli chciałbyś kiedyś posłać ją do białych aba-

fundisi, dokonamy krwawej zemsty na tobie i całym twoim klanie. Taka jest wola władcy wszystkich żyjących: to dziecko ma *zagiąć* białemu Bogu, gdyż Gaikana sama wraz ze swoim mężem oddała je obcemu bóstwu. Zrozumiałeś, czego od ciebie chcemy?

Kakubi pochylił głowę, aż dotknął czołem błyszczącej czerwiącą polepy swojej chaty.

- Przysięgam na wszystkie duchy, którym służę, że zrobię tak, jak rozkazuje wielki kumało.

Induna skinął na młodszego indoda, a ten złożył dziecko na leżącej w kącie macie.

- Gaikana nie żyje, spotkała ją zemsta, to zaś jest pomsta na Sesango.

Wypełniwszy swoją misję, wyszli z czarownikiem na zewnątrz, gdzie Chiwo szary na twarzy ze zmęczenia wspierał się o glinianą ścianę.

- A ty? Jakiej zapłaty oczekujesz za swoje usługi?

Chiwo wrócił spokojny oddech.

Młody indoda trzymał w ręku trzy pięknie rzeźbione, ozdobione piórami oszczepy o błyszczących dwusiecznych ostrzach. Jeden z nich miał karbowaną zębatą klingę.

- Chcę assegai z kłami! - oznajmił z rozpalonymi chciwo ścianą oczyma.

- Dostaniesz go! - uspokoił Sesuru młodszy induna, po czym zamachnąwszy się, cisnął oręż, przyszpilając głowę nie szczęśnika do ściany. Chiwo zginął na miejscu.

Kakubi przywykł do widoku krwi, lecz teraz zrobiło mu się niedobrze.

- Chcieliśmy ci tylko pokazać, jak karzemy zdrajców. Na ostrzeżenie! - zwrócił się do niego induna.

Nie troszcząc się dalej o gospodarza, zacięli konie i ruszyli w swoją stronę.

Dopiero po upływie godziny Kakubi odważył się sprowadzić swoje kobiety. Tego wieczoru w kraalu Mashayamombe odbyło się wielkie indaba. Czarownik obwieścił, że dziecko zostało mu powierzone przez najpotężniejszego ze wszystkich demonów i zły duch skręci kark każdemu, kto odważy się wątpić, iż to jego własne potomstwo, albo nie potrafi trzymać języka za zębami co do wydarzeń, jakich był świadkiem. Przy tych słowach wskazał na zwłoki ciągle jeszcze przybite oszczepem do ściany.

Potem przekazał dziecko swojej pierwszej żonie Suma.

Tubyłcy jak cienie bezszelestnie rozplynęli się w mrokach nocy.

Kilka dni później Sesuru dostrzegli, jak nad buszem zaczęły krążyć, skrzecząc, stada padlinożerców.

Udali się tam i znaleźli Gaikanę, której białe siostry niepokojnie poszukiwały. Przynieśli zwłoki do Chishawasha, aby abafundisi zgodnie z chrześcijańskim obyczajem pochowali je w poświęconej ziemi. Dziecka nie znaleźli; przypuszczali, że jak zwykle porwał je zwabiony przez sępy drapieżnik. Matabele? Krajowcy wzruszali na to ramionami; do tego już przywykli. Kobieta to niewiele, a małe dziecko jeszcze mniej. Napadając na kraale, Zulusi od zawsze dopuszczali się rzezi. Nikomu nie przyszło na myśl, że tym razem zdarzyło się coś więcej niż zwykły rabunek. Siostry natomiast przypuszczały, że Gaikana wybrała się w drogę do Salisbury, gdyż chciała się dowiedzieć, kiedy powróci Sesango.

Obecna sytuacja nie pozwalała jednak na to. Opisały więc wszystko w oględnych słowach i przesłały wiadomość do Fortu Viktoria. Być może jedna z sióstr przekaże ją Sesango delikatniej, niż zrobiłby to ojciec Prestage, który w tych sprawach był nieco nieporadny. Nie dziwiły się też, że nie

wraca, lecz pozostaje wraz z abafundisi, do których zdał się przyzwyczaić.

W tych burzliwych dniach zapomniano o zbrodni jeszcze szybciej niż w czasach pokoju. Siostry dzień i noc musiały trwać na stanowiskach. Przy całym współczuciu, spełniając swoją powinność, troszczyły się przede wszystkim o żyjących. Domyślały się, że mieszkańcy miasta obrali je sobie za wzór, budując się spokojnym pełnieniem obowiązków przez zakonnice dzielące wraz z nimi wszystkie niebezpieczeństwa buszu.

Rozmowy koncentrowały się tylko wokół jednego: wojna z Matabele.

Kiedy doktor Jameson rozpocznie działania wojenne? W trakcie zajść, do jakich doszło w Viktorii, udowodnił, że cierpliwość białego człowieka ma swoje granice, lecz cała sprawa nie okazała się taka prosta, jak by się to mogło wydawać niektórym zapaleńcom. Wysłał więc do Rhodesa telegram z zapytaniem, czy może rozpocząć ofensywę, a ten dał mu odpowiedź, która przeszła do historii: „Czytaj Łukasza 14,31-33”.

Nieco skonfundowany doktor Jim podszedł do biblioteczki - co u licha miała wspólnego Ewangelia z zamieszkami wywołanymi przez Ndebele? Sięgnął po Biblię, przewrócił kartki i nagle roześmiał się głośno, gdyż przeczytał: „Który król mając wyruszyć, aby stoczyć bitwę z drugim królem, nie usiądzie wpierw i nie rozważy, czy w dziesięć tysięcy ludzi może stawić czoła temu, który z dwudziestu tysiącami nadciąga przeciw niemu? Jeśli nie, wyprawia poselstwo, gdy tamten jest jeszcze daleko i prosi o warunki pokoju”.

Było to typowe dla Cecila Rhodesa. Innymi słowy dawał mu wolną rękę, jeśli tylko znalazłby na tyle odwagi, aby z niewielkimi siłami ochotników *zabrać* się do rzeczy. Jameson zamknął

Biblię, pogwizdując pod nosem. Potrzebował jeszcze tylko zgody wysokiego komisarza, sir Henry'ego Locha reprezentującego interesy korony. Rozmowy przeciągnęły się od września do końca roku, wtedy dopiero pozwolono mu na inwazję w krainie Matabele i to o ile nowe gwałty impis Lobenguli dadzą ku temu powód.

Nie musiano zbyt długo czekać. Wkrótce mordercze bandy załazy jednocześnie okolice Viktorii oraz krainę Beczuaana. Ich okrucieństwo przewyższyło to, co przeżyto dotychczas.

Zaraz też na Bulawayo pociągnęły oddziały dopiero co przeszkolonych ochotników. Salisbury-colonne pod dowództwem majora Forbesa oraz Viktoria-colonne pod majorem Allanem Wilsonem. Trzeci korpus miał uderzyć od strony Macloutsie i od starej bazy zabezpieczać drogę dowozu zaopatrzenia.

Do tej jednostki dołączył ojciec Kerr. Zjawił się na krótko przed wymarszem, ale wystarczająco wcześnie, że udało mu się wygłosić dla żołnierzy krótkie rekolekcje, a także udzielić im sakramentów.

W listopadzie, gdy korpusy z Salibury i Viktoria toczyły najcięższe boje, z dział w Macloutsie oddano dwie salwy oznaczające najwyższy stopień alarmu - wszyscy do fortu!

Kilku farmerów oraz łowców, którzy osiedlili się wokół rosnącego miasta, rzuciło się ku obozowisku z żonami, dziećmi oraz całym dobytkiem, lecz w drodze stanęli jak wryci. Od strony osady nadchodziło dwoje duchownych, powoli i z godnością, jak gdyby odprawiali procesję. Młodszy z nich niósł Najświętszy Sakrament, drugi spakowawszy ich drobiazgi do worka marynarskiego, ugiął się pod jego ciężarem.

Obaj szaleńcy zmierzali prosto w kierunku buszu, który dawał Matabele doskonałe schronienie, gdyby zamierzali zaatakować obóz. Farmerzy krzyczeli, wymachiwali rękoma, strzelali w powietrze, ale obaj kapłani niewzruszenie kroczyli

dalej. Nie da się jednocześnie biec i odmawiać różańca. Ciężko dyszący ojciec Kerr prowadził modlitwę, a współbrat z monstancją odpowiadał.

Prowincjał nie przejmował się udzielanymi im reprimendami. Po pierwsze mieli ze sobą Pana Boga, po drugie byli pod opieką Madonny - co mogły zdziałać działa i oszczepy? Słyszając to, ludzie spojrzeli tylko po sobie w milczeniu.

Pierwszego listopada salwy artylerii odbiły się echem w dolinach rzek, miażdżąc nacierającą armię Lobenguli.

Trzy dni później korpusy białych zdobyły stolicę czarnego króla, znajdując „miejsce kaźni” w płomieniach, porzucone w wielkim pośpiechu. Lobengula wraz z resztkami królewskich impis wycofał się w kierunku Zambezi. Gdy major Forbes dotarł nad Szangani, gdzie ostatnio rozłożyły się wojska krwawego Nerona, zastał obozowisko ze wszystkimi oznakami nagłej ucieczki. Mogło więc chodzić o przewagę liczącą najwyżej kilka godzin.

Forbes widział tylko jedną możliwość: natychmiastowy pościg. Szkocki dowódca korpusu Viktoria major Allan Wilson zadeklarował natychmiastową gotowość do jego podjęcia wraz z trzydziestoma wypróbowanymi żołnierzami. Biali nie zdawali sobie jeszcze sprawy, co to znaczy, gdy w tym kraju podczas bitwy potrafi zapaść raptem afrykański zmrok. Lekceważąc ostrzeżenia, oddział Wilsona wyruszył w drogę. I gdy nad dymiącymi zgliszczami Bulawayo wznosiła się powoli brytyjska flaga, na drugim brzegu Szangani doszło do tragedii: wściekle, żądne krwi bullala - bullala otoczyło nagle ze wszystkich stron niewielki brytyjski oddział. Poza tym na krótko po przeprawie przez rzekę tropikalny deszcz podniósł poziom wody, uniemożliwiając przejście artylerii, a także ewentualny odwrót.

Rozjątżzeni porażką Matabele spadli na Brytyjczyków niczym nawałnica. Kiedy już wystrzelali całą amunicję, w ule-

wie i ciemnościach wycinano ich jednego po drugim. Reszta korpusu zgromadzona na brzegu spienionej Szangani usłyszała nad ranem ostatnie wołania - potem zapadła martwa cisza.

Gdy woda opadła, znaleziono Allana Wilsona wraz z żołnierzami leżących na polu bitwy - lecz nie okaleczonych.

Tym gestem Matabele dowiedli swego szacunku dla nieugiętej odwagi białego wroga.

Rhodes wysłał emisariuszy do Lobenguli, wzywając go, aby przybył do Bulawayo na negocjacje. Zgodnie ze zwyczajami wojennymi białych przy tym indaba zapewniano mu oraz jego indunas całkowite bezpieczeństwo. Anglik zamierzał zawrzeć honorowy pokój z czarnym władcą.

Nie nadeszła żadna odpowiedź. Nikt też nie znalazł śladu po Lobenguli, chociaż oddział nieustraszonych ochotników liczący sto sześćdziesiąt osób kontynuował pościg pomimo bohaterkiej śmierci Allana Wilsona. Nad Inyati zbliżyli się jeszcze na tyle, aby na horyzoncie dostrzec tumany kurzu wzbijane przez stada prowadzone przez królewskie impi. Dymiące, opuszczone ogniska, połamane wozy oraz zmiażdżony drewniany tron świadczyły o położeniu władcy. Brytyjskim żołnierzom zabrakło sił do dalszej ofensywy. Uniemożliwiły ją także kolejne ulewy, zwłaszcza że zagłębiano się coraz bardziej w pełną bagien i jezior nizinę Zambezi.

Wraz z trzema wybranymi synami oraz najdzielniejszymi ze swoich indunas u boku Lobenguła zatrzymał się na popas przy gęstej kępie drzew mopani. Nie *zapalając* ognia przysiedli, aby się naradzić, wszyscy śmiertelnie znużeni.

Król ciężko dyszał - czoło miał pokryte zimnym potem, wstrząsały nim dreszcze.



Nikt nie odważał się zaintonować Nantsi indaba ani przemówić pierwszy. Wielki Ulodsi osiadł w stolicy Matabele, a czarny Neron znał go jako potężnego przeciwnika. Dziwiło tylko, że propozycja zawarcia pokoju przesłana nad Szangani, i to przed potyczką z oddziałem Wilsona, pozostała bez odpowiedzi.

Czyżby dwie sakwy złota, jakie Lobengula przesłał Rhodesowi, zostały uznane za zbyt niską daninę? Królowi trudno to było sobie wyobrazić, Ulodsi znany był z wielkoduszności. Nie przybył jednak biały posłaniec, aby donieść, że tym razem złoto doprowadziło do zgody.

Przywołał do siebie Mjaana.

- Jesteś pewien, że Ulodsi otrzymał sakwy?

- Kumało, wręczyłem je dwojgu jego wartownikom. Biali ludzie też znają dyscyplinę. Tylko że oni zamierzają nas zniszczyć.

Tak pewnie musiało być, należało więc dalej unikać spotkania z prześladowcami. Tutaj za wezbrany nurtem rzeki Mlinde czuł się na razie bezpieczny przed zemstą białych. Przeczuwał jednak, że śmierć czai się w jego członkach. Tym razem febra różniła się od gorączek trzęsących nim podczas minionych ciężkich pór deszczowych. Nadszedł czas, aby wydać ostatnie polecenia królewskiemu oddziałowi towarzyszącemu mu do końca.

- Chciałbyś jeszcze coś dodać, Mjaan? - zapytał z trudem naczelnego generała dowodzącego oddziałem imbezu.

Ten wyprostował się dumnie.

- Kumało, dostojny Zabójco Mężów, wydaj rozkaz, a za den z nas nie przeżyje... klęski!

Słowo, które Matabele znali dotąd jedynie u swoich wrogów, nie chciało mu przejść przez gardło. Lobengula spróbo-

wał się uśmiechnąć, ale jego szeroką twarz zmarszczył jedynie grymas. Po raz pierwszy nie spodobał mu się jego tytuł „dostojny zabójca mężów” - brzmiał jak kłamstwo. Jego władza, podobnie jak i życie dobiegały kresu.

Nagle przemógł go zabobon - a może była to roztropność, że posłużył się przepowiednią Mlimo?

Skinął na indunas, aby słuchali uważnie.

- Pamiętajcie, jak nasz naczelny czarownik jeszcze przed laty wróżył, że gdy przyjdzie do walki, krew białych popły nie strumieniem, a Matabele rzeką. Dodał także, że nadejdzie czas, kiedy to kule amakiwa przemienia się w wodę, a ich siła w niemoc. Wtedy macie uderzyć! Jako dziedzictwo pozostawiam wam nienawiść. Zetrzyjcie ich, jak gdyby stada słoni na tarły na ich miasta.

Odezwał się induna Babyaan.

- Kumało, również abafundisi?

Lobengula milczał. To było trudne pytanie. Nyambešana, jego „mała matka”, wdowa po wielokrotnie żonatym ojcu, wstawiła się za nimi, gdy wydał rozkaz, aby żywcem obdrzeć ze skóry wszystkich białych indunas. „Abafundisi - powiedziała - to jedyny rodzaj mężczyzn białej rasy, którzy nam nie szkodzą. Nauczyliśmy się od nich tylko dobra”. Ustąpił wtedy, zostawiając w spokoju farmerów i łowców, którzy osiedlili się na równinie Bulawayo i sprawdzili jako przyjaciele jeszcze przed inwazją Chartered Company. Nawet teraz, podczas wojny, nie spadł im włos z głowy. Natomiast ewangeliccy duchowni, zwodzeni przez niego obietnicami od ponad dwudziestu lat, woleli ustąpić z pola, gdy rozpoczęły się wojenne potyczki. Teraz pewnie wrócą wszyscy, również ojcowie z Empandeni, tego należało się spodziewać.

Lobengula odetchnął głęboko:

- Obserwujcie pilnie mfundisi, a gdy zobaczycie, że sprawa wiedliwie traktują czarnego człowieka, zostawcie ich przy życiu, jeśli natomiast sprzymierzą się z naszymi wrogami, wybijcie ich.

To polecenie było słuszne i zadowalało wszystkich.

Głos zabrał jeden z synów Lobenguli..

- A kto, wielki kumało, ma zostać twoim następcą? Władca spojrzął na nich ostatkiem sił. Jego latorośl nie mogła się doczekać, żeby zasiąść na tronie!

- Nikt! Nikt, dokąd ostatni amakiwa nie zostanie wygnany z tej ziemi! Władzę mógłby objąć ktoś słabszy, kto sprzedałby im na zawsze kraj i ludzi. Jeśli któryś z was odważy się sięgnąć po władzę, ukazę się mu jako mondoro, zabijający lwi duch, i zaduszę go w kotła!

Synowie spuścili głowy - nawet na łożu śmierci lew ciągle jeszcze pokazywał pazury! Już niejedną raz władcy Zulu nakazali wymordować własnych synów, jeśli tylko ośmielili się zapragnąć królowania.

Wreszcie opadł zmęczony, nie mogąc zaczerpnąć tchu.

- Taka jest moja wola: wychowajcie dzieci szczepów Ndebele i Swazi w nienawiści do białych, nie wdawajcie się w żadne układy. Gdzie nie zawarto pokoju, tam panuje wojna, i nie atakujcie osobno, lecz razem. Strzeżcie się Mlimo!

Jeśli już miał umrzeć, to lęk przed starym czarownikiem mógł zjednoczyć pozbawionych przywódcy Matabele.

Okazał zadowolenie, gdy indunas oraz synowie przyrzekli zachować i wypełnić jego wolę zemsty. Następnego dnia kontynuowano ucieczkę w kierunku Zambezi. Na nieszczęście króla wraz ze świtą opadły chmary much tse-tse, zabijając im ostatnie sztuki bydła. Jednocześnie w obozie wybuchła epidemia ospy, a Lobengula stał się jedną z jej pierwszych ofiar. Królewski pochówek nie miał w sobie nic z dawnej wystawności.

Zamiast rzezi niewolników choroba przerzedziła szeregi tych, którzy wraz z nim przeżyli klęskę.

Osamotniony Mjaan rozkazał zarznąć dwa zdrowe jeszcze woły, zgodnie ze starą tradycją oddając wielkiemu kumało przysługę zawinięcia w świeże skóry i dokonując skromnego pochówku.

Grobu wodza wodzów i władcy nizin nie ozdobiły wbite w ziemię słoniowe kły. Ostatni raz herold wygłosił wszystkie napełniające łękiem imiona królewskie.

Potem zapadła cisza. Pozbawione wodza impi poszło w rozsypkę.

Dopiero na początku lutego dowiedział się Rhodes od zaprzyjaźnionego z Lobengulą handlarza o jego pogrzebie. Umrzeć musiał zapewne jeszcze z końcem stycznia. Ta wiadomość uświadomiła białym, że zwyciężyli. Tyran panujący nad krainami Matabele i Mashona nie żył, nie wybrano też nowego władcy, indunas zachowywali się pokojowo, przyglądając się jedynie ponuro, jak w „miejscu kaźni”, w ciągu kilku miesięcy powstaje nowe miasto amakiwa. Radość ze zwycięstwa była nieco zmacona - o wiele za późno Brytyjczycy dowiedzieli się o tym, że Lobengulą nad Szangani sam zainicjował próbę podjęcia rokowań. Wartownicy, którzy przyjęli złoto, okazali się ludźmi bez honoru i nie przekazali ani wiadomości, ani daniny. Tę niesubordynację przypłacił życiem Allan Wilson i jego oddział. Gdyby żądza złota nie zaćmiła umysłów dwojga osób, być może Lobengulą, który poczuł się zlekceważony przez Ulodsi, nie nakazałby swoim indunas zemsty. Gdy się o niej dowiedziano, ta zdrada wprawiała w rozgoryczenie zarówno wojskowych, jak i cywilów.

Przekleństwo złota położyło się cieniem na zwycięstwie nad Matabeleland. Nikomu też nie przyszło do głowy, aby Bulawayo nadać inne miano.

„Potrzebny wóz pełen sióstr!”

Tę pilną wiadomość przesłano umyślnym posłańcem do obozu Macloutsie, zaś ojciec Kerr zarządził natychmiast, że cztery z pozostałych tam zakonnice mają wyruszyć w drogę.

Oczywiście do sztabu Bulawayo przynależały dwie „weteranki”; wiadano, że znają wszelkie trudy życia obozowego i byle czym nie dadzą się wyprowadzić z równowagi: matka Jacoba została przełożoną, dalej stary „seargent-major”, siostra Frances o gromkim głosie, oraz dwie młodsze zakonnice, które przeszły w Macloutsie przez próbę ogniową.

Dziwne to było uczucie, że obóz zbudowano właśnie u stóp owego wzniesienia, gdzie znajdował się kraal Lobenguli! Wyraźnie odcinały się jeszcze zarysy ogrodzenia oraz fundamenty zabudowań królewskiej kotła. Bezpośrednio w pobliżu namiotów szpitalnych rosło osławione „indaba tree”, pod którym wykonano większość krwawych egzekucji. A teraz one przybyły, aby wyrywać ze szponów śmierci rannych i chorych na febrę.

Ojciec Kerr był w dobrym humorze, widać było, że pozbył się wielkiej troski. Wreszcie mógł się zająć właściwymi potrzebami misyjnymi w Bulawayo. Zatelegrafował do Salisbury, wzywając ojca Prestage'a, aby „wysondował” sytuację w Empandeni i możliwie jak najszybciej ponownie wodował wyrzucony na mieliznę statek.

Mieli dużo szczęścia. Stare chaty uszkodziła wprawdzie niepogoda, lecz poza tym pozostały nietknięte. Ojciec Prestage z ochotą posłuchał polecenia swojego prowincjała. Opanowały go jednocześnie melancholia i radość, gdy stanął na „starych śmieciach”, gdzie z trudem budował pierwsze lepianki, karczował dżunglę i trudził się w pocie czoła. Jeszcze raz trzeba było zaczynać od nowa.

Ojciec Kerr okazywał zadowolenie, widząc początki - sam nie mógł dłużej pozostać.

- Najwyższy czas, żebyśmy ruszył na Przylądek i sprowadził do Chishawasha kilku braci zakonnych. Wiedziałem, że sprawy nabiorą tempa, jeśli zabiorą się do tego Niemcy. Tu na razie musisz sobie radzić sam, Peter. Później przyślę ci jeszcze ojca Hartmanna. Obecnie w Mashonaland potrzebujemy każdej pary rąk. Cały czas budują - konwent, kaplicę, szkołę dla Sesuru, wszystko ma powstać naraz, a to mój żywioł! - uśmiech nąwszy się, przeciągnął dłonią po włosach. - Ciągłe w drodze i tak już pewnie pozostanie.

Ojciec Prestage przyjrzał się badawczo przełożonemu. Czy niedawno nie przeżył groźnych ataków malarii? Zwierzył mu się ze swoich wątpliwości.

Ojciec Kerr zaprzeczył. Misjonarz nie ma czasu na chorowanie, a już najmniej prowincjał. Oszczędzać się? A gdzie tam - przecież tyle jeszcze zaplanował! We wrześniu chciał się pokazać znowu, potem w październiku odprawić krótkie rekolekcje w Forcie Viktoria u ojca Barthelemy'ego, następnie na czas pory deszczowej, lecz nie na dłużej, jego kwaterą miało zostać Bulawayo. W tym wymuszonym przez klimat czasie oczekiwania zabierze się wreszcie do budowy porządnego domu Bożego: dla nowego, wiecznego Króla skończy się wreszcie ciągle życie w namiocie! Następnie trzeba będzie się udać do Salisburry, stamtąd ponownie na Przylądek, z Przylądka...

Ojciec Prestage zatkał sobie uszy.

- Niemożliwe, Henry, to powaliłoby nawet najsilniejsze go wołu!

Przełożony nie tracił pogody ducha.

- Wyniszczyć się dla misji to jedyny rodzaj samobójstwa akceptowany przez Niebo. Nic na to nie poradzisz, jutro wyjeżdżam!

Ale ojciec Prestage miał jeszcze jedną sprawę.

- Ojciec piowincjale, miałbym pewną propozycję!

Ojciec Kerr nadstawił uszu. Po co ten oficjalny ton?

- Chodzi o sprawę Sesango, hm, nazwanego po chrzcie Leon, którego pozostawiłem w Forcie Viktoria. Nie powie dzieliśmy mu jeszcze o śmierci żony Gaikany Teresy, ponieważ czekaliśmy, aż sam wspomni o chęci powrotu. Obecnie otrzymałem wiadomość od ojca Barthelemy'ego, że znakomicie spisa się w Gokomere i całej krainie Karanga, przyprawiając mu mieszkańców z najróżniejszych osad. Dlatego uważa, że powinno się odwołać go do Salisbury jedynie wówczas, gdy otrzyma zaraz nowe zadanie pozwalające mu przetrwać pierwsze najtrudniejsze chwile. Stracił przecież nie tylko żonę, ale i dziecko!

Ojciec Kerr przytaknął, a jego palce zagłębiły się w ciemnej gęstej marynarskiej brodzie, w której tu i tam pobłyskiwały już srebrne nitki.

- Hm, zawsze chętnie stosowałem to lekarstwo, również na wewnętrzne dolegliwości. Bolące gardło marynarz płucze solą. Zranionemu sercu pomoże tylko praca. Co to za propozycja?

Ojciec Prestage zaczerpnął głębiej powietrza.

- Ojciec Richartz nieznużenie zakłada w Chishawasha ze wewnętrzne punkty misyjne. Co by było, gdyby zatrudnić Sesango jako pierwszego czarnego katechistę? Wydaje mi się, że ma do tego talent, potrafi znakomicie opowiadać, a nawet nazwano go „pieśniarzem ludu”.

Prowincjał klasnął dłonią o kolano.

- Znakomity pomysł! Zajmę się tą sprawą. Tylko... Przekazać wiadomość o śmierci... Tym musi się zająć ojciec Richartz, mnie brakuje właściwych wyrażenia, ponieważ zabójstwo nazywam zabójstwem, a trudno się tego słucha w takich chwilach. Coś jeszcze?

Ojciec Prestage zmieszał się nieco.

- Owszem, nadszedł list od matki Patricii, w którym pisze, że nawet pacjenci domagają się ojca Kerra.

- Proszę przekazać naszej „pierwszej damie”, żeby nie nad skakiwała zbytnio staremu dziwakowi, i odwzajemnić pozdrowienia.

Czy w jego głosie nie pobrzmiwała tęsknota za Salisbury?

Ostatecznie tam stawiał pierwsze kroki.

Ale nie należało się poddawać takim nastrojom, wszędzie go potrzebowano. Już czekała na niego misja rządowa, aby dostarczyć środki żywności dla Matabele zamieszkujących mniej uczęszczane kraale. Także government chciał wziąć udział w akcji dostarczania mięsa i zboża z Kraju Przylądkowego. Natomiast abafundisi, którzy jak nikt inny cieszyli się zaufaniem pokonanego ludu, mieli je rozdzielać.

- Proszę poinformować matkę Patricję, że mam tu na razie funkcję Józefa z Egiptu, jestem niezastąpiony jak on. Niech u siebie łamie chleb i zachowa dość oliwy do lamp! - uśmiechnął się do własnych myśli, wiedząc, że roztropne dziewice same stanowią światło dla wielu.

Kiedy ojciec Kerr odprawił w Bulawayo ostatnią mszę świętą, wszyscy dostrzegli, że zachwiał się, powstając z klęczek. Nie chciał jednak nikogo słuchać. Nie było też takiego, kto by się nie martwił o niego, gdy następnego dnia wsiadał do dylżansu pocztowego, wyruszając do krainy Mashona.

Pędząc przed sobą siedem sztuk bydła, Sesango wędrował po szerokiej, pokrytej rdzawym kurzem drodze należącej do Chartered Company, wiodącej z Fortu Viktoria do Salisbury, i odkąd pokonano Matabele, po raz pierwszy bezpiecznej również dla samotnych poganiaczy.



Napotykający go tubylcy otwierali ze zdumienia usta. Gdzie w tych ciężkich czasach uchowały się tak wspaniale odżywione zwierzęta! Ukradł je, czy wędrował, wykonując zlecenie białego farmera?

Sesango uśmiechał się dumnie. Był to spóźniony wykup Gaikany. Zapłaci go babas, którzy odtąd tworzyli jego klan, gdyż zastępczo przyjęli go do swojego kręgu. Uczciwie zarobił na to lobola, pracując przez cały rok u Vakaranga.

Za to, że przyprowadzał ludzi do abafundisi, a także zabiegał w forcie o to, aby otrzymali zajęcie u białych farmerów, chcieli mu na pożegnanie okazać swoją wdzięczność. Poza tym nie musiał się troszczyć o przyszłość. Misjonarze z Chishawasha wzywali go z powrotem, ponieważ potrzebowali katechistów. Komu przyszłoby kiedykolwiek do głowy, że on, Sesango, z pieśniarza stanie się nauczycielem ludu?

Podśpiewując pod nosem, poganiał pięć krów i dwa woły. Z wielkiego rezerwatu dla krajowców powstałego na południowo-wschodnim krańcu Salisbury nadbiegli mieszkający tam Sesuru, zdumieni jego bogactwem.

Pomiędzy nimi znalazł się także Bewewa, który jakiś czas pracował w szpitalu, a potem znalazł zajęcie u jednego z farmerów jako pasterz, gdyż znał się nieco na hodowli.

- O, lobola, Sesango. Czyżbyś chciał kupić sobie wreszcie drugą żonę? - zapytał protekcyjnie.

Nie! - odparł zagadnięty z szerokim uśmiechem. - To dla mojej żony Gaikany. Jestem chrześcijaninem, więc nie mogę mieć wielu żon, ale jeśli dalej będzie mi się tak dobrze powodziło, to mógłbym pewnie utrzymać i z dziesięć, gdyby biały Bóg tego nie zabraniał!

W swojej dumie musiał koniecznie o tym wspomnieć, rewanżując się za to, że Sesuru tak długo pogardzali jego małżonką. Nikt już krzywo na nią nie spojrzy! Chciał właśnie po-

pędzić dalej swoje woły, szczególnie ciężkiego mastocha, którego nazwał „Lobengula”, a który okazywał krnąbrność i upór podobnie jak jego imiennik, gdy Bewewa podszedł bliżej:

- Od kiedy to płaci się lobola za duchy zmarłych? Czy taki zwyczaj mają chrześcijanie?

Sesango spojrział na niego jak na człowieka, któremu pomieszało się w głowie od upału, i odrzekł:

- Abafundisi szanują nasze obyczaje, jeśli nie sprzeciwiają się one przykazaniom białego Boga. Nie mają nic przeciwko zapłacie za dobrą żonę, dokąd ona żyje. Nie robią tak jak nasi nganga, zaklinający zmarłych! A może miałeś coś innego na myśli?

Jego rozmówca zmrużył oczy, wsadzając ręce w kieszenie modnych spodni:

- Przecież Gaikana, którą nazwali Teresą, od roku spoczywa w ziemi. A teraz chciałbym się dowiedzieć, komu ukąsze nie tse-tse pomieszało zmysły?

Sesango upuścił trzymany w ręku bat z krokodylej skóry. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem odparł:

- Od zawsze wiedziałem, że Sesuru łatwo uciekają się do kłamstw. Ale odzwyczaiłem się od nich, ponieważ ma je w pogardzie biały Bóg. Jeśli możesz, Bewewa, to powiedz, co jest prawdą!

Ten zaśmiał się złośliwie:

- Mogę ci przysiąc na moje mutupo, że mówię prawdę, a także, że nawet abafundisi kłamią. Nie powiedzieli ci o śmierci Gaikany z rąk Matabele, bo chcieli cię oszukać na bydle.

Na to Sesango ciął go na odlew pejczem, pod wpływem bólu i dlatego, że śmiałek odważył się złorzeczyć abafundisi. Rzucili się na siebie, przewracając w czerwonym pyłe niczym drgający tłumok. Przez chwilę wyglądało to groźnie dla Sesuru, ale Sesango zaraz rozluźnił uścisk, odskakując od przeciwnika:

- Bewewa, chciałeś przysiąc na własnych przodków?

W zaatakowanym wrzała złość, ale był zbyt tchórzliwy, żeby ponownie odważyć się na zwanie.

- Tak! - wykrzyknął. - Ale tego nie zrobię. Kobieta, która nigdy nic nie kosztowała, nie jest tego warta. Spóźniłeś się ze swoją lobolą. Kup sobie za nią dziesiątą żonę wodza, której chce się pozbyć, bo się zestarzała!

Sesango nie zareagował na tę obelgę. Dotarło do niego, że nie opowiedziano mu zmyślonej historii! Odwrócił się, strzelając głośno z długiego bicia, a rozcinane powietrze gwizdało, klaskało i świszczało. Jego nogi same odnalazły szlak wiodący wokół miasta piętnaście mil na północny wschód, ku Loyola Farm, gdzie ze wzgórza Golgoty wznosił się ku niebu znak Chrystusowego krzyża. Usiadł na skraju drogi i siedział, aż jego bydło zaczęło ryczeć z pragnienia, a jedna z krów już zamierzała rwać się do ucieczki, gdyż w oddali rozbrzmiał ryk lwa. Nastął wieczór i Sesango powłókł się dalej. Widząc, jak nadchodzi, ojciec Richartz wyszedł mu naprzeciw i uczynił coś, czego w tym kraju nie uczynił jeszcze żaden szanujący się biały: wziął Sesango w ramiona, jak gdyby był jego synem.

Na gospodarstwie wiele się zmieniło, ale dla Sesango miało się ono stać prawdziwym rodzinnym domem. Na zawsze też nim pozostało, i to nie tylko dlatego, że przyprowadził swoje bydło do kraalu abafundisi.

Babas i on mieli to samo serce. Zrozumiał, że kierowani jedynie miłością nie powiedzieli mu o nieszczęściu, jakie go spotkało.

## „Biały człowieku, twój pokój jest nic niewart!”

Nad szpitalnymi namiotami w Salisbury wzniosła się powoli żółta flaga: wybuchła epidemia! Pikiety policyjne pilnowały wejścia dzień i noc, miasto wrzało w gniewnym podnieceniu! Taki był skutek, kiedy miłosierne siostry litowały się bez różnicy nad każdym stworzeniem.

Pod koniec roku dyliżansem pocztowym przybył młody Bur, który z wysoką gorączką zgłosił się w lazarecie do lekarza. Pora deszczowa - ani jednego wolnego łóżka w baraku czy w chatkach; pacjenci zalegali dosłownie wszędzie. Siostry miały litościwe serce - niemożliwe, aby posyłać ciężko chorego człowieka do jakiejś gospody, gdzie nie będzie miał opieki! Matka Patricia wymieniła z lekarzem kilka słów i jak zawsze w swój łagodny sposób odniosła zwycięstwo.

Medyk ustąpił, wdzięczny Bur uściśnął siostrze obie dłonie. Jednak w ciągu godziny jego twarz oraz ciało pokryły się groźną czerwoną wysypką, a następnie zapadł w delirium. Matka Patricia pobiegła do ambulatorium.

Doszli do podobnego wniosku: ospa. Takiego przypadku nie można było ukrywać - natychmiast powiadomiono o nim magistrat. Co robić?

Zarządzenie mogło być tylko jedno: kwarantanna.

Kto zechce objąć niebezpieczną posługę przy chorym? „Oczywiście, ja!” - zdecydowała przełożona, a siostra Amica

stanęła bez słowa u jej boku. Młodsze siostry, Bona i Berta, od dawna nie będące już nowicjuszkami, w żadnym wypadku nie mogły mieć kontaktu z chorym. Im młodszy organizm, tym większe niebezpieczeństwo infekcji! Lekarz nie krył troski:

- O ile mogę to ocenić, to siostry także są jeszcze w krytycznym wieku. Czy nie należałoby powierzyć bezpośredniej opieki tubylcom?

Matka Patricia spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

- Nasi czarni pielęgniarze są młodszy albo w moim wieku! - Zdawała się nie pojmować, więc spróbował jej wyjaśnić.

- Well, ale proszę pamiętać, że siostry także obejmie kwarantanna i nie wolno wam będzie kontaktować się z pozostałymi chorymi, nie mówiąc o zdrowych! Odważycie się na to?

Zakonnice po raz drugi odparły jednogłośnie:

- Oczywiście.

Zrezygnowany wystawił świadectwo lekarskie. Wokół namiotu oraz apteki wystawiono pikiety czuwające dzień i noc, aby nie zbliżały się osoby niepowołane.

Dwaj młodzi Zambezi, czarnoskórzy Sesuru zgłosili się na ochotnika do pomocy siostrze. Nagle okazało się, że jeden z nich, młodszy, zaraził się chorobą! W mieście narastał strach - co dawała surowa kwarantanna? Z historii znano wypadki niedającej się wytłumaczyć, niweczącej wszelkie ludzkie zabiegi ekspansywności podobnych epidemii. Wkrótce też pochowano chorego Bura, daleko poza miastem. W pogrzebie uczestniczyły jedynie siostry. Nieco później w samotnym grobie spoczął także pogrzebany przez nie czarny pielęgniarz. One same zostały oszczędzone przez anioła śmierci.

Ale minęło jeszcze kilka tygodni, zanim zniesiono blokadę. Gdy siostra Amica po raz pierwszy zeszła z „wyspy śmierci” i znalazła się znowu pomiędzy ludźmi, jej błada, wychudzona

twarz rozjaśniała radość zwycięstwa, o którym prawie nikt nie miał pojęcia.

Najpierw Bóg zdjął z niej lęk przed buszem, zabójczym klimatem, pożarami stepu i nawałnicami, potem strach przed lwami, węzami i szczurami, a teraz jako ostatnią - śmiertelną obawę przez chorobami zakaźnymi! Zamyśleni i poruszeni ludzie przyglądali się wraz z siostrami, jak stare lepianki oraz namioty szpitalne padają ofiarą ognia - z wyjątkiem blaszanego baraku, który jedynie gruntownie dezynfekowano, gdyż nie służył za miejsce do kwarantanny. Zniszczono miejsce wieloletniego, ofiarnego trudu, lecz z płomieni wyrastała cicha sława, jaką zdobyły sobie te kobiety, „siostry pionierki”, jak je powszechnie nazywano.

Uśmiechnięte i z wilgotnymi od łez oczyma spoglądały na pogorzelsko: białe postaci z ciemnymi, powiewającymi na wietrze welonami. Wydawało się, że wielu po raz pierwszy dostrzega ich prawdziwą naturę. Gdy spalono już namioty i chaty, siostry przeprowadziły się do skrzydła niewykończonego jeszcze nowego szpitala wzniesionego bez zwłoki po zamieszkach z Matabele. Rhodes sprowadził z Anglii najnowocześniejsze wyposażenie oraz instrumenty, wszystko wokół błyszczało czystością i elegancją. Pacjenci zobaczyli zupełnie nowy świat, w którym tak bardzo im się spodobało, że niejeden zanurzał termometr w gorącej herbacie, aby oszukać lekarza i móc pozostać jeszcze parę dni dłużej.

Młody van der Riet, obecnie znów funkcjonujący jako szpitalny ordynans, miał wiele zachodu z nawałem natrętów wykorzystujących aż nadto troskliwą opiekę sióstr. Wraz z doktorem Edgelow powrócił szczęśliwie z wojny, gdzie nabył niezwykłego dlań tonu do rozkazywania.

Pewnej nocy przed drzwiami zjawił się jakiś nicpoń i łomocząc pięściami w drzwi domagał się, aby go wpuszczono. Aby

postawić diagnozę, Willie nie potrzebował trudzić żadnego z lekarzy. Wiejący od przybysza odór alkoholu mówił właściwie wszystko. Zbeształ go pytając, dlaczego hałasuje:

- Do łóżka - wybełkotał pijak. - Well, go to bed!

- Oczywiście, mój drogi!

Teraz już wiedział, z kim ma do czynienia. Nocny gość został wypisany ze szpitala przed czternastoma dniami po zakończeniu kuracji. Wyszedł na zewnątrz, chwycił go za ramię i zaprowadził do domu. Gdy w tydzień później spotkał go ponownie przed szpitalem, posłyszał następujące słowa:

- Willie, co o tym sądzisz? Nie odczuwam właściwie żadnych dolegliwości, tylko od tygodnia nie mogę nawet ręką ruszyć: siniec na sińcu. Słuchaj, czy to nie początek ospy? Zobacz - tu podwinął rękaw koszuli.

Willie van der Riet pokręcił głową, stwierdzając lakonicznie.

- Nie ma obaw, old fellow. To ślady mojej terapii. Wkrótce znikną!

- Co takiego?

- No więc upity zjawiłeś się w nocy, domagając się matki Patricii, a to wyprowadziło mnie z równowagi. Kiedy na następnym rogu nie potrafiłeś trzymać języka za zębami i wciąż chciałeś z powrotem do szpitala, przyłożyłem ci trochę. Absolutnie nie toleruję, jeśli ktoś zamroczony alkoholem wymawia jej imię. To święta osoba, rozumiesz.

Rozmówcy powoli zaczęło coś świtać. Uderzył się w czoło.

- Jan, wybacz, proszę, ta przekłeta brandy! Czy... matka Patricia dowiedziała się, że... - zmieszanie nie pozwoliło mu mówić dalej.

- Gdzie tam, powiadomiłem ją, że ktoś się pomylił w adresie. Teraz powiem, że chodziło o podejrzenie o ospę, nie prawdaż?

Rozmówca oblał się rumieńcem.

- Tylko nie to! Nie mógłbym już więcej spojrzeć jej prosto w oczy! Postaram się to naprawić, możesz na mnie polegać!

Skruszony ruszył w swoją stronę. Następnego dnia nadszedł list z nowym jednofuntowym banknotem jako datek na misje. Van der Riet nie potrafił ukryć uśmiechu. Co do niego, podobne przypadki „ospy” mogły zdarzać się częściej.

Gdy matka Patricia zapytała o powód takiej hojności, odparł pogodnie:

- Chodziło o swego rodzaju „pouczenie konwertyty”, którego udzieliłem po godzinach pracy. Ta osoba jest wyznania ewangelickiego, ale teraz wierzy w świętych.

Nic dziwnego, że siostra nie bardzo wiedziała, o co mu właściwie chodzi!

Choć dotąd trzymała się dzielnie, to jednak gdy po nawale zajęć doszło do odprężenia, matka Patricia po raz pierwszy zasłabła. Niedługo potem powód do troski dała siostra Bona, gdyż wyczerpana nocnymi dyżurami zaczęła tracić wzrok.

Doktor Edgelow nie zwlekał dłużej. Teraz nie pomogłyby protesty nawet trojga prowincjałów - orzekł, że obie zakonnice są niezdolne do pracy, zalecając natychmiastową zmianę klimatu. Kurację miały przejść w Kraju Przylądkowym!

Przełożona z ciężkim sercem ruszała w drogę - po raz pierwszy pozostawiała siostrę Amicę samą - lecz bez większych obaw.

Przy pożegnaniu mieszkańcy obiecali jej, że po powrocie zastanie miasto w amerykańskim stylu. Chętnie w to wierzyła. W obu metropoliach, Salisbury oraz Bulawayo, trwały przecież gorączkowe prace budowlane, rosły szerokie bulwary i place, proste jak strzała, przecinające się pod kątem prostym aleje, budynki rządowe oraz pierwsze wysokościowce. Sztucz-



nie założone miasto, lecz eleganckie w swojej strukturze. Już teraz widziało się przyszłe kontury skyline. W przeciągu miesięcy dokonywano tego, co zwykle trwa lata.

Po drodze napotykały długie kolumny Burów i Brytyjczyków, którzy po pokonaniu Lobenguli niepowstrzymanie napływali do kraju. Przeważali ci ostatni. „Gentlemen, your back country is there!”, oznajmił Cecil Rhodes ministrom na Przyładku, wskazując na północ, gdzie Koronie wyrastała nowa kolonia! Jeszcze jej skarby nie fascynowały nikogo, lecz wydajność kopalni rosła z roku na rok. Oprócz złota i diamentów odkryto rudy żelaza, miedź i chrom oraz azbest - stanowiące bogactwa innego rodzaju. A kto mógł przewidzieć, jakie niespodzianki kryła jeszcze Kraina Szlachetnych Kamieni.

Oczywiście nie brakowało innych problemów. Nie dało się ot tak po prostu przejść do porządku dziennego z miejscową ludnością jak z Hotentotami i Zulusami w Kraju Przyładkowym i Transwalu. Rhodes miał bardziej ambitne plany zrozumiałe jedynie dla nielicznych.

Biały człowiek starszym bratem czarnoskórego? Czy to nie czysta utopia? Cóż wielkiego można było począć z Mashona i Matabele? Najlepiej zepchnąć ich do przygotowanych rezerwatów, gdzie będą w swoim towarzystwie.

Dokąd dobrowolnie nie przyjmą godnego stylu życia białych, pracując i wypełniając obowiązki na wzór białych, przywykli do rozkazywania Burowie nie bardzo wiedzieli, co z nimi zrobić. Brytyjczycy zaś, nie namyślając się długo, zabrali się do rozwiązywania problemu wstrętu do pracy w radykalny i prosty sposób.

Zgodnie z nowym prawem białych czarna ludność musiała płacić podatki od głowy i chaty. Aby móc tego dokonać, nale-

żało się rozejrzeć za pracą. Nie wystarczało już poprzestawanie na łowach i przenosinach z miejsca na miejsce, gdy ziemia przestawała przynosić plony. Nie chciano dziesiątków tysięcy bezrobotnych, siedzących przez całe dni z założonymi rękoma przed chatami kobiet, pijących piwo i prowadzących niekończące się debaty. Tempo, tempo! Musieli nauczyć się dwóch nowych słów, których po prostu nie rozumieli: „pośpiech” i „postęp”. Po co pośpiech? Czy jeden rok nie był tak samo długi jak drugi, a po każdej nocy nie następował kolejny dzień?

Trzeba było zgłosić się do kopalni, nauczyć obsługi nieznanymi urządzeniami, wydzierać ziemi złoto i kamienie, schodzić do głębokich pieczar, gdzie jeszcze nie stanęła noga żadnego krajowca. Należało wydobywać skarby, na których bogacili się jedynie biali.

Bardzo niewiele pozostawało w rękach czarnych, wystarczająco, by mieć na podatek za chatę stojącą na wolnej ziemi albo w ciasnym rezerwacie, a także odczuć chęć posiadania tych oślepiających oczy dóbr, które nowi władcy kraju prezentowali w swoich domach za wielkimi szklanymi ścianami. Wszystko to było obce i niesłychane. Prawie nikt z nich nie wiedział, co z nimi począć, lecz drażniły one pożądlivość czarnych. Dawało się je nabyć, gdy solidnie się pracowało, lecz była też inna droga - kradzież i rozbój.

Przeciwno temu biali wzniesli więzienia, a także utworzyli sprawnie działające sądy szybko skazujące tubylców.

Czarni i biali nie mogli pogodzić się ze sobą. Brakowało też osób, które by ich jednoczyły ze zrozumieniem i miłością. Miłości nie buduje się na sentymencie i dwojakim prawie - jednym dla czarnych, innym dla białych. Miłość jest tylko jedna i dlatego tak rzadka.

Od czasu do czasu komisarze do spraw krajowców zasięgali rady w misjach abafundisi. Niestety, większość z nich robiła to zbyt rzadko!

Na przykład Chishawasha, wielka farma jezuitów na północny wschód od Salisbury! Cóż takiego tam robiono? Była to farma jak każda inna. Czy naprawdę jednak, jak szeptano w mieście, będzie wzorcowym gospodarstwem w kraju - na to należało poczekać.

Dlaczego jednak czarni nieomal palili się do przyjacielskich układów z ojcami, osiedlając się pod ich ochroną całymi wioskami? Zwykle przecież uciekali z osad białych - a tu przybywali dobrowolnie, przyprowadzając ze sobą jeszcze innych.

Czyżby wszyscy zostali chrześcijanami?

Ojciec Richartz uśmiechnął się zmieszany, gdy w trakcie wizyty komisarz zagadnął go o tę sprawę. Nie, pierwszy chrzest autochtonki - do tego na łożu śmierci - mieli dopiero w maju 1894, lecz nie liczono go, gdyż córka wodza była już umierająca, gdy otrzymała zgodę własnego ojca na przyjęcie wiary abafundisi oraz lekarstwa wody białego Boga.

Dopiero po trzech latach nieustannych zmaganiach o dusze doświadczyli szczęścia ochrzczenia pierwszych dwóch katechumenów, którzy zgłosili się dobrowolnie.

Brytyjski urzędnik spojrzał na przełożonego Loyola Farm nieomal ze zgrozą:

- Heavens, co za cierpliwość! Dlaczego nie zrezygnujecie, przecież to się nie opłaca!

Ojciec Richartz odpowiedział z uśmiechem.

- Czego pan się spodziewał, sir? Proszę przez jeden dzień przyjrzeć się funkcjonowaniu gospodarstwa. Uczymy młodziuch, a to bardzo wiele.

Komisarz lekceważąco machnął ręką.

- Od dawna mamy odpowiednie ustawy. Czy nie odwołałście się do nich...

Misjonarz przyjrzał mu się osobliwym wzrokiem.

- Sir! Z całym szacunkiem dla ustaw, my osiągnęliśmy lepsze wyniki muzyką!

Anglik wytrzeszczył oczy.

- Czy to jakiś żart?

- Absolutnie nie! Proszę odwiedzić ojca Biehlera! Wraz z ojcem Kerrem przybył w listopadzie z Kraju Przylądkowego. Odkąd zaczął uczyć czarnych chłopców solówek na trąbkach, a najlepszych wziął do orkiestry, napływ kandydatów ciągle rośnie. Wkrótce nie będziemy mogli nauczać pod gołym niebem, tylko musimy pomyśleć o jakimś internacie. Przydałaby się też szkoła dla dziewcząt. Ale proszę obejrzeć najpierw Boys school!

Komisarz zjawił się w samą porę. Popołudnia zajmowało muzykowanie. Ojciec Biehler uniósł w górę batutę, i nie do wiary! Czarni śpiewali bez przygotowania. Wykonywali utwory jak z nut, a ich głosy miały brzmienie wyszkolonych kantorów!

Wkrótce czarnoskórzy chłopcy zakończyli lekcję śpiewu i sięgnęli po instrumenty, wszystkie z blachy - lecz błyszczącej i melodyjnie brzmiącej!

Grzmiące tony uderzyły pod niebiosa, zdradzając dyscyplinę i coś jeszcze - miłość! Bo skoro setka młodzieży spogląda na białego mężczyznę błyszczącymi oczyma, chłonąc jego słowa, to jakież jeszcze można wyciągnąć wnioski?

- Za ojcem Biehlerem pójdą w ogień. Podczas mszy śpiewają łacińskie teksty, i to tak, że może się przy nich schować nie jeden chór z Europy. Ci nocujący w starym budynku śpią tak samo na matach, jak i w rodzimych chatkach, a od pogan różnią się jedynie tym, że rano muszą wstać do modlitwy i pracy.

- Co takiego, do pracy?

- Tak, ale pracy odpowiedniej do ich sił i zdolności. Znośenie drewna i wody, nieco ogrodnictwa, uprawa ziemi oraz

zapoznanie z hodowlą, to znają od dzieciństwa. Pracy w kopalniach obawiają się, podobnie jak i ich ojcowie.

Czy to nie przygana? W głosie komisarza zabrzmiała ironia.

- Wobec tego może sprowadzimy górników z Europy i za czniemy prawić czarnoskóрым komplementy, żeby nas nie za głodzili, skoro nauczyli się korzystać z własnej ziemi!

Ojciec Richartz zachował spokój.

- Sir, to co pozostawiono im w rezerwatach, z trudem wy starcza na utrzymanie się przy życiu.

Urządник wołał zmienić temat rozmowy. Ojcowie byli doskonale zorientowani w sytuacji.

- A ten tam, to kto... ten, który wyprzega osła, z jakimś zawiniątkiem pod pachą?

- A, to Sesango-Leon, nasz pierwszy katechista, ale nie Sesuru. Przybył z nami z Fortu Viktoria.

Pomaga ojcu Hartmannowi przy dalszych wizytach. Właśnie wrócili z kraalu Kunki.

- Jak? Przecież to czterdzieści mil stąd!

- Owszem, ale to nie największa odległość. Dzieje się tak dzień w dzień i nie jest niczym nadzwyczajnym. Często nie ma ich całe tygodnie i gdyby nie febra, to nie uważano by tego za szczególną uciążliwość. Wydaje mi się, że w ostatnim półroczu ojciec Hartmann leżał piętnaście czy dwadzieścia razy bez przytomności w jakiejś opuszczonej chacie, mając za opiekę na jedynie Sesango. Oczywiście zabierają ze sobą sporą dawkę chininy, i wyruszają znowu.

Komisarz spojrział na drobnego człowieczka, który schronił się pod słomianym dachem budynku konwentu i zmęczonym ruchem zdjął z głowy kapelusz o szerokim rondzie.

- Myślę - jego słowa brzmiały niczym usprawiedliwienie - że rozporządzenia naszej administracji również interesują się losem człowieka. Troszczymy się o to, aby mieli okazję skorzy-

stania z opieki medycznej. A czy poza tym nie nauczyliśmy ich, jak należy mieszkać i żyć?

Ojciec Richartz uśmiechnął się pojednawczo.

- W żadnym wypadku nie lekceważę dziejącego się dobra, sir. Nie jest jednak ważne, że ubierzemy tubylców w policyjne mundury i nauczymy ich obsługiwać nasze rifles, tylko czy ich przekonamy, dlaczego nie wolno kraść i zabijać. Zdrowie ciała, dobrze i pięknie, ale jeśli nowemu czarnemu człowiekowi nie stworzy się duchowego fundamentu, to któregoś dnia rzuci z siebie wszystko i zobaczymy nagiego Kafra, tym razem z karabinem maszynowym w ręku.

Komisarz nasunął hełm tropikalny głębiej na kark. Nastąpił uciążliwy upał, ukryli się w cieniu.

- Nie mają powodu do niezadowolenia. Jeszcze nie tak dawno temu Matabele wykurzali ich z własnych osad i wycinali całymi setkami. O tym wszystkim zdążyli już zapomnieć. Przykład? Gdy ostatnio nasz poborca zażądał w kraalu Chepalilo zapłaty podatków za chaty, skandowali za nim w dzikim chórze: „Biały człowieku, twój pokój jest nic niewart”. Mam nadzieję, że nie nauczyli się tego na Loyola Farm.

Ojciec Richartz uśmiechnął się zmieszany.

- No, tutaj uczą się jedynie angielskiego hymnu państwowego! Trudno jednak kontrolować, jakie to budzi w nich uczucia. Proszę pamiętać o tym, że wszystko, co pochodzi od białych, jest obserwowane z podwójną podejrzliwością. Tubylcy bardzo szybko zaczynają się orientować, czy wyzwalamy ich, żeby być ich sprzymierzeńcami, czy wyzyskiwaczami.

Anglik wyciągnął dłoń.

- Nie miałem dotąd pojęcia, jak ostre słowa dadzą się pogodzić z chrześcijańską łagodnością. Ale nie żywię urazy. Nie myśli ojciec chyba, że ten zdegenerowany i leniwy lud mógłby wystąpić przeciwko nam.

Ojciec Richartz odprowadził go do ogrodzenia, gdzie w cieniu rozłożystej akacji czekał na niego skubiący trawę wierzchowiec.

- Oby miał pan rację. Przynajmniej tu, na Loyola Farm pokój ma się na coś przydać. To mogę obiecać.

Dłuższą chwilę patrzył z zatroskaniem, jak urzędnik powoli przemierza chmurę czerwonego kurzu, kierując się w stronę Salisbury.

Wokół Chishawasha, gdzie szyby kopalni białych coraz bardziej zagłębiały się w ziemię Krainy Szlachetnych Kamieni, zawrzały niepokoje.

Największe zamieszki dotknęły dystrykt Mazoe, gdzie Alice Gold Mines przynosiły największe wydobywanie, oraz okolice Hartley Hills - tam z kolei siłą usunięto czarnych robotników.

Chishawasha natomiast stanowiła prawdziwie kwitnącą wyspę pokoju otoczoną zielonymi ogrodami i polami, zagajnikami młodych drzew eukaliptusowych oraz bananowców. I nawet jeśli napadły nań gromady szarańczy lub wielkie stada pawianów próbowały odzyskać swoje terytorium, wytrwała ekspansja rolnictwa ciągle szła do przodu. Oczywiście, należało zawsze mieć się na baczności i walczyć z kaprysmi klimatu, dzikimi zwierzętami, a także z chorobami zwierząt wyniszczającymi w ciągu miesiąca wszelki drób lub osłabiającymi bydło.

Najważniejsze jednak było to, że pomiędzy ludźmi panował pokój.

Od roku 1894 w kościele misyjnym przechowywano rozwinięty czcigodny sztandar Najświętszego Serca Pana Jezusa, ów sztandar, który w 1880 ojciec Depelchin poniósł wraz ze swoimi towarzyszami nad Zambezi, pod którym drżącymi wargami złożono niejedną ślub, a misjonarze cierpieli i umierali.

Chrystusowy znak powiewał także nad krajem żywych. W szkołach wieczorowych gromadziły się wieczorami tłumy dorosłych, aby przyglądać się i słuchać „obrazowej” katechazy Sesango, a także zapoznawać z Ewangelią głoszoną w najczystszej dialekcie chiswina. Wkrótce również podczas nabożeństw mały kościółek nie mieścił ciekawskich i modlących się, a otulony na tę okazję w malowniczy zawój limbo katechista przed przeistoczeniem uderzał trzykrotnie drzewcem assegai o posadzkę, oznajmiając uroczystym tonem:

- Konsekracja!

I każdy Sesuru wiedział, że przeżywa obecność Boga białych w misterium tak tajemniczej bliskości, że przewyższa ona wszelkie możliwości kultu ich pogańskich obrzędów.

W tym płomiennym centrum miłości umacniającym wiarę topniały z wolna wszelkie lęki przed potężnymi czarownikami. Kakubiego nawiedzało coraz mniej potrzebujących rady, a czarownica Saanda, o trzech imionach, korzystająca z usług trzystu demonów, wyczekiwała na próżno w ciemnej dolinie Mazoe na kobiety i dziewczęta chcące nabyć od niej drogie amulety na dolegliwości ciała i duszy. Doszło nawet do tego, że nie wywarły na nich żadnego wrażenia jej przepowiednie, choć Saanda mieniła się córką Mlengi, najwyższej istoty Sesuru! Jej głosu słuchali wszyscy czarownicy i zaklinacze deszczu w całej krainie Mashona - a teraz prosty lud udawał się do Chishawasha, aby bić pokłony nowemu bóstwu!

Saanda szalała z wściekłości. Po wszystkim, co tubylcy opowiadali na temat budzących grozę posiadzeń w jej ciemnej chacie, ojciec Richartz nabrał przekonania, że może to być przypadek prawdziwego opętania.

On sam mógł ją oskarżyć o morderstwo.

Niedawno do misji przybyła z gorzkim płaczem pewna kobieta, przynosząc martwe dziecko. Cierpiało ono na duszność-



ci oraz napady ostrego kaszlu. W potrzebie zwróciła się do Saandy, mądrej znachorki. Z głupoty lub złości czarownica doradziła jej, aby ostrym nożem zrobiła kilka nacięć na plecach maleństwa i w ten sposób ułatwiła mu oddychanie. Nieszczęsna matka zrobiła, co jej kazano. W ciągu kilku minut dziecko się wykrwawiło. Teraz chciała, aby biały Bóg przywrócił je do życia, gdyż od starszych pociech, które przychodziły do misji, dowiedziała się, że Chrystus wskrzeszał nawet umarłych.

Właściwych rytualnych zabójstw nie dało się dowieść ani Saandzie, ani Kakubiemu. Nie było powodów do interwencji przeciwko zwyczajom tubylców, dokąd pozostawały nieszkodliwe. Bo kto spośród czarnych odważyłby się donieść białym o prawdziwym morderstwie? W tym wypadku oskarżyciel musiałby się liczyć z krwawą zemstą. Tym sposobem czarownicy pozostali na razie nietknięci. Jedno tylko było pewne - wzbierającą falę nienawiści szerzącą się w kraju oraz pasywny opór przeciwko białym przybyszom należało przypisać przede wszystkim im. Sesango podchwytywał wybuchy skrywanej niechęci i mówił o nich abafundisi, którzy jednak nie mogli nic zrobić, tylko w miarę możliwości zażegnawać i łagodzić napięcia.

Chifwamba - stare powiedzenie: „Biały nas pożera”, powstałe w Matabeleland, ożyło ponownie przekazywane z ust do ust, z osady do osady.

Biali nie zważali na nie. Budowali dalej swoje olbrzymie miasta: prawie jednocześnie powstały w Bulawayo i Salisbury potężne miejskie centra pulsujące siłą, promieniujące dostatkiem. A pomiędzy bogactwem ogromnych flats, hoteli, banków i giełd wyrosły też pierwsze skromne kościoły, jako znaki pokoju, o których sile błogosławieństwa starzy i nowi mieszkańcy wiedzieli o wiele za mało.

Ta wiadomość wstrząsnęła chrześcijanami i niechrześcijanami, nadstawili ucha także i czarni, gdy dowiedziano się o nagłej śmierci ojca Henry'ego Schomberga Kerra. Zmarł tak, jak i żył, podczas służby Bożej.

Tylko czy niedawno nie pełnił dyżuru w Salisbury Hospital, kiedy to całe miasto śmiało się do rozpuku z opowieści pacjentów, a mieszkańcy Bulawayo nie załamywali rąk, gdy w największym upale przegalopował dwadzieścia mil, ponieważ jakiś handlarz obiecał mu śnieżnobiałe kamienie na nowy kościół?

Siostra Amica ze łzami w oczach przypominała sobie ten dzień, gdy późnym wieczorem zjawił się w szpitalu, pytając natychmiast, czy na którymś oddziale są chore pacjentki. Gdy zaprzeczyła, odsunął ją na bok.

- Proszę się położyć, przejmuję nocną wachtę!

A gdy chciała mu wiele wyjaśniać, rozkazał:

- Do koi. Klarować statek, to potrafię sam!

Temu rozkazującemu tonowi nieśmiała zakonnica nie potrafiła się sprzeciwić, schroniła się też czym prędzej do dormitorium sióstr. O tak, wreszcie mogła się spokojnie wyspać.

Następnego poranka szpital zmienił się nie do poznania. Wszędzie lśniło czystością, jakby zbliżała się Wielkanoc. „Nocna pielęgniarza" ojciec Kerr przebrał część łóżek, zmienił opatrunki, zmył naczynia, przygotował herbatę, zmierzył temperaturę i sprzątnął szafkę z lekarstwami. Więcej, dwóch katolików, odmawiających dotąd przystąpienia do sakramentów, zostało rozgrzeszonych i zaopatrzonych, ciesząc się łaską uświęcającą jak dwoje noworodków. Tylko czarni pielęgniarze drżeli, napełniając korytarze swoim paplaniem.

Mieli o czym rozprawić! Teraz już każdy wierzył, w co wcześniej wątpiono. Ten ojciec Kerr był naprawdę słynnym

komendantem „Bdlorophona”, a potem nadwornym kapelanem pierwszego katolickiego wicekróla Indii. Spodziewano się po nim wszystkiego, kiedy słyszano anegdoty o tym dyżurze. Opowiadano je później z namaszczeniem niczym prawdziwe legendy.

Wzruszeni ludzie zebrali się w Bulawayo przed małym barakiem z blachy falistej będącym przez całe lata jego schronieniem.

Tu w ciągu dnia smażył się żywcem z upału, a nocami marzył na kość od przenikliwego zimna. Pomimo to codziennie przemierzał piechotą trzy mile, aby wczesnym rankiem odprawić mszę w szpitalu siostr. Z konia skorzystał dopiero wtedy, gdy pewnej nocy skręcił sobie kostkę. Choć przez długi czas mógł stanąć na kontuzjowanej nodze jedynie z zaciśniętymi z bólu zębami, wykonywał przepisane rubrykami mszalnymi klęknięcia, nie chcąc się przyznać przed lekarzem, że oblewa się przy tym zimnym potem. Oszczędzać się? A kto ma czynić pokutę za grzechy białego człowieka w Afryce jak nie misjonarze? Nie miał względu na samego siebie. Niestety, dwudziestomilowa wyprawa pozbawiła go resztki sił.

Gdy znowu chciał jechać do Salisbury, badający go lekarz stracił cierpliwość: „Czy nigdy nie da spokoju?”. No - jedyny spokój, jaki znał, był w wieczności. Musiał uczestniczyć w procesji Bożego Ciała w Chishawasha - i otwarciu tamtejszej szkoły - a także doglądać budowy kościoła w Salisbury! Co medyk mógł wiedzieć o Mistycznym Ciele Chrystusa, za które czuł się odpowiedzialny? Podróże, ciągle podróże: piechotą, na koniu, dyliżansem pocztowym i wozem zaprzężonym w woły, koleją i statkiem...

Z Salisbury miał się udać do Kraju Przylądkowego - od dawna należało zabrać się do sporządzenia zaległego sprawozdania. Znamienne, że jego ostatnie słowa do matki Jacoby

w Bulawayo brzmiały: „Czekają na mnie w Grahamstown i Dunbrody, muszę w drogę! Ale zanim zaczniesz się pora deszczowa, wróć!”.

Na długo przed nastaniem deszczów, w połowie sierpnia, druty telegrafu poniosły nad pustkowiem sawanny smutną wiadomość: „Po krótkiej, ciężkiej chorobie zmarł prowincjał misji Zambezi, oddawszy swe życie w służbie Bożej”.

Mogło się wydawać, że z tej ofiary na misję splywa bogaty strumień łaski. W roku 1895 udało się odbudować Empandeni, dawną rezydencję Najświętszego Serca w krainie Matabele, a ze szczytu nowej chaty zbudowanej z pni drzewa lipani oraz gliny rozbrzmiewał dźwięczny głos sygnaturki, rozchodząc się daleko w busz. Ojciec Prestage kroczył znowu za pługiem i siał ziarno, a w niedzielę czynił to samo dla Boga. Tym razem nie padało na kamienistą ziemię, zasiew rokował nadzieje, że wszędzie czuło się ślady wielkości i niezwykłości Dobrej Nowiny. Pogaństwo przeżyło adwent oraz potęgę Bożą niczym w czasach Ewangelii. Występując przed licznie zgromadzonymi tubylcami, ojciec Richartz nie mówił o tajemnych cudach łaski Pana, lecz opowiadał o uzdrowieniach. Dowiadywali się, że Chrystus widzialnie zadziałał poprzez ręce swoich sług, wypowiadając kolejny raz „Thalita kum”, gdy ktoś zachorował. Leżący w agonii chorzy odzyskiwali po przyjęciu chrztu siły i zdrowie - co najpierw powodowało ogólne przeżalenie, a potem jeszcze większą radość z mocy białego Boga!

Gdy po wschodniej stronie misji, pod wielkim drzewem moszense rozlegał się gwizdek Sesango, z daleka i bliska nadciągały czarne dzieci. Wychylały się ze swoich kryjówek w buszu i sawannie niczym stado rozbrykanych psiaków i każde chciało usiąść jak najbliżej katechisty, pomagając mu rozwi-



jać coraz to nowe, wielkie, kolorowe obrazy przedstawiające ziemskie życie białego Boga. Podziwiał się je, zadawało pytania i zdumiewało odpowiedziami. Pomiędzy małymi słuchaczami szczególną uwagę Sesango swoją pilnością zwróciła Limbi, dziewczynka licząca sobie około siedmiu lat. Jej koleżanki sprawiały wrażenie, jak gdyby nie chciały się z nią zadawać, co jednak jej nie przeszkadzało, gdyż najwidoczniej już się do tego przyzwyczaiła.

Sesango zapytał ją, skąd przychodzi, lecz nie odpowiedziała, a on domyślił się, że nakazano jej milczeć. Należała pewnie do grona „tajnych uczniów”, którzy lękali się zdradzić swój rodzinny dom. Wokół Limbi było jednak coś szczególnego, czego nie pojmował, gdyż tak skrycie się zjawiała i ruszała z powrotem sobie znajomymi ścieżkami do Mashayamombe. Jej ojciec, Kakubi, nie mógł się o tym dowiedzieć, ale na szczęście miał zawsze sporo zajęć, wysłuchując życzeń ludzi, którzy przychodzili doń, aby zdjął urok z krowy, uleczył chorą żonę, dał amulet bezpłodnej i od czasu do czasu zaklął bogów deszczu, aby nie zapomnieli o spragnionej ziemi. Troska o dzieci spoczywała na kobietach, była sprawą „wielkiej” matki Suma, która ją urodziła, oraz „małych” matek, konkubin czarownika, pomagających sobie nawzajem w wychowaniu licznego potomstwa.

Ale również czarne kobiety nie zawsze mają czas zapytać o to, dokąd i skąd idą ich i tak swobodnie wychowujące się dzieci. Muszą zajmować się uprawą ziemi, przynieść wodę, ugotować posiłki, utrzymać w czystości chatę, tkąć maty, mleć ziarno, piec chleb i warzyć piwo. Cieszą się jak i wszystkie matki, gdy przez jakiś czas pociechy same zajmą się czymś w kraalu. Tak to Limbi mogła się oddalić, nie zwracając niczyjej uwagi. Najmłodsze dzieci wisały rodzicielkom u boku, zabierano je nawet do pracy w polu, więc dziewczynka mogła

przyjść do misji sama, bez młodszej, przyrodniej siostry Njiny, która nagle „spadła z nieba”, gdy ona sama miała pięć lat.

Murzyńskie dziecko w tym wieku nie pyta jeszcze za wiele o przyczyny swojej egzystencji. Zadowala się faktami.

Limbi ucieszyła obecność siostrzyczki i dzieci szybko przyzwyczały się do siebie. Cały kraal Mashayamombe zachowywał co do Njiny grobowe milczenie, wzmagane jeszcze dojmującym strachem. Każdy wiedział, że Kakubi bezwzględnie rozprawi się z tymi, którzy chcieliby mu zadać niewygodne pytania.

Chodziło przecież o zadowolenie jego okrutnych mocodawców. Njina miała się stać jedną z najbardziej zatwardziałyłch poganek w całej okolicy i nigdy nie przyjąć nauki abafundisi. Dlatego miał dziecko ze sobą, gdy odprawiał swoje czarodziej-skie rytury albo gościł w chacie przybyszów. Od najmłodszych lat miało ono obyc się z magią, przyzwyczaic do obcowania z duchami oraz demonami i nie lękać się czaru kości, próby wody ani bulgoczących w kotłach wywarów. Czy też może powinien wychować dziewczynkę na następczynię osławionej Saandy?

Ta myśl olśniła kiedyś czarownika. Wtedy na pewno Njina zostałaby raz na zawsze odsunięta od wpływu misjonarzy. Tak więc któregoś dnia umieścił dziecko na plecach i po rozpalonym czerwonym piasku ruszył w daleką drogę do doliny Mazoe, gdzie w pieczarze znanej jedynie wtajemniczonym zamieszkiwała Saanda, córka boga Mlenga. Nie przeczuwał, że w tym samym czasie, gdy udał się w podróż, Limbi zasiadła u stóp abafundisi, karmiąc swoją zgłodniałą duszę największymi tajemnicami chrześcijańskiej wiary, i to z gorliwością, która wstrząsnęła doświadczonym misjonarzem.

Kakubi miał przed sobą wielogodzinny marsz, ale pogodzony z losem szedł krok za krokiem. Wreszcie dowie się, co ostatecznie począć z tym dzieckiem noszącym przydomek „Urodzona między białymi”.

Zadecydował, że posłucha Saandy bez względu na to, co rozkaże.

Gdy z mocno śpiącą mu na plecach Njiną zbliżył się do grotty, siedząca w niej czarownica zaskrzeczała tak przeraźliwie, że zbudziła maleństwo, które przytuliło się do swojego baba nieme z przerażenia.

- Precz! - zawyła Saanda rozdzierającym gardłowym głosem. - Wynoś się stąd z tym bachorem, na którym ciąży czar wody białego Boga! Chcesz zbezczęścić grotę Mlengi?

Jedynie z wielkim trudem udało się Kakubiemu uspokoić straszną wróżbitkę.

- Saanda! - zagaił, sadowiąc się na gołym, kamiennym podłożu. - Przyprowadziłem to dziecko, aby się dowiedzieć, w jaki sposób mogłoby ono wyrzucić białym największą szkodę. Całe jego życie ma być drwiną z ich Boga. Dlatego tu jestem. Chcę otworzyć usta i powiedzieć ci, jak wielkie myśli poddała mi Mlenga, największa ze wszystkich duchów!

Czarownica przyjrzała mu się z ukosa; jeśli ktoś już mógł wywiedzieć się o wolę Mlengi, to jedynie ona. Jakim prawem ten zaklinacz deszczu mógł chełpić się sztuką zastrzeżoną dla niej? Milczała jednak, mrużąc jedynie do siebie coś niezrozumiałego. Kakubi przyjął to jako zachętę i wyprostował się nieco.

- To dziecko powinno kiedyś stać się drugą naczelną wieszczką w całej krainie, córką wielkiej Saandy nazywającej się Nyanda i Maanda, lecz której prawdziwe imię znane jest tylko Mlendze.

Na *to* Saanda roześmiała się skrzekliwie, a wystraszony Kakubi zamilkł.

- Opileś się piwem wawa i przyszedłeś tutaj? Co za słowa słyszę z twoich ust? Ogień i dym nie oczyszczą języka węża, a ukąsił mnie! Nie ma lekarstwa na jad skorpiona ani mamby.

Lecz na złe słowa człowieka znajdzie się muti i będzie niemy na zawsze!

Kakubi zerwał się z miejsca: z pianą na ustach i błędnymi oczyma groziła nawet jemu. Po raz pierwszy poczuł lęk, a stara jędza szalała dalej w gniewie:

- Przeprowadziłeś do mnie to dziecko? Jako następczynię córki najwyższego boga? Niech wszystkie duchy ją zgubią, za nim postawi choć jeden krok w tej grocie! Nie będzie drugiej Saandy, powiadam! Nie, żyjącymi nie będzie rządzić żadna inna kobieta oprócz Nyandy! Prędzej ześlę ci na kark „tańczących ze zmarłymi”!

Kakubi stęknął z przerażenia. Ta hiena była zdolna do wszystkiego. „Tańczący ze zmarłymi” stanowili przejmujący grozą tajny związek czarnych, którego członkowie przebierali się w skóry leopardów, na ręce zakładali żelazne pazury i nocą wyciągali swoje ofiary z chat. Następnie rozpoczynali z nimi krwawy taniec, aż nieszczęśnicy padali martwi. Nikt nie znał ich imion.

Tylko Saanda je znała i miała władzę nad każdym. Kakubi poszarzał na twarzy, drżąc na całym ciele. Samo piekło spoglądało na niego z pomarszczonego, sępiego oblicza staruchy.

- Saanda - wyjąkał wreszcie. - Postanów sama o losach dziecka. Tobie bogowie dali ku temu władzę!

Wiedźma zamilkła.

Wreszcie powoli podeszła bliżej, jak gdyby czekała na to ustępstwo.

- Usiądź bliżej ognia, synku - odparła przymilnie, zupełnie odmieniona - wreszcie mówisz tak, jak należy rozmawiać z córką Mlengi.

Przysiadła obok niego, pasma siwych włosów splecione w tłuste, poklejone krowim łajnem warkoczyki, opadły jej na spiczastą twarz. Zachichotała cicho.





- Kakubi, moje serce wie już od dawna, co bogowie postanowili o tym dziecku ofiary. Przed tobą doniosła misja. Poświęcisz je bóstwom deszczu, a nasza kraina już nigdy nie zazna suszy, chyba że zapagnie krwi białego człowieka.

Oniemiały Kakubi gapił się na nią, nie mogąc wykrztusić słowa. Czarownica przysunęła się jeszcze bliżej.

- Gdy dziecko osiągnie wiek, że matka zrobi mu przepaskę biodrową, zabierzesz je i nad wielką rzeką zamurujesz w le piance, aby pozostała dziewicą, której nigdy nie wolno zapragnąć mężczyzny ani też pokazać się pomiędzy ludźmi. Taka jest wola Mlengi przemawiającej przez Saandę. - Jej oczy płonęły niesamowitym blaskiem.

Kakubi był pod wrażeniem. Doprawdy, Saanda okazała się mądrzejsza niż sądził. Wreszcie miał rozwiązanie, nad którym tak długo łamał sobie głowę. Tym sposobem Njina zniknęła na zawsze, stając się nieosiągalna dla białego i czarnego człowieka. Nie było takiego, kto by nie wiedział, że kara śmierci groziła każdemu mężczyźnie, który przekroczyłby progi chaty zamieszkiwanej przez dziewicę poślubioną bóstwom deszczu. Zaledwie kilka tygodni temu spłonął na stosie syn powszechnie szanowanego wodza, gdyż zbliżył się zanadto do takiej glinianej celi. Jego czyn spowodował bowiem suszę, plagę szarańczy i wszelkie zło. W rzeczy samej, nie do wyobrażenia, aby taka dziewczyna zetknęła się kiedykolwiek z abafundisi. Odetchnął z ulgą.

- Swoją mądrością, Saando, przewyższasz wszystkich czarowników Mashonaland - przyznał. - Matabele, którzy po wierzyli mi Njinę, okażą zadowolenie, gdy się dowiedzą, jakie życie czeka ochrzczone dziecko.

Śmiech jędzy zabrzmiał jak płaczliwe zawodzenie hieny.

- Wynoś się i zabieraj ze sobą bachora, nie mogę znieść jego zapachu ani słuchać jego głosu. Strzeż jej, aż dorośnie. A wtedy, sama o tym nie wiedząc, będzie urągać białemu Bogu. Nie prze-

szkodzi temu żaden biały, gdyż w tym czasie w Mashonaland nie będzie już białego człowieka!

Kakubi przytaknął. Tak brzmiała ciągle powtarzana przepowiednia wieszczki zaklinającej duchy zmarłych: biały człowiek musi umrzeć, wkrótce umrzeć, i to co do jednego, Saanda codziennie zlorzeczyła jasnoskórym przybyszom i podburzała mieszkańców okolicznych kraalów.

Czarownica odprowadziła go do wyjścia, gdy jednak spojrzała na bawiące się dziecko, jej ciałem wstrząsnęły gwałtowne skurcze niczym uderzenia potężnej pięści, a drżące w niej moce wyrwały z jej gardła nieludzkie wycie. Czarownik porwał dziewczynkę i czym prędzej wziął nogi za pas, zanim dosięgła go jakaś klątwa.

O tej samej godzinie rozpromieniona Limbi słuchała wzruszającej historii o Najświętszej Dziewicy, która wyniesiona narodzinami Bożego syna ponad cały kobiecy ród, przyniosła światu pokój i radość. Choć nie rozumiała jeszcze wszystkiego, cieszyła się, słysząc jak ojciec Richartz wyjaśnia, że w Maryi ludzki ród ma tę, której ziemia wyczekiwała od niepamiętnych czasów. Wszystkie ofiarowane bogom dziewice deszczu, których nie mógł dotknąć mężczyzna, wszystkie noworodki, które w Zululand poświęcano straszliwej „władczyni niebios”, zakopując je żywcem w polu, zapowiadały jedynie wypełnienie tej odwiecznej tęsknoty - że panna przyniesie światu zbawienie w dziecku, które sprowadzi błogosławieństwo na całe stworzenie. Tego dnia w południe Limbi pobiegła do domu z rozśpiewanym z radości sercem. Przybyła w samą porę, aby jeszcze posłyszeć, co Saanda postanowiła o jej młodszej siostrze Njinie.

Kilka razy wypaliła strzelba i nie była to broń białego. Nikt nie wziął tych odgłosów za znak alarmu. Rozwścieczeni wodzowie kilku rezerwatów otwarli ostry ogień do pobor-

ców podatkowych. Oczywiście wszczęto za nimi pościg, lecz Mashonaland był jeszcze za mało zbadany, aby udało się odnaleźć ślady uciekinierów. Potem na pewien czas zapanował spokój, lecz nikt nie przeczuwał, że jest to cisza przed burzą. Czy czarni nie zwykli się burzyć, gdy prowadzono ich do kopalni, żeby zabrali się do roboty kilofem i łopata? Tu i tam doszło to bójek, lecz kto by się nimi przejmował? A kiedy czarnoskóry spluwał pod nogi białemu, to mógł być przypadek, o regułach dobrego wychowania słynnego pana Knigge ci ludzie jeszcze pewnie nigdy nie słyszeli. Mieszkańcy Salisbury naśmiewali się z nowego proboszcza, ojca Aloysiusa Leboeufa, który objął urząd na Hartmann's Hill po chorym na febrę poprzedniku wysłanym z powrotem do Kraju Przylądkowego. Ten szczupły Francuz z Kanady próbował zjednać sobie tubylców rycerską uprzejmością. Było w tym coś wzruszającego, gdy z uprzejmym dystansem odnosił się do dzikusów, jak gdyby zasiadali wraz z nim w sali wykładowej. Był całkowitym przeciwieństwem ojca Kerra. Tamten potrafił być głośny i serdecznie surowy, ojciec Leboeuf natomiast zdobywał sobie ludzi łagodnością i szlachetnością prawdziwego grandseigneur. W jego wypiełgnowanej angielszczyźnie czuło się szemranie nurtów Sekwany, natomiast język ojca Kerra smakował solą burzliwych fal oceanu. Czy ktoś taki choć po części zdobędzie popularność rubasznego i powszechnie lubianego prowincjała?

Przyczyniło się do tego pewne zabawne zdarzenie.

Pewnego dnia ojciec Leboeuf udał się rowerem do Chishawasha, aby bliżej przyjrzeć się szkolnej metodzie ojca Biehlera.

Wyruszył nieco za późno, bo gdy zbliżał się do celu, słońce już zachodziło. Przed nim rozciągała się szeroka równina sawanny porośnięta suchą wysoką trawą, kołyszącą się lekko na wietrze, droga razila czerwienią i żółcią, aż migotało w oczach, tych oczach, których wada oznaczała dla niego ciągły krzyż.

I stało się, że rowerzysta poczuł nagle gwałtowny wstrząs, który wykatapultował go z siodła, przerzucając nad kierownicą. Wysokim łukiem runął na piach, aż zadzwoniło mu w uszach. Gdy się podniósł, poszukując wokoło okularów, okazało się, że nie są mu potrzebne, gdyż mimo krótkowzroczności dojrzał przeszkodę będącą przyczyną jego upadku. Z obrażonym rykiem przemknął obok niego ogromny lew, znikając w kilku susach w gęstwinie trawy. Ojciec Leboeuf usiadł, przecierając oczy, oszołomiony, wytracony z równowagi, a jednocześnie szczęśliwy. Doprawdy, coś takiego było niczym najlepsza blaga myśliwska, której mógł mu pozazdrościć nawet słynny Mr Selous. Czy ktoś da temu wiarę?

Ale gdy opowiedział o tym w Salisbury, uwierzyli mu wszyscy. Zapanowała nawet jeszcze większa wesołość, kiedy zapytany, czy coś wtedy powiedział, dodał spokojnym, uprzejmym tonem:

- Co powiedziałem? Przeprosiłem, o, pardon, monsieur Leon, przykro mi, że zakłóciłem pańską sjęstę!

I on nadawał się do pracy w Afryce!

Tak, pomimo kłopotów ze wzrokiem był być może jedynym, który po tak krótkim pobycie w stolicy jasno dostrzegł, jakie niebezpieczeństwo zaczyna zagrażać białym, zapewne dlatego, że przybył z zewnątrz, więc przyzwyczajenie nie stepiło jego oceny trudnych warunków panujących w nowo powstałym kraju.

Jego zdaniem, już na samym początku nie potraktowano czarnych z należnym szacunkiem. Co do niego, to prawdziwa miłość kierowała się względami, choć ludzie żartowali, że w jego szkole tubylcy prędzej nauczyliby się sprawnie posługiwać nożem i widelcem niż znaku krzyża.

To ojciec Leboeuf był tym, który właściwie ocenił sytuację, gdy młody administrator, doktor Jameson, rozzuchwalony łat-

wym zwycięstwem nad Matabele, odważył się natrzeć na bur-  
ską twierdzę Johannesburg, co zdyskredytowało w świecie nie  
tylko jego, lecz także Rhodesa, a także zasiało ziarno przyszłe-  
go konfliktu z Burenland.

- Teraz rozstrzygnie się, czy ten kraj stanie się ponownie  
dzikim buszem! - zwierzył się z troską słuchającym go sio-  
strom.

Ale one go nie zrozumiały. Czy cała ta sprawa nie była  
wprawdzie niebezpiecznym, lecz ostatecznie stosunkowo nie-  
szkodliwie przebiegającym incydem? Oczywiście, Ohm  
Krueger to nie Lobengula, zaś pośród Burów w Transwalu już  
od dawna wrzało z powodu brytyjskiej hegemonii w Mashona  
i Matabeleland. Tylko czy Cecil Rhodes nie wskazał kiedyś  
sam na żółtą mapę Afryki, na której zaznaczony na czerwono  
Kraj Przyłaskowy prezentował się tak marnie jako brytyjska  
posiadłość? „Ali this red - powiedział z głębokim westchnie-  
niem - to byłoby moje marzenie!" Z garstką podobnych mu  
zaoaleńców Jameson wyruszył, aby siłą zrealizować te plany,  
lecz nieoczekiwanie aresztowano wszystkich. Oczywiście,  
konflikt zażegnano na drodze dyplomatycznej, ale tubylcy  
nadstawili uszu.

Niezwyciężony dakatela dr Jim, pobity, wzięty do niewoli  
i odesłany do Anglii! Ten, który z uśmiechem dużego chłopca  
powiodł Chartered Company do nieznanego kraju i nie pod-  
niosła się przeciwko niemu żadna assegai, został pokonany  
i unieszkodliwiony.

Tryumfator stojący na czele „Viktoria-roll", który po uciecz-  
ce czarnego Nerona wywiesił brytyjską flagę nad Bulawayo,  
wypędzony i wzgardzony!

Wraz z nim niesławą okryło się także imię Cecila Rhodesa.  
Wielki Ulodsi zadeklarował natychmiastowe ustąpienie ze sta-  
nowiska premiera, a także rezygnację ze wszystkich urzędów

w Chartered Company. Nowy kraj nie przyjął jednak tej dymisji, gdyż bez założyciela przepadłby z kretesem. Skończyły się natomiast piękne sny o US-Africa pod brytyjską egidą. Tubylcy nie rozumieli wiele z polityki białych intruzów, lecz instynktownie czuli, że Europejczycy poczęli nienawidzić jedni drugich. Tu Burowie - tam Brytyjczycy.

I po osadach rozniosła się starannie skrywana kpina, niebezpieczniejsza jeszcze od strzałów oddanych w stronę poborców podatkowych: „Biały człowieku, twój pokój jest nic niewart!”.

Te słowa stały się hasłem.

Jeszcze zanim doszło do zamieszek, Limbi zagrożona śmiercią została ochrzczona przez ojca Richartza. W upalny dzień dziewczynka przybyła z kraalu Kakubiego, nie *zważając* na południową spiekotę, aby wziąć udział w uroczystym nabożeństwie w kaplicy misyjnej. Dochodząc do celu, upadła zemdlona na ziemię i w ciężkim stanie przyniesiono ją na Loyola Farm. Cierpiąc na dolegliwości związane z udarem słonecznym, prosiła usilnie o udzielenie jej chrztu. Po krótkiej naradzie misjonarze postanowili spełnić jej prośbę. W tych okolicznościach nie musieli czekać na zgodę nieznanych pogańskich rodziców.

Dopiero po ceremonii, gdy Limbi ponownie mogła przytomnie mówić, po usilnych namowach zdradziła abafundisi, skąd pochodzi.

Ojciec Richartz przeraził się.

Udzielił chrztu córce naczelnego czarownika.

Kilka dni później uzbrojona horda wyruszyła z Mashayamombe na poszukiwanie dziewczynki. Nie pomyśleli jednak o Chishawasha. Zakonnik wiedział, że dziecku zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo, jeśli Kakubi dowie się o chrzcie. Dlatego postanowił, że pośle wraz z Limbi Sesango. Katechista bez namysłu wyraził zgodę.

## Posłuchajcie pieśni o wojennym oszczepie!

Nie doszli jeszcze do kraalu Mashayamombe, gdy Limbi zatrzymała się, wypuszczając dłoń Sesango.

- Musisz mnie teraz zostawić, wielki nauczycielu! - powie działa z lękiem. - Gdyż inaczej mój baba może cię zastrzelić.

Sesango uśmiechnął się, wyciągając rewolwer z kieszeni spodni.

- Nie ma w nim wprawdzie kul, ale ojciec Richartz twierdzi, że wystarczy mieć coś takiego w ręku. Nie musisz się obawiać, że zabiję twój baba. On też zostawi w spokoju swoją strzelbę, gdy nas zobaczy!

Limbi nie dawała się przekonać.

- Mój baba nie lubi abafundisi ani czarnych, którzy im służą. Nie wolno ci powiedzieć, że jestem ochrzczone. Ale gdy zostanę sama z moją młodszą siostrzyczką, to opowiem jej wszystko, żeby nauczyła się kochać Zbawiciela i Matkę Bożą.

Sesango ucieszył się:

- To dobrze. Dlaczego jeszcze jej nie przyprowadziłaś?

- Njina jest jeszcze za mała.

Katechista spojrział na dziecko nieomal z lękiem. Njina - to imię nie było rzadkością, lecz zawsze na jego dźwięk czuł niepokój w sercu. Nie zapomniał Gaikany i przez ostatnie dwa lata nie spozjrzał na żadną kobietę, choć nie rozumiał tego nikt z jego ziomków. Za córeczką tęsknił jeszcze bardziej, niż to

bywa u Negrów. Dzieci miały pierwszeństwo nawet przed dużym stadem bydła!

- Ile lat ma twoja siostrzyczka?

Limbi nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż doszli do polany, na której skupiska chat otaczały kraal czarownika.

- Czy nie wolałbyś już iść, Sesango, wielki nauczycielu Leone? - zapytała bezradnie, ale katechista ruszył odważnie ku największej chacie.

- Wakomana? Ludzie, gdzie jesteście?

Z chaty wyszedł jeden z synów Kakubiego i zamarł. Potem zawołał coś do wnętrza, a Limbi niczym błyskawica znalazła się przy nim.

- Bele, nie wolno ci wyrządzić mu krzywdy. Wielki nauczyciel Leon przyprowadził mnie do domu, ponieważ się rozchorowałam. Bele, nie mów o tym baba!

Ale jej brat zniknął już w chacie, a na zewnątrz wyszedł Kakubi. Stał wyprostowany, w pełnym stroju podkreślającym jego godność, czarne pióra zdobiły mu głowę, amulety i naszyjniki z kości szyję, a wokół bioder nosił skórę leoparda. Najwidoczniej przerwano mu jakąś ważną ceremonię. Limbi objęła go za nogi niema z przerażenia.

Sesango podszedł bliżej, ale czarownik wykonał tak groźny ruch swoją assegai, że stanął w miejscu jak wryty, unosząc tylko powoli wydobyty z kieszeni rewolwer.

- Czego chcesz służalczy psie białych ciemężycieli? - wrzasnął nań Kakubi.

Sesango z trudem przypomniał sobie ostatnie pouczenie Chrystusa, gdyż nie chciał odpowiedzieć w podobny sposób. Nie było to łatwe, ale okoliczność znalezienia się samemu w kraalu otoczonego złą sławą czarownika ułatwiła mu praktykę cnoty.

- Kakubi - zwrócił się do niego spokojnie - wiemy, że masz władzę nad wielkimi mocami, lecz nie uchroniły one twojej





córki przed groźną chorobą. Znaleźliśmy ją przed ośmioma dniami porażoną przez słońce. Nikt nie rokował, że przeżyje. Błogosławieństwo abafundisi przywróciło jej zdrowie, gdyż nasi mfundisi mają mocne muti białego Boga. Czarownik uśmiechnął się nieszczercze.

- Mówisz, co ci nabajano. Od dawna wiedziałem, że moja córka leży u was chora, i to moje zaklęcie sprawiło, że nie zaczęła umierać i nie zjawił się przy niej wasz abafundisi ze swoją wodą.

Sesango starał się nie patrzeć na Limbi, która zaraz spuściła głowę. Udał, że nie dostrzega wyczekującego, lecz niepewnego wzroku Kakubiego. Szkoda, że nie mieli czasu na dłuższy palawer!

- Kakubi, jesteś mądrym i szanowanym czarownikiem, ale nie masz na tyle władzy, aby ustrzec córkę przed tym, że wy zdrowiała właśnie na stacji misyjnej, przez której poświęcone mury nie przeniknie żadne zaklęcie. Jeśli teraz stoi przed tobą zdrowa, to tylko dzięki mocy naszego Boga. Przybyłem, aby ci o tym powiedzieć. Proszę cię w imieniu dobrych abafundisi, abys zaprzestał swej nienawiści przeciwko misjonarzom i dzięki temu znakowi naszego Boga zrozumiał, że chcą dobra dla ciebie i twojego klanu. To On ocalił Limbi, żebyś i ty nauczył się Mu służyć!

Twarz czarownika poszarzała z oburzenia. Z taką bezczelnością jeszcze się nie spotkał.

- Służyć jemu? Nigdy, dokąd tylko jest we mnie choć iskra oddechu i choćby uratował przed wymarciem cały mój kraal! Zabieraj się i przekaz twoim abafundisi, że raczej poginiemy, niż się im poddamy! Poza tym powiedz naczelnemu indunie mfundisi, że odbierzemy kocioł, który skradł na skale grotu ucieczki i drogo każemy zań zapłacić!

Sesango nie mógł powstrzymać się od drwiny.

- Widocznie dlatego, że brak ci kotła, nie miałeś na tyle mocy, aby uchronić dziecko od choroby. Mfundisi powiedział, że ci za niego zapłaci. A ty bądź zadowolony, że cię nie oskarżył przed rządem białych ludzi!

Kakubi zatrzęsł się z wściekłości, lecz udało mu się opanować.

- Dam sobie zapłacić za czarodziejski kocioł, ale ceną za niego jest krew misjonarzy!

Wetknąwszy palce do ust wydał głośny przenikliwy świst, a z głębi kraalu natychmiast odpowiedziało wściekle ujadanie zbliżającej się sfory psów. Sesango nie czekał, aż wytropią jego ślad, lecz zaraz biegiem rzucił się do ucieczki. Kundle z tego kraalu miały opinię szczwanych, mściwych i wiecznie żądnych krwi.

Odpłaci się jeszcze Kakubiemu za tę potwarz. Na wszystkich aniołów, to było za wiele jak na kogoś, kto stał się nauczycielem krajowców, a nawet nosił podarowane mu przez zakonnika ubranie.

Zdyszany i zgoniony przybył z powrotem na farmę. Ojciec Richartz odczekał cierpliwie, aż da upust swojej złości co do poszczucia go psami.

Nie, nie miał nic przeciwko temu, żeby wszelkimi środkami trzymać z daleka wściekle psiska, które nocą nachodziły farmę. Sesango miał dostać naboje do rewolweru, ale musiał za to przyrzec, że przez nieuwagę nie strzeli do posiadacza sfory. Och, ta ciągła walka z mściwością czarnych! Ile czasu potrzebował, zanim swego czasu odwiódł wreszcie Sesango od ułożenia pieśni o śmierci Gaikany, której refren brzmiał: „Odwróć się assegais Matabele i osądź zabójców!”.

Oprócz wymogu jednożeństwa przykazanie miłości nieprzyjaciół stanowiło dla czarnoskórych najtrudniejsze wyzwanie.

- A jeśli Kakubi pošle swoich ludzi, aby nastawali na twoje życie? - zapytał wreszcie zrezygnowany. Ojciec Richartz odparł z uśmiechem.

- Pomódlmy się, Leonie, żebyśmy nie musieli korzystać z obrony!

Wzruszywszy ramionami Sesango ruszył w swoją stronę. Abafundisi jeszcze się przekonają, że czarny człowiek nie rzuca słów na wiatr.

Również między białymi narastała wzajemna niechęć. Zduszono wprawdzie w zarodku zarzewie rewolucji przeciwko Ohmowi Kruegerowi, wyroki śmierci wydane na burskich wichrzycieli zamieniono z trudem na kary więzienia, lecz wewnętrzny pokój w obozie białych nie dało się już przywrócić. Rhodes musiał przystać na to, żeby wydelegowany przez rząd brytyjski oficer armii sprawował kontrolę nad całym arsenałem broni i amunicji, jakimi dysponował kraj.

Pomimo licznego kręgu przyjaciół i współpracowników Rhodes zawsze był sam. W nieszczęściu pozostało mu niewielu zwolenników, którzy wspierali jego idee i plany wyrosłe z głębi pełnego poświęceń altruistycznego serca. Częściej więc niż zwykle przybywał do Hartmann's Hill.

Siadał zwykle w cieniu słomianego dachu nad warsztatami szewskimi, gdzie ojcowie uczyli tubylców rzemiosła, i wspominał stare czasy. Ojciec Leboeuf nie należał wprawdzie do grona starych misjonarzy-pionierów towarzyszących Chartered Company, ale za to w swojej przyjaznej, nigdy nieznużonej uprzejmości potrafił znakomicie słuchać, dodając od czasu do czasu ostrożne wypowiedzi lub dzieląc się obserwacjami uchodzącymi uwagi większości białych. Czy Cecil Rhodes nie wiedział, że okręt steruje ku niebezpiecznemu kryzysowi? Mashona i Matabele jako sprzymierzeńcy i tajni spiskowcy - już sama myśl o tym wydawała się Rhodesowi absurdem.

Nikt rozsądny nie wierzył w „legendy” o ukrytych magazynach skradzionych karabinów, jakimi mieli dysponować Mashona, ani o nocnych przeglądach i ćwiczeniach pod nad-

zorem jakiegoś induny z Matabele. Pewnie kryją się za tym nieszkodliwe tańce przy księżycu, nic poza tym. Znano przecież Kafrów. Przy każdej pełni nie brakowało krzyków, bójk i pijaństwa!

Potem jednak pojawiły się niezwykle „znaki” tłumaczone jednakowo przez każdego Sesuru. Zaczęło padać bydło, zaraza przeciągała od północy ku południowi, nie oszczędzając kralów krajowców i białych farmerów, nadleciały nieprzeliczone stada szarańczy, pustosząc w kilka godzin kwitnący kraj, aż wreszcie w lutym, w samym środku pory deszczowej doszło do zaćmienia księżyca!

Te plagi wszystkie razem wzięte zwiastowały wojnę! Saanda od dawna ją zapowiadała i nadszedł czas! Bogowie okazywali gniew z powodu zbyt długiego ociągania się w wypełnieniu testamentu Lobengułi i wypędzeniu z kraju białego człowieka!

Mlimo zgromadził wokół siebie podległych mu wróżbiarzy. Duch Lobengułi miał wyjawić, czego oczekuje od swojego ludu. Mjaan i Mshete, dawni generałowie królewskich impis odbyli pielgrzymkę do pieczary Makalaka, aby posłyszeć jednoznaczny wyrocznię:

- Co tam szarańcza, zaraza bydła i zaćmienie księżyca! Wybijcie białych, i wszystko będzie dobrze. Czarny człowiek nie dozna już żadnej porażki. Sami bogowie zamienią kule amakiwa w wodę i ześlą ogień z nieba, który strawi ich miasta!

To jasne przesłanie przypadło na czas, gdy nieroztropny biały człowiek sam się osłabił najazdem na Transwał, dokąd pociągnęło pięciuset policjantów wraz z większością uzbrojenia służącego do obrony kraju. Brytyjczycy zostali praktycznie bez broni. W ciągu jednego tylko tygodnia koloniści zapłacili daninę krwi, która dwukrotnie przewyższyła straty poniesione podczas pierwszego powstania Matabele. W 1893 naliczono siedemdziesięciu sześciu poległych, teraz po ośmiu dniach

w całym kraju zginęło stu trzydziestu prospektorów i farmerów. Wojenny oszczep nie oszczędzał kobiet ani dzieci, dzikie hordy napadały znieścacka na samotne farmy i namioty poszukiwaczy złota, pozostawiając za sobą okaleczone ciała i łuny pożarów!

Pozostali przy życiu sięgnęli po stary sposób samoobrony, sprawdzony w kraju Burów - udali się do obozów zbornych utworzonych ze starych wozów, których dyszle połączono łańcuchami. Do ochronnego kręgu spędzono najpierw bydło, potem do środka ściągnęli nieuzbrojeni cywile, a mężczyźni z karabinami w ręku zajęli stanowiska na skraju. Potem wszyscy czekali, aż nadejdzie odsiecz i pomoże im się przedostać do Bulawayo lub Salisbury.

Dla wielu jednak ratunek przyszedł za późno, choć Rhodes natychmiast pospieszył przez Beira do zagrożonej strefy, by spokojem i dyscypliną zapobiec wybuchowi paniki.

Najpierw jednak koloniści musieli się bronić sami. Było to surowe, lecz bardzo życiowe prawo na tym „zapleczu” białego człowieka. Zanim z Kraju Przylądkowego przybyły oddziały regularnego wojska i przymaszerowali ochotnicy z Natalu, należało odeprzeć impet niespodziewanego ataku i przejść do obrony. Farmerzy zawsze musieli być wojownikami, taka tradycja obowiązywała na Czarnym Lądzie!

Z właściwą sobie pewnością siebie Rhodes zarządził w Salisbury natychmiastowe utworzenie Rhodesia Horse, pomocniczego oddziału konnicy składającego się z pośpiesznie powołanych pod broń kolonistów, którymi dowodzenie przejął pułkownik Beal. Ich marszruta brzmiała: Gwelo - Bulawayo. Z Gwelo nadeszło wezwanie o jak najszybszą odsiecz! Matabele wyniszczali tamtejszą okolicę, plądrując i wycinając ludność.

Do opieki nad rannymi potrzebowano także kobiet, które odważyłyby się wyruszyć wraz z oddziałem, i to pomimo grożącego niebezpieczeństwa.

Siostrze Patricii chwiały się jeszcze nogi po ataku malarii, który powalił ją na krótko przed wybuchem katastrofy, lecz zmobilizowała resztki sił. Poradzi sobie, jeśli będzie miała u boku siostrę Amikę. W tych okolicznościach Cecil Rhodes nie miał innego wyboru, wszelkie współczucie musiało ustąpić miejsca trzeźwemu wnioskowi, że chora pielęgniarka wciąż jest pielęgniarką, jeśli tylko może jeszcze ruszyć ręką i troszczyć się o potrzebujących. Wyraził więc zgodę. Nie zabrakło także drobnego zakonnika z bezkrwawej kampanii Chartered Company z roku 1890. Oczywiście ojciec Hartmann również towarzyszył pionierom. Odebrałby to jako obrazę, gdyby po raz trzeci nie wziął udziału w wyprawie.

Wreszcie nadeszła godzina wymarszu. Od Salisbury do Gwelo Matabele utworzyli nową „drogę krwi”. Wszędzie wypalone farmy, zniszczone zagrody dla bydła, spustoszone wioski. Biada położonym na uboczu domostwom! Patrole mające przeszukać napadnięte siedliska, czy nie dają kryjówek nieprzyjacielowi lub schronienia pozostałym przy życiu, wracały ze spuszczonej głowami.

Żołnierze wyglądali na tak zszokowanych, że siostry nie odważały się zadawać żadnych pytań. Dopiero wieczorem padały rwane zdania - przepełnione grozą, opowiedziane głuchym głosem, wyduszone szeptem. Wystarczały i one. Nieprzyjaciel nie znał litości!

Któregoś razu z rekonesansu powrócił młody porucznik, płacząc jak dziecko. Zaręczył się na krótko przed wymarszem, a teraz zobaczył krwawe gody, których nie zapomni do końca życia. Rabusie napadli na samotną farmę, gdzie odbywało się właśnie wesele. Wszyscy goście leżeli martwi jeden obok drugiego, spustoszone zastawione jadłem stoły, zniszczono umeblowanie i podarunki ślubne. Podłogę pokrywała zmieszana z winem krew, a nad wszystkim powiewały nadpalone papierowe girlandy!

Na pobliskim krzewie mimozy znaleźli ciało odzianej w białą suknię panny młodej. Widocznie próbowała ratować się ucieczką. Jej ciało stanowiło jedną ranę, śmierć została jej obluźnieniem.

W wozie ambulatoryjnym nie brakowało zajęć, którymi można było zająć myśli. Wkrótce też doszło do potyczek i pierwszy ranny spoczął na gołej ziemi, gdzie lekarz wojskowy nakazał najpierw siostrze Patricii podać mu chloroform, a potem przystąpił do operacji przy świetle reflektorów.

Przednie straże ciągle wyruszały na zwiad, aby zbadać, czy dzika i odludna górską okolica wolna jest od nieprzyjaciela. Wydawało się, że bez trudu dotrą do miejsca przeznaczenia, więc żołnierze stracili czujność, uważając i tę wojnę za zabawę dla dzieci, gdy o mały włos cały oddział uniknął całkowitej zagłady. Na szczęście kiedy osiągnęli otoczoną wysokimi górami kotlinę, colonel Beal nakazał zatrzymać się kolumnie. Taka okolica nadawała się na wyśmienitą zasadzkę.

Wysłano na rozpoznanie patrole, które za pomocą lornetek odkryły z zaskoczeniem tysiące wojowników Matabele! Rozłożyli się obozem w całej dolinie, najwidoczniej czując się bezpieczni w płaskim zagłębieniu terenu. Nie zdawali sobie pewnie sprawy z siły wzroku sztucznych orlich oczu białego człowieka. Położenie było poważne. Odwrót? Wykluczone! Matabele najpewniej również mieli swoich zwiadowców i cała armia ruszyłaby za nimi w pościg. Decyzja mogła być tylko jedna, nagły atak na niespodziewających się niczego czarnych! Przedrzeć się za wszelką cenę! Bo jeśli przyjdzie im stanąć przeciwko zjednoczonym siłom wyszkolonych impis, to cały oddział czeka nieuchronna zguba!

Rozkaz: „Osłona ogniowa - karabiny maszynowe i pełnym galopem przez kotlinę!”. Cała sprawa mogła trwać jedynie minuty, tyle tylko, ile trzeba, by ochłonąć z pierwszego zaskocze-

nia i sięgnąć po broń. Teraz okazało się, jak zbawienne było zapoznanie koni z wojaczką. Żaden nie poniósł, gdy naraz za-grzechotały wszystkie cekaemy, a ich świszczące salwy dosię-gły szeregów Matabele, kosząc nieprzyjaciela całymi setkami. Zaskoczenie się powiodło!

Czarni niczym mrówki staczali się ze zboczy i wyrzuca-jąc z krzykiem ręce w powietrze padali w wysoką trawę nie mając nawet chwili na stawienie oporu. Powietrze drżało od ich krzyków. Ucieczka - jedyny ratunek to ucieczka. Najwi-doczniej myśleli, że za nieliczną awangardą nadciąga z Salis-bury cała armia. Brawura przeciwnika zdeorientowała ich, ale tylko na krótko, bo gdy pokonano niebezpieczną kotli-nę, ciągle jeszcze groził im los, jaki spotkał oddział Allana Wilsona.

Eskortująca kawaleria ruszyła ostrym kłusem, chorzy i ranni z grymasem bólu na twarzach uczepili się kurczowo desek wozów ambulatoryjnych. Na ile się dało, siostry próbowały ochronić najciężej rannych od najgorszych wstrząsów. Wresz-cie pułkownik Beal rozkazał zatrzymać się na postój. Osiągnęli gęsty busz dający na noc schronienie. W pośpiechu wzniesio-no szałas. Wokół wozu sióstr straż pełniło dwunastu wartow-ników - dzielne kobiety zasłużyły sobie na taką ochronę. Oby spokojnie spały po grozie bliskiej, prawie pewnej zagłady.

W środku nocy - alarm! Wygasić ogniska! Atak Matabele! Karabiny maszynowe na pozycje! Ruchy wroga! I nagle - ostre rozkazy wykrzykiwane w ciemnościach, odpowiedź, angielskie słowa, i wreszcie okrzyki radości! To nie wróg, lecz kompania ochotników z Gwelo, która zrobiła wypad, aby przyjść z po-mocą Rhodesowi i jego kolumnie. Również oni dowiedzieli się o zgromadzonych Ndebele i przewidzieli grożące niebezpie-



czeństwo. Oczywiście, w ostateczności przybyliby za późno, toteż w napięciu słuchali sprawozdania oficerów.

Do szybko rozniecanych na nowo ognisk podeszły także siostry. Na ich widok ochotnicy z Gwelo okazali żywiołowy entuzjazm. Siostra Patricia uspokoiła ich zmęczonym skinieniem ręki. Wolałaby, żeby raczej postarali się o wodę. Co takiego?

- Nasi chorzy odczuwają wielkie pragnienie, a woda do picia jest letnia i już się kończy.

- A siostra?

- Ja? No cóż, tak, chętnie napiłabym się czegoś!

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Proszę dać nam jeden z karabinów maszynowych, pułkownika. Zdobędziemy wodę dla całego oddziału. Tylko jak to możliwe, że jej zabrakło?

Teraz Beal okazał zmieszanie.

- Wydałem niewłaściwy rozkaz, żeby natychmiast ugasić ogień, kiedy scouts donieśli o waszej obecności. A było to nasze zaopatrzenie w picie! Ale ostrzegam, koryto rzeki leży bardzo głęboko, a brzegi są bardzo strome. Nawet w ciągu dnia taka wyprawa może być ryzykowna!

Zaoponowali, nie ustępując.

- Siostry powinny zobaczyć, że w razie potrzeby skoczmy dla nich również w wodę. W tył zwrot! Marsz!

Ruszyli w nocne ciemności.

Wrócili po godzinie. Woda chłodna, czysta, ale - stać! Doktor Wylie nie ustępował.

- Najpierw ją zagotować! Mamy dość chorych, nie ma innego wyjścia!

Wystarczył jeden łyk, żeby zarazić się najgorszymi chorobami jelit. Przeszli prawdziwą próbę cierpliwości, czekając aż kocioł po kotle woda zostanie doprowadzona do wrzenia, a następnie wystudzona. Potem pili jak umierający z pragnienia.

Najpierw matka Patricia pozwoliła zaspokoić pragnienie chorym, przyglądając się, jak ożywiają się skurczone twarze, a w oczach znowu pojawia się iskra życia. Na koniec po kubki sięgnęły obie siostry.

- Proszę powiedzieć, matko Patricio, jak to siostra zrobiła, że nie piła przez całą noc? - wypytywał ciekawie jeden z pacjentów. - W warunkach polowych przyda mi się taka umiejętność.

Uśmiechnęła się, spuszczać oczy.

- Ach, pomyślałam o pewnym żołnierzu, który stojąc pod krzyżem, podał Chrystusowi ocet...

Niepotrzebne były dalsze wyjaśnienia. Kto by pomyślał, jak straszne pragnienie powiększyło jeszcze mękę Zbawiciela? Kto miał czas zajmować się tym, gdy własny język zasychał w gardle. Chory bez słowa odwrócił na bok głowę.

Następnego dnia o świcie ruszono w dalszą drogę - ostatni odcinek do Gwelo pokonano szybkim kłusem, nie napotykając nigdzie nieprzyjaciela.

Radość w Gwelo nie miała granic. Mieścina dzień i noc żyła w nieustannym lęku. Jedyne wzniesione z kamienia budynki, w którym mieścił się sąd, przemieniono w szpital. Wokoło stłoczyły się małe namioty uciekinierów pełne kobiet i dzieci, jedynie w ostateczności miano im pozwolić na schronienie się w murach. Dlatego niezwykłym znakiem miłości i uznania ze strony mieszkańców było to, że w budynku zarezerwowano i skromnie wyposażono dla sióstr dwa pomieszczenia. Wyglądały one jak przytulne pokoiki dla młodych dziewcząt. Siostra Patricia nie mogła ukryć łez. Najpierw, by nie urazić nikogo, przyjęły poczęstunek: spożyły ciepłe śniadanie, obsługiwane przez dwie ladies jak gdyby były królowymi.

Zaraz potem udały się do doktora Symtha będącego ordynatorem.

Ten wytrzeszczył oczy. Co takiego - nie podobają im się cele, takie cacka? Dlaczego? Za ładne? Co to za fanaberie?

- Doktorze, jesteśmy zakonnkami. Jeśli zamieszkamy w takich warunkach, to w porównaniu z biednymi matkami gotującymi na zewnątrz porridge dla dzieci i cisnącymi się w zimnych namiotach będziemy żyły w luksusie. Na to nie możemy się zgodzić, nie przybyliśmy po to, żeby nas obsługiwano. Czy są jacyś ciężko chorzy?

Lekarz okazał zdumienie taką gwałtownością osób duchownych. No cóż, był młody pan Selous, bratanek słynnego trapezisty i pisarza, oraz jego przyjaciel cierpiący na zapalenie jelit, ale trudno sobie wyobrazić, żeby ich tam ponownie umieszczono.

- Chciałybyśmy przeznaczyć oba pomieszczenia dla śmiertelnie chorych - nie ustępowała siostra Patricia, a i jej towarzyszka przezwyciężyła zwykłą nieśmiałość. - Tak, panie doktorze, proszę nie odmawiać. Nie potrafiłybyśmy zmrużyć oka, myśląc o cierpiących.

- Hm, ale gdzie podziejecie się same? Nic innego nie przygotowano...

Siostra Amica wskazała pogodnie na zewnątrz.

- Przecież tam stoi jeszcze nasz stary wóz, można powiedzieć: już relikwia. Poczujemy się w nim jak w domu.

Medyk się uśmiechnął - cóż to za określenie! Ostatecznie jednak zgodził się na tak wspaniałomyślne wyrzeczenie.

Nie pożałował.

Obaj pacjenci zmarli nieco później, lecz w ostatnich chwilach czuli się niczym w domowych pieleszach, otoczeni troską i opieką, w warunkach godnych człowieka.

„Pokoiki panieńskie” stały się odtąd schronieniem dla najciężiej chorych. Ludność Gwelo nie odważyła się zaprotestować, bo przecież siostry dzieliły z wszystkimi wszelkie trudy i niebezpieczeństwa. Czy nie przejęły się, gdy kilka dni później

złapano nocą w obozie dwóch szpiegów Matabele i rozstrzelano na miejscu? Wydawało się, że pośród kobiet dojdzie do masowej hysterii, jedynie obecność sióstr zapobiegła panice.

Gdy cała kolumna miała udać się do Bulawayo, mieszkańcy solidarnie zażądali pozostania zakonnic. Niech wojsko wyrusza, jeśli to konieczne, bez sióstr zakonnych nie można się obejść. Poza tym w szpitalu należało się zająć ciężko chorymi. Młody Szkot, który wraz z dwoma towarzyszami miał zbadać kraal Matabele, pod ciosami siekiery stracił obie ręce, a towarzyszący mu żołnierze zginęli na miejscu. Jemu udało się wprawdzie ujść z życiem, lecz teraz siostra Patricia musiała mu zastępować dłonie. Nie mogła wyjechać - co do tego wszyscy byli zgodni.

- Musi mi teraz siostra zastąpić cały batalion! - stwierdził komendant Gwelo, na co matka Patricia natychmiast zarządziła wieczorny różaniec, gromadząc wokół siebie uciekinierów, jak gdyby byli dziećmi. Również innowiercy podchwycili ciągle odmawianą modlitwę, powtarzającą się niczym oddech w piersi, jak spokojne uderzenia serca. Po różańcu przełożona zaklaskała w dłonie.

- Dalej, zaśpiewajmy coś, posłuchajmy pieśni ludowych tych narodów, które się tutaj zebrały! Kto się odważy?

A kiedy gapiono się na nią w zdumieniu, obdarzyła wszystkich nieustraszonym uśmiechem, który znalazł odbicie w jej żywych, błękitnych oczach:

- Wobec tego zacznę sama!

Złożywszy dłonie na podołku, czystym, dźwięcznym głosem zaśpiewała po celtycku starą irlandzką balladę, tak rzewnie i czule, że ludzie słuchali jak zaczarowani. Czyżby ta zakonnica ujawniła nagle serce zakochanej dziewczyny lękającej się o losy ukochanego? Stała się wszystkim dla wszystkich i mogła być wszystkim, czego żądano, gdyż duszę oddała Bogu.

A potem rozśpiewało się całe obozowisko: Niemcy, Szkoci, Irlandczycy, Brytyjczycy, Burowie, nikt się nie wymawiał. I cienie lęku ustąpiły przed światłem bijącym od krzepiących serca strof! Gwelo zostało uratowane!

A co z zagrożonym Bulawayo?

Gdy rozpoczęły się zamieszki, w kraju pozostało jedynie pięćdziesięciu żandarmów z dawnej policji konnej, a w samym mieście nawet nie połowa z tej liczby. Korpus pionierów liczył około sześciuset chłopów, lecz i oni nie tworzyli jednolitego oddziału, dawno powrócili na farmy i do swoich zajęć. Większość z nich zginęła tam, gdzie właśnie przebywali.

Ruchliwa armia Matabele liczyła dwadzieścia tysięcy dobrze uzbrojonych wojowników. Teraz mściło się, że swego czasu zgodnie z umową Chartered Company odstąpiła czarnemu królowi tysiąc karabinów i sto tysięcy ładunków amunicji za prawo poszukiwania złota i kamieni szlachetnych. Matabele nie zagrzebali ich w ziemi, więcej - wzbogacili się o nowszą broń, w jaką uzbrojona była czarna policja, która przeszła na ich stronę. Tym razem walka była zacięta.

Kiedy z Kraju Przylądkowego mógłby dotrzeć colonel Plumer? Przy tej odległości kolej docierała dopiero do Mafekinga, skąd wyruszały kolumny wozów - należało się liczyć z dwoma miesiącami.

Do tego czasu należało samemu stawiać opór przeważającej sile wroga.

Bulawayo stało się miastem liczącym ponad dwie mile długości i pół mili szerokości. Jak bronić takiego obszaru? Nie było innej możliwości, jak wycofać się z dalszych dzielnic, tworząc za przykładem Burów umocniony obóz wokół same-



go centrum. W sumie dysponowano jedynie czterema karabinami maszynowymi.

Sytuacja okazała się wyjątkowo trudna i nikt nie żywił złudzeń. W namiotach ustawionych przed halą targową zamieszkało ponad sześćset kobiet i dzieci, a do ich obrony stopniowo zgromadziło się dziewięciuset piętnastu mężczyzn. Gdy tylko doniesiono o zbliżaniu się nieprzyjaciela, złudne poczucie bezpieczeństwa przyszło. Pomimo to nie zabrakło kilku kobiet, które zrezygnowały i z tej ochrony, pełniąc obowiązki na osamotnionym posterunku, oddalonym o ćwierć mili od wzniesionych umocnień dających schronienie większości mieszkańców. Była to wspólnota ośmiu siostr kolejno przybywających do Bulawayo w miarę upływu czasu, aby objąć szpital, a potem szkołę. Od 1895 zaczęły prowadzić Memoriał Hospital wzniesiony ku pamięci Allana Wilsona. W nim właśnie przebywały, nie troszcząc się o to, co może je spotkać.

Matka Jacoba, przełożona małej gromadki, zarządziła, aby pozostać na miejscu, służąc pomocą rannym ściągającym do Bulawayo ze wszystkich stron i opowiadającym budzące grozę historie o okrucieństwach Matabele. Siostry musiały oglądać rany, na widok których robiło się słabo. Z braku amunicji, którą najwidoczniej chcieli zaoszczędzić, Matabele ładowali karabiny śrutem, odłamkami kwarcu i opiłkami żelaza, szkłem i pociętym drutem!

Podobnie jak używane później pociski dum-dum, rozrywały one ciało do samej kości.

Do zranień po tej „amunicji” dochodziły jeszcze obrażenia po pchnięciach assegais, których ostrza jeżyły się od ostrych jak brzytwa zębów. W tym wypadku jedynym ratunkiem okazała się amputacja. Zakonnice zdawały sobie sprawę z tego, co je czeka na wypadek szturm, i to znacznie lepiej od kobiet w obozie. Nie bez przyczyny każdy mogący się poruszać pa-

cjent miał pod ręką naładowaną broń, a okna zabarykadowano workami z piaskiem.

Te szarpiące nerwy tygodnie wyczekiwania sprawiły, iż kilkakrotnie groził wybuch paniki. Z powodu braku mleka oraz na skutek ciężkich przejść w obozie zaczęły umierać najmłodsze dzieci. Zrozpaczone matki podburzały się wzajemnie. Co robić, aby je uspokoić?

Matka Jacoba zaproponowała, aby zorganizować dla dzieci szkołę, tak jak to zrobili ojcowie jezuici. Jeśli policja będzie je eskortować, to można się odważyć na to, aby codziennie wędrowały tam i z powrotem. Już sam fakt prowadzenia regularnych lekcji odwróci uwagę i zdyscyplinuje nieco pozbawione zajęć i przepelnione lękiem matki. Fortel się udał. Jak gdyby nigdy nic małe dziewczynki gromadziły się wokół młodej siostry przysłanej przed kilkoma dniami z domu macierzystego i będącej dyplomowaną nauczycielką, po czym udawały się do szpitala. Natomiast matki z ulgą wracały do hali targowej. Bo skoro siostry nie postradały nagle zmysłów, to należało zakładać, że wiedzą, co robią!

Wszystko to nawet w połowie nie było tak wyczerpujące jak zajęcie się mężczyznami.

Że w szpitalu przebywało nie mniej jak stu dwudziestu rannych i chorych, a siostry przez siedem pełnych tygodni nie ściągały z siebie habitów, sypiając nocą na posadzce w kącie korytarza, ze skrzyżowanymi pod głową rękoma, gdyż brakowało łóżek, poduszek i koców - o tym dowiedziano się dopiero wiele miesięcy później, już po wyzwoleniu miasta.

Czy mogło dziwić, że matka Jacoba nagle zaśląbla i więcej się nie podniosła? Postawiona diagnoza nie zaskoczyła lekarza: zaawansowany, nieuleczalny zanik rdzenia!

A w szkole - ze łzami w oczach - siostra Sebastiana ćwiczyła wesoły dziecięcy chór. Przechodzącym w pobliżu wydawało

się, że radosne dziecięce głosy brzmią jak pogrzebowe requiem. Właśnie nadeszła wiadomość, że w dalszych dzielnicach doszło do regularnych potyczek. Wzgórza Matopo zaroły się od przyczajonych Matabele.

Tylko dlaczego czarni nie atakowali? Nie wiedzieli o słabości białych, nie znali ich beznadziejnej sytuacji, nie zdawali sobie sprawy z własnej miażdżącej przewagi?

Gambo, zięć Lobenguli, aresztowany w Bulawayo zaraz po wybuchu konfliktu, orzekł, że w przeprowadzeniu ataku przeszkadza wzajemna zazdrość wodzów.

Ta niezrozumiała zwłoka miała jednak swoją przyczynę w przesądzie, nakazującym Matabele czekać na znak, który miał dać czarownik Mlimo.

Babyaan, wysłany przed siedmioma laty przez Lobengulę do angielskiej królowej jako ambasador, zajął pozycję na zachodnich pasmach wzgórz Matopo. Chociaż szlak komunikacyjny wroga przebiegał tuż obok, łatwy do zablokowania, nie uderzał, gdyż bóg z groty Makalaka rozkazał, aby zostawić go otworem i tym sposobem zmusić wszystkich białych do wycofania się tą samą drogą, którą przyszli, i to na wieczną hańbę! Wbrew rozsądkowi przyglądał się, jak nieprzyjaciel ściąga coraz to nowe posiłki, nie odważając się jednak przeciwstawić woli duchów.

Z powodu innej wyroczni od zniszczenia ocalał także budynek rządowy znajdujący się już prawie w rękach Matabele, który w odległości trzech mil od targowiska w Bulawayo przyczaili się w zasadzce nad brzegiem Umguzi. Nikt jednak nie śmiał podnieść ręki na budowlę, gdyż wkrótce sam Lobengula miał ją zająć na swoją rezydencję. Kiedy dokona się zagłada wszystkich białych - zapowiadał Mlimo - zobaczy się króla zasiadającego na tronie w ogromnej sali, nieśmiertelnego i z wielką mocą.



Na znak czarownika czekał również Sekombo, który obsadził strome, podobne do murów twierdzy, wschodnie zbocza Matopo. Miał zobaczyć postrzałkę przecinającą drogę prowadzącą do Bulawayo i wtedy dopiero rozpocząć frontalny atak. Ale jakaś moc, w niebie lub na ziemi, przeszkadzała zwierzacom, chociaż po okolicy kręciły się ich całe tysiące.

Pomimo to kule Matabele gwizdały często nad miastem i samotnym szpitalem.

Gdy wreszcie zebrali wszystkie siły do szturm, z Kraju Przylądkowego nadciągnął pułkownik Plumer, spieszący bez spoczynku szybkim marszem. Pierwszą walną bitwę wydał wrogowi nad rzeką Kham na zachodzie Bulawayo, drugą zaś nad Umguza. Niczym nawałnica spadły na Matabele siły odsieczki wraz z oddziałami ochotników. Krajowcy bezpowrotnie zmarnowali nadarzącą się okazję.

W Bulawayo już zapanowała radość z odrzucenia nieprzyjaciela w głąb wzgórz Matopo i oswobodzenia miasta, gdy z końcem czerwca z Salisbury nadeszła hiobowa wieść: do rebelii Matabele przyłączyli się Mashona. Uważane za tchórzliwe i niezdolne do wojny plemiona Shona zaatakowały swoich niedawnych obrońców, nie cofając się przed mordami i okrucieństwem.

Na pomoc! W ciągu dwóch tygodni wokół Salisbury zamordowano stu dziewiętnastu kolonistów wraz z rodzinami, a przy tym w mieście przebywali jedynie starcy i dzieci, gdyż większość mężczyzn zdolnych do noszenia broni wyruszyła z odsieczą. Tym samym stolica znalazła się w znacznie gorszej sytuacji niż samo Bulawayo na początku konfliktu. I kiedy pułkownik Plumer zamierzał oczyścić z nieprzyjaciela również Thabas Imamba, gdzie ukrywał się Mlimo, „Syn boga groty”, do Salisbury skierowano z pośpiechem dwustu pięćdziesięciu żołnierzy należących do oddziałów pomocniczych z Gwelo.

Jednocześnie do zagrożonego Mashonaland wezwano z Kraju Przylądowego kolejne posiłki. Dowodzący jednostkami regularnej armii pułkownik Alderson miał uderzyć przez Beira. Zanim jednak to nastąpiło, Salisbury musiało się bronić przed wrogiem własnymi siłami.

Nowy kraj zapłonął od nienawiści tubylców u obu krańców, na zachodzie i na wschodzie.

Siostry Patricia i Amica zostały natychmiast odwołane z Gwelo, zwłaszcza że sytuacja się uspokoiła, gdy działania wojenne skoncentrowały się wokół Bulawayo.

Kiedy po długiej i niebezpiecznej podróży, ochraniane jedynie przez słabą eskortę, dotarły wreszcie do Salisbury, musiały towarzyszyć swoim współsiostrom do kolejnego więzienia, choć oblężone Gwelo wystarczająco długotrzymało je w zamknięciu. Obrona Salisbury skoncentrowała się wokół tej ufortyfikowanej budowli, z daleka i z bliska ściągali do niej zdesperowani i zmęczeni uchodźcy.

Trwoga, jaką mieszkańcy Bulawayo mieli za sobą, czekała jeszcze tych ze stolicy. W dystrykcie Mazoe napadnięto znieścacka na poszukiwaczy złota oraz farmerów i wymordowano wszystkich. A co z ojcami na Chishawasha? *Znaleźli* się w samym oku tajfunu, czyżby miała się spełnić groźna zapowiedź Kakubiego? Podjęte próby odsieczy zarzucono wkrótce jako beznadziejne. Na sawannie roilo się od Mashona pod dowództwem wypróbowanych w boju indunas Matabele. Pozostawało jedno - czekać na pomoc, a za otoczonych w odległej o wiele mil Krainie Małą zanosić ofiary i modlitwy.

W swojej prostoduszności ojciec Richartz do końca nie wierzył, że jeden z kacyków, z którym nie tak dawno zawarł porozumienie, obróci się przeciwko misjonarzom. Czyż nie

t

■

zbudowano dla tubylców dwustu trzydziestu sześciu chat i to na opuszczonej niegdyś ziemi, która dopiero dzięki staraniom braci i ojców stała się bezpiecznym schronieniem?

Zewsząd napływały alarmujące wieści - zabójstwa i przemoc w całej okolicy.

Lecz dopiero gdy brat Kury nie wrócił z Salisbury nawet w sobotę, misjonarze nabrali podejrzeń. Jeszcze większy niepokój zapanował, gdy kilku zatroskanych farmerów z sąsiedztwa poprosiło o kwatery. Wtedy też ojciec Biehler, po raz pierwszy odkąd prowadził szkołę na Loyola Farm, z ciężkim sercem odesłał do domów swoich małych muzykantów okazujących od dłuższego czasu dziwne zaniepokojenie. Zaproponował też, że wczesnym rankiem pocwałuje do Salisbury. Około drugiej lub trzeciej zamierzał być z powrotem, przynosząc jakieś wieści. Lęk? Uśmiechnął się: nie, przecież wszyscy wiedzieli, że cieszył się również względami rodziców chłopców z orkiestry dętej. Czyż nie byli dumni z muzykujących pociech?

Aby się rozerwać, farmerzy zabrali się do gry w karty, ale nie dało się ukryć nerwowych spojrzeń wędrujących raz po raz na zegarki. Szybko spożyto lunch - a po nim nikt już nie miał ochoty na grę. Schowano wygasłe fajki. Druga, trzecia, czwarta godzina - okolica wokół Chishawasha jak wymarła, droga do Salisbury pusta i cicha. Wreszcie ojciec Richartz nie wytrzymał.

- Panowie, siodłamy!

Przytaknęli.

Już mieli wychodzić, gdy stanął przed nimi induna owinięty wełnianym kocem, chcąc się rozmówić z ojcem Richartzem, wysoki, muskularny mężczyzna, który wytargował od abafundisi niejeden przydatny kawałek stali, nożyczki, noże i co tylko użytecznego brało się z kuźni białych.

Czy może uspokoić dobrego baba? Oczywiście, zdarzyło się coś w kopalniach, kilku nierozważnych, gorączkolistych Se-

suru zrobiło coś, czego nie powinni. Ale on - nie, on przybył zapewnić dobrego mfundisi...

Niepodejrzewający niczego ojciec Richartz już otwierał drzwi, aby wpuścić przybysza do środka, gdy nagle z korytarza wyskoczył czarny cień, niczym błyskawica rzucił się na wodza, upadli na posadzkę i wtedy rozbrzmiał tryumfujący okrzyk Sesango - udało mu się zabrać indunie ukryty pod kocem długi, ostry jak brzytwa nóż.

Teraz dołączyli się także górnicy - i nieproszony gość wylądował na zewnątrz. Siodłać konie! Nie wolno tracić ani minuty, to co przeżyli, wystarczy. Intruz najpewniej był zwiadowcą, jeśli nie wynajętym zabójcą! Nie wolno więcej wpuścić żadnego tubylca - zabarykadować budynek i w drogę! Mieli właśnie spiąć konie, gdy dojrzeli ojca Biehlera galopującego w dół pagórka z trojgiem towarzyszy. Wymachiwali z dala rękoma! Nareszcie! Nie muszą nigdzie wyjeżdżać.

Gdy nadjechali bliżej, rozpoznali braci zakonnych Kury'ego i Puffa z Hartmann's Hill - obaj uzbrojeni - wraz z młodym obcym oficerem. Ojciec Biehler rozsiedział wierzchowca, ciężko oddychając, przedstawił Francuza, porucznika Guepratti. Oficer zgłosił się na ochotnika, aby stacjonować na Loyola Farm i w razie potrzeby kierować walką. Natychmiast należało poczynić przygotowania do podjęcia obrony.

Czy nie wiedzieli, że całe Salisbury zgromadziło się w obozie? W okolicy roіło się przecież od rebeliantów i brat Kury zginąłby niechybnie, gdyby wysłano go samego z Hartmann's Hill. Jak to możliwe, że ojciec Biehler dotarł cało do celu?

Ojciec Biehler zachichotał. Co do orkiestry, o której wspominał rano, to tylko żartował. Gdyby do czegoś doszło, to i jego skóra nie byłaby więcej warta niż pozostałych.

Ale kto zgłębi zawilosci tubylczego rozumowania? Później zastanowią się nad tym, co uratowało mu życie. Mała nieugię-

ta wspólnota zdecydowała, że spróbuje szczęścia i zostanie, czekając, aż nadejdzie odsiecz. Na farmie zebrano się szesnastu uzbrojonych mężczyzn, trzech ojców (Richartz, Biehler i Boos), pięciu braci zakonnych, trzech górników z kopalni Enterprise, francuski porucznik, dwóch policjantów tubylców, Sesango oraz ośmiu czarnych wychowanków, w większości sierot, stale zamieszkujących na stacji misyjnej. Pięcioro z nich było na tyle dużych, aby pomagać dorosłym, co też ochoczo czynili.

Zajęli się przenoszeniem prowiantu na najwyższe piętro, a także zaopatrzeniem w wodę, której musiało starczyć na wypadek dłuższego oblężenia. Mężczyźni sięgnęli po cegły, zabarykadowano nimi okna, pozostawiając jedynie wąskie strzelnice, wystarczające do wysunięcia lufy. Za nimi ustawiono worki z piaskiem. Zabarykadowano drzwi i wystawiono straż przed domem!

Porucznik Guepratti z troską przyjrzał się fasadzie budowli.

- Eee, to niedobrze, monsieur le Cure! Dlaczego nie pokryliście budynku dachówką lub blachą? Jeśli Negrom przyjdzie ochota, żeby nas wykurzyć...

No tak, w pierwszych latach misja nie mogła sobie pozwolić na wielkopańskie zachcianki. Poza tym słomiane strzechy były odpowiednie dla wymogów klimatu: izolowały przed upałem i chłodem, a nawet chroniły przed deszczem. Guepratti uśmiechnął się blade. Owszem, jak najbardziej, lecz nie przed śmiercią w płomieniach.

Więcej o tym nie rozmawiano, bo po co kusić nieszczęście? Z Salisbury przywieziono pięćset ładunków, wraz ze zgromadzonymi na miejscu powinny wystarczyć do utrzymania podpalaczy na dystans.

Omawianie taktyki nie trwało długo. Pierwszą noc spędzili w umocnionym domu, nie zapadając w zbyt głęboki sen. Dziwne to było uczucie, być odcięty od miasta leżącego piętnaście mil dalej, w otoczeniu żadnych krwi hord.

Następnego dnia przypadła niedziela i święto młodo zmarłego świętego jezuitę, czczony na całym świecie Alojzego Gonzagi. I on stoczył walkę - przeciwko zarazie - bohatersko ulegając, aby ze śmiertelnych zmagania wyjść zwycięsko jako wieczny tryumfator.

Ojciec Richartz jak zawsze odprawił o dziewiątej mszę świętą w kaplicy. Lecz na dźwięk dzwonu z pobliskich kraalów nie przybył żaden tubylec. Dla bezpieczeństwa u wejścia do domu Bożego postawiono dwóch uzbrojonych czarnych konstabli.

Ledwie znaleźli się w domu, gdy kilku indunas poprosiło o wejście. Ojciec Biehler nauczony doświadczeniem zapytał przez drzwi, czego potrzebują. Przybysze pożalili się, pytając przymilnie, dlaczego to dobrzy abafundisi okazują nagle taką wrogość. Guepratti machnął ręką - zwiadowcy! Nie mogło być wątpliwości, gdyż dokładnie przyglądali się zabarykadowanemu domowi. Po krótkiej wymianie zdań ojciec Richartz zażądał, aby sobie poszli.

Godzinę później zdenerwowany Sesango zameldował, że do kraalu z bydłem należącym do misji zakradło się dwoje obcych uzbrojonych Sesuru, chcących najwidoczniej dopuścić się rabunku. Na dany przez porucznika znak katechista wraz z dwoma czarnymi policjantami ruszył ku nim, pytając głośno z dala, czego szukają na farmie. Zamiast odpowiedzi, intruzi sięgnęli po broń, lecz Sesango wymierzył szybciej, dwukrotnie pociągając za spust. Rabusie bez życia runęli na ziemię - strzały trafiły w głowę.

Ojciec Richartz był wstrząśnięty, lecz katechista stwierdził sucho, że jeszcze będzie musiał nauczyć się bronić własnej skóry, a mężczyzna, który w pojedynkę wybrał się na słońca, jest w stanie poradzić sobie z połową impi!

Wydawało się, że strzały wystarczyły do odstraszenia czarnych. Reszta niedzieli minęła spokojnie. Lecz kiedy następnego ranka brat Kury wraz z jednym ze starszych chłopców podjął próbę przedarcia się do Salisbury, już w niewielkiej odległości od budynku misji przypadkowa kula śmiertelnie raniła młodego tubylca, bo oddany strzał najpewniej miał trafić białego. W wysokiej trawie bez wątpienia czatowało wielu napastników. Brat Kury natychmiast zawrócił. Koniec niepotrzebnego ryzyka. Za ledwie schronił się w domostwie, gdy tubylcy ruszyli do ataku!

Świst pocisków stanowił ciężki cios dla ojca Richartza. A więc jednak! Napaść ze strony ludzi, którzy zaznali jedynie dobroci i do ostatniej chwili udając przyjaźń, zwodzili go bezgraniczną obłudą. Ale nie było czasu na sentymentalne rozważania, w razie potrzeby misjonarze także muszą być wojownikami. W żadnym wypadku zbudowane z takim trudem dzieło nie mogło paść ofiarą czyjejś samowoli, a życie współbraci nie mogło być narażone na gwałt ze strony podburzonych Mashona!

Dziwne, gdzie ta tchórzliwa sfera podziąła nagle swój lęk? Atakowali z głośnym wojennym okrzykiem. Sesango nie wiedział, czy ma się śmiać, czy złościć.

To było coś innego niż strzelanie do chytrych psów włączających się nocą wokół farmy. Guepratti stworzył ogień i zaraz czterech rebeliantów stoczyło się ze skarpy niczym zające. Sesango trafił kolejnych, lecz czy siły przeciwnika nie przeważały?

Grube kamienne mury dawały schronienie nie tylko oblężonym, lecz także napastnikom ukrywającym się pod wystającą werandą.

Nagle ogłuszający trzask! Część atakujących czołgając się przez zarośla, zakradła się na tył budynku konwentu.

Z wściekłym wrzaskiem wybili okna, na posadzkę z głuchym łomotem spadły worki z piaskiem, wyłamywano drzwi,

tłukąc w nie ciężkimi kolbami karabinów. Pierwsi rabusie ruszyli przez pustą, odbijającą echem jadalnię, za nimi kolejni, beładne hałasy, okrzyki, zamieszanie. Co tylko znaleźli, zostało zniszczone - i nagle... strzały z sufitu!

Dzika panika! Guepratti kazał wywiercić otwory w podłodze piętra wystarczające do przełożenia lufy. Plądrujący rzucili się do panicznej ucieczki - nie mieli przecież zamiaru pozwolić się zastrzelić niewidzialnemu wrogowi! Za pierwszymi, którzy wypadli na zewnątrz, padły salwy uniemożliwiające powrót. Chwila dla zaczerpnięcia oddechu, czarni jak opętani runęli w gąszcz trawy. Dwaj bracia zakonni zeszli na dół, próbując dostać się do drzwi, gdy wokół uszu zaświstały im kule! Weranda! Tam jeszcze ukrywali się napastnicy. Na szczęście Sesango czuwał przy strzelnicy. Gdy tylko dojrzał czubek czyjejs głowy, przykładając kolbę do policzka. Kiedy wreszcie zapadła cisza, pod występem muru leżało pięciu zabitych i trzech rannych. Oblężeni przetarli rozpalone walką twarze, spoglądając po sobie.

Kolejny atak odparty, ale na jak długo?

- Amunicja? - padło pytanie porucznika.

Przeliczyli, ale nie trwało to długo. Nie starczy już, aby stawić opór kolejnemu, zmasowanemu natarciu. Wkrótce ich karabiny zamilkną. Kolejne spojrzenie, zrozumieli się bez słów.

- Wszyscy jesteśmy w rękach Boga - padły spokojne słowa ojca Richartza.

Odmówili modlitwy za umierających, a on udzielił absencji generalnej. Następny atak oznaczał ich śmierć.

Te chwile stanowiły dla białych ciężką próbę samodyscypliny. Tubylcy nie mogli poznać, jakie panują nastroje. Tylko Sesango pozostał dziwnie spokojny. Nieustannie podchodził do strzelnic, chciwie wypatrując kolejnych napastników. Ojciec Richartz smutno się uśmiechnął - czy oto nie dawała o sobie znać nagromadzona dzika żądza zemsty? Tak, w podobnych



sytuacjach i białemu człowiekowi nie przychodziło łatwo pamiętać o napomnieniach Chrystusa, gdy należało opanować emocje i gniew, zachowując jedynie prawo do koniecznej obrony!

Nagle katechista wydał z siebie nieartykułowany okrzyk, a wszyscy obrócili się w jego stronę. Zobaczyli, że podskakuje z radości.

- Baba! Nadciąga pomoc! Zobacz!

Podniecony wskazał na północ. Na położonym około mili od farmy wzgórzu Golgoty, na którym wznosił się ku niebu znak Zbawiciela, pojawiło się pięciu jeźdźców, lecz najpewniej byli to Matabele. Skąd na taką odległość Sesango mógł dostrzec, że to biali? Na tle jasnego horyzontu wszystkie postaci powlekała czern.

Guepratti przyłożył lornetkę do oczu.

- Rzeczywiście, ojcze! To odsiecz, tylko że czarni depczą im po piętach. Na miłość boską, dlaczego nie schronią się w misji?

Wyjaśnienie mogło być tylko jedno - myśleli zapewne, że misja wpadła już w ręce wroga.

- Szybko, ojcze, jakieś prześcieradło? Wywiesić białą flagę! Muszą jechać ku nam, bo inaczej zginiemy wszyscy!

Wywieszono prowizoryczną flagę przywiązaną do kija od miotły, wymachując nią energicznie. Ale biali podejrzewali najwidoczniej jakiś podstęp, zatrzymali się, odpowiadając jedynie desperackim ogniem. Pozostawało tylko jedno, pospieszyć im na pomoc, wykorzystując resztki amunicji. Dwaj bracia zakonni zgłosili się na ochotnika.

- Jeśli dostaniemy osłonę ogniową, poruczniku, to pogalopujemy do Golgoty, żeby oświecić tamtych.

Ojciec Richartz próbował pohamować te zapędy. Brat Biermann, zwalisty, muskularny Westfalczyk, delikatnie, lecz zdecydowanie odsunął przełożonego na bok.

Chodziło przecież o życie albo śmierć! Guepratti nie krył podziwu - z takimi podkomendnymi dało się czegoś dokonać. Doprawdy, bracia zakonnicy żyjąc Ewangelią, wcale nie nie- wieścili.

Bez zwłoki dosiedli koni - na prawo i lewo padły towarzyszące im salwy. Ten sygnał natychmiast zrozumieli także broniący się pod krzyżem. Sprzymierzeniec nadchodzi z pomocą! Z głośnym „hurra” pocwałowali ku braciom. Wszystkim udało się przedrzeć, najwidoczniej czarni myśleli, że farma nieoczekiwanie otrzymała posiłki umożliwiające wysłanie dwojga strzelców na niebezpieczną eskapadę. Kanonada Sesuru przycichła.

Bogu dzięki i chwała - pięciu uzbrojonych Europejczyków więcej! Była to grupa Mr Marshalla, który spieszył na ratunek swojemu przyjacielowi Rupingowi, farmerowi w Matokoland. Zanim jednak udało mu się tam przedostać, dotarła doń wiadomość o jego śmierci. Bez pomocy ze strony farmy i im nie powiodłoby się lepiej, ale przynajmniej dali tubylcom porządną naukę, chcąc jak najdrożej sprzedać swoją skórę.

Ich szybkostrzelna broń dokonała krwawej jatki na ścigających ich ludziach Chinamore. Wieczorem w oddali rozległy się odgłosy jęklących zawodzeń.

- Oplakują w kraalach zmarłych, na razie jesteśmy bezpieczni! - orzekł ojciec Richartz. Dziwna to była melodia na zakończenie dnia.

Wreszcie mogli opuścić swoją twierdzę. Zaraz też zaczęto wycinać pobliskie drzewa i krzewy, aby mieć swobodne pole ostrzału.

Ale Mashona nie zaatakowali już następnego dnia, broń białych poczyniła zbyt wiele spustoszeń. Lornetki dowiodły nawet, że z całym dobytkiem wynieśli się w pobliże dających

lepsze schronienie skał wokół Chishawasha. Wystawili jedynie strażę przy drodze do Salisbury i Umtali. Mieszkańcy Loyola Farm mogli się swobodnie poruszać, zaopatrzyć w świeżą wodę i dalej wzmacniać fortyfikacje. Raz w oddali rozległy się odgłosy wystrzałów, a potem zapadła cisza. Najwidoczniej podjęto próby przyścia misji z odsieczą.

Nagle w czwartkowy poranek grzmiące „hurra” odbijające się echem po otwartym polu - patrol! Trzydziestu trzech jeźdźców z karabinem maszynowym Maxima! Spowita obłokiem czerwonego kurzu kawaleria ruszyła w dolinę, kierując się ku farmie. Kapitan Taylor potrząsnął najpierw dłońmi swojego podkomendnego, porucznika Guepratti, a potem ojca Richartza, któremu z radości pokazały się łzy w oczach.

- Nie wiem, jak się odwdzięczyć, kapitanie. Teraz możemy się utrzymać całe miesiące. Serdecznie witamy!

Oficer spojrział na niego zdumiony, a potem się roześmiał.

- Co takiego? Nie macie dość samotności? Nic z tego, mam rozkaz administratora oraz komendanta, aby was wszystkich sprowadzić do obozu!

Ojciec Richartz okazał zaniepokojenie. Właśnie teraz, gdy poczuli się bezpiecznie, mają opuścić wszystko? Posiadali przecież jeszcze setkę zdrowego bydła, bezcenny skarb w tych czasach, wiele cennych ksiązek, a także - wartość przewyższającą wszystkie ziemskie skarby - nową kapełę. Mieliby to wszystko wydać na splądrowanie?

Kapitan Taylor był nieugięty. Rozkaz to rozkaz. Sytuacja była dużo poważniejsza, niż ojcowie przypuszczali. Nie wolno czekać nawet godziny, jeśli chce się uprzedzić zmasowany atak Mashona. Jedynie solidnym galopem uda się przedrzeć do Salisbury. Ponieważ brakowało jednego wierzchowca, ojciec Richartz dosiadł rumaka wraz z kapitanem Taylorem.

I zaczęła się dzika gonitwa.

Tętent kopyt, tu i tam krótki rozkaz, w twarz boleśnie uderzał czerwony piach - nikt nie odzywał się bez potrzeby. Cała broń gotowa do strzału, zaś oczy zwrócone na prawo i lewo, gdzie budząca obawy wysoka trawa dawała nieprzyjacielowi znakomitą osłonę. Że ścigało ich około dwóch tysięcy Mashona, o tym misjonarze dowiedzieli się dużo później. Czy dotychczas wszystko szło pomyślnie, ponieważ oddział prowadził ze sobą budzące respekt czarnych działo?

W kotlinie przy kraalu Memberes padł pierwszy strzał. Cwałujący na czele Stevens został trafiony prosto w serce. Zginął nie zdążywszy wydać nawet jęku. *jeźdźcy* zatrzymali się wiedząc, że muszą dopełnić przykrego obowiązku. Potrzebna była każda sztuka broni i żadna nie powinna wpaść w ręce wroga. Taylor zabrał zabitemu rewolwer, hełm oraz karabin, odpiął też pas z nabojami. Ojciec Richartz zamknął poległemu powieki i pobłogosławił znakiem krzyża. Pokłusowali dalej.

Nagle kolejne zatrzymanie - ojciec Richartz zasłabł - wzmożony wysiłek przyspieszył atak malarii. Ale bez względu na to, czy żywy, czy martwy musiał jechać dalej. W razie potrzeby zostałby przerzucony w poprzek kulbaki.

Minęła rzeczywiście tylko godzina czy cała wieczność, gdy wreszcie pojawiło się Salisbury? Wydawało się, że widok celu przywraca siły. Rozpalony gorączką misjonarz, zlany potem i śmiertelnie blady z trudem utrzymywał się na końskim grzbiecie. W stolicy na powitanie wyjechał im administrator, chcąc właściwie robić ojcu Richartzowi wyrzuty z powodu jego zuchwałości, ale wydobył z siebie tylko jedno zdanie: „Deo gratias, że przyjechaliście!”. Jakże wyglądał ten, który do końca walczył o swoje dzieło! Przecież był umierający! I jego pierwsze pytanie: „Jak długo musimy pozostać w mieście?”. Odpowiedź brzmiała: „Aż niebezpieczeństwo zostanie zażegnane!”.

Ale zagrożenie ciągle wisiało w powietrzu.

Dziwne, że mężczyźni z Salisbury z zaciętymi twarzami stawali przy drodze, milcząco przyglądając się misjonarzom, którzy o włos uniknęli zagłady!

Pięści w kieszeniach, spuszczone głowy, rzucone spode łba spojrzenia, wreszcie jeden splunął - prosto pod nogi ojcu Biehlerowi - a potem okrzyk: „Przeklęte klechy, trzymają z mordercami naszych żon i dzieci! Wyrzucić ich z miasta, nie mają tu nic do szukania!”. Nienawiść, jawna nienawiść za to, że próbowali żyć w zgodzie z Sesuru i nauczyć ich pokojowego współżycia z innymi.

Przez chwilę sytuacja wyglądała groźnie, gdyż napastnicy zbili się w gromadę. Nagle jednak wystąpił śmiały Irlandczyk, podtykając jednemu z nich pięść pod nos:

- Jeszcze jedno słowo przeciwko ojcom i obudzą cię dopiero trąby na Sąd Ostateczny!

To pomogło. Irlandczyk natychmiast miał wokół siebie silną grupę gotową bronić misjonarzy własnym życiem. Podżegacze i podżegani spuścili z tonu, zamilkli i wycofali się.

Jezuici spędzili w Salisbury cały miesiąc. Potem, w sierpniu pułkownik Alderson wraz z oddziałem liczącym pięciuset żołnierzy regularnego wojska dotarł do stolicy. Liczono się z rychłym zakończeniem rebelii.

Nieco wcześniej pułkownik Beal, dowodzący Irlandczykami, zdecydował się na wypad do Abercorn Goldfields, a w niej jako kapelan wziął udział ojciec Biehler. Choć wielu żywiło obawy o losy oddziału, wyprawa zakończyła się szczęśliwie - wyzwolono Chishawasha. W ciągu jednego dnia Beal puścił z dymem wszystkie kraale w Krainie Małp. Z Salisbury widziało jak, słomiane dachy płoną w oddali niczym gigantyczne po-

chodnie. Mashona kolejny raz ukryli się w skałach. Colonel Beal wezwał misjonarzy do natychmiastowego powrotu, budynki misji nie doznały praktycznie żadnych uszkodzeń, skradziono jedynie bydło. Kampania odwetowa trwała dalej. Jaskinie i grotty, w których schronili się rebelianci, wysadzano dynamitem lub wykurzano stamtąd buntowników ogniem i dymem. Zbyt wielkie rozgoryczenie pozostało po krwawych mordach i przemocy. W kraju ciągle jeszcze panował niepokój. Kakubiemu i Saandzie udało się zbiec, ciągle też zaogniali sytuację nowymi prorocत्वami, zachęcając do kolejnych napaďów. Chishawasha zamieniono na razie w fort strzeżony dzień i noc przez dziesięciu białych i czarnych konstabli.

W Matabeleland natomiast spodziewano się pokoju.

Zamilkło nantsi indaba.

Biały Bóg okazał się silniejszy...

„Kto kiedykolwiek słyssał, że Mlimo to bóg wojny?“, za-pytywali rozgoryczeni Matabele od czasu ostatnich wielkich bitew z białymi ukrywający się z uporem w niedających się zdobyć jaskiniach na wzgórzach Matopo. „Złożyliśmy ofiary temu dyniowemu bożkowi, a on przed trzema laty pozwolił zwyciężyć białym, teraz znowu trzyma z nimi. Nasz bóg do niczego się nie nadaje, wojna to nie jego sprawa, biały Bóg okazał się silniejszy!“ I na dowód tych słów wskazywali ku Empaneni leżącemu w zachodnim rogu Matopo - samotne, lecz nienaruszone, nawet bydło w kraalu jako jedyne w całej okolicy pozostało zdrowe. Stary Makalaka opiekował się wołami i krowami abafundisi, niejaki Umbila, nikczemna kreatura niewarta nawet splunięcia Matabele.

Nikt nie atakował stacji misyjnej, gdyż stanowiła rezydencję białego Boga, moźnego boga wojny! Natomiast Mlimo nigdy bogiem wojny nie był, kiedyś tylko wydawał ich bezlitośnie

w ręce Mozi'ikazi i pozwalał wycinać. Zaś Bóg białych chronił swoich w potrzebie, to się widziało. Ocalił nawet bydło od zarazy, czarem wody, którą ojciec Prestage skropił kraal, zanim wykonał zalecenie rządu udania się do obozu Mangwe. On sam natomiast najchętniej by pozostał. Taką odwagę daje jedynie biały Bóg!

Nie, ani Mashona, ani Matabele nie skrzywdziliby go, o tym był głęboko przekonany, gdyż jeszcze przed zakończeniem walk, kiedy ciągle jeszcze na Mangwe Route napadano i mordowano białych, którzy w małych grupach odważali się zapuścić w niebezpieczną okolicę, abafundisi z Empandeni powędrował któregoś dnia sam i bez broni do stacji misyjnej. Pochwalił starego pasterza, sprawdził czy wszędzie panuje porządek, a następnie, jak gdyby chodziło o najzwyczajniejszy spacer, ruszył dalej - prosto ku Matopo Hills.

Nie tylko biali patrzyli za nim z szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma, z zarośli przyglądali mu się także stojący tam na czatach Matabele i Makalaka. Nawet indunas zapomnieli języka w gębie. Czyżby misjonarz-farmer ponownie przychodził, żeby pytać, gdzie panuje największa bieda i komu mógłby pomóc, dzieląc się zbożem, podobnie jak się to stało po pierwszych zamieszkach? Ciekawość okazała się większa od nienawiści - a głód najlepszym negocjatorem. Pozwolili mu przejść!

Ojciec Prestage natomiast zdjął z głowy kapelusz, dając wiatrowi ochłodzić spocone czoło. Pogwizdywał pod nosem - piękny dzień, w sam raz na zawarcie pokoju potrzebniejszego teraz nawet od chleba, gdyż wojna nie sprzyjała pracy na roli. To właśnie chciał omówić z indunas. Dlatego udał się do jaskini lwa, do skalnej twierdzy, gdzie strzelano do białych intruzów jak do zajęcy i to zanim zdążyli sięgnąć po broń.

Ale nie padł ani jeden strzał.

Dotarłszy na wzgórze, wyrzucił wszystkie kieszenie, jak gdyby poszukując fajki - wiedział, że każdy jego ruch jest pilnie obserwowany - ale w kieszeniach nie było nic, zupełnie nic! Wyrwał hałaśliwie nos, po czym odłożył na bok swoją kurtkę. Człowiek w koszuli z podwiniętymi rękawami nie może niczego ukryć pod odzieniem. Minęła dłuższa chwila, a potem na indaba, jeden po drugim, zeszli się chiefs, podobnie jak i on bez broni. Honor za honor.

I stała się rzecz nie do wiary. Wraz z nim do Bulawayo powędrowało osiemnastu indunas twierdzących, że są już znużeni wojną i chcą zakończyć walkę. Przybywali jako ludzie wolni, niemuszający się obawiać uwięzienia, bo przecież mieli abafundisi jako tłumacza.

Zostali przez niego przedstawieni Rhodesowi i jego oficerom.

Potem, pomimo rozkazu pozostania w obozie ojciec Prestage powrócił do Empanjeni. Miał dość życia w ścisoku. Na własne ryzyko podjął pracę misyjną i to dwa miesiące wcześniej, zanim sytuacja ostatecznie się ustabilizowała. Ilekroć oficerowie z Bulawayo zażyczyli sobie tego, tylekroć powtarzał swoją wędrówkę ku wzgórzom Matopo. Zapytany o radę, czy można wierzyć starej księżniczce Swazi Nyambezie, wdowie po Mozilikazi, oferującej się pośredniczyć między amakiwa a wrogo nastawionymi indunas, poręczył za nią swoim słowem, gdyż nieomylnym instynktem znajomości ludzkiej natury wyczuł promieniejącą od niej prawość charakteru.

Wkrótce też doszło do wyprawy, która przeszła do historii. Ku wzgórzom Matopo udał się sam Cecil Rhodes. Miejsce to nazwał później Worlds view, gdyż roztacza się stamtąd jedyny w swoim rodzaju widok na całą okolicę. Tutaj z kilkoma przyjaciółmi założył obóz, czekając nieuzbrojony, aż indunas podejmą negocjacje.



Cały świat spoglądał na niego z podziwem. Rhodes bez wątpienia dowiódł nie mniejszej odwagi i mądrości niż misjonarz. Narzucone przez niego warunki pokoju były sprawiedliwe i łagodne. Nie zlekceważył też skarg tubylców, lecz obiecał im zaradzić.

Indunas nie mogli się pogodzić z bezsensownymi zarządzeniami weterynarzy, którzy przekonali czynniki rządowe, aby w wypadku wybuchu zarazy bydła wybijać także zdrowe sztuki. Tym sposobem wyniszczono miliony zdrowych zwierząt - a bydło stanowiło przecież o zamożności czarnoskórej ludności.

Administracja? - Krajowcy domagali się większych praw, redukcji podatków oraz udziału w zyskach osiągniętych w handlu bogactwami naturalnymi kraju. Nie pominięto żadnego postulatu. Roszczenia ze strony Rhodesa też nie były bez podstaw: skrytobójcze zabójstwa budzące oburzenie białej ludności nie mogły pozostać bez ukarania winnych. Nie miały one bowiem nic wspólnego z prowadzeniem sprawiedliwej wojny. Złożenie i oddanie broni samo przez się było zrozumiałe. Ponadto odtąd wodzowie mieli stać się regularnie opłacanymi urzędnikami zatrudnionymi przez rząd, pomagającymi w zachowaniu prawa i porządku.

Mjaan, głównodowodzący, który niegdyś przejął testament Lobenguli, ustąpił i przyjął stawiane warunki. 13 października nastąpiło uroczyste podpisanie traktatu pokojowego.

Stara Nyambezana po raz ostatni złożyła wizytę zwycięskiemu Ulodsi. Słabymi oczyma spoglądała na niego długo i z dobrocią.

- Jesteś dobrym człowiekiem, lud Matabele może na tobie polegać - orzekła wreszcie. - Nie zapomnę nigdy, że rozmawiałam z nowym ojcem czarnych dzieci!

Wzruszony Cecil Rhodes uściskał jej dłoń. Wiedział, ile zawdzięcza tej podeszłej w wieku księżniczce, choćby za te dwa

miesiące spędzone na pustkowiu Matopos. Nie zdarzyła się ani jedna próba zamachu. Czy ma jeszcze jakieś życzenie? Padła prawdziwie dyplomatyczna odpowiedź:

- Nie mam żadnej prośby, jeśli i ty takiej nie masz!

Na to Rhodes poprosił, aby pozwoliła wykonać swoją podobną, obiecując, że przez całe życie będzie ją otaczał należnym szacunkiem. Czarnoskóra lady zgodziła się, ponieważ pomimo wieku i wielu dolegliwości była przecież kobietą, a ponadto czuła, że wyrażone życzenie pochodzi ze szczerego serca.

On zaś rzeczywiście dotrzymał danego słowa, wieszając jej wizerunek na swojej farmie Groote Schur w Kraju Przylądkowym nad własnym łóżkiem, gdzie mógł go mieć stale przed oczyma.

Za zdobycie Kraju Szlachetnych Kamieni, Monomotapa, zapłacono wysoką cenę. Wraz z ofiarami cywilnymi biali naliczyli sześćset ofiar, straty czarnych szły w tysiące. Niemniej kraj rozkwitł na nowo i z wdzięczności nadano mu nowe miano „Rodezja”, chociaż sam zainteresowany początkowo bronił się przed tym.

W Chishawasha zamieszki trwały do października 1897, gdyż Kakubiemu i Saandzie, a wraz z nimi nielicznej grupie rebeliantów udawało się znaleźć wciąż nowe kryjówki. Prosta ludność odwróciła się od nich, gdyż ich przepowiednie okazały się kłamstwem. Teraz dopiero przypomniała sobie, jak dobrze wiodło się jej w dolinie Chishawasha. Abafundisi nie żądali płacenia podatków, leczyli choroby, ubierali, zapewniali żywność w czasie głodu, a także uczyli dzieci wielu pożytecznych rzeczy. Dawanie posłuchu czarownikom nie przynosiło żadnego pożytku, nie należało także porównywać misjonarzy ze „złymi białymi” i darzyć ich nienawiścią.

Czy okażą się pamiętliwi i nie przyjmą już tubylców na swoją farmę? Nie, sami przyszli do nich, przyjaźni, przynosząc

dary, jak gdyby nigdy nic się nie wydarzyło. Uratowali dzieci przed głodem, a także wspomogli kobiety, których mężowie polegli bądź dostali się do niewoli. Więcej, powiedzieli, że biały Bóg i abafundisi okazują przebaczenie. Kto tylko chce, ten zaraz może osiedlić się na ich ziemi.

I tak się stało.

Któregoś dnia przybiegł wzburzony Sesango.

- Baba! Bóg sprawił straszliwy cud, musimy go zażegnać!

Ojciec Richartz pospieszył na zewnątrz, i rzeczywiście stało się coś na podobieństwo cudu: polną drogą ku Loyola Farm, niosąc dzieci na ręku, nadciągała gromadka kobiet - za nimi w odpowiedniej odległości podążało kilku starszych chłopców. Były to mieszkanki kraalu Kakubiego! Na ich czele kroczyła Suma, pierwsza żona czarownika, prowadząca Limbi i Njine, jedną po lewej, a drugą po prawej ręce. Bez wątplenia udawały się do Chishawasha. Czy nie należało ich poszczuć psami, baba?

Ale misjonarz uśmiechnął się, wyciągając ku przybyszom szeroko otwarte ręce i witając rodzinę swojego najzagorzalszego przeciwnika. Na jego twarzy nie widać było śladu niechęci. „Straszliwy cud” dokonał się inaczej, niż wyobrażał sobie Sesango. Nie pozostało mu też nic innego, jak milcząco przyglądać się wszystkiemu. A baba zarządził nawet, żeby boys z farmy pomogli jak najszybciej wznieść w dolinie chaty, aby przybysze mieli dach nad głową jeszcze przed rozpoczęciem pory deszczowej.

Limbi wraz z siostrzyczką mogły pozostać na misji, gdyż przybyły dominikanki odwołane z początkiem kwietnia do Fortu Viktoria. W grudniu miały otworzyć pierwszą szkołę dla czarnych dziewcząt. Mała Limbi szybko się zadomowiła, pokazała też zaraz swojej nieśmiałej i małomówniej matce pomieszczenie, w którym ochrzczono ją w niebezpieczeństwie

śmierci. Wtedy też nadano jej nowe imię Beata, a teraz, kiedy matka dowiedziała się o tym, nikt już nie mógł zwracać się do niej Limbi. Od tej pory mała chrześcijanka chciała otwarcie wyznawać swoją wiarę. Ale co zrobić z jej młodszą siostrą?

Było to żywe dziecko w wieku sześciu lat, szczupłe i smukłe, o wielkich, błyszczących, stale śmiejących się oczach.

W tajemnicy przed wszystkimi Limbi nauczyła ją znaku krzyża oraz modlitwy „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryjo”. Wiele jej także opowiadała, choć dziewczynka nie rozumiała jeszcze wszystkiego. Ale w małej, zgodnie z modą Sesuru ogolonej do skóry głowce krył się bystry umysł. Njina chciała dowiedzieć się jak najwięcej i także przyjąć chrzest. Od samego początku poczuła sympatię do „wielkiego nauczyciela” i kiedy Sesango odbył z dziećmi pierwszą katechezę, ciągle za nim chodziła. Choć może się to wydawać dziwne, ale i on czuł, że łączy go z nią coś dziwnie bliskiego.

Być może brało się to stąd, tłumaczył sobie, że miała na imię Njina i liczyła sobie tyle samo lat, ile miałaby jego własna córeczka. Gdy spoglądała przed siebie pogrążona w myślach, przypominała mu za każdym razem Gaikanę. Ale to pewnie musiało być złudzenie.

Dziwnym sposobem Suma, jej matka, niechętnym okiem patrzyła na bliskie kontakty córki z nauczycielem. Ilekroć widziała ich razem, w jej oczach pojawiał się lęk. Czy jego powodem było polecenie Kakubiego, że dziecko ma zostać złożone w ofierze bogom deszczu? Bo co jeszcze mogło się kryć za tą trwożliwą obawą, z jaką porywała czasami Njinę, próbując odwrócić jej uwagę?

Ojciec Richartz także zwrócił uwagę na dziwne zachowanie kobiety, ale zapytana spuściła wzrok, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- O, boję się, baba, że Kakubi zjawi się mi jako duch. Jeśli zginie, to mnie zabije, i nie tylko mnie, lecz również i dzieci, przede wszystkim Njinę.

- To jego ukochana córka?

Suma milczała, drżąc z lęku.

- Nie wydaje mi się, żeby twój mąż zaraz zginął - uspokoił ją misjonarz. - Jeśli dostanie się żywy do niewoli, to spróbuję z nim porozmawiać.

Ale i to jej nie uspokoiło. Jedyne czas, tak się wydawało, mógł ją uleczyć z tych i innych obaw. Ojciec Richartz postanowił sobie, że zainteresuje się jej losami na wypadek, gdyby Kakubiego spotkało jakieś nieszczęście.

Pokój abafundisi okazał się coś wart.

Z daleka i bliska nadciągali dawni wrogowie misji, prosząc o pośrednictwo, a rząd ze swej strony zlecił ojcu Richartzowi nawiązanie kontaktu z ukrywającymi się indunas i poprowadzenie rozmów. Na farmie i tak przebywała większa grupa jeńców ujętych na wzgórzach Matoko oraz w jaskiniach. Wkrótce też musieli się zabrać do pracy, żeby zarobić na chleb. Przy tym nauczyli się uprawy ziemi, czym dotąd zajmowały się kobiety i co uważali za zajęcie poniżej swej godności. Dopiero gdy zobaczyli, że i biali mężczyźni zajmują się pracą na roli, pogodzili się ze swoim losem. W ciężkich powojennych czasach mogli być zadowoleni, że każdego dnia mogą się najeść do syta.

Przełożony dzień i noc wędrował z żołnierzami do położonych dalej kraalów, nakłaniając wodzów do złożenia broni. Poprzedzała go sława, lecz bestie, które ciągnęły jego śladami w czasie nocnych powrotów, nie troszczyły się o to. Któregoś wieczora całymi milami towarzyszył im agresywny lew; długimi susami sadził obok koni, raz po raz spinając się do skoku.

Nie można było użyć broni, gdyż jej huk mógł spłoszyć wierzchowca ojca Richartza.

W czasie ostrego galopu misjonarz zapalał zapalki i rzucał je w kierunku zwierzęcia. Spowodowały one oczywiście kilka pożarów. Z wielkim trudem udało im się umknąć żarłocznemu drapieżnikowi. To dzielne zachowanie w trudnej sytuacji zyskało uznanie wojowniczych indunas.

Czasami wydawało się, że sam Bóg widzialnie błogosławi dziełu misyjnemu, nagradzając ofiary ponoszone w Jego służbie.

Tak było z przełożoną wspólnoty dominikanek w Bulawayo.

Każdy wiedział, że siostra Jacoba, wyczerpana ciężką pracą oraz opieką nad chorymi w czasie oblężenia, rozchorowała się na zanik rdzenia kręgowego zdiagnozowany przez lekarza jako nieuleczalny. Pewnego dnia jednak wstała z łóżka i natychmiast energicznie zabrała się do zajęć, jak gdyby dłuższy czas przebywała na urlopie. Zupełny i nagły powrót do zdrowia, niedający się wytłumaczyć przez naukę, skonstatował wezwany medyk. Co się stało?

W swojej chorobie siostra Jacoba odprawiła nowennę ku czci świętego jezuitę i misjonarza Afryki Piotra Clavera, ślubując Bogu, że jeśli powróci do zdrowia, to całe swoje życie poświęci bez reszty misji nad Zambezi. Następnego dnia wyzdrowiała. Wszyscy spoglądali na nią jak na ducha, bo przecież była „beznadziejnym przypadkiem”. A teraz?

Na ten czas wypadło też, że jednogłośnie postanowiono oddzielić konwent z Salisbury od domu macierzystego.

King Williamstown nie mogło już dłużej umniejszać swoich sił. Nie pozwalały na to zadania, jakie stały przed wspólnotą w Kraju Przylądkowym. Czternaście sióstr działających po drugiej stronie Limpopo miało wybrać własną matkę prowincji.

cialną. Uczyniły to bezzwłocznie i tylko jedna nie oddała głosu na siostrę Patricie Cosgrave - ona sama.

Zaskoczona matka Patricii opadły ręce - nie spodziewała się takiego obrotu rzeczy. Czego młoda wspólnota mogła oczekiwać od chorej przełożonej, która wkrótce stanie na progu wieczności? Ojciec Leboeuf, wręczający jej pisemną nominację, uspokajał ją. Teraz musi się wybrać w podróż i w Europie oraz własnej ojczyźnie poszukać nowych rąk do pracy. Wolno jej wrócić jedynie z liczną gromadą postulantek. Tego wymaga od niej sprawowany urząd.

To ją ostatecznie przekonało, a ponieważ uznała tę wyprawę jako postawione jej przez Boga zadanie, a nie urlop wypoczynkowy, zgodziła się wreszcie. Jej radość jeszcze wzrosła, gdy dowiedziała się, że wraz z nią wyruszy Jacoba - ta z sióstr, która cudem wróciła do zdrowia, a teraz paliła się do czynu. Ona sama ani przez chwilę nie przeczuwała, że całe otoczenie zadaje sobie jedno, pełne lęku pytanie: czy podróż morzem poprawi stan jej zdrowia? Doktor Fleming z Salisbury wzruszał ramionami.

Kwestię, czy wróci do pełni sił, mógł rozstrzygnąć jedynie ktoś wyżej postawiony, ten sam, który uczynił to w wypadku siostry Jacoby.

Dziwne, lecz Njina nie dopytywała się nigdy o swojego „ojca”, czarownika Kakubiego, natomiast Limbi-Beata wspominała go znacznie częściej, przysłuchując się rozmowom dorosłych, gdy opowiadano o pościgu i ujęciu ostatnich rebeliantów.

Najwidoczniej lękała się o jego życie, gdyż oddziały przeczesujące wzgórza Matokoland nie obchodziły się zbyt łagodnie ze stawiającymi opór powstańcami.

W nowej chacie Suma znalazła sobie zajęcie, które pozwalało jej zapomnieć o lęku przed Kakubim. Podobnie jak inne kobiety, nie tylko potrafiła zręcznie tkać i wyplatać, lecz także ugniatać glinę, gdyż wyrabianie kalebas oraz innych naczyń do picia należało do obowiązków żony. Któregoś dnia odkryła w kaplicy misyjnej figurkę świętej, która wzbudziła jej zainteresowanie. Krajowcom nigdy nie przyszłoby do głowy wykonanie ludzkiego wizerunku z tego materiału, brakowało im do tego wyobraźni.

Kiedyś jednak wstrząśnięty Sesango, powróciwszy z odwiedzin w jednym z kraalów, wyjął spod kapoty zdumiewająco udaną figurkę Madonny ulepioną z gliny i wypaloną w ogniu, tak jak się to czyni z pozostałymi wyrobami. Tylko tu i tam przypaliła się nieco.

- Baba! - oznajmił. - Tego już za wiele. Suma zaczyna podrabiać nasze chrześcijańskie niebo i to nieochrzczonymi rękoma!

Ojciec Richartz wyjął mu figurkę z rąk, a kiedy zbliżył ją do światła, gwizdnął cicho z podziwu. Patrzcie tylko - czysta artystyczna praca.

- Tylko skąd wzięła ten motyw? - chciał się dowiedzieć.

Oczywiście Sesango nie zrozumiał pytania, więc musiał je sformułować w prostszy sposób. Katechista zastanawiał się przez chwilę, a potem rozpromienił się radością.

- Już wiem. Ostatnim razem dałem Njinie po spotkaniu jeden z kolorowych obrazków, które mogę rozdawać najlepszym uczniom.

Przedstawił Matkę naszego wielkiego Boga - a ona odważyła się Ją skopiować!

Ojciec Richartz uspokoił go.

- Nie, Leo, zostaw ją w spokoju, zrobiła to naprawdę wspaniale.



Sesango nie pojmował. A więc abafundisi nie przeszkadzało, że poganka wykonywała chrześcijańskie wizerunki!

Przez kilka dni chodził zamyślony, ale potem uznał, że lepiej zrobi, jeśli częściej będzie odwiedzał Sumę i przyjrzy się, co porabia.

Wreszcie w październiku nadeszła wiadomość: Saanda oraz Kakubi zostali ujęci przez żołnierzy brytyjskich i czekają na osądzenie.

Całe Chishawasha żyło w niezwykłym napięciu. Jeśli jednak ojciec Richartz oczekiwał, że żony czarownika, a przede wszystkim Suma, poproszą go o wstawiennictwo, to mylił się. Najwidoczniej kobiety bardziej się go lękały, niż darzyły uczuciem.

Któregoś wieczoru jednak do drzwi misjonarza zapukała nieśmiało Limbi.

- Czy mogę cię o coś zapytać, mfundisi?

Zakonnik przytaknął.

- O co tylko chcesz, Beata? Pewnie lękasz się o swoje go ojca?

Dziecku łzy zaszkliły się w oczach.

- Czy mój baba pójdzie do piekła, jeśli go zastrzelą?

Takiego pytania duchowny się nie spodziewał, dlatego wstrząsnęło nim. Spróbował więc wytłumaczyć dziewczynce, że żaden poganin starający się żyć dobrze nie dostanie się do piekła, choć jeszcze nie zna Chrystusa, ponieważ także on nosi w sobie Boże prawo i nie wolno mu czynić czegoś, co sam uważa za zło.

Limbi westchnęła i przez chwilę pogrążyła się w myślach, marszcząc z wysiłku czoło. Wreszcie powiedziała:

- Mój baba uprawiał czary, wyrządził wiele zła, a także odebrał innym życie. Wolałabym jednak, żeby nie dostał się do piekła. Chciałabym się z nim zobaczyć i wytłumaczyć mu, że musi powiedzieć Bogu, jak mu jest przykro.

Misjonarz zastanowił się, czy to dziecięce pragnienie będzie do spełnienia. Z doświadczenia orientował się, że brytyjskie wojsko oraz sądy mają słabość do dzieci i młodzieży - czy należało podjąć jakieś starania?

- Twój ojciec nie wie, że zostałeś ochrzczona, Beato? - za pytał ostrożnie, na co ona odparła z wzruszającym uśmiechem pewności, jaką dawał jej wiek dziesięciu lat.

- Sama mu o tym powiem, mfundisi, nie musisz się obawiać.

To go przekonało, że warto coś przedsięwziąć. Być może dzięki miłości dziecka uda się dotrzeć do serca ojca. Współbracia jezuita nie wróżyli mu sukcesu. Kakubi, najbardziej zacięty przeciwnik chrześcijan i białych, często życzący najgorszego całej misji, a także zlecający liczne zabójstwa, pewny kandydat na śmierć - czy nie wpadnie w szal, kiedy usłyszy imię abafundisi z Loyola Farm?

- Zabiorę ze sobą Beatę - zdecydował ojciec Richartz, jak gdyby już tylko to gwarantowało pomyślne załatwienie sprawy.

Dotarwszy do Salisbury Goal, miejskiego aresztu, zasięgnął najpierw języka u strażników, i dowiedział się, że w celi Saanda urządziła piekło. Starucha pieni się i miota jakby postradała zmysły. Nie da się jej też przesłuchać, gdyż na wszelkie pytania odpowiada złorzeczeniami, których nie ma w żadnym słowniku. Natomiast Kakubi po początkowych atakach szału osłabł i popadł w apatię. Owszem, złożył też zeznania. Być może w jego wypadku da się coś osiągnąć. Jeden z żołnierzy udał się do więźnia, przynosząc pomyślną wiadomość.

- Chce zobaczyć dziecko. Limbi to jego ulubienica. Do brze, że się tu znalazła, father!

Limbi ucieszyła się bardzo i już zamierzała ruszać do celi, lecz ojciec Richartz chciał wykorzystać okazję i zobaczyć się ze swoim przeciwnikiem.

Po chwili stali już naprzeciw siebie. Kakubi w więziennym przyrodziewku bez żadnych atrybutów, jakie nosił w kraalu; nie był już budzącym lęk zaklinaczem deszczu oraz duchów zmarłych, lecz zwykłym człowiekiem, w którego oczach odbijała się duchowa udręka i lęk przed śmiercią. Nie, nie rzucił się na abafundisi, wydawało się, że nawet oczekiwał tej chwili. Nie zważając na obecność duchownego, przytulił do siebie córkę.

Misjonarza zdziwiła czułość przemawiająca z jego gestów. Te same dłonie, które zajmowały się magią i często podnosiły ku krzywdzie ludzkiej, teraz w milczeniu obejmowały dziewczynkę ze zdumiewającą czułością.

- Baba - wyszeptwała wreszcie Limbi zawisając mu na szyi. - Teraz biały Bóg jest z tobą. Ja już od dawna do Niego należę.

Ojciec Richartz wstrzymał oddech. Czy Kakubi odrzuci od siebie dziecko niczym jadowitego węża? Nie, tylko jego dłonie zatrzymały się, zamierając w bezruchu. Wreszcie przemówił chrypliwie:

- Tak właśnie myślałem, już od dawna. Złe duchy zlorze czyły przez usta Saandy, gdy cię utraciły. Wtedy się domyśliłem. A... Njina?

Jezuita usiadł na drewnianym zydlu. Wydawało się, że Kakubi nie słyszy skrzypienia nadgryzionego przez termity mebla.

- Njina też wkrótce zostanie ochrzczona, baba. Potrafi już nawet pięknie się modlić. Ją też uczy nasz czarny nauczyciel, Sesango-Leon. Ale niedługo dostaniemy siostry, wtedy będzie wesoło. Njina stanie się wtedy Bożym dzieckiem tak jak i ja.

Przy tych słowach Kakubi podniósł oczy i po raz pierwszy spojrzął na misjonarza.

- Biały Bóg zwyciężył. Zostałem pokonany, a nasi bogowie są bezsilni. Biały Bóg odzyskał swoją własność, Njina należała do Niego od zawsze.

Ojciec Richartz pomyślał najpierw, że Kakubi coś mający i stare wierzenia w duchy ponownie mieszają mu zmysły, ale czarownik mówił spokojnie dalej:

- To prawda. Njina została ochrzczona dawno temu. Nosi przydomek „Narodzona pośród białych” i jest córką Sesango, nauczyciela na waszej misji. Matabele porwali ją przed cztery ma lata i przyprowadzili do mnie.

Misjonarz zerwał się z miejsca.

- Kakubi! Chcesz nas znowu oszukiwać... czy...

Naczelną czarownik uniósł rękę. Wyglądał jak ktoś, kto po raz drugi został wzięty do niewoli, ale przez kogoś potężniejszego od oficera, który ogniem i dymem wykurzył go ze skalnej kryjówki.

- Demony mnie zwiodły. Skłamały, obiecując mi chwałę i sławę, a ziemi urodzajność, jeśli poświęcę to dziecko bogom deszczu. Przeganiały mnie przed białym człowiekiem z kryjówki do kryjówki i przyrzekały wielkie zwycięstwa, lecz nie dotrzymały słowa. Teraz dokonuję zemsty i wyznaję wszystko, jak było!

Słowa wypowiedziane z taką zaciętością nie mogły być kłamstwem. Zaraz też czarownik wspomniął o takich szczegółach, że jezuita nie miał wątpliwości, co do całej prawdy - Njina okazała się córką zamordowanej Gaikany i Sesango! Ogarnęło go wzruszenie i z trudem powstrzymywał łzy.

Biały Bóg okazał się potężniejszy! Doprawdy, te słowa tubylca nie mogły być jedynie naiwnością!

Kakubi był zawsze bardzo mściwy, również i teraz, gdy chodziło o złe duchy. Całkowicie się ich wyrzekł.

- Oddaję się białemu Bogu z całym moim kraalem. Ochrcisz ich, abafundisi! Ja przystąpię do chrztu pierwszy, a wszystkie duchy z Chishawasha, które mi nie pomogły, niechaj wyją z wściekłości. Nawet jeśli Saandę miałby zadusić gniew, zwracam się ku Bogu, który dowiódł, czego może dokonać dla swoich ludzi.

Jeśli się nie zgodzisz, wezwę z Salisbury innego indunę, który tego dokona!

Ostatni dzwonek dla ojca Richartza, aby zaproponować! Oczywiście, przekonanie tego neofity o rzeczywistym znaczeniu sakramentu będzie jeszcze kosztować sporo trudu, ale czy podczas liturgii nie odrzuca się szatana? Czy każdy mający zostać Bożym dzieckiem nie mówi mu: „Wyrzekam się”?

Biorąc to pod uwagę, można nawet uznać i takie powody zwrócenia się do Boga białych. Łaska zrobi jeszcze swoje. Będzie się o to starał i modlił! Podał więc Kakubiemu dłoń:

- Wróć tu i opowiem ci o naszym Bogu, a także wstawię się za tobą w sądzie, Kakubi!

Ten potrząsnął głową.

- Nie, zanim ukarałem ich śmiercią, mówiłem wszystkim przestępcom z mojego ludu, że najwyższy z naszych bogów domaga się pokuty za zło. Chcę ponieść za nie karę, powiedz mi tylko, jakich męczarni mam oczekiwać.

Ojciec Richartz przeraził się:

- Sądy białych nie stosują tortur, Kakubi.

Czarownik nie dowierzał.

- Również za tyle mordów?

- Nie; Bóg białych nie pozwala nigdy dręczyć drugiego człowieka. Ostateczny osąd spoczywa w Jego rękach.

Kakubi dalej miał wątpliwości. Dziwny Bóg. Jemu bogowie nakazywali zawsze dręczyć skazańców. Limbi przytuliła się do jego kolan.

- Baba? Czy Njina nie będzie już moją siostrą?

Kakubi spojrział na misjonarza.

- Będziecie razem wychowywać się na farmie, Beato. Njina zostanie z tobą, zatroszczę się o to.

Kakubi zdawał się oddychać z ulgą. Podeszedł nieco bliżej.

- Nigdy nie uwierzyłbym, że poproszę o coś jakiegoś mfundisi, ale teraz mój moyo, przebywający we mnie duch, powtarza również to, co mówią moje usta: przyjdź znów, mfundisi!

Ojcu Richartzowi rzadko udawało się pokonać drogę do Chishawasha w takim tempie: jego donkey cart o mało się nie przewrócił, gdy ciągnące go osły się potknęły w piasku nawianym przez wiatr na drogę. Obsypani od stóp do głów czerwonym pyłem misjonarz oraz Limbi dotarli wreszcie na farmę. I jakby zrzędzeniem Opatrzności w drzwiach ukazała się Suma. Dostarczyła właśnie misjonarzom kolejne gotowe dzieło i otrzymała za nie duri pełne kukurydzy. Wyglądała na bardzo szczęśliwą. Zaraz jednak niesiony przez nią na głowie drewniany moździerz spadł na ziemię.

Dziewczynka rzuciła się ku niej biegiem:

- Mój baba... mój baba chce się ochrzcić... i Njina też jest już ochrzczona... i ciebie też ochrzczą... i cały nasz kraal... wszystkich...

Nie mogła wręcz złapać tchu.

Głowa prostej czarnej kobiety nie pojmuje naraz tylu rzeczy: należy je przedstawiać kolejno i to z wieloma powtórzeniami. Ojciec Richartz wiedział o tym z prowadzonej dla dorosłych katechezy. Posłał więc Limbi do sióstr, aby ją nakarmiły, a przy tym rozkazał, aby nie mówiła jeszcze o niczym siostrzyczce ani Sesango. Mała obiecała mu to. Zalecenie nie było zbyt trudne, gdyż Sesango prowadził zajęcia i nie należało mu przeszkadzać. Następnie przeprowadził z Sumą długą rozmowę.

Po jej zakończeniu kobieta zalała się łzami, lecz były to łzy ulgi. Dość przeżyła lęków, obawiając się odkrycia, że nie jest prawdziwą matką porwanego dziecka. Teraz, gdy Kakubi znalazł się w więzieniu, któremuś z gadułów z Mashayamombe mo-

głoby przyjść do głowy, żeby rozpuścić język i opowiedzieć, co się kiedyś stało.

- Chętnie pójde w ślady ojca Limbi - powiedziała na koniec. - Jeśli tylko tego chce i nie sprowadzi na mnie złych duchów.

Również i tutaj więcej było obaw niż miłości, zaś sama Suma pozostała dziwnie niewzruszona, gdy misjonarz próbował jej wyjaśnić, że wyrok w sprawie Kakubiego będzie wprawdzie surowy, lecz nie okrutny. Życie i śmierć - tubylcy wiedzieli, że przynależą one do siebie. Kakubi przegrał swoje życie. W wypadku mężczyzn egzystencja miała zazwyczaj dramatyczny kres, tak było od zawsze. Większych emocji można się było spodziewać, gdyby podjęto próbę odebrania jej Limbi. Z przerażającym spokojem opowiedziała też, że obawia się, iż najstarszy brat czarownika, zacięty poganin, przejmie ją jako spadek po nim.

Uspokajając ją, ojciec Richartz oznajmił, że jako ochrzczona nie będzie mogła być zmuszona do małżeństwa, również i przez klan. Są już w tej kwestii stosowne prawa. Komisarz do spraw krajowców zatroszczy się o to, aby mogła swobodnie wybrać sobie małżonka. Na to Suma uśmiechnęła się z ulgą, mówiąc:

- To dobre prawo. Wobec tego po śmierci Kakubiego dam znać wielkiemu nauczycielowi, że chcę jego.

Zupełnie niepojęte dla ludzi z Europy - ale misjonarz nie dziwił się zbytnio: znał doskonale stary, praktyczny obyczaj czarnych co do spraw małżeńskich i miłosnych. Doświadczenie pokazywało, że obca jest im miłość, taka jaką znali biali. Od czasu do czasu odwiedzali go młodzi pracownicy zatrudnieni do pracy na polach, pytając mfundisi o jego zdanie co do wyboru kobiety. W pierwszym rzędzie chodziło o to, aby była zdrowa i mogła wydać na świat wiele potomstwa. Nie powinna być także zbyt otyła, żeby nie trzeba było karmić w chacie leniwej żony. I wreszcie po trzecie nie powinna mieć zbyt ciemnej

skóry. Odkąd w kraju pojawili się biali, krajowcy za wszelką cenę pragnęli upodobnić się do nich.

Na szczęście dzieci wyrastały już w innej mentalności. Limbi-Beata oraz Njina z pewnością nie pozwolą się przymusić do małżeństwa swoim klanom.

Njina, nieświadoma jeszcze niczego, bawiła się beztrosko na podwórzu zrobioną jej przez jedną z siostr szmacianą lalką. Miała „białe” dziecko i to ją cieszyło.

Ojciec Richartz podszedł do niej, ujął za rękę i poprowadził do Sesango, który właśnie zakończył lekcje.

Gorączka spadła na katechistę niczym głodny lew. To przetrastało możliwości nawet jego odpornej czarnej natury.

Nagle odnalazł Njinę, własne dziecko, co do którego był przekonany, że nie żyje od ponad siedmiu lat. Niech to ktoś wytrzyma, jeśli potrafi! W gorączkowych majakach stale rozmawiał z Gaikaną zaklinając ją, aby nie udawała się sama do Chishawasha. Njinie nie wolno się na krok ruszyć z maty, potem wydawał dzikie, zwierzęce okrzyki i najchętniej skoczyłby do gardła każdemu, kto się zjawił. W przypadku czarnych wszelkie wstrząsy tego rodzaju okazywały się intensywne, lecz krótkie. Po trzech tygodniach temperatura opadła i pacjent odnalazł się w nowej sytuacji.

Njina i on mieli teraz siebie. Biały Bóg nie pozwolił się pokonać złu i śmierci, a także obronił swoją własność, czego właściwie Sesango spodziewał się po Nim. W głębi serca miał bowiem uraz, iż pozwolił na to, aby jego żona wpadła w ręce morderców. Teraz w jego świecie ponownie powrócił porządek. Gaikana z pewnością cieszy się w niebie z tego zrządzenia Opatrzności. Niemniej - ona jest w niebie, a on na ziemi. Mężczyzna i dziecko nie tworzą jeszcze rodziny. Sesango zaczął



się więc zastanawiać, co powinien zrobić. Tego dnia, kiedy wykonywano wyroki na Kakubim i Saandzie, ojciec Richartz odprawił w kaplicy nabożeństwo ekspiacyjne za wszystkie przestępstwa i grzechy popełnione w czasie wojny oraz rebelii czy to przez czarnych, czy przez białych. Większość wiedziała jednak, że przede wszystkim myślał o Kakubim, który się nawrócił i przed egzekucją został przez niego ochrzczony. Stary czarownik ponownie w uroczysty sposób poprosił go o opiekę nad mieszkańcami kraalu. Na koniec misjonarz wspomniał jeszcze w modlitwie o żywych. I znowu wiadano, o jaką sprawę chodzi. Kakubi miał wiele żon i liczne potomstwo, więc należało podjąć sprawiedliwe decyzje.

Sprawą zajął się komisarz do spraw tubylców i na szczęście okazało się, iż krewny Kakubiego wcale nie pali się do przejęcia Sumy, gdyż wówczas musiałby wziąć pod swój dach Limbi, a także być może Njinę, co w tych latach niedostatku mogłoby się okazać sporym ciężarem. Jako dziedziczący miałby możliwość ucieczki i zgłoszenia się do pracy w kopalni. Nie musiał jednak tego robić, gdyż Suma sama podjęła decyzję: wykonała imitację glinianej popielnicy, według pojęć Sesuru zupełnie nowy i zbędny sprzęt, bo przecież sama natura jest najlepszym popielnikiem kraalu. Ponieważ jednak biali posiadali coś takiego, musiało to być dobre, a Sesango jako szanowany nauczyciel z pewnością nie pogardzi podobnym podarunkiem.

On natychmiast zorientował się, co oznacza dar kobiety, która stała się wdową.

Ubrany w ciemne ubranie darowane mu przez brata Loefflera udał się sztywny i oficjalny do ojca Richartza.

Przełożony nie miał innego wyboru. Wzdychając głęboko, zadeklarował swoją gotowość do spełnienia roli swata. Misjonarz musi potrafić wszystko.

Suma i Sesango stali się pierwszą chrześcijańską parą małżeńską w Chishawasha, i mała kaplica misyjna pękała w szwach od tłumów nagich i ubranych Negrów tłoczących się głowa przy głowie i przypatrujących wielkim czarom, kiedy to ochrzczeni ludzie poślubiają siebie nawzajem. Każdy ruch, każde słowo ojca Richartza obserwowały setki par oczu.

Uznano, że wszystko jest bardzo piękne. A Suma na tyle przynajmniej trzymała się przyjętych obyczajów, że przez cały czas nie odważyła się uśmiechnąć ani na nikogo spojrzeć. W drodze z kaplicy siadała przed każdą przeszkodą, a Sesango uroczyście ją wykupywał. Należało pamiętać o wielu sprawach, dla białych ludzi wszystko to jednak było niezrozumiałe. Dokąd jednak nie mieli bezpośrednio do czynienia z właściwie pogańskim ceremoniałem, ojcowie nie wtrącali się. Okazali jednak zadowolenie, gdy wyczerpujące gody na Loyola Farm mające nasycić wszystkich gości dobiegły wreszcie końca.

Oczywiście nie zabrakło domowego piwa oraz tańców przy dźwięku bębnów i piszczałek, aż ludzki żywioł przedstawiał dzikie kłębowisko czarnych rąk i nóg. Limbi i Njina szalały z radości, gdyż miały ku temu oczywisty powód. Wiedziały, że od tego dnia są nierozłączne. Znowu tworzyły rodzinę, małą wspólnotę kraalu wraz ze swoimi rodzicami. Pomimo to nie zabrakło nowości - matka i ojciec wprowadzili się do mieszkania, a wokoło, jak okiem sięgnąć, nie widziało się chaty którejs z kolejnych żon.

Na Chishawasha życie toczyło się dalej. Stopniowo zaczęły znikać ślady poczynione przez wojnę. Wszędzie powrócił spokój i Dolina Małp ożywiła się znowu, stopniowo powstały kolejne chaty, liczniejsze niż uprzednio.

Wydawało się, że pola misjonarzy przynoszą dwu- i trzykrotne plony, bydło w kraalu ocalało przed zarazą, a dzień w dzień przed ich drzwiami pojawiały się setki przybyszów, aby najeść się pożywej sadza (gryziku z kukurydzy na wodzie), ratującej ich przed śmiercią głodową.

Dla misji wiązało się to ze sporym obciążeniem finansowym. Gdyby nie datki z całego świata, byłoby to niemożliwe i wielu pogan nie znalazłoby się pod opieką misjonarzy.

Przy tym samo zaopatrzenie w środki żywności stanowiło nie lada wyczyn. Nawet jeśli Salisbury i Buławayo miały już dostęp do linii kolejowej, to i tak odległości wynosiły setki kilometrów, po drodze wiele żywności tracono, a jeszcze więcej nadchodziło zepsutej. Tubylcy uważali drogę żelazną za prawdziwy cud. Wierzyli głęboko, że amakiwa udało się zaprząć do służby samego diabła, ażeby ogniem i dymem pomagał im napędzać żelazne rumaki. Pomimo to przewyciężyła ciekawość i chęć przeżycia przygody. Gdy Rhodes zaprosił stu indunas Matabele na próbną jazdę, nikt z nich nie odmówił. Jeszcze przed ukończeniem ostatniego odcinka szyn Buławayo stało się wielkim miastem liczącym osiem tysięcy białych mieszkańców. Podobnie jak Salisbury, dysponowało elegancką główną ulicą, Main Street, z wysokościami, bankami, giełdami, barami oraz klubami. Tam, gdzie jeszcze niedawno stał kraal Lobenguli, kwitło wielkomijskie życie przybyłe z Europy.

Wokoło metropolii wyrosły kopalnie. Poczyniono nowe odkrycia i okazało się, że natrafiono na ślady dowodzące poszukiwania złota w niepamiętnych czasach.

Gdyby jeszcze tylko gorączka złota nie zwabiła wszelakiego rodzaju hałustry! Nie brakowało między nimi indywiduów wprost szkalujących imię białego człowieka. Czarne kobiety uważali oni za obiekt polowań, upijając najpierw mężczyzn brandy, a następnie wykorzystując ich żony.

Nic więc dziwnego, że pewnego dnia ojciec Hartmann przedstawił swojemu przełożonemu kandydata do chrztu, który podejrzliwy jak wszyscy Matabele nie zaufał zapewnieniu drobnego mfundisi, lecz zażądał widzenia z samym induna z Empandeni.

Ojciec Prestage nie lękał się konfrontacji z inkwizycją plemiennego kacyka.

- Abafundisi! - rozpoczął stary wódz. - Czy to prawda, że twój Bóg ma niebo, w którym wszystkim dobrze się wiedzie i nie muszą już więcej umierać?

Ojciec Prestage przytaknął poważnie, dodając do tego jeszcze kilka innych wyjaśnień dotyczących życia wiecznego. Ale to najwidoczniej nie interesowało gościa, gdyż w jego wzroku pojawił się wyraz oskarżenia.

- Induna, czy Negrzy dostaną się do tego samego nieba, co i biały człowiek, czy do osobnego kraalu?

Misjonarz przełknął ślinę, a następnie odparł pewnym tonem:

- W niebie nie ma różnicy pomiędzy białymi i czarnymi. Przed Bogiem wszyscy są równi.

- Aha, hm - starzec zamilkł na chwilę, a następnie zmrużył oczy.

- A czy to prawda, że biały Bóg ma piekło dla złych, gdzie ludziom źle się wiedzie?

- O tak - pośpieszył z zapewnieniem przełożony. - Wieczne potępienie jest gorsze od wszelkich tortur waszych czarowników i tak samo pewne jak wieczne zbawienie.

Wódz zamruczał.

- Dobrze, czy do tego piekła dostaną się także biali złoczyńcy, czy tylko czarni?

Ojcu Prestage'owi wypadła fajka z ust. A więc do tego zmierzała cała rozmowa. Westchnął głęboko.

- Mam nadzieję, że Boże miłosierdzie zachowa ludzi przed nim, lecz kiedy już ktoś musi zostać potępiony, to nieważny jest przy tym kolor skóry.

- A więc biali będą się smażyć wraz z czarnymi na tym samym ogniu w kraalu diabła? - dopytywał się dalej stary wojownik z błyskiem w oku.

Ojciec Hartmann odwrócił się szybko, wycierając głośno nos. Jego przełożony przytaknął ze smutkiem. Kacyk wyprostował się dumnie.

- Dobrze, wobec tego od tej chwili zacznę przychodzić po nauki. Mały mfundisi powiedział to samo.

Czy będą mieli jakiś pożytek z takiego katechumena?

Był to prawdziwy krzyż. Wygolone głowy Matabele nie skłaniały się chętnie przed wodą chrztu. Rok po zakończeniu konfliktu zbrojnego ochrzczono cztery osoby, aby zaś się na jeść, schodziło się codziennie ponad tysiąc. Musiano z Grahamstown sprowadzić nowicjuszy, aby zajęli się rozdawaniem żywności. Jednego natomiast Bulawayo nie chciało się pozbywać - dominikanek. Jeszcze przed zimą 1898 ukończono strzelisty gmach mieszczący konwent oraz szkołę dla dziewcząt, będący jednym z największych budynków w ówczesnie rozwijającym się mieście!

Wydawało się, że nie trzeba się martwić o beztruską przyszłość.

„Obie przełożone uciekły przed kolejnymi rewerencjami!”, stwierdzili jednogłośnie mieszkańcy Bulawayo i Salisbury, gdy w czerwcu tego samego roku matka Jacoba oraz matka Patricia wyruszyły do Europy i być może nie do końca nie mieli racji. Oczywiście, pilła wspomniana już kwestia narybku, lecz

do szybszego pakowania bagażu bardziej skłoniło matkę Patricię uroczyste nadanie orderu!

Matka Jacoba natomiast uczestniczyła w nieuniknionym akcie z dużo większym spokojem ducha, gdy acting administrator Ross Townsend zawiesił jej na szyi, i to przed całym miastem, Royal Red Cross - Królewski Czerwony Krzyż!

Miała po prostu tę szczęśliwą naturę, która akceptowała ludzkie wyrazy uznania w błogim przeświadczeniu bycia odznaczoną przez Boga w znacznie większym stopniu. Tym sposobem ani nie unosiła się pychą, ani też nie żywiła obaw.

Natomiast swojej współsióstrze, młodej przełożonej z Salisbury, musiała mocno przemówić do sumienia. Nie, nie należało „obawiać się” dalszych orderów. Z wielkim trudem matce Patricii udało się odmówić zaproszeniu od samej królowej, aby przybyła do Londynu i odebrała Royal Red Cross z jej własnych rąk. Potem próbowała jeszcze zorganizować uroczystość w oddalonym zakątku konwentu. W niewyjaśniony jednak sposób o całej sprawie dowiedziano się w mieście i od tej chwili drzwi się nie zamykały. Przyjmowanie kwiatów i życzeń okazało się dla niej bardziej wyczerpującym zajęciem niż opieka nad chorymi w minionych latach!

Wreszcie udało się im wybrać w drogę. Niepotrzebne okazały się dalsze błagania matki Jacoby, należało jak najszybciej postarać się o to, aby ten aż nadto skory do wdzięczności naród zapomniał nieco o nich.

Ale sława ma swoją cenę i nie zna granic!

Półroczny pobyt na Starym Kontynencie nie wystarczył, by zatrzeć ślady osoby takiego formatu i odwrócić od siebie powszechną uwagę.

Gdy wraz z pierwszą grupą postulantek przybyła do Kraju Przylądkowego, przed dalszą podróżą w głąb kraju zostały uroczystie zaproszone przez Cecila Rhodesa na lunch w jego

rezydencji Groote Schuur. W Rondebosch zgromadził się niewielki krąg osobistości, do którego należał również biskup Gaul.

Nikt nie mówił o tym otwarcie, lecz wszyscy czuli, że te chwile są spóźnionymi wyrazami uznania pod adresem siostry Patricii. Gospodarz wciąż na nowo zwracał się do niej i wkrótce nie mogła uniknąć tego, że rozmowy skoncentrowały się na jej osobie. Musiała o wszystkim opowiedzieć i wymienić się wspomnieniami.

Zapanował nastrój niezwyklej rzewności, coraz bardziej odczuwalny, w miarę jak zbliżał się moment rozstania. Dwoje wielkich ludzi czuło, że spotykają się ostatni raz na tej ziemi. Każde z nich powróci do swojej samotności przerwanej jedynie kilkoma wspólnie spędzonymi chwilami. Bo Cecil Rhodes czuł w swoim wnętrzu, że siostra doskonale go rozumie, choć ich cele tak bardzo różniły się od siebie.

Traktowanie czarnego człowieka jak brata i dopuszczenie go do korzystania z wszelkich dóbr było najważniejszą ideą Rhodesa, ona zaś jako zakonnica wspomogła go w jej realizacji. Być może nawet nigdzie indziej tak gruntownie nie obrócono jego myśli w czyn, jak właśnie na stacjach misyjnych i w konwentach sióstr! Pograżony w myślach stał podczas pożegnania przy bramie swej posesji, a gdy uniósł dłoń w geście rozstania, aby skinąć jeszcze w ślad za grupą sióstr, w jego uśmiechu rysowała się milcząca satysfakcja.

Po powrocie do Salisbury siostra Patricia zobaczyła wzniesione kolejne skrzydło konwentu, przygotowane już do zamieszkania przez ciągle rosnącą liczbę uczennic.

W tym czasie ojciec Leboeuf wraz z bratem Biermannem przebudowali dawny pierwszy ceglany gmach w Salisbury, tzw. dormitorium dominikanek, na kaplicę. Zręczni budowniczy wznieśli przy ścianie czołowej smukłą apsydę i tym

sposobem ta historyczna budowla została pierwszym kościołem katolickim w stolicy Rodezji.

Podobnie jak siostra Patricia skromnie ukrywała swoją godność jako przełożona generalna, tak ojciec Leboeuf przemilczał swoim parafianom, iż w młodości studiował architekturę. Dopiero po fakcie dowiedzieli się, że ten chorujący na oczy, cichy duchowny to genialny architekt.

Wydawało się, że wreszcie nadszedł dla misji czas pokoju.

W tym samym roku jednak, gdy spełniło się wielkie marzenie ojca Hartmanna otwarcia w Bulawayo college'u dla białej młodzieży - mającego kształcić nie tylko młodych kadetów przyszłego Rhodesia Korp, lecz także pod kierunkiem jezuitów żołnierzy Chrystusa - wybuchła nieszczęsna wojna burcka, która po raz trzeci powołała go w szeregi wojska jako kapelana.

Był to także rok śmierci nieznużenie pracującego na Chishawasha niemieckiego misjonarza ojca Boosa. W ciągu dwudziestu lat jezuita stracili nad Zambezi sześćdziesięciu współpracowników.

Kiedy pytano ojca Richartza, jak w tak morderczym klimacie jest w stanie promieniować tak głębokim pokojem serca, odpowiadał z lekkim uśmiechem:

- Prowadzę inną księgę - mawiał - i nie liczę zgonów, lecz, proszę spojrzeć w mój rejestr: jak dotąd na Loyola Farm udzielono chrztu dwustu czterdziestu trzem osobom. Na Zielone Świątki mamy siedmiu kandydatów do bierzmowania. Pod koniec wojny uważaliśmy to za niemożliwe. Wiemy jednak, że biały Bóg jest silniejszy nawet od śmierci. Oby niebiosa sprawiły, aby te słowa odnosiły się także do bratobójczej wojny białego człowieka.



## Jeśli ziarno pszenicy nie obumrze.

-Jeśli kiedyś dobrowolnie udam się na spoczynek, to wiedzcie, że nadchodzi kres mojego życia - powiedziała żartem młoda matka generalna Patricia do swoich sióstr.

Teraz leżała na werandzie małego konwentu, spoglądając zatroskanymi oczyma na szeroką aleję, która jako Rhodes Avenue stanowiła jeden z głównych traktów komunikacyjnych miasta. Od rana do nocy tętniło na niej życie i nawet w tak unikanych przez Europejczyków godzinach południowych roiała się od ludzi. Stale przejeżdżały powozy, ciemnoskórym woźnicom upał nie przeszkadzał. Turkot kół, nawoływania czarnych gazeciarzy donoszących o ostatnich wydarzeniach na froncie.

Lecz cały ten rozgardiasz nie docierał już do tego serca bijącego dla wieczności, bardziej z ufnością niż z obawą. Od czasu do czasu z dołu dochodziły nawoływania murarzy wznoszących pod kierownictwem ojca Leboeufa pierwszy kościół katolicki w Salisbury. Zlokalizowano go naprzeciw konwentu. Miał zostać poświęcony Sercu Zbawiciela, „Króla Buszu”, nawet teraz, gdy miasto stało się centrum i stolicą Rodezji, a rzadko który z jego mieszkańców myślał o niebezpieczeństwie bycia zdanym na samotność nieogarnionych przestrzeni sawanny.

Tylko matka Patricia nie zapominała. Oczywiście metropolia miała swoje problemy, lecz z jeszcze większymi borykały się stacje misyjne. Za nie modliła się, ponosiła ofiary i trwała

w cierpliwości przez długie miesiące. Nie, nie mogła już nic uczynić, pozostało jej tylko cierpienie.

Jej nogi stały się ciężkie niczym ołów i zdeformowane od obrzęków. Była bliska śmierci. Niewydolność serca, niewydolność płuc... Obraz nędzy i rozpacz. Tylko umysł pracował trzeźwo pod białym czołem. Daleki busz wdzierał się do jej sypialni, żądał, wołał, nalegał! Wszędzie nowe placówki i ciągły brak personelu. Oczywiście, przed dwoma laty siostry z Fortu Viktoria objęły w Chishawasha szkołę dla dziewcząt cieszącą się wielką frekwencją, lecz cóż to było w porównaniu z masami pogan ściągniętymi do misji. W rezerwatach groziło niebezpieczeństwo, że czarni dostaną się pod wpływ sekciarzy i zostaną odciągnięci od Kościoła. Przez Beira napływali do kraju synowie Mahometa, przynosząc islam, zaś po drugiej stronie Zambezi, gdzie powstały nowe kopalnie, europejscy poganie pokazywali tubylcom, jak daje się żyć bez religii.

Misjonarze - misjonarki - wolontariusze - do pracy w winnicy Pana!

Chora niespokojnie przewracała się z boku na bok. Jakże trudno było nie móc nic już zrobić, tylko leżeć, cierpieć i czekać na śmierć! Miała przecież dopiero trzydzieści sześć lat, to za mało, aby zostać oderwanym od pracy i działania. Nikt jej nie zwiedzie. Ale co to znowu za hałasy na korytarzu?

Uniosła głowę - przecież to głos Williego van der Rieta! Na miłość boską, doktor Fleming nie mógł zabronić mu wejścia pomimo tabliczki wyraźnie zakazującej jakichkolwiek odwiedzin. Zawołała, a potem sięgnęła po dzwonek, potrząsając nim z dawną energią. Lekarz natychmiast zajrzał do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Doktorze! Proszę go wpuścić, czuję się znakomicie. Gorączka nie jest jeszcze taka wysoka. On jest przecież jednym z nas. Jest dla mnie jak duchowy syn.

Doktor Fleming burknął:

- Synów, którzy twierdzili o sobie coś takiego, nie da się już prawie zliczyć. Ale na siostry odpowiedzialność. Musiałem się już zmagać prawie z połową weteranów dawnego korpusu pionierów!

Otworzył. W drzwiach pojawił się Willie van der Riet, wysoki, niezgrabny, z bukietem dzikich kwiatów w ręku, które zapewne przywiózł z gór Inyanga, gdzie od kilku lat pracował jako inspektor budowlany zatrudniony osobiście przez Cecila Rhodesa.

Teraz, kiedy matka Patricia uśmiechnęła się zachęcająco, nabrał odwagi, przywołując młodą damę ukrywającą się dotąd za nim. Ogromny czarny kapelusz, jaki właśnie był w modzie w Kraju Przylądkowym, przysłaniał jej twarz, wąska, długa jedwabna spódnica spływała aż do stóp, pod ciemnym aksamitnym bolekkiem bluzka w kolorze kwiatu Jacaranda, pióra na kapeluszu połyskiwały w tym samym kolorze, do tego długie, ciemne koronkowe rękawiczki - prawdziwa lady z wyższych sfer.

Willie van der Riet przedstawił ją dumnie:

- To Eileen McFarrel, moja narzeczona, matko Patricio! Cieszę się, że udało nam się przedrzeć do siostry! Nie tak ła two jest osiągnąć generała, nawet jeśli jest się tylko przełożoną generalną!

Uśmiechał się, lecz w jego ciemnych oczach widać było troskę, gdy pochylał się nad jej zmizerowaną dłońią.

Chora uśmiechnęła się do urodziwej obcej dziewczyny i za nim przybyłej udało się otworzyć usta, padło pytanie:

- Przypuszczam, że jest pani Irlandką, miss McFarrel? To wielka radość dla mnie.

Młoda dama zażenowana i skrepowana odparła, że pochodzi z Dublina, lecz wychowała się w Kraju Przylądkowym. Van der Riet przysunął bliżej dwa krzesła.

- Tak, matko Patricio, to musiała być Irlandka. Zawsze mówiłem, że jeśli się kiedyś ożenię, to musi to być ktoś podobny do siostry.

Przełożona musiała się uśmiechnąć. W pierwszej chwili nie potrafiła znaleźć żadnego podobieństwa. Oczy Eileen miały ciemną barwę i najwidoczniej ze względu na świeże rumiane policzki nosiła tak głęboką czerń, gdyż obecnie damy z towarzystwa nie lubiły „wiejskich” kolorów! Gdzie ci tak różni od siebie ludzie mogli się poznać? Rozochocony Willie już spieszył z wyjaśnieniami:

- Na swojej farmie w Inyanga Cecil Rhodes ma zawsze wielu gości, a kiedy przed trzema laty zatrudnił mnie przy budowie dróg, zostałem obdarowany przez niego znakomitym wierzchowcem i przedstawił mnie rodzinie Eileen, która przy była tam w celach wypoczynkowych.

Mówił dużo i szybko. Matka Patricia poczuła przebijającą z jego słów troskę o to, czy podoba się jej wytworna dama z Kraju Przylądkowego. Czy może chodziło mu o coś innego? Uprzejmie zagadnęła młodą pannę.

- A więc zamierza pani pozostać w Afryce Południowej i ostatecznie pożegnać się ze Starym Kontynentem? - zapytała.

Van der Riet drgnął lekko, a lady wyjaśniła:

- Irlandia czy Afryka, to dla mnie obojętne, jeśli tylko mam wokół siebie życie wielkowiejskie. W Johannesburgu jest bardzo pięknie, lecz niestety busz zafascynował na zawsze mojego narzeczonego.

Zanim chora zdążyła odpowiedzieć, van der Riet już zdążył zaprotestować:

- Eileen, tyle razy już ci mówiłem, że nie możesz porównywać Inyanga z buszem. To już jest Park Narodowy Rodezji, tak jak to wymarzył Rhodes. Czy była tam już siostra, matko Patricio? Nie, no bo jakim sposobem! Należało tam jechać kil-

ka lat wcześniej, to nasza Szwajcaria. Te góry, świeży klimat, wodospady i rzeki, rajskie kwiaty. O, tutaj jest mała próbka z doliny, sam zerwałem! A ostatnio w ciągu trzech lat zbudowałem prawdziwą drogę rzymską do Umtali. Wiedzie prosto obok Rhodes Cottage, tak jak mu obiecałem. Teraz on musi wywiązać się z obietnicy, opłacić mi wyjazd do Anglii. To ma być nasza podróż poślubna. Jedyne, czego nie wiem, to jak ściągnąć Eileen z powrotem do Inyanga. Proszę ją przekonać, matko Patricio. Przysięgam, że za kilka lat zaroi się tam od turystów, przede wszystkim Amerykanów. A ona ciągle mówi tylko o dziczy i samotności!

Rozczochrał sobie czuprynę, nie zauważając nawet, jak narzeczona szturcha go w bok, żeby nie mówił tak szybko i głośno, bo przecież chcieli zasięgnąć porady u osoby śmiertelnie chorej.

- Busz? - zapytała cicho siostra Patricia, a w jej oczach pojawiła się tęsknota. - Wydaje mi się, że na ten temat mogę coś powiedzieć, miss McFarrel! Wiele tam przeżyliśmy, moje współsiostry i ja. Nie było jeszcze wtedy bitych dróg, jedynie wypalona road przygotowana przez kompanię. Mogę kontynuować?

Dama skłoniła się uprzejmie.

- Proszę, matko przełożona.

Matka Patricia zaoponowała z uśmiechem.

- Bez tytułów, proszę! Proszę mówić do mnie „siostro"! Czuję się zobowiązana względem pani nie tylko dlatego, że jesteśmy rodaczkami, lecz także ze względu na tego dużego chłopca, który tak desperacko walczy o panią!

Eileen oblała się rumieńcem i nagle jednym energicznym ruchem ściągnęła kapelusz o szerokim rondzie, a spod niego wysypała się kaskada niesfornych loków. Teraz wreszcie pokazało się pewne podobieństwo, pomyślała rozweselona chora - typowa wiejska dziewczyna!

Tylko dlaczego, na miłość boską, tak kurczowo próbowała grać wielką damę? Przecież ma tak naturalną urodę i uśmiech.

I matka Patricia zaczęła swoją opowieść, w kilku słowach ożywiając wszystko: Mafeking, Macloutsie, Fort Tuli, niekończące się jazdy wozem zaprzężonym w woły, przygody z lwami i pożary sawanny! Ciemne oczy Eileen stawały się coraz większe. I to wszystko przeżyła kobieta! Słuchało się tego z takim samym zainteresowaniem, jak relacji jej narzeczonego o zagubieniu i ratunku!

Wreszcie siostra Patricia spojrzała jej w oczy.

- Jest tylko jeden środek na lęk przed buszem: miłość. Tak, również miłość małżeńska jest częścią wielkiej miłości Boga. To dla niej powinna się pani odważyć udać do Inyanga, gdyż ona daje siłę i odwagę.

Te słowa przemówiły młodej lady do serca, aż oblała się purpurą. Odkryto bowiem niewypowiedziany powód jej oporu przeciwko górom Inyanga.

- Nie trzeba się wstydzić, miss McFarrel. W każdym czło-  
wieku kryje się obawa, a we mnie nawet i ta ostatnia przed śmiercią. Ale wiem, że Chrystus przewycięży i ją.

W oczach dziewczyny pojawiły się łzy. Sięgnęła po rękę chorej.

- Ktoś taki jak siostra nie może umrzeć, więcej, pozostaje na zawsze. Nigdy siostry nie zapomnę. Otrzymałam coś na całe życie - wzruszenie nie pozwalało jej mówić.

Van der Riet wstał, obejmując ją ramieniem, jego oczy błyszczwały.

- Ani słowa o śmierci - zaprotestował chrypliwie. - Kto potrafi pogodzić skłóconych narzeczonych, ten jeszcze ma w sobie życie. Matko Patricio, nie wiem jak dziękować, bo w wielkim mieście, takim jak Johannesburg albo Londyn pew-

nie znowu w\ ybrałbym się na wędrowkę i ukryt w norze mrówkowca, tak jak swego czasu.

Drgnęli zaskoczeni. Doktor Fleming bez słowa otworzył drzwi. Czyżby ci uparci goście chcieli wykończyć chorą? Dał im tylko dziesięć minut! Ale zobaczył, jak siostra Patricia uśmiecha się, czego od dawna u niej nie widział, więc się uspokoił.

Matka Patricia „odprawiła” do końca ofiarną liturgię swego życia.

Ojciec Leboeuf był przez wiele lat ojcem duchownym dominikanek z Salisbury, a zwłaszcza spowiednikiem przełożonej generalnej. Nie było to dla nikogo tajemnicą. Poprosiła:

- Proszę zwołać moje dorosłe dzieci, father. Lękam się nie co zostawiać je same. Ale kiedy mnie zabraknie, to przecież Bóg zatroszczy się o nie, nieprawdaż?

Misjonarz przytaknął, a po chwili milczenia dodał:

- Pamiętaj siostra, jeśli ziarno pszenicy nie obumrze, pozostaje samo.

Odetchnęła z ulgą:

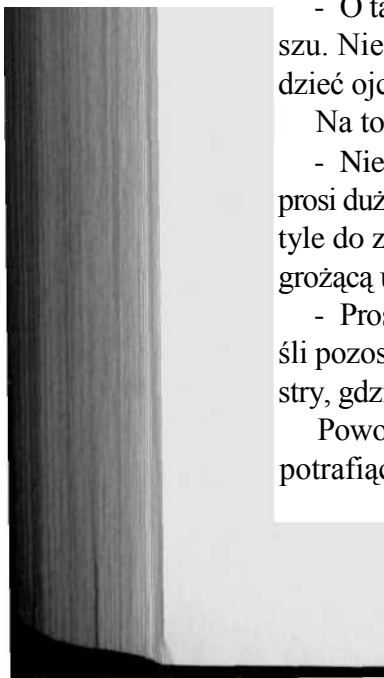
- O tak, chciałabym przynieść wielokrotny plon, tam w buszu. Niech wszystkie pola dojrzeją do żniwa. Proszę powiedzieć ojcom w Chishawasha, że będę się za nich modlić.

Na to on podszedł nieco bliżej, prosząc pokornie:

- Niech matka nie zapomina o mnie, siostrze Patricio, i wyprosi dużo światła i siły u Pana wszelkiej światłości. Mam jeszcze tyle do zrobienia - w jego głosie zabrzmiało coś jak lęk przed groźną utratą wzroku. Chora uśmiechnęła się pewna sukcesu:

- Proszę się nie obawiać, ojczu. Wyproszę światło, nawet jeśli pozostanie księdzu krzyż. - Zaniepokoiła się nieco: - A siostry, gdzie się podziewają?

Powoli się zjawiały. Tylko siostra Ignatia wpadła nagle, nie potrafiąc ukryć bólu i miłości. Uklękła też zaraz przy łożu



przełożonej generalnej, z którą od samego początku dzieliła wszystkie trudy.

- Jeszcze nie - odparła chora słabo, lecz wyraźnie: - Jutro przypada wspomnienie twojego patrona, chciałabym jeszcze ofiarować za ciebie Komunię świętą, to moja ostatnia. To dar dla mojej następczyni!

Siostry zaszeptały między sobą. Ignatia była zbyt pogrążona w żalu, aby zdobyć się na odpowiedź. Niczym na rozkaz siostry uklękły wokół jej łoża. Ich przełożona uśmiechnęła się, tak je widziała najchętniej, bo przecież nie zawsze musiały zanosić modlitwy za umierających. Poza tym było jeszcze za wcześnie, a ona wiedziała, że odejdzie jutro!

Święty Ignacy, z którego duchowymi synami pracowała w dziele misyjnym nad Zambezi, wprowadzi ją, córkę świętego Dominika, do wiecznej ojczyzny. Pomędzy świętymi nie zachodziły spory o kompetencje!

Następnego dnia wszystkie siostry pozostawały w pobliżu, po czym przeżyły wstrząsającą ceremonię odnowy ślubów zakonnych, jakiej młode nowicjuszki nie zapomniały do końca życia. Wczesnym popołudniem uklękły wszystkie z płonącymi świecami wokół przełożonej generalnej. Rankiem udzielono jej wiatyku, a teraz przedstawiała obraz tak głębokiego wewnętrznego spokoju, że na jej obliczu śmierć traciła swoją grozę.

Jedna świeca drżała lekko, lecz wydawało się, jak gdyby to wielkanocny paschał tętnił radością zmartwychwstania. Była to gromnica w ręku umierającej.

Dźwięcząca w uszach cisza - niczym tchnienie wieczności - przepelniała pokój. A potem cicho, lecz wyraźnie matka Patricia wypowiedziała swoje ostatnie słowa - formułę wieczystej profesji zakonnej.



Ostatnia słodycz dla warg znających jedynie pocałunek życia wiecznego, ostatnia błogość dla serca, które oddało się największemu Władcy świata, Jezusowi!

O - w szeroko otwartych oczach młodych nowicjuszek blask tej drażącej świecy odbijał się niczym czyste złoto - jak dobrze żyć w szacie zakonnej, jak błogo w niej umierać!

Ojciec Leboeuf delikatnie wyjął gromnicę ze słabnącej dłoni, usta umierającej zamarzyły powoli.

Dominikanki zaintonowały kolędę dzieci Bożych, jaka zgodnie z wolą świętego założyciela miała towarzyszyć im wszystkim w ostatnich chwilach: *Safae Regina*. Przerwana czasami szlochem wznosiła się jasno i czysto wspaniałym pieniem - chrześcijańska pieśń wieczorna wszystkich klasztorów.

- *Illos tuos misericordes oculos ad nos converte* - błagano. Ostatnie długie kochające spojrzenie gasnących oczu, a potem zamknęły się powoli. - *O clemens, o pia, o dulcis Virgo Maria!*

Jak gdyby samo niebo chciało dokończyć tej kompozycji, zachodzące słońce Afryki rozświetliło jeszcze raz wnętrze, czas zimy! Już około godziny piątej płomienny krąg zniknął za horyzontem ostatniego lipcowego dnia w roku 1900 - i wtedy dopełniała się ofiara tego młodego życia.

Ani jedna spośród młodych nowicjuszek, jakie wtedy przeżyły te chwile, nie zawiodła na drodze swojego oddania Chrystusowi.

Salisbury pogrążyło się w żałobie, cała Rodezja, gdzie tylko wspomniano jej imię, pogrążyła się w smutku.

Szybciej niż potrafił tego dokonać telegraf, wieść o jej zgonie lotem błyskawicy rozchodziła się z ust do ust pomiędzy czarnymi i białymi!

Na głównych ulicach zamknięto wielkie sklepy o błyszczących wystawach. Administracja przerwała pracę, spekulanci giełdowi żyjący w ciągłym napięciu prowadzonych interesów zawiesili działalność, nowo utworzona rada miejska, która właśnie chciała się spotkać, przesunęła termin posiedzenia. Flagi opuszczono do połowy masztu, jeszcze zanim zostało to oficjalnie ogłoszone, zaś właśnie ukończona świątynia Najświętszego Serca nie mieściła tłumów chcących uczestniczyć w nabożeństwie żałobnym.

Takiego konduktu jeszcze nie oglądano! Pojazd za pojazdem ozdobiony kirem, a ten tam - czy to naprawdę sam Rhodes? Tak, założyciel Rodezji nie mógł nie oddać hołdu siostrze-pionierce własnego kraju. Towarzyszyli mu wysocy urzędnicy, starzy oficerowie British South Africa Company oraz British-Bechuana Police, dowódcy i generałowie obu wojen z Matabele, wszyscy uczestniczyli w jej ostatniej drodze. Bo było to coś więcej niż tylko wyraz uznania oraz żałoby.

Za nimi kroczyły nie tyle delegacje, ile całe miasto Salisbury. Kto tylko mógł, szedł w kondukcje, i to nie kierowany jedynie zwykłą ciekawością. Z szacunkiem i powagą, wstrząśnięci i wzruszeni, wszyscy słuchali homilii ojca Leboeufa, poszukiwacze złota i diamentów, górnicy, farmerzy i kupcy.

A po drugiej stronie szerokiego pasa poświęconej ziemi cisnęli się czarni. Nie żeby wzniesiono jakąś barierę! Sami trzymali się na dystans, czekając, aż biali zakończą swoją kanonadę, przemówienia i wszelkie hałasy.

Również Sesango-Leon modlił się wraz z dziećmi z Chishawasha. Na koniec zaś wziął na bok Njinę i złożył jej ręce.

- Dobry Boże! - przepowiadał jej. - Dziękuję ci, że doprowadziłeś do białych moją matkę i ojca. Okaż teraz dobroć tej drogiej siostrze, która kiedyś przyjęła nas w swoim namiocie. Daj, aby w niebie cieszyła się mną zawsze! Amen!

A potem zupełnie cicho, tak aby Sesango tego nie usłyszał, dziecko dodało jeszcze:

- I proszę, dobry Boże, spraw, abym stała się tak biała jak ona!

Zaraz po uroczystościach udali się w daleką drogę w rodzinne strony.

Gdy w Salisbury padało słowo „Chishawasha”, nie wzruszono już ramionami, jak gdyby nie wiedziano, co zrobić z tą typową nazwą w języku Sesuru. Chishawasha stanowiło pojęcie samo w sobie - wzorowa farma Rodezji! W dni targowe zjeżdżały się okryte plandekami wozy z misji. Porządnie ubrani czarni poganiacze mówiący dziwacznym, łamanym, lecz zrozumiałym angielskim rozładowywali smakowite towary, które podczas wystawy rolniczej zdobyły dla Loyola Farm srebrny puchar. Gospodyniom domowym ciekła ślinka na widok rzadkich i smakowitych odmian warzyw i owoców. Mówiono kiedyś, że nie udadzą się pod afrykańskim słońcem! A teraz nieomal przesadzono Europę na południe Afryki! Zwłaszcza niemieccy ojcowie i bracia zakonni uczynili z tego prawdziwą gałąź nauki, próbując, co da się wydobyć z kamienistej gleby Mashonaland. Nie szczędzili przy tym ani trudu, ani kosztów.

Gdy ojciec Richartz powrócił na farmę z urlopu dla poratowania zdrowia, sam zdumiał się plonami, jakie osiągnęło siedmiu braci z Niemiec.

Jeszcze bardziej ucieszyły go inne zniwa, których owoce dojrzewały dłużej i trudniej się je zbierało. Liczba chrztów przekroczyła czterysta, należało założyć nowe księgi parafialne, zaś na równinie powstała pierwsza tubylcza wieś z piętnastoma wzorowo żyjącymi małżeństwami.

Sesango pełnił tam funkcję podobną do burmistrza. Już dawno zburzył swoją starą lepiankę, a w jej miejsce wznosił czworokątny domek z dwoma pomieszczeniami, podobny do takich, jakie mieli biali. We wnętrzu nie było także otwartego paleniska, lecz porządny murowany własnoręcznie piec z prawdziwym kominem. Mieli nawet stół z czterema krzesłami. Czwarty stanowił właściwie siedzenie dla najmłodszego dziecka, jakim obdarowała go Suma, chłopczyka o żywych oczach Karanga, umiejącego wkrótce posługiwać się łyżką, czego nawet nie potrafili nauczyć się niektórzy dorośli! O tak, życie czarnego nauczyciela stało się miłe i zasobne, lecz w żadnym wypadku nie brakowało mu zajęcia. W Chishawasha było stu pięćdziesięciu uczniów, samych chłopców, kosztujących abafundisi wiele cierpliwości, więc Sesango musiał czasami interweniować i nieść pomoc.

Jego córki uczęszczały do prowadzonej przez siostry szkoły dla dziewcząt, gdzie zajęcia odbywały się w otwartej szopie, gdyż brakowało pieniędzy na wzniesienie budynku. Tam uczyły się, jak się gotuje, a także uprzyjemnia życie mężczyźni prowadzeniem czystego domostwa. Nosiły również piękne kolorowe ubiory, myły się dwa razy dziennie prawdziwym mydłem, a także bez względu na to, czy miały dziesięć czy piętnaście lat, nie ruszały się za próg, nie zawiązawszy najpierw na krótko ściętych włosach udrapowanej chustki.

Taka nastąpiła moda, odkąd starsze dziewczęta udały się z kraalów do miasta, aby tam zarabiać.

Tam zobaczyły, że ich fryzury różniły się od tych noszonych przez białe kobiety. Dokąd znały jedynie zakonnice, nie było problemu, gdyż myślały, że pod czarnymi welonami ukrywa się podobna czarna wełna. Teraz zaś zaczęły się wstydzić sfilcowanych loków, ukrywając je najzręczniejszym, jak tylko można.

Już sam wyraz twarzy krajowców zdradzał, którzy z nich byli jeszcze poganami, a których chrzest wyzwolił od ciągłego lęku przed duchami. Lękliwe, ponure miny przemieniły się w radosne twarze bratnich stworzeń.

Większość jednak pozostała przy starych wierzeniach.

W rezerwatach, zlokalizowanych zwykle w jałowych, surowych okolicach, gnieździły się najczęściej całe szczepy, chata koło chaty.

Stamtąd udawali się do pracy w wielkich miastach i kopalniach, wracając z jeszcze większym niezadowoleniem niż wyszli. Od poszukiwaczy złota nie nauczyli się zbyt wiele dobrego, a ci, którzy raz zetknęli się z życiem miejskim i zobaczyli, jak dobrze da się żyć mając pieniądze, nie potrafili przyzwyczaić się do dawnego środowiska. Już w wypadku dzieci szkolnych misjonarze musieli zwrócić uwagę na to, aby te, które zapoznały się z elementarnymi wynalazkami cywilizacji, nie zaczęły gardzić swoimi rodzicami. Czarny człowiek stawał się szybko dumny i zarozumiały - na swoją zgubę, gdyż nie utworzyła się jeszcze warstwa społeczna, z którą mógłby się zintegrować.

Misjonarze postrzegali grożące niebezpieczeństwo, lecz nie potrafili mu istotnie zaradzić. Tubylicza ludność dokonała po prostu przeskoku cywilizacyjnego o całe stulecia. W konsekwencji tworzył się proletariatus - ani całkowicie pogański, ani chrześcijański, a przez to podwójnie narażony na wszelkie buntownicze nowinki. Pomimo to misjonarze nie zniechęcali się.

Nadzieję na przyszłość budowali na przekonaniu, że ofiary, które poniesiono dla założenia misji, a także i te, które trzeba będzie jeszcze ponieść, nie okażą się daremne, gdyż były zgodne z wolą Bożą.

W nowym kościele w Salisbury, a także w anglikańskim zborze marmurowe tablice upamiętniają osobę siostry Patricii Cosgrave dla przyszłych pokoleń, lecz miłość mieszkańców zdobyła się na więcej. Gdy w rok po śmierci pierwszej przełożonej generalnej dominikanki przerwały pracę w szpitalu, aby całkowicie poświęcić się szkolnictwu oraz misjom, major Forbes zorganizował zbiórkę pośród byłych weteranów Africa Corps, aby również dla siostr w stolicy wznieść konwent wraz ze złączoną z nim szkołą. Do już istniejących budowli należało jedynie dobudować skrzydła boczne. Również i tutaj wynik przeszedł wszelkie oczekiwania. Siostra Ignatia, która zastąpiła na urzędzie matkę Patricię, tak jak ta zapowiedziała na łożu śmierci, mogła już w marcu 1902 roku zamieszkać we wspaniałym klasztorze. Pomimo ciężkiej pory deszczowej dzięki energii ojca Leboeufa prace budowlane trwały jedynie trzy miesiące.

Wkrótce w przyklasztornym ogrodzie zaroilo się od dzieci kolonistów noszących według angielskiego zwyczaju jednokowe mundurki. Trzydzieścioro troje dziewcząt zamieszkało w internacie, zaś około czterdziestu przychodziło codziennie na prowadzone zajęcia. Znaleziono dla młodzieży stałe miejsce. Cecil Rhodes życzył sobie tego od dziesięciu lat, lecz nie dane mu było zobaczyć nowej szkoły.

W tym samym miesiącu, w którym dokonano jej otwarcia, założyciel Rodezji zmarł w Kraju Przylądkowym. Mały cottage w okolicach Muinzenberg, zwrócony frontonem ku wzburzonemu morzu, był miejscem śmiertelnych zmagania ciężko chorego na serce. Na koniec doktor Jameson wywiercił w ścianach domku dziury, aby cyrkulujące powietrze ułatwiało mu oddychanie.

Niewielu z grona przyjaciół pomogło mu znosić coraz bardziej przygniatający balast wewnętrznego osamotnienia, coraz większy ciężar znoszonej w milczeniu odpowiedzialności. Nie było łatwym zadaniem wydobywać diamenty i złoto dalekiego obcego kraju i nie roztrwonić ich, zagospodarować szerokie regiony i zorganizować kosztującą fortunę administrację, kierować polityką, a przy tym zachować dobroć serca. Zmagania ze światem zużywają męskie siły jeszcze szybciej niż dobrowolnie i z radością ponoszone ofiary w służbie misji.

I kiedy w Kraju Przylądkowym oraz Rodezji odsłaniano pierwsze pomniki wielkiego polityka, mieszkańcy irlandzkiego pochodzenia wzniesli na cmentarzu w Salisbury prosty celtycki krzyż ku pamięci siostry Patricii Cosgrave.

Ojcowie pojęli jako swoje najpilniejsze zadanie towarzyszenie tysiącom emigrantów napływających do kraju oraz wzniesienie nowych stacji misyjnych w buszu. Tym co już osiągnęli, nie mogli się zadowolić i spocząć na laurach. Ojciec Hartmann powrócił z Mafeking, gdzie wraz z oddziałem uczestniczył w ciężkich wojennych zmaganiach. Nie czuł się też na tyle wiekowy, aby pozwolić się przenieść w stan spoczynku. Nie wspominał o wielu zdobytych odznaczeniach, chyba że żartem, za to tym chętniej pokazywał kilka odłamków, które zagwizdały mu koło uszu, gdy wyzwalano okrążone miasto.

Nie, nic mu się nie stało, bo przecież na wojnę z Burami zabrał także Madonnę z Kirchenthal. Tutaj - ten kawałek, zębaty, pokryty zieloną patyną, upadł mu u samych stóp, ocierając się o czubki butów, a co poza tym jeszcze zagwizdało mu obok głowy, o tym lepiej nie opowiadać, bo i tak nikt nie uwierzy poza Matką Boską, która najwidoczniej go ochraniała. Nie dlatego, że był może taki dobry - słysząc to wytrzeszczał zawsze w zdumieniu błękitne oczy - lecz po prostu dlatego, że Madonna wiedziała, iż pilnie będzie potrzebny w Empandeni.

I to się zgadzało. Należało zastępować ojca Prestage'a, który tak jak ojciec Richartz wyruszał, aby zakładać nowe stacje pośród tubylców i to zanim dotrze do nich biały człowiek ze swoją cywilizacją.

Lecz ku swojemu zaskoczeniu zastał przełożonego na miejscu. Wraz z lekarzem postanowili, że konieczna jest chwilowa zmiana klimatu.

- Nie mogło tak być dalej, Andreas - opowiadał ojciec Richartz nieomal z zakłopotaniem. - Przyzwyczyłem się do niejednego i także co do malarii nie muszę cię oszukiwać. W rodzinnych stronach, koło Koblencji, mieliśmy jednego pi jaka, który tylko przez parę dni w roku nie był w delirium. Na koniec tak stało się i ze mną. Jako skutek ciągłych ataków doszła jeszcze epilepsja. Pomyślałem sobie, że to dobry moment, aby ofiarować moje cierpienia za grzechy tego grzesznika znad Renu - jako wisus często naigrawałem się z niego - ale w efekcie nie był to budzący widok dla tubylców, kiedy indy z Loyola Farm ciągle leżał na wpół umarły albo pogrążony w gorączce. I wtedy się zgodziłem.

Ojciec Hartmann uspokoił go.

- Nie potrzebujesz się usprawiedliwiać, Franz. Ja też, kiedy leżałem w naszym starym bungalowie, widziałem czasem diabła szczerzącego zęby ze wszystkich kątów lepianki. Ojciec Leboeuf ucieszy się z twojej obecności. A tak na marginesie, gdzie się podziwia, chyba go nie zmoęła choroba?

Ojciec Richartz zaprzeczył.

- Dzięki Bogu nie. Matabele bardzo go cenią, odkąd ze szłego roku zbudował nasz granitowy kościół. Czegoś takie go jeszcze nie widzieli, jak abafundisi rozbija skały, a potem składa je razem, aż powstaje świątynia. W ich oczach uchodzi za wielkiego czarownika i bardzo im odpowiada, że odnosi się do nich znacznie uprzejmiej niż jego poprzednik Mlimo.



- Udało mu się przezwyciężyć tęsknotę za Salisbury?

Ojciec Richartz wzruszył ramionami.

- Kto to wie? Sami doświadczyliśmy, jak to jest, kiedy trzeba opuścić stare śmieci. Odkąd jednak skończyła się budowa kościoła, tak mi się wydaje, to przestał wspominać stolicę. Za wsze jest podobnie.

Tak, wszędzie były świątynie, a w nich koncentrowało się życie całej misji. Dlatego pojawiający się wciąż na nowo ból ciągłych rozstań nie zatrzymywał serc misjonarzy. Tylko dzięki tej sile ojciec Prestage, wypełniając polecenie przełożonego z Grahamastown, mógł opuścić ukochane Empandeni, aby podobnie jak w pierwszych latach wyruszyć na wędrowkę, ciągle wiązać bagaże i tylko w towarzystwie jednego tubylca przemierzać niezbadany busz. Na miejscu pozostawił dzieło całego swojego życia.

Wielki „budowniczy” odśpiewał uroczystą missa cantata w kaplicy konwentu w Bulawayo wzniesionej podczas tak unikalnej przez fachowców pory deszczowej, w marcu 1906 roku.

Tłumy ludzi stały głowa przy głowie, wypełniając świątynię aż po chór.

Pomimo krótkowzroczności przy ostatnim *Dominus vobiscum* przełożony odkrył jednak obcą dominikankę klęczącą w pierwszej ławce i spoglądającą ku niemu z promiennym uśmiechem. Zarumieniona z radości, nieco pośpiesznie odwróciła potem wzrok ku tabernakulum, lecz podczas ostatniej Ewangelii jego wzniesione ręce drżały, choć podczas pospiesznej, wyteżonej pracy przy budowie nawet nie drgnęły.

W jednej chwili odżyły wszystkie miłe wspomnienia. Siostra Ignatia przybyła z Salisbury na poświęcenie kaplicy nie tylko po to, aby sprawić mu szczególną niespodziankę, lecz także, aby jako przełożona generalna dopatrzeć wszystkiego. Nastąpiło szczególne spotkanie.

Najpierw pozdrowienia, wiele serdecznych, stęsknionych i spontanicznych pozdrowień od czarnych i białych oraz „czarno-białych” (dominikanek z Salisbury). Nie tylko ludziom brakowało długoletniego kierownika duchowego. Również i świątynia, którą ukończył po śmierci matki Patricii, kolejny raz stała się za mała, tak szybko wzrastała liczba mieszkańców. Zaś ojcu Richartzowi - stał skromnie z boku - musiała oddać długą listę imion tubylców, którzy postawili swój znak lub krzyżyk pod petycją, aby znów powrócił do nich!

Obaj misjonarze byli głęboko wzruszeni.

O Sesuru twierdzono, że nie są zbyt uczuciowi, teraz natomiast niczym dzieci domagali się swojego baba. Trudno będzie im wytłumaczyć, że Boży herold nie ma własnej woli!

- Co nowego w Chishawasha? - zapytał ojciec Richartz nieco zbyt spiesznie.

W oczach siostry Ignatii zapaliły się ogniki radości.

- O, bardzo wiele. Przyniesiona córka Sesango Limbi-Beata wyszła za mąż za młodego tłumacza i razem założyli nową chrześcijańską wioskę.

Ich wesele kosztowało jeszcze więcej trudu niż wesele ich rodziców. Chciało w nim uczestniczyć całe Chishawasha.

- Wyobrażam sobie, rodzina Sesango przynależy do lokalnych prominentów. A co z Njiną?

- Tą też wkrótce spotka ten sam los. Ma piętnaście lat i jest powszechnie uznaną piękną. Odkąd muszą zadowolić się jedną, Sesuru zaczęli zwracać uwagę na wygląd kobiety. Ona natomiast nie myśli na razie o zamążpójściu, na szczęście jest jeszcze bardzo dziecinna. Wie ojciec, że ich chrzestni regularnie troszczą się o nią?

Przełożony Loyola Farm nadstawił uszu.

- Co takiego, ta irlandzka rodzina, która wtedy w Forcie Viktoria tak wspaniałomyślnie przyjęła kumostwo bliźniaków? Jak się to stało?

- Po prostu! Spotkaliśmy O'Mellies na cmentarzu w Sallisbury przed krzyżem pamiątkowym ku czci matki Patricii. Sprowadzili się do miasta dopiero przed rokiem. Gdy swego czasu usłyszeli od ojca Prestage'a o domniemanej śmierci dzieci, zainteresowanie nieco osłabło. Zaraz jednak dowiadawali się o bliższe okoliczności zabójstwa Gaikany, a my mogłyśmy donieść, że jedna z ich chrześnic żyje.

- To rzeczywiście prawdziwe zrzęczenie Opatrzności.

- Nieprawdaż? Kilkakrotnie złożyli już wizytę rodzinie Sesango i zaprosili Njinę, aby przeprowadziła się do nich do miasta i pracowała u nich jako służąca. Ale decyzja należy do jej ojca!

- Wciąż jeszcze?

Siostra Ignatia przytaknęła.

- Tak, zostanie najprawdopodobniej naszą pierwszą katechistką. Wraz z Leonem-Sesango udają się do dalej położonych kraalów i tam naucza matki i dzieci. Bardzo postępową dziewczyna!

Ojciec Richartz spojrział na nią z troską.

- Nie bardzo wiem, czy to dobre. Często miałem okazję przekonać się, jak niebezpieczne są takie wyprawy. Może tu bylczy są ulepieni z lepszej gliny niż my, słabi biali. Leon z pewnością będzie strzegł swojej córki!

- O tym należy być całkowicie przekonany, father. Njina to jego oczko w głowie. Suma była dla niego oraz rodziny nie zbędną drugą matką, zaś jego miłość do córki nie ma granic. Czuje się nieszczęśliwy, musząc spędzić bez niej choć kilka chwil.

Jakże dzięki tym opowieściom odżyło Chishawasha! Ciemne oczy ojca Richarta zapaliły się blaskiem, mógłby tak wypytować bez końca, lecz gość musiał się zatroszczyć także o pozostawienie

stałych ojców oraz współsiostry, którzy właśnie nadeszli. Ileż wspomnień dało się przywołać, rozmawiając jedynie z siostrą Frances! Wycofał się dyskretnie! Wieczorem spotkali się znowu i siostra Ignatia pomimo godności przełożonej generalnej musiała kolejny raz dowieść, że nie utraciła swojego talentu do naśladowania innych osób. Śmiano się do łez, gdy przedstawiła dialog pomiędzy Sumą i upartą dziewczyną, która ani rusz nie mogła pojąć podstawowych zasad higieny.

W Rosario, chrześcijańskiej wiosce dla tubylców, Suma uczyła nowo przybyłe kobiety wszystkich tych rzeczy, które podpatrzyła u białych kobiet.

Kiwena, młoda mężatka Sesuru, nie bardzo rozumiała, dlaczego codziennie powinna kąpać swoje dziecko.

Suma:

- Nie trzeba widzieć brudu, żeby się myć. Każdy czarny musi się myć ciepłą i zimną wodą nawet wtedy, gdy lśni jak rura przy piecu w domu abafundisi.

Kiwena:

- Ale dlaczego, Sumo?

- Dlaczego? Z powodu zwierzątek wywołujących choroby.

Mycie je zabija.

Kiwena nie dowierza:

- Nie widzę żadnych zwierzątek, żadnych wszy, pcheł ani skorpionów. Jakich mam się obawiać chorób?

Suma:

- Są zwierzęta niewidoczne dla oczu człowieka, bakcyle! Biali ludzie przynieśli je ze sobą i znają je lepiej od nas. Gdyby wolno było zabijać białych ludzi, nie byłoby bakcyli. Ale biali muszą żyć, gdyż są dziećmi Bożymi. Tylko bakcyle są złe, więc należy je usuwać, myć się ciepłą i zimną wodą.

Niewidzialne zwierzęta, a przecież niebezpieczne - biali noszą je ze sobą i dlatego myją się często. Takie rozumowa-

nie pojawiło się w głowie Kiweny. Ale po co gotować wodę do picia?

Najpierw woda jest zimna - biały ją odstawia. Potem gotuje i znowu zostawia. Znowu stygnie, i biały pije. Dlaczego? Też zwierzęta, których się nie widzi - bakcyle! Dziwna sprawa!

A co zrobić, gdy w przywiezionej z dala, zawilgłej mące są zwierzęta, które się widzi. Abafundisi wyrzucają ją, choć takie zwierzęta łatwo byłoby zabić.

Ostatnio wyrzucili nawet całą beczkę śledzi, choć te zwierzęta od dłuższego czasu na pewno były nieżywe. Nie można po prostu pojąć białych. Ojcowie śmiali się do rozpuku z komicznych dialogów matki Ignatii. Potrafiła tak znakomicie naśladować mimikę tubylczych kobiet, że siostry chwytaly się za boki.

Tak, w szkole gospodarstwa domowego, do której uczęszczało już dziewięćdziesiąt kobiet i dziewcząt dzień w dzień zdarzały się niezwykle sytuacje.

Nagle jednak oblicze przełożonej generalnej spoważniało. Tak, niestety, zdarzały się także wypadki powrotu do pogaństwa, nie dało się tak łatwo wykorzenić długowiecznych przesądów. Na przykład ciągle jeszcze obawiano się porodów bliźniaczych. Loyola Farm stała się miejscem schronienia dla tych niechcianych dzieci.

Ojciec Richartz spojrział na zakonnicę niepewnie.

- Czy w Salisbury problem Mulatów jest tak samo palący jak tutaj? Do naszych zadań misyjnych dojdzie również i to, opieka nad pariasami Afryki.

Przełożona odetchnęła głęboko:

- To rzeczywiście wielka troska. Oczywiście musimy się zająć pogardzanymi kolorowymi. Nikt ich nie chce, obie rasy wykluczają ich ze swego grona. Najwyższy czas, żeby założyć jakieś stowarzyszenie broniące tubylcze dziewczęta przed za-

kusami pozbawionych skrupułów białych mężczyzn. Dlatego niechętnie widzimy, gdy dziewczęta z farmy udają się do miasta. Tylko tam, gdzie same znajdujemy rodziny, jest jakaś gwarancja, że nie stracą gruntu pod nogami czy nie staną się łatwym łupem ludzi bez sumienia.

Ojciec Richartz wstał z miejsca, jego blada twarz pokryła się rumieńcem.

- Nie zaznam w Bulawayo spokoju, mam nadzieję na szybki powrót do Chishawasha. Polubiłem tych ludzi i żyję troską o każdą wspólnotę w kraalach.

Jednakże następnego dnia przeżył znowu tak silny atak epilepsji, że nie było mowy o podróży.

Kolejny raz najcięższą modlitwą okazywała się ta o pełnienie woli Bożej. Zdarzały się godziny podobne do tych na Górze Oliwnej, znane tylko Zbawcy.

Zanim powróciła do Chishawasha, przełożona generalna wraz z ojcem Leboeufem oraz siostrą Frances wybrała się szeroką drogą prowadzącą z północy na południe do Worlds View na wzgórzach Matapos. Towarzyszył im czarny woźnica mający obok siebie na koźle donkey cart gotowy do strzału karabin. W górach nie brakowało dzikiej zwierzyny, więc należało się mieć na baczności. Od kilku też lat napotykało się także automobile zmierzające do wodospadów na Zambezi bądź do Tati.

Podczas gdy osły powoli truchtały przed siebie, ojciec Leboeuf wspominał niezapomnianą podróż koleją do Gwelo, jaką przeżył przed kilkoma laty. Wtedy z Salisbury kursowały jedynie otwarte wagony towarowe, więc misjonarza i jego rower zabrano jedynie z życzliwości.

- W drodze, nocą, dopadła mnie nagle gorączka. Miałem jeszcze na tyle przytomności, aby na podłodze wagonu rozło-

żyć ostatni numer „Rhodesia Herald”. My Francuzi lubimy dobre obyczaje nawet w najgorszych warunkach. Leżałem więc w bydłym wagonie, starając się zachować godność i od czasu do czasu przepijając brandy kolejną porcją chininy. Zimną herbatę należało zachować jako żelazną rezerwę, poza tym alkohol rozgrzewał i chronił przed przeziębieniem. Zmieszany z lekarstwem smakował okropnie. W kieszeni miałem jeszcze pomarańczę. Ssałem jej sok, odgryzając także kawałki skórki, żeby starczyło na dłużej. Raz po raz owiewały mnie tumany sadzy, dym i iskry z maszyny.

A potem, moje drogie siostry, kolej zatrzymała się o północy; sapała i zgrzytała, ale nie ruszała z miejsca. Noc była bardzo mroźna i lwy ryczały tak groźnie, że zarzuciłem desperackie zamiary i dopiero wczesnym rankiem odważyłem się wsiąść na bicykl. Chwiejąc się z osłabienia, trzęsąc się z chłodu i gorączki, ruszyłem wzdłuż szyn. Po dwudziestu milach mgła ustąpiła. Ugotowane na twardo jajko, trzy biszkopty - to cały mój posiłek z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Oparłem rower o akację i zjadłem ostatnie keksy oraz kawałek czekolady, który znalazłem w kieszeni, do tego łyk zimnej herbaty i następne dwadzieścia mil przejechanych niemal po omacku. Była to końska kuracja przeciwko malarii, ale ją przeżyłem. Oczywiście doktor Fleming nie dawał się przekonać o jej skuteczności. Dobrze, że nasi następcy nie muszą przeżywać podobnych przygód!

Ojciec Leboeuf odetchnął głęboko, a donkey cart toczył się już szerokim szlakiem ku wzgórzom. Po wojnie przy drodze osiedlili się znowu farmerzy i handlarze, przez co okolica utraciła swój bezludny charakter, niemniej nagie granitowe skały ciągle jeszcze tchnęły nieokiełznaną dzikością. W otoczeniu postrzępionych zboczy ciemnych wzgórz znajdowało się najświętsze miejsce Rodezji, narodowy pomnik pamięci dla

wszystkich tych, którzy zasłużyli się dla swojego kraju, szczególnie zaś dla samego Cecila Rhodesa. Prosta, wmurowana w ziemię tablica oznajmiała lakonicznie, że tu spoczęły doczesne szczątki założyciela państwa.

Obie siostry długo stały przy jego grobie. Tubylec wraz z pojazdem został z tyłu, usiadł w zasięgu głosu na skalnym występie z karabinem na kolanach i machając nogami, obserwował krążącego po niebie orła.

Ojciec Leboeuf poprowadził siostry także do nagrobku Allana Wilsona wznoszącego się w zakątku wyżyny. Ciemne płaskorzeźby wykute w granicie ukazywały postaci trzydziestu trzech żołnierzy, którzy poszli za oficerem na śmierć. „There was no survivor!” - „Nikt z nich nie przeżył”, głosił dumny napis. Woźnica wołał trzymać się z daleka - tylu martwych wojowników, do tego jeszcze ich dusze utrwalone w obrazach, nigdy nie wiadomo, czy nie ożyją, aby uśmiercić potomka ich wrogów, jeśli za bardzo się zbliży. Zawołany przez misjonarza podszedł szary ze strachu na twarzy.

Odetchnął - tak, w każdej chwili mogli ruszyć w dalszą drogę.

Ojciec Leboeuf wypowiedział głośno to, o czym wszyscy jednocześnie pomyśleli mimo woli w duchu:

- W roku 1886 tą samą drogą szedł ojciec Prestage, a jego życie wisiało na włosku. Ślady po nim zatarł wiatr i nikt nie pamięta, jaki ciężar wziął wtedy na swoje barki.

Na to towarzyszący im Matabele uniósł głowę, posłyszał imię lubianego powszechnie abafundisi z Empanjeni, który go kiedyś ochrzcił! Biali ludzie nie lubili, kiedy mieszano się im do rozmowy, ale w tym wypadku zapytał ufnie:

- Kiedy nasz baba wróci do nas?

Siostry i misjonarz spojrzeli na siebie w milczeniu. Jakie pragnienie biło z głosu krajowca, jaka tęsknota! Nie, ojciec



Prestage już nie wróci. W Gwelo, gdzie powtarzała się cała praca od podstaw, nie brakowało mu zajęć.

A jednak dobrze było być powołanym choćby tylko ze względu na to jedno jedyne zapytanie!

Na nowej placówce w Gwelo misjonarz-rolnik pracował nieznużenie, to odwiedzając tubylców w ich kraalach, to znowu wybierając się do białych farmerów i poszukiwaczy złota, aby udzielić im sakramentów wielkanocnych. Ojciec Prestage nie wiedział, co to wypoczynek - nie przyjmował do wiadomości, że jako dodatkowy balast niesie ze sobą ciężar sześćdziesięciu pięciu lat. Najlepszym wyjściem było nie pamiętać o własnym wieku i nie stosować taryfy ulgowej. Koń i wóz? Nie, prawdziwy apostoł wędruje piechotą. To przecież jeszcze potrafi. Gdyby liczył sobie dziewięćdziesiątkę, to może zgodziłby się z naleganiami, teraz nie!

Z początkiem kwietnia 1907 roku wybrał się kolejny raz do Selukwe oraz okolicznych kopalni. Pracujący w nich mężczyźni nie powinni żyć jedynie gorączką złota. Zanim upłynie okres wielkanocny, poruszy każdą duszę, aby pomyślała o wieczności. Każdemu miał zamiar przemówić do sumienia: jaki pożytek z tego, jeśli zdobędzie się świat, a na duszy poniesie szkodę? Dziwne, w Selukwe po raz pierwszy wsiadł do dylizansu pocztowego, aby udać się do Viktoria. Ludzie nie potrafili ukryć zdumienia.

Pomimo to do kopalń Tebekwe dotarł przemęczony, odprawił późną mszę świętą i zaraz wybrał się na farmę Mzondo. Tam należało zabrać się za prawdziwy ugór, a ponadto kilku białych mężczyzn pilnie oczekiwało spotkania z duchownym!

Do gospodarstwa pozostawało około trzech do czterech mil, wieczorny chłód zwiastował, że przyroda przygotowuje się do spoczynku.

Na sawannie oddział brytyjskich żołnierzy przeprowadzał ćwiczenia. Kiwnięciem ręki i uśmiechem pozdrowił oficera, tu znał go każdy. Karabinowa palba! Wesoła muzyka w czasie pokoju.

Tak, pokój - czyżby to była ostatnia myśl?

Nagle, nie wydawszy nawet jęku, misjonarz potknął się, upadając na twarz.

Towarzyszący mu tubylec wyrzucił z okrzykiem ręce w górę i pobiegł krzycząc, machając, płacząc:

- Pomocy! Nasz abafundisi umierać!

Wojskowi pomyśleli, że nieszczęśnik stracił rozum. Przecież ojciec Prestage przed chwilą przechodził obok nich w pełni sił i w dobrym nastroju. Ale krajowiec nie milkł:

- Abafundisi umierać, abafundisi upadać i nie żyć!

Na te słowa lekarz polowy pobiegł ile sił w nogach, lecz mógł jedynie stwierdzić zgon - atak apopleksji.

Ojciec Prestage zmarł, udając się z posługą.

Czarnoskóry stał ze zwieszoną głową i płakał rzewnymi łzami. Oficerowie spoglądali na siebie bezradnie. Jak to możliwe, że śmierć białego tak porusza tuziemca? „Sesibole”, szlochął Matabele, nie mogąc wykrztusić nic innego. Oznacza to: „Ponieśliśmy klęskę!”. Zachowywał się tak, jak gdyby Matabeleland kolejny raz został celnie trafiony, tym razem prosto w serce. Słuchający go mężczyźni być może po raz pierwszy pojęli, co to znaczy misja.

- Był trochę dziwakiem - orzekł oficer. - Ale nie dało się go nie lubić. Jak pan myśli, doktorze?

Wstrząśnięty medyk popadł w zadumę:

- Wydaje mi się, że widząc tylko ludzką stronę, krzywdzi my ojca Prestage'a. Oczywiście, na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że ma się do czynienia ze zrzędlwym starym farmerem myślącym jedynie o swoich wołach i krowach.

Ale dłuższa znajomość z nim przywoływała nagle na pamięć pierwsze pytanie z katechizmu: „Po co żyjemy?”.

Nie wiedział, że nie ma bardziej trafnej pochwały kapłana. Jego słowa szybko się rozeszły.

I to stwierdzenie okazało się cenniejsze od jakiegokolwiek pomnika.

## Serce buszu

Był to czas kwiatu jacaranda: wokół konwentu dominikanek w Salisbury pojawiło się morze wspaniałych, wrzosowej barwy kielichów, zakwitających we wrześniu, miesiącu będącym w Afryce początkiem wiosny. Jasny kontur budowli znakomicie harmonizował z ich tłem.

Ubrany na czarno drobny mężczyzna nie mógł wręcz nasycić oczu. Po chwili jednak przypadkowi widzowie mogli zacząć żywić wątpliwości - podziwiał piękno przyrody czy nową kaplicę konwentu uroczyście otwartą zaledwie miesiąc temu? Oczywiście, na papierze, w planach ledwo widzącego, lecz genialnego współbrata ojca Leboeufa widział ją już dużo wcześniej, lecz przyglądanie się neogotyckiej świątyni po ukończeniu prac budowlanych sprawiało jeszcze większą satysfakcję.

Poza tym ponownie zagościł w tym miejscu po upływie jedenastu lat. Jak bardzo zmieniło się Salisbury w tym czasie. Ojciec Hartmann zaniemówił z podziwu.

Jakiż wspaniały klasztor powstał w miejscu skromnej ceglanej budowli, mieszczący w swoich murach tak znaczącą szkołę! Miejska młodzież znajdowała się tutaj w dobrych rękach. Młodzież, której bez obaw powierzy się kiedyś przyszłość Rodezji!

Gdyby miał coś podobnego na Hartmann's Hill, dawnym „kopcu wodza” ciągle jeszcze noszącym jego imię! Wciąż wracał myślą do swojej idei, żeby również i w tym centralnym

miejscu obok konwentu jezuitów pojawił się college, oczywiście także wzniesiony przez ojca Leboeufa.

Tylko czy podoła? Z roku na rok widział coraz gorzej. Najlepszy specjalista w Kraju Przylądkowym musiał mu zalecić noszenie najmocniejszych szkieł, z jakich korzystali chorujący na kataraktę, a przecież jego projekty wciąż cechowała niezmienna precyzja i dokładność.

Ale jeśli nawet nie uda się zrealizować jego planów, to i tak ojciec Hartmann wracał na Loyola Farm szczęśliwy i zadowolony. To miejsce stało się dla niego prawdziwym domem.

Również w dolinie Chishawasha zafascynowany misjonarz stanął przed potężną, romańską w stylu świątynią o dwóch wieżach, wznoszącą się ku niebu po wschodniej stronie terenu misji. Przylegały do niej jedno- i dwukondygnacyjne gmachy sięgające aż do starego, drogiego domu wspólnoty zachowanego pośród nowej zabudowy niczym cenna relikwia.

A oto i Njina - właśnie wróciła wraz z ojcem z odwiedzin w jednym z kraalów. Misjonarz przyjrzał się młodej kobiecie - wysoka, szczupła dziewczyna o żywych, ciemnych oczach Matabele i pociągłej, urodziwej twarzy Karanga. Sprawiała wrażenie bardzo dystygowanej. Skromna z natury, lecz czuło się, że musi się wiele natrudzić, aby opanować wrodzony ognisty temperament, do czego wychowywały młodzież żeńską pracującą na farmie siostry.

Poprosił, aby opowiedzieli mu o dalekich wyprawach do Matokoland oraz w dolinę Mazoe. Njina ożywiła się. Wkrótce mówiła już tylko ona, jej angielski był o wiele bardziej zrozumiały niż większości tubylców.

To, co działo się na równinie, okazało się jeszcze bardziej fascynujące niż sukcesy odnoszone na samej farmie. Oto powstały trzy całkowicie chrześcijańskie osady współzawodniczące między sobą o miano najbardziej wzorowej. A w Rosa-

rio zamieszkiwał Sesango-Leon jako powszechnie szanowany naczelnik i ojciec rodziny!

Ojciec Hartmann złożył mu grzecznościową wizytę. Dumnie i nieco zbyt pompatycznie gospodarz pokazał mu czworokątny dom podziwiany wielce przez mieszkańców okrągłych chat. Gość nie znał jeszcze Sumy, zręcznej artystki w gniecieniu gliny i jeszcze bardziej utalentowanej w targach ze skąpymi białymi w Salisbury! Najczęściej jednak płacono nieco więcej, gdyż jej angielski brzmiał bardzo pociesznie.

O, jakże wiele dało się opowiedzieć o godzinach katechyzy, daleko, pod zielonymi drzewami, o głodzie Słowa Bożego między poganami, lecz także i o lęku przed demonami powstrzymującymi ich przed przystąpieniem do chrztu. Tu natomiast, na wyżynie, połowa społeczności Sesuru liczącej ponad tysiąc dusz przyjęła chrześcijaństwo.

- My oczywiście byliśmy pierwsi! - Ten fakt wydawał się sprawiać Njinie szczególną satysfakcję.

Po drodze kilkakrotnie padła nazwa Mtoko i ojciec Hartmann z melancholią przypomniał sobie pierwsze nieudane próby założenia misji. Czy stały jeszcze gliniane lepianki, które kiedyś wznosił z taką nadzieją, że Boży podbój już odniósł sukces?

Njina potwierdziła. O tak, naczelny induna, rodowity Matabele, który osiadł tam po ostatniej wojnie, przygotował w nich kotła dla siebie oraz najstarszego syna Matero.

Nie dopuszcza jednak, aby w jego wiosce chrzczono lub też katechizowano. Toleruje jedynie handlarzy. W czysto pogańskich okolicach panowały więc takie same warunki, jak przed jedenastoma laty. Widząc, że ta wiadomość zasmuciła drobniego abafundisi, Njina wpadła na pomysł.

- Baba! - zwróciła się do niego ufnie. - Mój ojciec jest do brym nauczycielem, ale nie mfundisi. Być może induna posłucha cię, jeśli tam pójdziesz i powiesz, że te chaty należą

właściwie do ciebie. Porozmawiam z Matero, więc może nie odmówią ci od razu.

Ojciec Hartmann nadstawił uszu. To niezła myśl. Tubylcy także byli ciekawi nowinek, a skoro ten kacyk był Matabele, to pewnie zainteresują go wieści z rodzinnych stron. Od tego można by rozpocząć rozmowę. Misjonarz przyspieszył kroku, jak gdyby nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do celu.

Do „czyścica” Mtokolandu było jeszcze sto dwadzieścia mil i na szczęście nie spadły jeszcze deszcze. Teraz wrześniową wiosną kamienny labirynt nie wyglądał tak ponuro jak kiedyś: pomiędzy szarymi głazami zieleniła się i kwitła bujna roślinność. Njina siedziała dumnie obok ojca Hartmanna, śpiewając mu wspaniałe poematy złożone przez jej rodzica, o tym jak odnaleziono ją po wielu latach. Każda z nieskończonej liczby długich strof miała równie rozciągnięte powtórzenia powracające w tak lubianym przez czarnych stałym rytmie. Tym sposobem podróż się nie dłużyła, a gdy za którymś razem pieśń dobiegła końca, Njina wskazała ku horyzontowi:

- Spójrz, mfundisi, tam, za tym wielkim drzewem moruli stoją twoje chaty. Dwukrotnie tylko pokryto je na nowo, trawa jest jeszcze świeża. Pachnie w słońcu. O, takie dachy są chłodne i piękne...

Oczy jej błyszczały. Wskoczyła z wozu i lekkim krokiem z powiewającą spódnicą pobiegła oznajmić przybycie gościa. Ojciec Hartmann czekał cierpliwie, co teraz nastąpi. Obejrzał się za siebie. Miał ze sobą dość towarów i darów, żeby zaopatrzyć cały kraal. Na Loyola Farm nie pożalowano niczego, żeby sprawić mu radość.

Ze znajomej mu czworokątnej chaty wyszedł młody rosły mężczyzna w typowej dla wodzowskiego syna przepasce ze

skóry leoparda na biodrach oraz ozdobami z piór wokół kostek u nóg oraz łokci. W tym dumnym stroju wyglądał, jakby zmierzał na indaba.

Rozmówił się z dziewczyną, nie pokazując zarozumiałości właściwej młodym wojownikom oraz myśliwym z tego ludu. Najwidoczniej tubylcy przyzwyczaili się już do pośrednictwa ze strony córki Sesango, bo czy inaczej niżyliby się do rozmowy z kobietą? Teraz nawet się zaśmiał. Opuścił assegai i wskazał ku chacie. Zawołał coś: „o, to misjonarz”, zrozumiał ojciec Hartmann nawet z oddali, przyjmowano ich. Teraz odwróciła się do niego Njina, przywołując go gestem. Towarzyszący im poganiacz władował sobie towary na głowę, ruszając za nim dostojnym krokiem.

Matero, syn wodza, wyszedł naprzeciw, wzorem białych wyciągając ku abafundisi rękę na powitanie. Widać było po nim, że znajomość tego obyczaju napawa go dumą. W rzeczy samej, urodziwy potomek Matabele. Lobengula z pewnością zwerbowałby go do swojej armii.

- Chciałem pójść na wielki taniec, mfundisi, ale ponieważ słyszę, że masz wiele towaru, zostanę. Mój ojciec, induna i chief kraalu poluje na bawoły, nie możesz więc z nim rozmawiać i musisz zadowolić się synem wodza.

Ojciec Hartmann zapewnił gorliwie, że nie tylko jest zadowolony, lecz bardzo się cieszy, gdyż z młodymi ludźmi, niezamykającymi się na nowe czasy, daje się dobrze handlować. Mile polechtany Matero uśmiechnął się, lecz jego uśmiech był jednocześnie kpiąco-wyniosły, jak gdyby chciał zaznaczyć, że nie przywiązuje wagi do komplementów. O, Matero dokładnie wiedział, jak ma się zachować.

Za każdym razem, gdy abafundisi pytał, czy nie byłoby możliwe, aby przynajmniej raz w miesiącu przysłać nauczyciela do dzieci, z ręcznie zmieniał temat rozmowy. Handel miał



dla kraalu pierwszorzędne znaczenie. Paciorki? To rzecz kobiet, tym się nie interesowano, ale broń, sprzęty gospodarcze i myśliwskie, noże, ogień na patyku (zapalki), cukier i sól, to sobie cenią!

Od czasu do czasu długie spojrzenie dumnych oczu wędrowało ku Njinie siedzącej z rękoma splecionymi na podolku, uśmiechniętej i pozornie niezainteresowanej. Ale i w wypadku czarnoskórych uśmiech kobiety robi swoje. Matero również się uśmiechnął.

Dobry Boże, przecież nie przybył tu, żeby urządzić randkę dla młodych! O czym myślała Njina? Czyżby zapomniała o ich zadaniu?

Ojciec Hartmann odchrząknął, unosząc w górę wiązkę żółtozłotego tytoniu z ostatniego zbioru na farmie. Jego aromat wypełnił całą chatę.

- A to - stwierdził pogodnie - spokojnie mogliby palić starzy i młodzi indunas, żeby nie nudzić się podczas nauki. Biały Bóg nie ma nic przeciwko temu!

Tym razem Matero nie bardzo mógł uniknąć odpowiedzi. Poza tym kusił go tytoń.

Nie bardzo też chciał się przyznać do zależności od decyzji ojca. Szybko jednak znalazł dobre wyjście:

- Może znajdzie się w tym Mtokoland ktoś, kto chętnie posłucha waszej nauki. Byłbym gotowy samemu udać się do pustego baobabu stojącego z dala od kraalu, w kierunku, gdzie zachodzi słońce. Pomieści wielu ludzi i znajdzie się w nim miejsce dla nauczyciela i jego obrazów, a także jednego, być może dwóch, być może trzech i czterech uczniów!

Ojcu Hartmannowi spadł kamień z serca. Zerwał się z miejsca.

- Dobrze, Matero, byłbym ci wdzięczny, gdybyś teraz poszedł z nami i pokazał nam ten baobab.

Syn wodza spojrział na tytoń, ojciec Hartmann zapomniał o nim w pośpiechu.

- Yebo, abafundisi! Ale najpierw zapalimy! Możesz skorzystać z fajki mojego ojca, induny!

Wielki zaszczyt, jednak kosztowało ojca Hartmanna nieco samozaparcia, żeby skorzystać z pozólkłego zużytego cybucha noszącego ślady ostrych zębów! Odmowa równałaby się śmiertelnej obrazie, więc napchał fajkę i zaczął cmokać ile sił. Tabaka była jeszcze nieco za świeża, więc zakaszał, jak gdyby miał zaraz wyzionąć ducha. Matero obserwował go z pogardą. Biały człowiek powinien zapalić dagga, to dopiero miało swoją moc!

Wreszcie cała ceremonia dobiegła końca. Matero zainteresował się wozem zaprzęgniętym w woły, więc ojciec Hartmann oddał mu na chwilę lejce.

Wspomniany baobab nie rósł wcale tak blisko, na szczęście było to w kierunku misji.

Wreszcie dotarli do celu. Szare od deszczu i słońca drzewo wyglądało prawie niczym wiekowy słoń! Co za olbrzym - w pustej okolicy górował nad wszystkim wokoło, więc nie dało się go nie dostrzec. Z pewnością służył wcześniej mieszkańcom za schronienie. Njina już wspinała się ku wejściu, błękitna suknia odbijała się na tle poszarzałej kory pnia, zdjęła z głowy chustkę, pewnie zrobiło się jej gorąco. Drobne, błyszczące loczki pokrywały zgrabnie uformowaną głowę - Matero widział wszystko, lecz zachowywał się tak, jak gdyby nagle stracił wzrok!

- Tu twój ojciec może zawiesić wielkie obrazy! - powie dział, wskazując na wystający wewnątrz garb sprawiający wrażenie wieszaka, cały pień natomiast wyglądał jak spora klasa szkolna, choć panował w nim szary nieprzyjemny półmrok. Prawdziwa pułapka, pomyślał ojciec Hartmann, natomiast młodym ludziom otoczenie zdawało się nie przeszkadzać.

- Opowiem o wszystkim mojemu baba - obiecała Njina. Ale nie możemy tu przebywać sami.
- Nie będziecie sami - zobowiązał się Matero.

Od tego dnia Njina przestała nosić chustkę na głowie, chociaż oburzało to wszystkie kobiety w kraalu i na misji. Dlaczego ona jedna nie dostosowywała się wymogów mody, żyjąc jak ktoś z zewnątrz? Zapytana uśmiechała się, odpowiadając, że jest jej za gorąco. To dlaczego nie ścinała swoich loczków? Nie, zapuściła je niczym narzeczona Matabele. A Sesango, który nigdy nie zabraniał jej niczego, zgadzał się na to.

Zdenerwował się tylko, gdy wkrótce potem zaczęła narzekać na uciążliwy ubiór, chcąc ograniczyć się do spódnicy i przepaski na piersiach niczym uboga wieśniaczka z odległej wioski. Nauczyła się przecież kroju u siostr, a teraz wraca do dawnych zwyczajów.

Ojciec Hartmann opowiedział Sesango o sukcesie wyprawy do Mtoko, dodając do tego najbardziej delikatne ostrzeżenie, jakie tylko może przyjść do głowy białemu człowiekowi.

Nie widząc reakcji, zapytał wprost, czy rzeczywiście będzie rozsądne i konieczne, aby zabierać Njinę do baobabu. Katechista nie miał zastrzeżeń. Jego córka towarzyszyła mu od najmłodszych lat, bez trudu poradzi sobie z tym Matero! Na razie, obiecał, będzie jeździł tam sam, co nieco uspokoiło misjonarza.

Zanim wyruszył w drogę powrotną do Empandeni w Matabeleland, na Loyola Farm odbyło się wielkie pożegnanie. Siostry przygotowały odświętny posiłek i przyozdobiły refektarz zielonymi girlandami, zaś słynna już w całej Afryce chłopięca orkiestra ojca Biehlera zagrała triumfalnego marsza!

Potem trzeba było ruszać. Jeszcze raz spojrzął na kwitnące, tak wspaniale rozwijające się Chishawasha. Zasłona tropikal-

nego deszczu spowijała gęsty bananowy zagajnik otaczający farmę, a aromat młodych drzew eukaliptusowych zapobiegał niebezpieczeństwu malarii. Wkrótce pewnie będzie tu mógł powrócić ojciec Richartz, bo kiedy jemu będzie to dane, to jeszcze nie było pewne.

Sesango czuł niepokój. Matero zwrócił się do niego z pretensjami, ponieważ zjawił się sam, a miała być z nim Njina!

Z jakiego powodu? Przyprował z sobą kilka dziewcząt z kraalu, a one chętniej słuchałyby chrześcijańskiej nauki z ust kobiety. Tak przynajmniej twierdził, chociaż jego towarzyski nie odzywały się ani słowem, milcząc jak zakłete i nie odpowiadając na zadawane przez niego pytania. Najwidoczniej dowiedziały się, że na Loyola Farm to siostry nauczają żeńską część społeczności i pewnie dlatego poczuły zazdrość. Tubylcza natura jest wrażliwa na swój sposób, dlatego katechista postanowił, że następnym razem weźmie z sobą córkę.

- Gdzie twój krzyżyk? - zapytał, widząc Njinę gotową do wspięcia się na wózek zaprzężony w osła. Jej dłoń powędrowała ku szyi, gdzie zwieszał się sznur kolorowych paciorków, natomiast nie było tam prostego chrześcijańskiego symbolu.

- Musiałam go gdzieś zgubić, baba! Potem zrobisz mi drugi, teraz już jedźmy!

Te słowa wzburzyły nieco Sesango. Ostatecznie Njina to córka wielkiego nauczyciela i naczelnika. I właśnie ona zgubiła znak wiary, jak gdyby był to kościany amulet nganga!

W drodze uspokoił się nieco, widząc, że córka umieściła tyle obrazów na wozie, jak gdyby mieli nauczać przez cały tydzień. Jej pilność udobruchała go nieco.

Choć przy baobabie spotkali tylko Matero, nauka się rozpoczęła. Njina pilnie zapalała gałązki tambuki, aby uczeń dobrze widział obrazy rozwijane przez ojca. Nie przeczuwała nawet, że w swej młodości jej matka w podobny sposób usługiwała Lobenguli oraz jego wojownikom. Czyniła to z wdziękiem i godnością. Spokojny płomień raz po raz oświetlał jej uśmiechniętą twarz, zaś Matero wpatrywał się w to oblicze, nie zważając na obrazy, chociaż Sesango zachrypl, opowiadając piękną historię o weselu w Kanie, która przecież tak podobała się wszystkim.

Wreszcie stracił cierpliwość i w ostrych słowach zbesztal nieuważnego słuchacza: co myślisz w swoim moyo, dlaczego tu właściwie przybył?

Syn wodza także wpadł w gniew, odpowiadając niegrzecznie, że chyba zapomniał, iż Sesango jest jego gościem, dla którego ryzykuje głowę, aby wyświadczyć mu przysługę. Czy wie, co może się z nim stać, jeśli ojciec się dowie, że przybiegł tutaj, aby słuchać nauk obcego Boga? Poza tym nie podoba mu się ta indaba. Cóż to za nędzny Bóg, który nie uważa swoich czcicieli za dostatecznie zamożnych, aby mogli kupić sobie kilka żon?

Sesango wstał z miejsca. Próżny trud. Zwinął kolorowy obraz, po co jeszcze wyjaśniać rozzłoszczonemu Matero, jaki cud uczynił Syn Boży podczas weselnych godów. To i tak go nie zadowoli, nawet jeśli kamienne stągwie zawierałyby najlepsze tubylcze piwo!

Wyszli na zewnątrz - i nagle Matero otworzył dłoń, w której było coś błyszczącego.

- Znalazłem to ostatnim razem w baobabie, kiedy już odjechałaś - zwrócił się do Njiny. - Mogę zatrzymać?

Był to wisiołek dziewczyny wraz z krzyżykiem. Zanim Sesango zdążył się odezwać, dziewczyna powiedziała:

- Dałam ci go i możesz go sobie wziąć - ale w jej oczach zabłyśły łzy.

- Kazałem zbudować nową chatę, zaraz w pobliżu kotła mego ojca - dodał na pożegnanie, odsłaniając białe zęby w uśmiechu. Potem zatrzymał się, spoglądając, jak odjeżdżają.

- Dlaczego pozwoliłaś mu zatrzymać wisiołek? - zapytał Sesango, gdy odjechali kawałek. - Ten poganin pomyśli sobie jeszcze, że to oznaka miłości.

Njina spuściła głowę.

- Chcę, żeby Matero został chrześcijaninem - wyszeptała cicho.

Sesango gwizdnął ze złości przez zęby. Teraz wiedział już wszystko.

- Żeby mógł cię zabrać do nowej chaty? - zapytał, a gdy nie odpowiadała, oznajmił: - Do tej chaty może sobie wziąć swoją drugą i trzecią, i czwartą żonę, ale nie córkę nauczyciela z Rosario, dziecko Gaikany, która zginęła od assegai Matabele. Matero nigdy nie przyjmie chrztu, widziałem to i słyszałem.

Njina zaszlochała.

Nikt z chrześcijańskiej wioski, której naczelnikiem był Sesango, nie mógł się dowiedzieć, że induna z Mtoko ośmielił się wysłać swata w imieniu swojego najstarszego syna Matero. Wszyscy bowiem wiedzieli, że syn wodza ma już dwie młode żony, a poza tym żaden z tamtejszych mieszkańców nie jest ochrzczony. Wódz miał zamiar pohańbić Njinę, czyniąc ją ostatnią żoną syna. Pomimo to nie wolno go było po prostu odpędzić od progu, gdyż swat trzymał się ściśle starych obyczajów. Najpierw, jak należy, poprosił dla swojego pana o nieco tytoniu, a jeśli Sesango chciał okazać choć krztę uprzejmości,

musiał mu podać szczyptę. Stanowiło to jednocześnie zachętę do przedstawienia sprawy.

Przybysz zwrócił się do gospodarza:

- Mój induna zapytuje o twoją córkę, która urodziła się pośród białych.

Zgodnie ze zwyczajem Sesango odparł:

- Nie mam żadnej córki!

Na to przybysz upuścił monetę na znak, że chętnie sownie zapłaci. Odpowiedź ojca nie stanowiła odmowy, nie wypadło tylko, aby przyjmował ofertę za pierwszym razem.

Miał opierać się dalej, ale już z większą ustępliwością:

- Skąd wiesz, że mam córkę?

Na to swat, rosły Sesuru zaczął opowiadać o Matero, który dobrze wiedział, że ten ojciec ma córkę na wydaniu, przy tym upuścił kolejną, bardziej wartościową monetę na znak, że jego klan zapłaci dużo więcej.

Jaka szkoda. Ten kraal mógł rzeczywiście ofiarować znakomitą lobola, ale Sesango wziął się w garść - toczyła się już poważna rozmowa o żeniaczce - i oświadczył! bez ogródek:

- Moja córka nie tylko urodziła się pośród białych, lecz jak każdy wie, od dziecka jest ochrzczona. Czy Matero zostanie chrześcijaninem?

Swat poderwał się z miejsca.

- Nikt z naszego kraalu nie chce być chrześcijaninem, a już najmniej Matero.

Sesango odsunął piękne monety czubkiem stopy.

- Wobec tego zaczekam, aż chrześcijanin zapłaci mi lobola za Njinę. Ma być nie ostatnią, lecz pierwszą żoną induny, podobnie jak i Limbi, moja druga córka.

Przybysz ruszył ku drzwiom.



- Wzgardziłeś wielkim człowiekiem, uważaj, żebyś kiedyś nie pożałował.

Zaraz potem wyszedł bez pożegnania.

Njina stała na zewnątrz przy duri, ubijając rytmicznie ziarna kukurydzy. Nie podniosła nawet głowy, gdy swat przeszedł obok niej, zachowując się tak, jak gdyby jej nie było. Dziewczyna bowiem nie powinna się mieszać, gdy mężczyźni rokują o niej. Ojciec wyszedł do niej, gdy tylko ostatni pies w wiosce skończył obszczekiwać niespodziewanego gościa.

- Powietrze poruszyło się w chacie, nic poza tym!

Njina przytaknęła, sprawa została zamknięta.

Ale Sesango kochał córkę i widział jej zgryzotę. Rano odstawiła swoją miskę z grysikiem sadza i rupoko, wypijając jedynie nieco piwa wawa. Suma zaś opowiadała, że nocą leży na swojej macie i płacze. Działo się tak przez dłuższy czas, lecz Sesango miał nadzieję, że ustanie wraz z porą deszczową.

Ktoregoś dnia stracił jednak cierpliwość, pytając surowo, czy przestało się jej podobać w ojcowskim domu. Njina spojrzała przed siebie i odpowiedziała:

- Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślę o okrągłej chacie, w której się wychowałam. Miała okopcone od sadzy wnętrze, jedno wejście i była bez okien. Na środku dzień i noc palił się ogień. Wydaje mi się, że słyszę trzaskanie płomieni...

Sesango zamarł. Córka „pieśniarza ludu” wspomniała o kraalu czarownika Kakubiego, tęskniła za dzikim, nieskrępowanym życiem w Mashayamombe. Od tej chwili polecił jej znowu nosić chustkę na głowie, a ona bez sprzeciwu zrobiła to, co nakazał.

Potem miało być jeszcze gorzej. Matero przyjął się na farmę, aby wraz z całą gromadą obcych młodych Sesuru pomagać



przy budowie nowego domu dla sióstr. Nie wiedzący o niczym bracia zakonni przyjęli go, potrzebowali przecież każdej pary rąk. Misja nie mogła sobie pozwolić na odesłanie go z kwitkiem. Dowiedziawszy się o tym Sesango chwycił się za głowę, gdyż nie wiedział, co począć. Suma przekonywała go, że wkrótce zjawi się chrześcijański kandydat oferujący lobolę, którą będzie można przyjąć. To położy kres zmartwieniom. Ale w takich chwilach kobiety nie powinny zbyt wiele mówić. Sesango kazał jej wyjść i to pierwszy raz odkąd zawarli związek małżeński. Teraz i ona milczała, gdyż jak wszystkie jedyne żony wiedziała już, co jest warta.

A kiedy Sesango zastanawiał się, co dalej, pracująca w kuchni sióstr Njina zawsze znalazła czas, aby wybiec na zewnątrz i przez kilka chwil stanąć w pobliżu wysokiego, szczupłego mężczyzny, którego ciemne oczy prawdziwego Matabele pożerały ją bez słowa. Jego muskularne ciemne ciało, nieprześlone niewieścim odzieniem białych, pachniało namiętnie roślinnymi olejkami i odległą dalą ukrytego pośród skał kra-  
alu. Widział po niej, że wstydzi się wszystkiego, co przejęła od obcych przybyszów.

Nie działo się nic złego, dlatego nie dało się zwolnić Matero. Dwoje ludzi nie rozmawiało prawie ze sobą, lecz były to zaloty tak wytrwałe i uparte, do jakich zdolny jest jedynie czarnoskóry, gdzie czas nie odgrywa żadnej roli. Matero zaczął nawet uczęszczać do szkoły wieczorowej abafundisi, aby być w pobliżu niej również na farmie. Nie przywykł do tego, że synowi wodza odmawia się czegoś, co wbił sobie do głowy. Śmiał się też, słysząc, że biali nazywają jego ojczyste strony „purgatory”. Mtoko mogło być czyśćcem dla Sesango, ale nie dla niego.

Budowano wówczas nowy, dużo większy budynek konwentu, więc prace przy nim ciągnęły się miesiącami, i cały ten czas był jednym wielkim niebezpieczeństwem dla Njiny. Oczywiście,

można było wysłać ją do Limbi, do dalej położonej wioski, lecz to nie zmieniało sytuacji, gdyż jej mąż, który pracował dla białych jako tłumacz, przebywał często w mieście. Miał dość zajęć i opieki związanej z własną rodziną. Dokąd nie wyszła za mąż, miejsce Njiny było pod dachem rodziców.

A tu nadeszła wiadomość, że z Bulawayo już po rekonwalescencji przybędzie dawny przełożony Loyola Farm, ojciec Richartz.

Gdy słuchał relacji Sesango, jego uśmiech pozostał jak zawsze niezmacony i czysty, gdyż jako misjonarz wiedział, iż pokój należy wywalczyć. Przy tym podszedł do sprawy swojego katechisty bardzo poważnie. W żadnym wypadku nie należało czekać na zakończenie budowy. Budowniczości wyliczyli, że na sam konwent potrzeba 160 000 cegieł, nie licząc tych, jakie zostaną zużyte na szkołę. Tak długo nie mogli zwlekać. Tylko co robić?

Nagle w pociemniałych i zapadniętych od choroby oczach ojca Richartza pokazał się radosny błysk.

- Już wiem, Sesango!

Po chwili pochylił się i zaczęli poszeptywać ze sobą.

Oblicze katechisty rozpogodziło się wreszcie. Nie na próżno tak często i głośno zanosił modlitwy do Boga.

Njina zachowywała się podejrzanie spokojnie, tępo posłuszna, jak wszystkie tubylcze dziewczęta, o których losie decyduje się przeciwko ich woli. Gdy w tajemnicy przed wszystkimi wozem ojca Richartza wywieziono ją nocą do miasta, nie powiedziała ani słowa. Dobry baba rozmawiał z nią długo i cierpliwie. Miał przy tym rację, to musiała przyznać. Przecież z Loyola Farm schroniło się w mieście już tyle dziewcząt, żeby tylko uniknąć planowanego przez rodzinę małżeństwa z poganinem. Wiele z nich było prawdziwymi męczennicami, które, zanim zdołały uciec, przeszły przez prawdziwe tortury z rąk rozżłosz-

czonych ojców. Taka Olila przez całe życie będzie już cierpieć na ciężkie bóle głowy, gdyż aby wymusić zgodę, ścisnęła jej głowę w osławionej drewnianej prasie. Udręczona powiedziała „tak”, lecz w nocy przyszła na farmę, prosząc o pomoc.

Do Njiny dotarło, że nie wolno jej dłużej igrać z namiętnością Matero.

Ale nie było łatwo. Matero kojarzył się ze wszystkim, co przypominało jej o czasach dzieciństwa. Nikt z mądrych dorosłych nie pojmował, że w kraalu Mashayamombe zdarzały się nie tylko chwile grozy. Nie dało się wyrzucić z pamięci beztroskiego życia na słońcu i wietrze. Pośród cywilizowanych ludzi Njina czuła się czasem jak uwięziona. A teraz jeszcze i to. Salisbury okazało się zupełnie obcym miastem.

Ojciec Richartz długo i wyczerpująco rozmawiał z panią O'Mellies, a jeszcze bardziej ucieszył się, słysząc, że zatrudnia pod swoim dachem jeszcze jedną dziewczynę ze szczerpu Sesuru. Njinie będzie łatwiej przyzwyczaić się do nowych warunków. Gdyby zdarzyło się coś szczególnego, obiecała Irlandka, natychmiast prześle wiadomość na farmę. Dziewczyna jest przecież jej chrześnicą, więc zajmie się nią troskliwie!

Uspokojony ojciec Richartz powrócił do Chishawasha, gdzie czekał na niego nawał pracy. Przede wszystkim musiał się zająć nawiązaniem kontaktu z ciągle trzymającymi się na boku poganami.

Znowu podróżowali wiele wraz z Sesango, a gdy pewnego dnia wrócili z wyprawy, uśmiechnięte siostry zgłosiły, że Matero zrezygnował z bezowocnego czekania na Njinę. Nie przyszedł więcej do pracy, a one nie posyłały po niego.

Było oczywiście wykluczone, żeby Sesango od razu sprowadził ukochaną córkę z powrotem. Musiała pozostać w mieście rok lub dwa, aby zalotnik wreszcie zrezygnował. To była ciężka ofiara dla katechisty. Dlaczego Bóg ciągle zabiera mu dziecko?

Ojciec Richartz obiecał, że wkrótce pojedą do Salisbury, miał bowiem ważne spotkanie ze współbraćmi na Hartmann's Hill. Gdy zaprzężony w osła wóz z dwoma pasażerami wytoczył się za farmę, z korony drzewa moruli wychyliła się czarna głowa spoglądając za nim. Potem wysoki muskularny mężczyzna ruszył ostrożnie jego śladem.

Jakże wielkim miastem stała się stolica! Nikt, kto tu na stałe nie mieszkał, nie mógł się zorientować, dokąd zanosą go nogi w tych górach domów i dolinach ulic!

Można tylko współczuć żyjącej tu Njinie. Przed domem urzędnika rządowego O'Melliesa stał na straży czarny policjant sprawiający wrażenie dumnego ze swego uniformu. Wyszczrzył w uśmiechu zęby, pozwalając przejść abafundisi i jego towarzyszowi.

Sesango prawie nie poznał własnej córki. Nosiła miejską fryzurę jak kobiety na ulicach, wysoko ułożoną i eleganczką, oraz podarowaną jej przez panią domu suknię w kolorowe kwiaty oraz czerwony pasek na biodrach. Zachowywała się też inaczej. Wydawała się być nieśmiała i lękliwa, prawie się nie odzywała, nie mówiąc o uśmiechu na twarzy. Ponadto nauczyła się czegoś nowego: ukrywania wnętrza dłoni lub po prostu chowania rąk za plecami. Jak wszystkie czarne dziewczęta wstydziła się ich jasnej barwy, gdyż białych śmieszył ten widok. Tylko dla czego robiła to przed własnym ojcem? Miał wrażenie, że nie może już przeniknąć do jej serca.

Pani O'Mellies opowiadała, że Njina jest bardzo porządna i zręczna. Nauczyła się nawet jeździć na rowerze, aby robić zakupy, a druga z dziewcząt pomogła jej przyzwyczaić się do życia w mieście.

Tak, tę milkliwość i brak dobrego humoru pani O'Mellies nie mogła sobie inaczej wytłumaczyć jak tylko tym, że Nji-

na tęskni za domem. Dziwnym sposobem nie okazała jednak żadnych emocji, gdy Sesango opowiadał o życiu w Rosario. Irlandka zachęciła ją, aby opowiedziała ojcu o nowych rozrywkach. Gospodyni nie była skąpa. W niedziele, w eskorcie policjanta, posyłała dziewczęta na tańce do jednego z lokali dla tubylców w rezerwacie Harari, o którym wiedziała, że zachowuje się w nim dobre obyczaje. Wracaly zawsze zadowolone - bo cóż robi chętniej żeńska młodzież Sesuru? Njina przytaknęła, owszem, dobrze się bawiły pośród samych czarnych. Teraz budowano tam jeszcze kościół, dodał ojciec Richartz, więc może i w ciągu tygodnia uda się jej tam trafić.

Potem rozmowa utknęła. Nie chcieli dłużej zatrzymywać pani domu, więc pożegnali się. Sesango serce zaciężyło kamieniem - czuł, że Njina nie jest szczęśliwa. Ale jak jej pomóc? Ojciec Richartz pocieszył go, próbując nie pokazywać, że i on martwi się o jego córkę.

Tego samego wieczoru u drzwi mieszkania O'Melliesów ponownie rozbrzmiał dzwonek i gospodyni zobaczyła w progu tubylca, który zażądał rozmowy z Njiną. Myślała, że to mąż jej przysposobionej siostry Limbi; a na jego widok z trudem opanowywała śmiech, gdyż wyglądał niezwykle komicznie. Miał na sobie nową bawełnianą piżamę w szerokie kolorowe pasy, a na gładko wygolonej głowie słomkowy kapelusz. Pewnie w tym stroju uważał się za bardzo eleganckiego.

Oczywiście przywołała Njinę, być może uda mu się rozweselić nieco dziewczynę...

Na widok Matero Njina nie odezwała się ani słowem, on także nic nie mówił. Dopiero gdy pani domu wycofała się dyskretnie, zostawiając ich samych, powiedział głośno:

- Odnalazłem cię i jestem tutaj, żeby cię zabrać!

- Nie! - wyszeptwała dziewczyna z rozszerzonymi z lęku oczyma.

Matero nie zwracał na nią uwagi.

- Mój ojciec został wzięty na rogi przez bawołu, zakończyliśmy też żałobę po nim. Teraz ja jestem induna kraalu Matero, bo tak się nazywa nasza osada. Chcę trzecią żonę i będziesz nią ty.

- Nie! - powtórzyła Njina.

Matero sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał.

- W nocy, gdy rozlegnie się wołanie kakadu, zejdziesz na dół. Później przypędzę twojemu ojcu należne lobola.

Dziewczyna zatkała cicho.

Młody człowiek podszedł do niej wyciągając coś z kieszeni. Krzyżyk.

- To wielkie zakłęcie, będziesz moja.

- Zostaniesz chrześcijaninem?

Matero uśmiechnął się pogardliwie.

- Kiedy tu jest spokojniej? Kiedy nie ma twojego bossa? - dowiadywał się.

Nie odpowiadała, a on wzruszył ramionami.

- Yebo, sam się dowiem, a potem pójdiesz ze mną.

Nie czekając aż odpowie, odwrócił się i ruszył ku wyjściu.

- Znajdziesz mnie w rezerwacie dla tubylców - dodał jeszcze, a potem trzasnęły za nim drzwi.

Słyszając, kim okazał się przybysz, którego tak beztrąsko wpuściła do mieszkania, pani O'Mellies załamała dłonie. Njina nie była już bezpieczna, należało coś przedsięwziąć.

Natychmiast posłała drugą z dziewcząt do klasztoru. Przełożona generalna matka Ignatia osobiście zajęła się całą sprawą. Njina miała natychmiast przyjść do nich, w ich internacie na pewno nic jej nie grozi, i z tą możliwością prześladowca na pewno się nie liczył. Z tym samym spokojem, z jakim przybyła

do pani O'Mellies, ruszyła Njina do klasztoru dominikanek. Nikt nie miał pojęcia, co dzieje się w jej wnętrzu.

Którejś nocy pani O'Mellies zbudziła się kilka razy, gdyż pod jej oknem kilkakrotnie rozległo się ostre skrzeczenie kakału. Zdziwiło ją nieco, że płochliwe papugi zamieszkały wśród ludzi. Nad rankiem posłyszała na ulicy strzał i zerwała się znowu. Co za zbieg okoliczności, że właśnie teraz jej mąż pojechał do Viktoria - ogarnęły ją złe przeczucia.

Wkrótce potem załomotano do drzwi:

- Otwierać! Morderstwo!

Do wnętrza wniesiono czarnego policjanta ranionego przed domem. Zdążył jedynie wyjąkać, że obcy tubylec, który zjawił się wieczorem przed trzema dniami, *zażądał* od niego nocą wpuszczenia do domu, a kiedy odmówił, został postrzelony. Potem konstabl stracił przytomność. Tego dnia pani O'Mellies postanowiła nie brać pod swój dach żadnych tubylców. Pozostali Europejczycy mieli rację, ostrzegając przed bliższym kontaktem z nimi. Przekonała się na własnej skórze, czym to grozi.

Gdy udała się do siostr, te powiadomiły ją z niepokojem, że tej samej nocy Njina uciekła z sypialni dla dziewcząt.

Matero ujęto następnego dnia i umieszczono w więzieniu. Poddany przesłuchaniu przyznał się do przestępstwa, a gdy zobaczył, że przegrał życie, dodał jeszcze parę innych spraw.

Okazało się, że dziewczyny nie łączy nic z zaszłymi wydarzeniami. Poszukiwania trwały dalej, aż wreszcie odnaleziono ją na wpół zmarznąętą, obdartą i głodną w rezerwacie Harari. Wypytywała tam o Matero, lecz bezskutecznie.

Podczas konfrontacji rozzłoszczony młody mężczyzna obrzucił dziewczynę stekiem wyzwisk. Powiedział też, żeby nie

wyobrażała sobie, iż naraził się na niebezpieczeństwo, ponieważ ją kocha. Nie - przecież to teraz obojętne - niech wie, co go do niej sprowadziło! Od młodości wołał jego ojca było, aby Njina, córka Gaikany, powróciła do pogańskiego kraalu. Tak obiecał klanowi Lobenguli, gdy wyruszał, aby ukarać jej matkę. Ustępstwo Kakubiego zniweczyło stare plany zemsty, pogańskie wesele mogło je ostatecznie urzeczywistnić.

Mściwość tubylców nie znała granic! Przekazywano ją niczym spadek z pokolenia na pokolenie.

Ojciec Matero zabójcą Gaikany!

Njina stała oniemiała. To wyznanie było dla niej niczym uderzenie obuchem w głowę. Odślaniało bowiem oprócz przyznania się do zabójstwa również i to, że Matero nigdy nie zależało na niej samej, a także i ostateczny tryumf białego Boga, który zawiódł nadzieje pogan na odebranie mu Jego własności.

Ostatniego dnia rozprawy w tyle sali sądu stał Sesango czekając cierpliwie, aż oddadzą mu uniewinnioną córkę. Po osądzeniu prześladowcy i tak chciał ją zabrać do domu.

Njina miała usłyszeć jeszcze inną złą wieść. Jej siostra Limbi zmarła przy porodzie syna. Tej nocy, gdy ona schroniła się w rezerwacie Harari, młoda matka dostała nagle wysokiej gorączki. Nieprzytomna wymawiała tylko jedno imię: „Njina, moja mała siostra Njina!”. To uświadomiło wszystkim, jak bardzo się o nią lękała. Przywołany do niej mfundisi przekonał się o tym w jeszcze bardziej wstrząsający sposób. Kiedy wydawała ostatnie tchnienie, wyznała:

- Gdy Njina dorastała w kraalu mojego ojca, pokazałam jej, jak należy się modlić. Kiedy teraz stanę przed dobrym Bogiem, poproszę Go, żeby ocalił ją przed kraalem Matero.

Wzruszony ojciec Richartz zapytał:

- Czy to znaczy, że ofiarujesz za nią swoje życie?



Na to uśmiechnęła się, przytakując. Była to ofiara większa niż misjonarz spodziewałby się kiedykolwiek od tubylczej kobiety.

Njinę natomiast ciężar bólu przytłoczył tak dotkliwie, że upadła na kolana i krzycząc przeraźliwie, uderzała pięściami o ziemię. Lękano się wręcz, że wyrządzi sobie krzywdę. Gdy chciano ją siłą uspokajać, ojciec Richartz powstrzymał wszystkich.

Tu znajdowała swoje ujście ukryta boleść, cała tęsknota za utraconym buszem i człowiekiem, którego pokochała pierwszą, niewypowiedzianą miłością, a on zranił jej serce.

Później Njina wróciła do równowagi i nie wylewała już łez. Została chrzestną syna Limbi, którego nazwano Leon, podobnie jak jego dziadka. Bardzo poważnie podeszła do przyjętego obowiązku, jej ciemne oczy świeciły nieprzeniknioną czernią niczym bezdenne źródła.

Jedyną pociechę stanowiło dla niej to, że Bóg upomniał się o nią po raz trzeci - wciąż zachowywała ważność słynna pieśń jej ojca: ludzie są okrutni, Bóg jest dobry!

Po upływie dwu lat Njina zgodziła się, aby mąż Limbi wręczył jej ojcu Sesango należne lobola, tak jak było w zwyczaju pośród zamożnych tubylców: dwadzieścia angielskich funtów uczciwie zarobionych w Salisbury. Młoda kobieta wychodziła za mąż na Loyola Farm ubrana w białą suknię, a jedno z dzieci, dla których miała się stać drugą matką, trzymało nad nią w czasie ceremonii, a także i po niej, ogromny czarny parasol. To także stało się nowym, bardzo poważnie traktowanym obyczajem tubylców, którzy przekonali się o użyteczności parasol, który chroni przed słońcem i deszczem. Uważano go za cenną, ekskluzywną majątność.

Pod takim właśnie parasolem kroczyła Njina ku swojej wiosce, a wszyscy, zarówno czarni, jak i biali, cieszyli się wraz

z nią. Tylko Sesango nie podzielał powszechnej radości, gdyż ciągle jeszcze nie chciał się z córką rozstawać. Pogodził się ze wszystkim dopiero rok później, w 1914, gdy wydała na świat zdrową córkę, którą na cześć jej babki nazwano Gaikana--Maria.

Mogło się wydawać, że radość tego dnia nie posłużyła Sesango. Wybrawszy się wraz z ojcem Richartzem do Mato-koland, aby podjąć kolejną próbę nawrócenia, rozchorował się w drodze. Z trudem powrócili na czas do domu, gdzie z ręki dobrego baba przyjął jeszcze ostatnie namaszczenie. Zrobił to z dziecięcą ufnością, gdyż w sercu pozostał prostym człowiekiem. Całe Chishawasha odprowadzało go na miejsce wiecznego spoczynku. Czulo się, że kończy się znaczący etap historii, którego symbolem został Sesango-Leon, pierwszy katechista.

W sierpniu 1923 pochylony szczupły mężczyzna w zno-szonej sutannie powoli kroczył przed siebie prowadzony pod ramię przez czarnoskórego tubylca. Przystanęli naprzeciwko konwentu Dominikanek, gdzie przewodnik delikatnie odwrócił niedowidzącego w drugą stronę.

- Tam, baba, jest kościół, który chcą zburzyć.

Ojciec Leboeuf przytaknął. Na jego spokojnej twarzy, roz-jaśnionej blaskiem pogodnego pogodzenia się z ciężarem nie-sionego krzyża, nie widać było smutku, że oto z powierzchni ziemi znika dom Boży.

Przybył, aby w tym miejscu wznieść inny, katedrę Salisbury mającą być sercem Rodezji. Po raz pierwszy zabiło ono przed wieloma laty w przewiewnym namiocie-kaplicy ustawionym pod spróchniałym drzewem. Potem, w 1910 roku, udało mu się zbudować kościół parafialny, niemieszczący już wiernych,

a teraz ku niebu miała się wznieść monumentalna rezydencja Najświętszego Serca.

Wszedł do świątyni, aby podziękować Bogu za to zadanie. Długo klęczał, a potem samodzielnie podszedł do płyty upamiętniającej matkę Patricję Cosgrave. Obiecała mu, że w niebie wyprosi dla niego światło, nawet jeśli straci wzrok, i dotrzymała słowa. Jego dłoń przesunęła się powoli po gładkim granicie.

Potem drobnymi ostrożnymi krokami ruszył do wyjścia, unosząc w górę głowę okoloną śnieżnobiałym zarostem. Niewidzące oczy skrywały się za niezwykle mocnymi szklami okularów. Siostry stojące w oknach konwentu na jego widok zapłakały. Ale Boży budowniczy nie potrzebował współczucia, gdyż był szczęśliwszy od wszystkich.

W klasztorze musiał pozwolić się poprowadzić. Wszystko się zmieniło, lecz z jego twarzy nie zniknął uśmiech, gdy słyszał, ile tu dokonano przez te dziesiątki lat, ile setek uczennic otrzymało wykształcenie i jak wiele stacji misyjnych otwarto w całej okolicy. Cóż za cudowny bilans po tak trudnych początkach!

Domy dla osieroconych tubylczych dzieci, szkoła dla głuchoniemych i internat dla Mulatów, schroniska i centra, wszystko było warte wspomnienia. Niewidzące oczy najwidoczniej postrzegały więcej i jedno okazywało się ważne: Jezusowe Serce spalające się bez końca dla ludzkich dusz pobłogosławiło to dzieło. Ze wszystkich krajów Europy przybyli misjonarze i siostry, aby kontynuować rozpoczętą pracę misyjną. Pionierzy nie byli już sami. Również i tutaj, w konwencie Świętego Dominika w Salisbury kształcono nowicjuszek do złożenia pierwszej profesji zakonnej. Tylko tym sposobem dawało się lekkim sercem trudzić na rzecz budowy wiekopomnej świątyni.

Mówiono o tym w całej stolicy - niewidomy wykonał plany, a teraz stanął na placu budowy, wskazując i wydając po-

lecenia, dokładnie według wewnętrznego, świetlanego projektu, według którego stworzył swoją koncepcję. Jego dłonie nie zdrząły ani przez chwilę, nie chybił też ani jednej linii. Zewsząd ścigali gapie, aby zobaczyć sześćdziesięciosześcioletka, którego widok poruszał nawet obytych z rzemiosłem miejskich architektów!

Początkowo okazywali rezerwę i niedowierzanie, ale potem katedra wyrosła w górę, prawdziwe arcydzieło w gotyckim stylu, lecz o takiej jasności i prostocie kształtów, że nawet najbardziej postępowy człowiek czuł, iż nie chodzi o nieudolnie naśladowane średniowiecze. Było to dzieło kogoś, kto złączył sztukę różnych epok pod prawem jednej wiary, tworząc coś doskonałego. Ten monument stanowił ukoronowanie tego misyjnego życia, lecz nie jego kres.

Należało urzeczywistnić jeszcze jedno, dotąd niespełnione marzenie jednego ze współbraci - college na Hartmann's Hill!

Wreszcie przełożony jezuitów zgodził się na przeniesienie akademii z Bulawayo do Salisbury. W sporze dwu miast to ono wygrało, gdyż stało się centrum rodezyjskiego życia. Należało iść z duchem czasu. Ojciec Hartmann uśmiechał się pod nosem.

Szkoda, że Cecil Rhodes i jego przyjaciel Jameson nie mogą oglądać, jak spełnia się jego „wizja”. Doktor Jameson zmarł w 1917 i od dawna spoczywał na Worlds View obok swojego wielkiego szefa.

Drobny jezuita z Tyrolu stał u stóp pagórka, przyglądając się bez emocji, jak kamień po kamieniu rozbierają stary budynek konwentu, a wraz z nim znikają stare misyjne wspomnienia. Nie sprzeciwił się także, gdy ojciec Leboeuf zaprojektował szkołę w czystym stylu windsorskim, według normandzkiego sposobu budowy wyposażoną w potężną wieżę. Całość sprawiała wrażenie, że ta twierdza od zawsze wyrastała w krajobrazie Południowej Afryki! Niewidomy architekt budował na przyszłość!

Dwadzieścia pomieszczeń dla konwentu, trzy dormitoria, dwie kaplice, dwanaście dużych sal wykładowych i aula: kolegium zaspokajało wszelkie wymagania!

Przygotowywano już uroczyste otwarcie St. George College na Hartmann's Hill, gdy ojciec Leboeuf rozchorował się ciężko. Chcąc jednak dokończyć rozpoczęte dzieło, z właściwą sobie wytrwałością zebrał jeszcze resztki sił. Udzielił jednemu ze współbraci niezbędnych wskazówek dotyczących przyszłego wykończenia budowli, po czym udał się na zwykły obchód tej wszechniczy wiedzy, nie potykając się nigdzie, choć przed jego oczyma od dawna zapadła kurtyna ciemności. A potem...

Znaleziono go siedzącego w fotelu, pogodnie uśmiechniętego, gdyż nie zjawił się na południowy posiłek. Odszedł powołany do wieczności. Nikt nie potrafił zapamiętać szczęśliwości bijącej z jego rysów.

Pochowano go w ostatniej ze wzniesionych przez niego świątyń. Przybyły tłumy, aby po raz ostatni złożyć mu hołd.

Trzy lata później w jego ślady podążył pierwszy przełożony Loyola Farm ojciec Richartz, liczący siedemdziesiąt cztery błogosławione lata. Tubylcy przebyli piechotą pięćdziesiąt mil, żeby pożegnać się z ukochanym baba, a jego trumnę dźwigało czworo siwobrodych Sesuru ochrzczonych przez niego jako pierwsi. Pomędzy starymi indunas z pewnością znalazłby się jeszcze niejeden, który w roku 1896 chętnie podniósłby na niego broń. Teraz składali dłonie, a ich dzieci i dzieci ich dzieci zanosili głośnie modlitwy.

W wioskach nieomal powrócono do starego pogańskiego obyczaju oplakiwania zmarłych na wieść o śmierci „wielkiego induna” misjonarzy z Chishawasha. I znowu mogło się wydawać, że podeszły w latach ojciec Hartmann nie może przeboleć tego rozstania. Wszyscy go opuścili, przyjaciele i współbracia, nadszedł i jego czas, aby przygotować się do ostatniej misyjnej

podróży. A kiedy i on odszedł w pokój, zrobiono wokół jego osoby taki „teatr”, że w swojej skromności wstydził się jeszcze pewnie i w wieczności!

W rzeczy samej, trumnę ze szczątkami przykryto Union Jack, jak gdyby był mężem stanu, zaś Governor of Colony odelegował cały sztab z adiutantem na czele. Zjawili się wszyscy żyjący jeszcze oficerowie British South Africa Company, w pełnej gali mundurowej i orderowej, a na ich czele siwo-włosy pułkownik Frank Johnson, pod którego dowództwem kapelan wojskowy wyruszył w 1890 do Mashonaland.

A na Chishawasha, gdzie przed wieloma laty stanął samotny obok pierwszej lepianki ojca Prestage'a, spoglądając sceptycznie na opuszczoną przez ludzi Krainę Małą, teraz u stóp zmarłego rozciągał się kwitnący misyjny ogród niczym jego wiano dla wieczności. Był niewielkiej postury, lecz niósł ogień, co do którego Bóg chciał, aby zapłonął, a czynił to z namiętnością człowieka o wielkim sercu.

Trzy lata później Salisbury, które stało się wikariatem apostołskim, przeżywało pierwsze święcenia biskupie. Duchowy syn świętego Ignacego przyjmował sakrę w katedrze Królewskiego Serca Zbawiciela. Nigdy dotąd stolica nie widziała takiej ceremonii. Tysiące wyległy na ulice, aby przyjrzeć się fiole-tom prałatów i purpurze książąt Kościoła uroczyście przypie-czetowujących Boży podbój.

Wydawało się, że to odpowiedź na uroczystość w katedrze, gdy rok później chrześcijaństwo przyjęła także opierająca się dotąd kraina Mtoko.

Gdyby Sesango mógł powstać z grobu, to pewnie z rado-ścią przyłączyłby się do czterech pierwszych sióstr, które wraz z jezuitami udały się do osławionego purgatory.

Niegdysiejszy „czyściec” nazwano stacją misyjną pod we-zwaniem „Dusz wiernych zmarłych”, i tak zwie się do dzisiaj.

Jeszcze uroczystszy charakter miał dzień, kiedy w rezerwacie Makumbi, na północ od Chishawasha, otwarto pierwszy nowicjat dla czarnych sióstr. W 1932 roku biskup Ignatius podjął tę odważną, lekceważoną przez wszystkich decyzję, i nie zastanawiając się długo, wprowadził ją w życie. Tubyłcze dziewczęta - czy nie miały opinii lekkomyślnych i płochych? A poza tym organizowanie czegoś takiego pośród nieobyczajnych Sesuru! Ale jezuita wiedział, komu ufa. Pomędzy kandydatkami były prawdziwe bohaterki, które dziesięć lat i dłużej odkładały wszelkie oszczędności, aby móc zapłacić rodzicom utracone lobola.

W wypadku sióstr o takiej przeszłości można było spokojnie zaufać łasce Bożej. Pomędzy nowicjuszkami znalazła się nawet córka naczelnego wodza z Makumbi, u jej boku klęczała Gaikana, dziecko Njiny, dziewczynka, która odziedziczyła całą urodę swojej tak tragicznie zmarłej babki.

W święto Niepokalanego Poczęcia, 8 grudnia 1932 roku, wraz z pozostałymi postulankami otrzymały z rąk biskupa Ignatiusa Chicheстера jasnobłękitne habity i białe weloniki „małych córek Maryi”.

Zabudowania rezerwatu Makumbi oświetliły promienie letniego słońca. Pomimo pory deszczowej nieboskłonu nie spowijała ani jedna chmurka. Wydawało się, że niebo dzieli się radością z krainą czarnego człowieka.

Ręce chłopców uderzyły w arkusze blachy, brakowało jeszcze dzwonów. Ale niepotrzebnie, bo wszyscy już przybyli.

Chrześcijanie i poganie otoczyli kościół głowa przy głowie. W pierwszym szeregu stanęli rodzice młodych sióstr, milczący i poważni. Njina wsparła się mocno na ramieniu męża. Nie zabrakło również żonatych już synów jej siostry Limbi-Beaty, a także pięciorga własnych dzieci, z których najmłodsze dźwiagała na plecach.

Czarne dziewczęta uklękły przed biskupem. Zapadła cisza i rozległo się pytanie:

- Moje dziecko, o co prosisz?

Z drzeniem serca Njina posłyszła dźwięczną odpowiedź swojej pierwszej córki Gaikany:

- Pragnę zostać przyjęta do grona córek Najświętszej Panny Maryi.

- Czy z całego serca wyrzekasz się dzieł ciemności i obiecu jesz prowadzić czyste życie za wzorem Niepokalanej Dziewicy?

Njina westchnęła, chwytając silniej dłoń męża. Odpowiedział uspokajającym uściskiem, a Gaikana odparła ze słyszalną radością w głosie:

- Tak, father, chcę, ufając łasce Bożej i pomocy Najświętszej Panny Maryi!

Jej matka ukryła twarz w dłoniach i uklękła, natomiast dziecko na jej plecach zaczęło rozpaczliwie płakać, gdyż nie mogło już nic zobaczyć. A w tej właśnie chwili jego starsza siostra przyjmowała welon Bożej oblubienicy i ze spuszczonej oczyma, lecz promieniejąca radością przechodziła na drugą stronę chóru.

Jej ojciec nie przeszkadzał żonie szlochać, domyślał się, co dzieje się w jej wnętrzu. Wszystko obróciło się w dobro, wszystko stało się Bożym pokojem.

Tubylcy długo jeszcze czekali, aż ostatnia z sióstr przywdzieje strój zakonny i otrzyma imię.

Jeszcze zanim uroczystości dobiegły końca, stara pogańska ambuya, która swego czasu udzielała dorastającym dziewczętom „nauk przedmałżeńskich”, przeżegnała się po raz pierwszy, mówiąc głośno w kościele: „Makumbi narodziło się na nowo!”, a te słowa nie zgorszyły nikogo.

Gdy Njina wraz z gromadką dzieci opuszczała świątynię, oboje rodzice wystraszyli się nie na żarty, gdyż stanął przed nimi syn Limbi, zapytując nieśmiało:



- Słyszeliście, co jeszcze obiecał biskup Ignatius? Wkrótce będziemy mieli własne seminarium dla kapłanów-tubylców; minie jeszcze dwa, trzy lata, zanim się je ukończy, ale to prawda.

Jego rodzice spojrzeli po sobie. Leon poświęcił się książkom i odziedziczył talent po dziadku do układania słów w piękne poematy. Czytał i pisał jak biały, a także prowadził korespondencję w imieniu siedmiu, a nawet ośmiu chrześcijańskich wiosek. Nie bardzo wiedzieli, co na to odpowiedzieć, lecz oto zjawiała się siostra Bona, jedna z zakonnice pionierek, przybyła do Salisbury jako nowicjuszka jeszcze z matką Patricią, wołając swoją „bliźniaczkę”, siostrę Bertę.

- Posłuchaj, siostrzo przełożona! Wydaje mi się, że mamy tutaj pierwszego czarnoskórego reverend. Trzeba się zająć jego rodzicami, żeby nie zepsuli nam święta.

Jak Njina i jej mąż mogli się sprzeciwić, skoro Leon miał za sobą takie orędowniczki? Siostry posunęły się już wprawdzie w latach, lecz we wczesnej młodości, na przekór wszystkim trudnościom, przyrzekły sobie zestarzeć się w Afryce. Dlatego chciały jeszcze przeżyć pierwsze święcenia czarnoskórego.

Gdy rok później biskup Ignatius otworzył w Borrowdale konwent Wieczystej Adoracji dla pracujących na misjach sióstr emerytek, nie chciały się tam przeprowadzić. Borrowdale było położoną na uboczu, cichą wiejską posiadłością, która należała kiedyś do jednego z badaczy Afryki pokonanych przez klimat. Otaczające ją różane ogrody miały przez cały rok zapatrywać kaplicę w kwiatowy wystrój. Budynek składał się jedynie z czterech pomieszczeń, ale i tu pojawiła się kaplica - miejsce, gdzie Chrystus mógł złożyć głowę. Boży spokój wiał tutaj tchnieniem wieczności.

W dniu poświęcenia na ołtarzu ustawiono starą pionierską monstrancję, która w roku 1880 przybyła wraz z siostrami do Rodezji transportowana na wozie ciągniętym przez woły. Prze-

trwała gwałtowne burze w namiotach pod Mafekingiem i ulewy nad Macloutsie, kilka razy chciał ją stopić żar palących się lepianek, a także roztrzaskać błyskawica z jasnego nieba. Gwizdały obok niej kule rebeliantów, a afrykańskie upały pod słomianymi i blaszanymi dachami wykrzywiły jej metal. Nie wyglądała zbyt elegancko, gdy biskup Ignatius zabrał ją w podróż w ojczyste strony, pokazując w czasie swoich kazań w kościołach Anglii i Irlandii. Słuchający go biali katolicy nie żalowali grosza, gdyż wszystko, o czym słyszeli, stanowiło nie tylko historię relikwii z pierwszych pionierskich czasów, lecz także kryło w sobie śmiech i płacz, śmierć i życie wielu misjonarzy.

Błyszczała jak klejnot, gdy w nowej szacie, pieczołowicie odrestaurowana, powróciła nad Zambezi. Ożyła w niej na nowo miłość do misji i to nadało jej niezrównaną cenność.

Postanowiono, że znowu stanie w kaplicy Wieczystej Adoracji. Aż po dzisiejszy dzień siostry nieustannie klęczą przed eucharystycznym Bożym Sercem, które wzniesione niczym sztandar rozlewa łaski na cały kraj. Składają się przed nim spracowane ręce misjonarzy, w tym szczególnym dziele ofiary modlitewnej, upraszającej błogosławieństwo dla kraju Mashona i Matabele, dla czarnych i białych.

Promień wieczystego światła, bijącego z Bożego Serca w Borrowdale, rozchodzi się też na cały świat. Kto go uchwyci, ten odczuje we własnym sercu echo tajemniczych słów, zrozumiałych jedynie dla wybranych:

- Kto może pojąć, niech pojmuje...

KONIEC

## Posłowie do wydania z 1958 roku

Zgromadzenie Dominikanek od Najświętszego Serca Pana Jezusa liczy obecnie około pięciuset sióstr, z czego dwie dziewiąte to Niemki, dla których w roku 1918 matka Ignatia założyła w Strahlfeld bei Roding (Bawaria) nowicjat. Dom macierzysty znajduje się w Salisbury, w Południowej Rodezji. Jedna z sióstr pionierek, siostra Berchmans, nazywana w tej powieści siostrą Bertą, żyje jeszcze jako dziewięćdziesięciolatka w Borrowdale.

Rodezja\* jest pięciokrotnie większa od Niemiec, dominikanki pracują na piętnastu stacjach misyjnych, współpracując z jezuitami oraz ojcami z innych zgromadzeń zakonnych. W stolicy kraju prowadzą internat dla dziewcząt przygotowujących się do matury oraz studiów wyższych, oprócz tego jest tam technikum ekonomiczne oraz szkoła gospodarstwa domowego. Nauczają się muzyki, malarstwa oraz prac ręcznych. Na południu i północy kraju kierują szkołami dla tubylców oraz Mulatów, sierocińcami, szpitalami, centrami dla głuchoniemych oraz ośrodkiem dla chorych na trąd.

Nawet obecnie Rodezja stanowi ogromne pole pracy, prawdziwą Bożą rolę. Są kraje, w których tubylcy nie usłyszeli jeszcze Dobrej Nowiny, ciągle jeszcze busz czeka na gotowych do wyrzeczeń misjonarzy, czerpiących święty zapał z Serca kryjącego w sobie pełnię łask.

---

\* Obecnie Zimbabwe.

Oby Matka Boża, tak gorąco czczona przez czcigodny zakon dominikański, pobłogosławiła tę pracę ku czci Swego Syna, a wszyscy ją czytający przyjęli to dzieło z otwartym sercem.

Consilia Maria Lakotta